



miłość
i sensacja

*Iris
Johansen*



*Zabójcze
sny*



Prolog

- Mówiłem ci, że to idealne miejsce - powiedział Corbin Dunston, prezentując dumnie wyłowionego przed chwilą pstrąga. - Spójrz na to чудо. Waży pewnie z półtora kilo.

- Wspaniały - przyznała Sophie, wstając. - Czy teraz, tato, możemy wrócić do restauracji na obiad? Michael i mama czekają na nas.

- Zamiast siedzieć w restauracji, Michael powinien był przyjść tu z nami. Powinien pobyc trochę na słońcu. Poza tym chciałem się trochę przed nim popisać. To przywilej dziadka. - Następny razem. Mówiłam ci, że jest przeziębiony. Tu, na pomoście, mogłoby go przewiać.

- Nic by mu się nie stało. Nie jest przecież żadnym chuchrem. Nieżył z niego urwis.

- Tato, on ma dopiero osiem lat. Pozwól mi go rozpieszczać jeszcze przez jakiś czas. Zresztą mama też chciałaby go mieć przez chwilę tylko dla siebie. Wy dwaj spędzacie razem wystarczająco dużo czasu.

- Chyba masz rację. Poza tym to powstrzyma mamę od wiszenia całej czas na telefonie z klientami. Czasami wydaje mi się, że ona ciągle jest w biurze. - Corbin wrzucił rybę do koszyka, wstał, przeciągnął się i zaczął powoli iść w stronę brzegu. - Tak chyba jest lepiej. Może pobawić się z Michaeliem, pogadać z kelnerkami i wykonać kilka telefonów, żeby nie mieć poczucia winy. - Wzruszył ramionami. - Mówiłem jej, że powinna przejść na emeryturę, tak jak ja, ale ona twierdzi, że zwariowałaby bez pracy. - Spojrzał na córkę i pokręcił głową. - Odziedziczyłaś po niej ten pracoholizm. Byłoby lepiej dla was obu, gdybyście odpuściły trochę i po prostu cieszyły się życiem.

- Ależ ja się cieszę życiem - zapewniła Sophie. - Po prostu nie lubię łowić ryb. To ty powinienes sobie darować te próby nawracania mnie na wędkarstwo. Zabierasz mnie ze sobą nad jeziora, odkąd skończyłam sześć lat.

- Nigdy nie protestowałaś. - Corbin poklepał córkę po ramieniu. - I prawie nigdy nie narzekałaś. Wiem, że myślisz, że chciałem mieć syna, i masz rację. Ale wiedz, że nie wyobrażam sobie, że mógłbym mieć przez te wszystkie lata lepszego towarzysza niż ty. Dziękuję ci, Sophie.

Dziewczyna przełknęła ślinę.

- Teraz narzekam. Wiesz, że mam w pracy bardzo ważny duży projekt. - Uśmiechnęła się. - Powinieneś to zrozumieć. Jeśli dobrze sobie przypominam, to sam bywałeś w takich okolicznościach nieźle spięty.

- To już historia - powiedział Corbin, wpatrując się w jezioro. - Boże, spójrz na ten zachód. Czyż nie jest piękny?

- Jest piękny - zgodziła się Sophie.

- Wart tego, żeby zostawić na chwilę ten cenny projekt?

- Nie. - Sophie uśmiechnęła się lekko. - Ale ty jesteś tego wart.

- Dobre i to. - Corbin roześmiał się. - Jestem inteligentny, mam poczucie humoru i poznałem tajemnicę życia. Dlaczego nie miałabyś się ze mną trochę poobijać?

- Właśnie.

Sophie zaczęła się przyglądać ojcu. Policzki miał zarumienione dzięki opaleniznie. Jego wysoka, umięśniona sylwetka nie wskazywała na sześćdziesiąt osiem lat, które skończył Corbin. Sophie pomyślała, że ojciec wygląda na szczęśliwego człowieka. Nie było w nim śladu stresu, żadnych oznak zmęczenia.

- Dlatego też rzuciłam wszystko, żeby trochę z tobą po wędkować - powiedziała i po chwili dodała:

- Stęskniłam się za tobą. Chciałam przyjechać w zeszłym miesiącu, ale znowu nie miałam czasu.

- Zawsze tak jest. Dlatego właśnie pięć lat temu wycofałem

się z tego wyścigu szczurów. Ludzie są ważniejsi niż projekty. Każdy dzień powinien być przygodą, a nie kieratem. - Westchnął i niechętnie oderwał wzrok od zachodzącego słońca. - W przyszłym miesiącu wybieramy się z mamą na Bahamy. Chciałbym, żebyście pojechali z nami. Ty i Michael.

- Nie mogę ... - Urwała, kiedy napotkała wzrok Corbina. Właściwie dlaczego nie? Jej rodzice nie

stają się przecież coraz młodszy. Ojciec ma rację. Ludzie są ważniejsi niż projekty, szczególnie ci ludzie, których się kocha. - Na jak długo?

- Dwa tygodnie.

- I nie będzie wędkowania? - upewniła się.

- Może trochę połowimy na otwartym morzu. Michael powinien tego spróbować.

Sophie westchnęła.

- Zgoda, jeśli nie będziecie przeszkadzali mme I marrue w leżeniu na pokładzie i picie drinków.

- Umowa stoi - powiedział Corbin i dodał: - Weź Davida, jeśli będzie mógł się wyrwać. On też potrzebuje odpoczynku. - Zapytam go. Chociaż on ma teraz duży proces cywilny i pracuje bez przerwy. Wiesz, że to oznacza dla niego wielkie pieniądze.

- Następny pracoholik. - Corbin skrzywił się. - Nie wiem, jak wam się w ogóle udało począć Michaela.

- Są przecież przerwy na lunch - zauważyła z uśmiechem Sophie.

- Nie zdziwiłoby mnie to - mruknął i przyspieszył kroku.

- Jest mama i Michael. Nie mogę się doczekać, żeby powiedzieć

mu o naszej wyprawie. - Pomachał Mary Dunston i Michaelowi, którzy wyszli przed restaurację i machali w ich stronę. - Mama będzie szczęśliwa, że jedziecie z nami. A założyła się ze mną, że nie uda mi się ciebie przekonać. Gdybyś się nie zgodziła, obiecałem jej, że pojedę z nią do spa. Twoja matka chce zrzucić kilka kilogramów.

- Przecież nie ma czego zrzucić.

- Wiem. Jest idealna. - Twarz Corbina złagodniała, kiedy spojrzął na żonę. - Z wiekiem wygląda coraz lepiej. Wciąż jej powtarzam, że nie mam pojęcia, dlaczego zakochałem się w niej, kiedy miała

dwadzieścia lat. Jej skóra nie miała wtedy żadnych charakterystycznych linii, a w oczach nie było śladu rozumu. Mówi, że plotę głupstwa, ale nie ma racji.

- Wiem. - Miłość między rodzicami była dla Sophie rzeczą pewną przez całe jej dzieciństwo. - Ona też to wie.

Michael zaczął biec w ich stronę.

- Dziadku, czy możemy zatrzymać się w sklepie z grami w drodze do domu? Chcę pokazać ci nową grę, którą odkryłem. - Oczywiście, jeśli tylko zostanie nam trochę czasu po obiedzie.

- Nareszcie - powiedziała Mary Dunston, dołączając do

grupki. - Umieram z głodu. Złowiłeś coś? - Oczywiście. Dwa olbrzymie pstrągi.

- Prawie olbrzymie - poprawiła go Sophie.

- Niech będzie, ale musisz przyznać, że są imponujące.

Skończyłaś swoje telefony, Mary?

Skinęła głową.

- Są szanse, że dostanę ten wykaz w Palmaire. - Pocałowała go przelotnie. - A teraz chodźmy coś zjeść.

- Jasne - mruknął Corbin, otwierając koszyk.

- Nie pokazuj mi teraz swoich ryb, Corbin! -zawołała Mary.

- Wierzę ci na słowo. Wspaniałe. Olbrzymie.

- Nie chcę pokazać ci ryb, Mary.

Corbin wyciągnął z koszyka pistolet kaliber 38 milimetrów i strzelił żonie w głowę.

- Tato?! - Wstrząśnięta, Sophie patrzyła z przerażeniem, jak czaszka matki rozpada się na kawałki. To chyba jakiś żart. To nie może dziać się naprawdę ...

To nie był żart. Ciało matki osunęło się na ziemię. Corbin odwrócił się i wymierzył broń w Michaela.

- Nie! - Sophie rzuciła się między syna a ojca, który nacisnął właśnie spust.

Rozdzierający ból w klatce piersiowej. Krzyk Michaela.

Ciemność.

Rozdział 1

Dwa lata później.

Szpital uniwersytetu Fentway Baltimore w stanie Maryland

- Co się stało? Nie powinno cię tu być.

Sophie Dunston podniosła głowę znad karty choroby.

Przełożona nocnej zmiany pielęgniarek, Kathy Van-Boskirk, stała w drzwiach.

- Nocna sesja, bezdech.

- Pracowałaś cały dzień i teraz nadzorujesz nocną sesję?

- Kathy weszła do pokoju i spojrzała na łóżko, które stało po drugiej strony szyby. - Ach, to niemowlę. Już świta.

- To nie jest niemowlę. Elspeth ma już czternaście miesięcy

- sprostowała Sophie. - Trzy miesiące temu wszystko ustąpiło,

teraz znowu ma nawrót. W środku nocy po prostu przestaje oddychać, a lekarze nie potrafią tego wyjaśnić. Jej matka odchodzi od zmysłów.

- Więc dlaczego jej tu nie ma?

- Nocami pracuje.

- Ty też. Pracujesz dniami i nocami - powiedziała Kathy, przyglądając się śpiącemu dziecku - Boże, jaka ona piękna. Kiedy na nią patrzę, słyszę, jak tyka mój zegar biologiczny. Moje dziecko ma już piętnaście lat i nie ma w nim nic uroczonego.

- Don jest po prostu zwykłym nastolatkiem. Wyrośnie. - Sophie zaczęła pocierać oczy. Wydawało jej się, że ma pod powiekami piasek. Dochodziła piąta. Jej nocny dyżur zaraz się skończy. Będzie musiała zająć się załatwieniem najważniejszej teraz dla niej sprawy, po czym położy się na kilka godzin i wróci tu na pierwszą, na sesję z dzieckiem Cartwrightów. - Kiedy tu był w zeszłym tygodniu, zaproponował, że umyje mi samochód.

- Prawdopodobnie miał nadzieję, że będzie mógł go podwędzić. - Kathy uśmiechnęła się. - A może liczył na to, że uda mu się poderwać dojrzałą kobietę? Uważa cię za niezłą laskę.

- Jasne. - W tej chwili Sophie poczuła się dużo starsza, niż była. Wydawało jej się, że jest brzydka jak noc. Spojrzała na kartę choroby Elspeth. O pierwszej miała bezdech, od tamtego momentu nic się nie działo.

- W pokoju pielęgniarek jest dla ciebie wiadomość - powiedziała Kathy.

Sophie zamarła i po chwili zapytała:

- Z domu?

Kathy zaprzeczyła szybkim ruchem głowy.

- Och, nie! Przepraszam, nie chciałam cię zdenerwować.

W ogóle nie pomyślałam. Wiadomość przyszła podczas zmiany o siódmej, ale zapomnieli ci jej przekazać. Jak się ma Michael? - spytała po chwili milczenia.

- Czasem okropnie. Czasem dobrze - odparła Sophie z wymuszonym uśmiechem. - Ale wszystko dzielnie znosi.

Kathy skinęła głową.

- Och, tak. To dzielny chłopak.

- Ale za pięć lat będę pewnie rwała sobie włosy z głowy, jak ty teraz - powiedziała i żeby zmienić temat, spytała: - Kto zostawił wiadomość?

- Gerald Kennett. Nie oddzwonisz?

- Nie - ucięła Sophie, sprawdzając jednocześnie leki Elspeth. Alergie?

- Korona ci z głowy nie spadnie, jeśli z nim porozmawiasz. Zaproponował ci pracę, w której zarobisz w ciągu miesiąca tyle, ile tutaj, na uniwersytecie, w ciągu roku. Może da ci jeszcze więcej, skoro się tobą opiekuje. Ja bym od razu do niego zadzwoniła.

- A więc zadzwoń. Lubię tę pracę i ludzi, z którymi pracuję. Nie chcę pracować dla firmy farmaceutycznej.

- Kiedyś już to robiłaś.

- To było zaraz po studiach i to był błąd. Wydawało mi się, że będę mogła przez cały czas robić badania. Nic z tego. Teraz jest lepiej, kiedy zajmuję się badaniami w wolnym czasie. - Zakreśliła jeden z leków na karcie Elspeth. - Poza tym tutaj nauczyłam się, jak radzić sobie z ludźmi, czego nie nauczyła-bym się w laboratorium.

- Tak, jak Elspeth. - Kathy przyglądała się dziecku - Ona się cała trzęsie.

- Tak, od pięciu minut jest w fazie NREM. Już prawie koniec. - Odłożyła kartę choroby i poszła do pokoju badań. - Muszę zdjąć jej te przewody, zanim się obudzi. Nie chcę, żeby się przestraszyła. Będzie się bała, gdy nikogo przy niej nie będzie, jak się obudzi.

- Kiedy ma przyjść jej mama?

- O szóstej.

- To wbrew przepisom. Rodzice powinni odbierać dzieci zaraz po zakończeniu sesji, a ta kończy się o piątej trzydzieści - Do diabła z przepisami. Przynajmniej dba o dziecko na tyle, że zgodziła się na testy. Zostanę te pół godziny dłużej.

- Wiem - powiedziała Kathy. - Jeśli nie przestaniesz się przemęczać, sama zaczniesz mieć koszmary.

Sophie wyciągnęła ręce w stronę Kathy, jakby chciała odpędzić złe moce.

- Proszę, przyślij tutaj matkę Elspeth, jak tylko się zjawi.

Kathy zaśmiała się cicho.

- Przestraszyłam cię, co?

- Tak. Nie ma nic gorszego niż nocne koszmary. Wierz mi. Wiem coś o tym.

Powiedziawszy to, Sophie weszła do pokoju, w którym leżała Elspeth. Zdjęcie przewodów trwało tylko kilka minut. Dziewczynka miała ciemne włosy tak, jak jej matka. Jej oliwkowa, gładka skóra była teraz zaróżowiona od snu. Patrząc na nią, Sophie poczuła znajome ciepło.

- Elspeth - szepnęła miękko. - Wróć do nas, kochanie. Nie pożałujesz. Porozmawiamy, poczytam ci bajkę i poczekamy na mamę

Powinam wracać do pracy, pomyślała Kathy, spoglądając przez szybę na Elspeth i Sophie. Sophie wzięła na ręce dziecko, zawinęła je w kocyk i usiadła z małą w bujanym fotelu. Kiedy tak ją kołysała i opowiadała bajki, wyraz jej twarzy był czuły i pogodny.

Kathy słyszała, że inni lekarze chwalą profesjonalizm Sophie. Mówią też, że jest obdarzona ogromną intuicją. Miała doktoraty z medycyny i chemii i była jednym z najlepszych terapeutów snu w całym kraju. Ale Kathy najbardziej lubiła właśnie tę Sophie. Tę, która niemalże bez wysiłku, naturalnie potrafiła dotrzeć do pacjentów. Temu ciepłu nie oparł się nawet syn Kathy, kiedy poznał Sophie, a nie jest to typ sentymentalny ... Oczywiście nie bez znaczenia było to, że Sophie jest wysoką, zgrabną blondynką, trochę podobną do Kate Hudson. Don nie lubi typu kobiety matki. Chyba że na okładce jednej ze swoich płyt wystylizowałaby się na nią Madonna.

Ale w tej chwili Sophie nie wyglądała jak Madonna. Nie przypominała również posągu Dziewicy Marii. W tej chwili wyglądała na bardzo ludzką i pełną miłości.

I silną. Nie miała zresztą wyboru. Musiała być silna, żeby stawić czoło piekłu, które przechodziła w ciągu ostatnich kilku lat. Należy jej się odpoczynek.

Kathy chciałaby, żeby Sophie przyjęła tę pracę od Kennetta.

Zgarnęłaby okrągłą sumkę i zapomniała o odpowiedzialności.

Kiedy jednak znowu spojrzała na wyraz twarzy Sophie, pokręciła głową. Ona nigdy nie zapomni o odpowiedzialności, ani za to dziecko, ani za Michaela. Taka jest jej natura.

Może Sophie miała rację? Może rzeczywiście pieniądze nie są tak ważne, jak to, czego doświadcza dzięki temu dziecku.

- Cześć, Kathy - rzuciła Sophie, kierując się w stronę windy.

- Do zobaczenia!

- Wolałabym cię nie widywać. W tym miesiącu mam tylko nocne dyżury. Czy wiesz już, skąd biorą się te bezdechy?

- Zamieniam jej jeden z leków. W wieku Elspeth można właściwie działać tylko metodą prób i błędów. - Drzwi do windy otworzyły się i Sophie weszła do środka. - Dopóki z tego nie wyrośnie, musimy ją obserwować.

Kiedy drzwi się zamknęły, oparła się o ścianę windy i zamknęła oczy. Była wykończona. Mogłaby iść do domu i zapomnieć o Sanbornie.

Nie bądź tchórzem, przywołała się do porządku. Zdażysz jeszcze pójść do domu.

Kilka minut później otworzyła drzwi swojego samochodu.

Starła się nie patrzeć na tylne siedzenie toyoty, gdzie leżała strzelba. Wcześniej upewniła się, że jest nabita. Ostatecznie nie musiała tego robić, gdyż Jock zawsze sprawdzał broń i nie dopuściłby, żeby ruszyła się gdzieś z nienaładowaną strzelbą. Był przecież profesjonalistą.

Chciałaby móc powiedzieć to samo o sobie. Przez całą noc udawało jej się nie dopuszczać do siebie myśli o Sanbornie, ale teraz cała się trzęsła. Oparła głowę o kierownicę i na kilka chwil zastygła w tej pozycji. Trzeba dać sobie z tym spokój. To normalne, że tak właśnie się czuła. Odebranie komuś

życia zawsze jest coś potwornym. Nawet jeśli chodzi o taką gnidę jak Sanborne.

Wzięła głęboki wdech, podniosła głowę i przekreśliła kluczyk w stacyjce.

Sanborne przyjedzie do zakładu o siódmej rano. Musi być tam przed nim.

Uciekać.

Usłyszała za sobą krzyk.

Zeslizgnęła się ze zbocza, upadła, podniosła się i zsunęła nad

brzeg jeziora.

Nad głową świsnęła jej kula. "Zatrzymaj się!"

Uciekać. Trzeba biec.

Usłyszała jakieś dźwięki pochodzące z krzaków na szczycie wzgórza.

Ilu ich tam było?

Zanurkowała w krzakach. Samochód zaparkowała jakieś pół kilometra stąd. Przedzierając się przez zarośla może zdoła ich jakoś zgubić.

Gałęzie uderzały ją mocno po twarzy. Głosy ucichły.

Nie, nie ucichły, po prostu były daleko. Może poszli w drugą stronę?

Nareszcie dotarła do samochodu.

Usiadła za kierownicą, strzelbę rzuciła na tylne siedzenie i ruszyła.

Mocno przycisnęła pedał gazu.

Uciekać. Jeszcze wszystko może być dobrze. Może nie zdążyli jej się przyjrzeć.

Przecież nie byli nawet na tyle blisko, żeby wlepić jej kulkę...

Kiedy godzinę później Sophie weszła do domu, Michael krzyczał.

Cholera. Cholera. Cholera.

Rzuciła torbę i pognąła korytarzem.

- W porządku - powiedział Jock Gavin, kiedy Sophie wbiegła do pokoju. - Obudziłem go od razu, gdy tylko włączył się sensor. To nie trwało długo.

- Wystarczająco.

Michael siedział na łóżku, jego chuda klatka piersiowa falowała. Sophie podbiegła do chłopca i przytuliła go.

- Już w porządku, maleńki. Już po wszystkim - szeptała, delikatnie go kołysząc. - Już po wszystkim.

Michael przytulił się do matki mocniej, po czym, po chwili odepchnął ją od siebie.

- Wiem, że już po wszystkim - powiedział szorstko. Odechnął głęboko i dodał: - Przestań traktować mnie jak dziecko. Dziwnie się z tym czuję.

- Przepraszam. - Za każdym razem przysięgała sobie, że nie będzie reagowała tak emocjonalnie, ale nie zawsze jej się to udawało. Przeknęła ślinę. - Postaram się tego nie robić. - Uśmiechnęła się niepewnie. - Wyobraź sobie, że niektórzy uważają, że wciąż jesteś dzieckiem.

- Zrobię ci śniadanie, Michael - powiedział Jock, idąc w stronę drzwi. - Rusz się. Jest w pół do ósmej.

- Już. - Michael wstał z łóżka. - Muszę szykować się do szkoły. Nie chcę spóźnić się na autobus.

- Nie ma pośpiechu. Jeśli się spóźnisz, zawiozę cię.

- Nie. Jesteś zmęczona. Powinienem zdążyć. Jak tam to

małe dziecko?

- Jeden atak. Myślę, że to wina jednego z leków, które bierze. Spróbuję go czymś zastąpić.

- Super - powiedział Michael i zniknął za drzwiami łazienki. Teraz, prawdopodobnie, oparł się o umywalkę, starając się powstrzymać napad mdłości, które pojawiły się wraz ze strachem. To ona go tego nauczyła, chociaż ostatnio Michael nie chciał, żeby była świadkiem tej czynności. To naturalne. Nie było powodu, dla którego miałyby czuć się zraniona. Michael miał dziesięć lat i powoli dorastał. Cieszyła się, że i tak mieli ze sobą dobry kontakt.

- Mamo. - Michael wystawił głowę zza drzwi. Na jego twarzy pojawił się uśmiech. - Skłamałem. Tak naprawdę, nie czuję się z tym dziwnie. Po prostu pomyślałem, że powinienem tak się czuć.

Znowu zniknął.

Sophie poczuła, jak ogarnia ją matczyzna miłość. Poszła do kuchni.

- Fajny chłopak - powiedział Jock. - Ma jaja. Sophie skinęła głową.

- To prawda. Miał w nocy jeszcze inne ataki?

- Według twojej aparatury, nie. Tętno równomierne. Dopie-

ro nad ranem nagle skoczyło. - Jack spojrzał jej w twarz. - Powiedz Michaelowi, że zrobiłem mu tost i nalałem soku pomarańczowego. Idę zadzwonić. Muszę się zameldować MacDuffowi.

Uśmiechnęła się.

- Kiedy pierwszy raz tak powiedziałaś, myślałam, że MacDuff jest nie szkockim właścicielem ziemskim, a twoim kuratorem sądowym.

- W pewnym sensie nim jest - przyznał, mrugając powiekami. - Gdybym się od czasu do czasu nie meldował, gotów by mnie ścigać, żeby tylko upewnić się, że robię to, co powinienem. Zawarliśmy umowę.

- To, że wychowałeś się w wiosce na jego ziemi, nie znaczy, że musisz robić, co ci każe.

- On tak nie uważa. Zawsze czuł się odpowiedzialny za ludzi w naszej wiosce. Zawsze był też zaborczy. Uważa nas za swoją rodzinę. Czasami i ja sam wciąż tak myślę - dodał z uśmiechem. - Jest moim przyjacielem, a trudno powiedzieć przyjacielowi, żeby się od ciebie odczepił ... Masz na policzku zadrapanie.

Sophie z trudem powstrzymała się, żeby nie dotknąć twarzy.

Doprowadziła się do porządku na stacji benzynowej, ale nie mogła nijak zakryć tej małej rany. Powinna była wiedzieć, że Jock zauważył. On zauważał wszystko.

- To nic.

Przyjrzał jej się uważnie.

- Spodziewałem się, że będziesz już godzinę temu. Gdzie byłaś?

- I tak mógłbyś się ze mną skontaktować, gdyby coś stało się Michaelowi - odparła wymijająco.

- Gdzie byłaś? - powtórzył. - Byłaś tam. Pojechałaś do zakładu?

Nie mogła go okłamać. Skinęła nerwowo głową.

- Nie przyszedł. Przez ostatnie trzy tygodnie, w każdy wtorek, pojawiał się tam przed siódmą. Nie wiem, dlaczego dzisiaj nie przyszedł. - Zaciśnęła dłonie. - Niech to cholera, Jock, byłam gotowa. Byłam gotowa to zrobić.

- Nigdy nie będziesz gotowa.

- Nauczyłeś mnie. Jestem gotowa.

- Możesz go zabić, ale wciąż będziesz rozdarta.

- Zabijanie nie sprawia, że jest się rozdartym.

Jock skrzywił się.

- Trzeba było mnie widzieć kilka lat temu. Byłem kłębkim nerwów.
 - To jeszcze jeden powód, żeby zabić Sanborne'a - powiedziała Sophie. - Nie powinien się być urodzić.
 - Zgadzam się. Ale nie ty powinnaś odebrać mu życie.
 - Zamilkł, po czym dodał: - Masz Michaela. On cię potrzebuje.
 - Wiem. Umówiłam się z ojcem Michaela, że zaopiekuje się nim, jeśli zajdzie taka potrzeba. Kocha go, ale przez pierwszy rok nie umiał sobie z tym poradzić. Teraz stan Michaela jest o wiele lepszy.
 - On potrzebuje ciebie.
 - Zamknij się, Jock. Jak mogę ... - Potarła dłonią skroń i wyszeptwała: - To moja wina. Oni wciąż to robią. Jak mogę na to pozwalać?
 - MacDuff zna wielu wpływowych ludzi. Mogę poprosić go, żeby zadzwonił do kogoś z waszego rządu.
 - Przecież wiesz, że próbowałam i tego. Zadzwoniłam do wszystkich, których znałam. Głaskali mnie po głowie i mówili, że to histeria. Zrozumiała, ale tylko histeria. Ten Sanborne był poważnym biznesmenem, a ja nie miałam żadnego dowodu na to, że jest potworem. Tylko własne słowa. - Sykrzywała się. - Kiedy skierowali mnie do kolejnego zbiurokratyzowanego senatora, rzeczywiście wpadłam w histerię. Nie mogłam pojąć, że oni mi nie wierzą. Tak, mogłam. Łapówki. Po wszystkich szczeblach do góry. - Powoli potrząsnęła głową. - Twój MacDuff spotka się z tym samym. Tak musi być. - Zaciśnęła usta. - I mylisz się, mówiąc, że będę rozdarta. Nie pozwolę, żeby Sanborne dalej mnie krzywdził.
 - Pozwól, że to ja go zabiję. To lepsze wyjście.
- Pomyślała, że ton głosu Jocka był normalny, niemalże bezbarwny.
- Bo spłynie to po tobie, jak po kacze? Wiesz, że to nieprawda. Nie spłynie. Nie jesteś bezdusznym

człowiekiem.

- Czyżby? Wiesz, ilu ludzi zabiłem?

- Nie. I ty też tego nie wiesz. Dlatego mi pomagasz.

Nastawiła ekspres do kawy i oparła się o blat kuchenny.

- Jeden ze strażników mnie widział. Może nawet kilku. Nie jestem pewna.

Jock znieruchomiał.

- Niedobrze. Czy byłaś w zasięgu kamery? Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Poza tym miałam na sobie płaszcz i włosy schowane pod czapkę. Jestem pewna, że zobaczyli mnie dopiero, kiedy już odchodziłam, i tylko przez chwilę. To może się udać.

Jock potrząsnął głową.

- To się uda - zapewniła. - Ja się tym zajmę. Nie powiadomią policji. Sanborne nie chce zwracać na siebie uwagi.

- Ale teraz będą uważać.

Nie mogła zaprzeczyć.

- Będę ostrożna.

Jock pokręcił głową.

- Nie pozwolę na to - powiedział delikatnie. - Może MacDuff zaraził mnie poczuciem odpowiedzialności? Ja swojego osobistego demona zabiłem lata temu. Teraz wyznaczyłem ci odpowiedni kierunek, żeby dopaść Sanborne'a. Gdyby nie ja, być może nigdy byś go nie znalazła.

- Znalazłabym go. Po prostu zajęłoby mi to więcej czasu. Sanborne Pharmaceutical ma zakłady na całym świecie. Po prostu sprawdziłabym każdy z nich.

- Minęło osiemnaście miesięcy, zanim przejrzałaś na oczy.

- Nie mogłam w to uwierzyć. A może po prostu nie potrafiłam tego zaakceptować. To było zbyt wstrętne.

- Życie potrafi być wstrętne. Ludzie też.

Sophie przyglądała się Jockowi i pomyślała, że on taki nie był. Był prawdopodobnie najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek spotkała. Smukły, miał niewiele ponad dwadzieścia lat, jasne włosy i harmonijne rysy. Nie było w nim nic zniewieściałego, był absolutnie męski, mimo to ... był piękny. Nie potrafiłaby ująć tego inaczej.

- Dlaczego mi się tak przyglądasz?

- Lepiej, żebyś nie wiedział. Mogłabym urazić tę twoją męską, szkocką dumę. - Nalała sobie kawy. - Tej nocy miałam pacjentkę o imieniu Elspeth. To szkockie imię, prawda?

Jock kiwnął głową.

- Jej stan jest dobry?

- Tak myślę. Mam taką nadzieję. To słodka, mała dziewczynka.

- A ty jesteś dobrą kobietą - zamilkł na chwilę - która stara się uniknąć kłótni, zmieniając temat.

- Nie kłóć się. To jest moja walka. Wciągnęłam cię w to, bo potrzebowałam twojej pomocy, ale nie pozwolę, żebyś dla mnie ryzykował, tym bardziej żebyś przyjmował na siebie winę.

- Winę! Boże! Gdybyś zechciała się nad tym zastanowić, zrozumiałabyś, jakie głupstwa wygadujesz. Moja dusza jest pewnie czarniejsza od smoły.

Sophie potrząsnęła głową.

- Nie, Jock. - Przygryzła dolną wargę. Cholera, nie powinna tego mówić. - Jestem wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłeś, ale może nadszedł już czas, żebyś mnie opuścił.

- Nie zrobię tego. Porozmawiamy później. Miłego dnia, Sophie - rzucił, zmierzając w kierunku drzwi.
- Obiecałem Michaelowi, że po południu odbiorę go z meczu, więc jeśli jesteś zmęczona, nie musisz się o to martwić. Spróbuj teraz zasnąć. Mówiłaś, że o pierwszej masz umówione spotkanie.

- Jock.

Odwrócił się przez ramię i uśmiechnął.

- Już za późno. Nie pozbedziesz się mnie. Nie mogę pozwolić, żeby cię zabili. Czysty egoizm. Mam za mało przyjaciół na tym świecie. Może nie jestem już tak dobry w zawiązywaniu i utrzymywaniu przyjaźni. Nie mogę stracić i ciebie.

Drzwi zamknęły się za nim.

Cholera. Niepotrzebnie to powiedziała. Nie powinna mu była mówić, że ją widzieli. Dobrze wiedziała, że Jock potrafi być czasami nadopiekuńczy. Kiedyś nalegał, żeby pozwoliła mu, żeby to on zabił. Kiedy odmówiła, nauczył ją, jak zrobić to w możliwie najbezpieczniejszy sposób. Był przy niej przez te ostatnie miesiące, żeby chronić ją, gdyby zmieniła zdanie. Powinna była go odesłać zaraz po tym, jak nauczył ją najistotniejszych rzeczy. Powiedział, że robił to dla siebie, ale tak naprawdę to ona była egoistką. Była mu wdzięczna, że opiekował się Michael podczas jej nocnych sesji. Poza tym czuła się zupełnie osamotniona. Jock był dla niej pociechą. Niemniej teraz należy go zmusić do odejścia.

- Zostało pięć minut - oznajmił Michael, wkraczając do kuchni. Wypił duszkiem sok pomarańczowy.
- Nie mam czasu na śniadanie. - Sięgnął po plecak i skierował się w stronę drzwi. Przechodząc koło niej, uszczypnął ją lekko w policzek. - Będę dopiero około szóstej. Mam mecz.

- Wiem. Jock mi mówił. - Ucisnęła go. - Do zobaczenia na meczu.

Twarz małego rozjaśniła się.

- Będziesz?

- Spóźnię się, ale będę.

Uśmiechnął się.

- Świetnie.

Kiedy był już przy drzwiach, ponownie się odwrócił.

- Przestań się zamartwiać, mamó. Nic mi nie jest. Dajemy sobie radę. W tym tygodniu miałem tylko trzy ataki.

Trzy razy, kiedy jego serce waliło z trzykrotną siłą, a on budził się, krzycząc. Trzy razy, kiedy mógł umrzeć, gdyby nie monitor. Mimo to on starał się ją pocieszyć. Na jej twarzy pojawił się wymuszony uśmiech.

- Wiem. Masz rację. Jesteśmy na dobrej drodze. Japo prostu jestem typem, który się wiecznie martwi.

- Pchnęła go w stronę drzwi. - Weź batonika z proteinami, skoro nie masz czasu na śniadanie.

Chwycił batonik i zniknął.

Miała nadzieję, że nie zapomni go zjeść. Był teraz za chudy.

Ataki sprawiały, że pojawiły się problemy z nadwagą. Upierał się przy piłce nożnej i bieganiu. Był ciągle zajęty, a jej zależało na tym, żeby prowadził w miarę normalne życie. Niewątpliwie uprawianie sportu pomogło mu pozbyć się zbędnych kilogramów.

Usłyszała dzwonek komórki.

Zesztywniała, kiedy zobaczyła, kto dzwoni. Dave Edmunds.

Boże, nie miała teraz ochoty na rozmowę z byłym mężem.

- Cześć, Dave - odezwała się jednak.

- Chciałem złapać cię, zanim pójdziesz do pracy. - Na chwilę w słuchawce zapanował cisza. - Jean i ja lecimy w sobotę wieczorem do Detroit, więc będę musiał przyprowadzić Michaela wcześniej, dobrze?

- Nie. Ale chyba nie ma innego wyjścia. - Ścisnęła mocniej telefon. - Chryste, to wasz pierwszy wspólny weekend od pół roku. Myślisz, że nie domyśli się, dlaczego nie chcesz, żeby u ciebie nocował? Nie jest głupi.

- Oczywiście. - Urwał. - Sophie, ja nie radzę sobie z tymi kablami - powiedział po chwili. - Boję się, że coś mogę zepsuć. Z tobą jest bezpieczniejszy.

- To prawda. Ale pokazałam ci, jak się podłącza monitor. To proste. Palec wskazujący, nadgarstek i zapasowa opaska na klatce piersiowej. Michael teraz robi to sam. Ty musisz tylko sprawdzić, czy monitor poprawnie działa. Jesteś jego ojcem, a ja nie będę go oszukiwała. Na miłość boską, on nie jest zadżumiony. To jest jak rana.

- Wiem o tym - powiedział Dave. - Powoli się do tego przyzwyczajam. Po prostu boję się jak cholera.

- Musisz nad tym przejść do porządku dziennego. On cię potrzebuje. - Rozłączyła się. Próbowała szybkim ruchem poćwiek zatamować łzy. Wydawało jej się, że Dave w końcu się z tym pogodził, chociaż podejrzewała, że coś było nie tak. Wizja bezpiecznego rajku, którą zaplanowała dla swojego syna i jego ojca, właśnie się rozpadała. Będzie musiała wymyślić coś innego. Ich małżeństwo nie było idealne, mimo to Sophie myślała, że dadzą sobie radę z chorobą Michaela. Wtedy przyśzedł ten dzień. Potem okazało się, że ich związek nie był nawet na tyle silny, żeby przetrwać pół roku, kiedy była w szpitalu.

Cholera, przecież on musi zająć się Michaeliem, kiedy ten będzie go potrzebował.

Uspokój się. Teraz i tak nic nie można zrobić. Znajdź sposób, żeby Michael był bezpieczny. Iść do łóżka. Położyć się. Potem wrócić do szpitala, gdzie będzie mogła skupić się na pracy.

Pomagać ludziom, zamiast planować, jak ich zabić.

- Proszę cię, żebyś zwolnił mnie z danego ci słowa - zaczął Jock Gavin, kiedy MacDuff podniósł słuchawkę. - Może się okazać, że będę musiał zabić człowieka. - Przez chwilę słuchał przekleństw miotanych po drugiej stronie słuchawki. Kiedy zapadła cisza, powiedział: - To bardzo zły człowiek. Zasluguje na śmierć.

- Nie z twojej ręki. Masz to już za sobą.

Jock pomyślał, że to nie jest zamknięta przeszłość. MacDuff tak bardzo chciał, żeby to była prawda, że zaczął w to wierzyć. - Sophie zabije Sanborne'a, jeśli ja tego nie zrobię. Nie mogę jej na to pozwolić. Dość już wycierpiała. Nawet jeśli jej nie złapią, pozostawi to trwałe ślady w jej psychice.

- Pewnie się wycofa. Mówiłeś przecież, że nie ma instynktu zabójcy.

- Teraz już go ma. Nauczyłem ją. Poza tym czerpie siłę z nienawiści i jest przekonana, że w tym wypadku cel uświęca środki. To wszystko razem sprawia, że jest gotowa zabić.

- Więc pozwól jej na to. I wracaj.

- Nie mogę tego zrobić. Muszę jej pomóc.

Przez chwilę MacDuff milczał.

- Dlaczego? - spytał wreszcie. - Czujesz coś do niej? Jock zaśmiał się.

- Nie martw się. Nie chodzi o seks. I Bóg mi świadkiem, że jej nie kocham. No może kocham, bo przecież przyjaźń to rodzaj miłości. Lubię ją chłopca. Czuję więź, bo wiem, ile wycierpiała. - To wystarczy, żebym mógł się zacząć martwić, że wróciłeś

do starych zwyczajów. Chcę, żebyś wrócił do MacDuff's Run. - Nie. Zwolnij mnie z danego ci słowa - powtórzył Jock.

- Niech mnie diabli, jeśli to zrobię. Pozwoliłem ci znaleźć

swoją własną drogę. Była to dla mnie bardzo trudna decyzja. Prosiłem cię jedynie, żebyś pozostawał ze mną w kontakcie i żebyś skończył z zabijaniem.

- I skończyłem.

- Do teraz.

- Jeszcze nic się nie stało.

- Jock, przestań ... - MacDuff urwał w połowie zdania i wziął głęboki oddech. - Niech pomyślę. - Na dłuższą chwilę zapadła cisza. - Co sprawi, żebyś wrócił do MacDuff's Run?

- Nie chcę, żeby zabiła Sanborne'a.

- Czy możemy wmieszać w to FBI albo agencję rządową?

- Mówiła, że próbowała, ale bez skutku. Uważa, że chodzi o łapówki.

- Możliwe. Sanborne ma prawie tyle pieniędzy, co Bill Gates, a dla wielu polityków to nie lada gratka. A media?

- Sophie była przez trzy miesiące w szpitalu psychiatrycznym. Po zabójstwach miała załamanie nerwowe. To jeden z powodów, dla których nikt nie chciał jej słuchać.

- Cholera.

- Zwolnij mnie z danego ci słowa - powtórzył raz jeszcze Jock.

- Możesz o tym zapomnieć! - wybuchnął ostro MacDuff.

- Nie chcesz, żeby zabiła Sanborne'a? Więc znajdziemy kogoś, kto zrobi to za nią.

- Jeśli nie chciałem, żebym zrobił to ja, tym bardziej nie pozwoli komuś innemu. Mówi, że czuje się odpowiedzialna.

- Nie musi nic wiedzieć. Po prostu pozbędziemy się łajdaka. Jock zaśmiał się.

- Tyle zostało z zapobiegania zabójstwu. Zaczynasz mówić jak ja.

- Nie widzę nic złego w nadeptaniu na karalucha. Nie chcę tylko, żebyś ty to zrobił. A może Royd?

Jock zastanowił się chwilę.

- Royd?

- Mówiłeś, że ma robotę. Masz wątpliwości, że Royd przejmie to zadanie, jeśli nadarzy się taka okazja?

- Nie mam najmniejszych wątpliwości. On jest nie do za-trzymania. Boję się tylko o Sophie. Tyle będziemy z tego mieli, że odnajdzie go, tak jak odnalazła mnie.

- Zadzwoń do Royda i wracaj do domu.

- Nie.

Cisza.

- Proszę.

- Nie chcę ... - Jock westchnął. Dał słowo. Zawdzięcza Mac-Duffowi tyle, że nie zdołałby się wypłacić, nawet gdyby żył tysiąc lat. - Pomyślę o tym. Trochę czasu zajmie mi zlokalizowanie Royda. Z tego, co wiem, może być już martwy. Kiedy ostatni raz miałem o nim wieści, był gdzieś w Kolumbii. Postaram się go znaleźć.

- Daj znać, jeśli będziesz potrzebował pomocy. Ściągnij go i wracaj. Spotkamy się w Aberdeen.

Rozłączył się.

Jock powoli odłożył słuchawkę. Spodziewał się takiego obro-tu sprawy, mimo to był zawiedziony. Chciał położyć kres burzy w życiu Sophie w najszybszy i najprostszy sposób - chciał sam zabić Sanborne'a.

Był jeszcze Royd.

Tak, jak powiedział MacDuffowi, Royd był człowiekiem nie do zatrzymania, pod każdym względem. Kiedy rok temu Royd skontaktował się z nim, MacDuff pomógł mu zbadać przeszłość Royda. Wyglądało na to, że jego życie przepełniała pasja, a zarazem zgorzknienie, ale Jock zbyt długo żył wśród kłamstw, żeby dać się ponownie wykorzystać. Royd był sprytny, bezwzględny i świetnie radził sobie z trudnymi zadaniami, jeśli wręcz nie z niemożliwymi.

Pasja i zgorzkniałość w jego przypadku były uzasadnione.

Mogłoby się zdarzyć, że nie skupi całej swojej uwagi na Sanbornie i REM-4, kiedy dowie się, gdzie znajduje się zakład.

Ale do diabła z tym! Jock był zły, że nie będzie go na miejscu, żeby śledzić kroki Royda. Lubił Sophie Dunston i Michaela, a niewiele było w jego życiu takich delikatnych uczuć. Musiał się od nowa nauczyć bliskości z ludźmi. Teraz powinien dbać o tę umiejętność

Na ostatnią myśl uśmiechnął się do siebie. To dziwne, że towarzyszyło mu wspomnienie delikatności, kiedy planował popełnienie najgorszej ze zbrodni.

Będzie musiał ją popełnić, jeśli Royd nie będzie zainteresowany.

Ale to jest prawie niemożliwe.

Rozdział 2

- Czy to mogła być ona? - zapytał Robert Sanborne, podnosząc głowę nad raportu, który leżał przed nim na biurku.

- Sophie Dunston? - Gerald Kenneth wzruszył ramionami.

- Przypuszczam, że to mogła być ona. Masz przed sobą raport

ochroniarza. Widział intruza tylko przez ułamek sekundy. Płeć nieustalona. Wzrost średni, sylwetka szczupła, brązowa kurtka, tweedowa czapka i strzelba. Myślę, że ktokolwiek to był, zostawił ślady. Mam uruchomić odpowiednie kontakty, żeby policja przysłała zespół, który to sprawdzi?

- Zadajesz idiotyczne pytania. Nie możemy ściągnąć policji do zakładu ani nawet w jego pobliże. Wyślij tam kilku naszych ludzi. Niech się trochę rozejrzą.

Gerald starał się ukryć pogardę, którą Sanborne mógłby wyczuć w jego głosie. Im częściej przebywał z Sanborne'em, tym bardziej ten go irytował. Syn dziwki z kompleksem Boga, dyplomata był tylko wobec wybranych. Niech mu się wydaje, że Gerald jest jego unizonym sługą.

- Czy naprawdę myślisz, że ona chciała cię zastrzelić?

- Nie mam wątpliwości. - Sanborne spojrział na raport.

- Posunie się do tego, jeśli nie będzie mogła mnie dopaść w inny sposób. Spodziewałem się, że wykona jakiś ruch, gdy tylko dowiedziałem się, że senator Tipton ją zignorował. Ta kobieta jest zdesperowana.

- Więc co masz zamiar zrobić? - zapytał Gerald i dodał szybko: - Nie chcę być zamieszany w żadne akty przemocy. Zgodziłem się jedynie przyprowadzić ją do ciebie, jeśli ona zechce spotkać się ze mną.

- Cóż, Geraldzie, to Sophie Dunston dopuszcza się aktów przemocy - powiedział Sanborne przesłQdzonym tonem. - Wszystkiego można się spodziewać po kobiecie, która ma za sobą

załamanie nerwowe. Powinniśmy jej współczuć. Jej życie jest tak ciężkie, założę się, że prześladowają ją myśli samobójcze.

Gerald spojrział na niego uważnie.

- Myśli samobójcze?

- Jestem pewien, że jej koledzy z pracy potwierdzą, że żyła w ciągłym stresie. To biedne dziecko, jej syn.

- O czym ty mówisz?

- Mówię, że już czas, żeby pozbyć się tej dziwki. Do tej pory się wstrzymywałem, bo nie chciałem wzbudzać podejrzeń. Za dużo szumu zrobiła w kręgach politycznych i FBI. Zresztą liczyłem, że uda mi się wydobyć z niej potrzebne mi informacje. - Wskazał na raport. - Ale to zaczyna mnie niepokoić. Będę musiał zmienić plany. Jeśli ci zidiocieli strażnicy nie będą lepiej wykonywać swojej pracy, tej kobiecie może się kiedyś udać. Nie po to pracuję ciężko nad tym projektem, żeby Sophie Dunston teraz mni~ sprzątnęła.

Gerald uniósł brwi.

- Rzeczywiście to byłaby niejaka niedogodność.

- Czy to sarkazm, Geraldzie?

- Oczywiście, że nie - zapewnił szybko Gerald. - Po prostu nie wiem, jak ...

- To oczywiste, że nie wiesz. Nie zgłębiasz się w to. Chcesz zwyczajnie zarobić bez brudzenia sobie rąk - powiedział Sanborne. - Jestem pewien, że odwrócisz się, kiedy Caprio będzie odwalał brudną robotę.

Caprio. Odkąd pracował dla Sanborne'a, Gerald spotkał go tylko raz, to jednak wystarczyło, żeby wzdrygał się na wspomnienie jego nazwiska. Przypuszczał, że większość ludzi tak reagowała.

- Może.

- Caprio lubi taką robotę - powiedział Sanborne i dodał:

- Zresztą ty też nie jesteś czysty jak łąza. Zdefraudowałeś prawie pół miliona dolarów firmy, w której pracowałeś. Gdybym nie dał ci pieniędzy, siedziałbyś już w więzieniu.

- Jakoś znalazłbym te pieniądze.

- Pod choinką?

- Mam swoje kontakty. - Gerald oblizał wargi. - Nie bałem się, że mnie złapią. Po prostu zaproponowałeś mi układ, na który nie mogłem się nie zgodzić.

- Moja propozycja jest wciąż aktualna. Mogę ci ją nawet bardziej uatrakcyjnić, jeśli dowiedziesz, czego jesteś wart, przyprowadzając tu Sophie Dunston w przyszłym tygodniu. Tymczasem ja wykonam kilka ruchów. - Wziął telefon i wybrał numer. - Lawrence, robi się gorąco. Będziemy musieli działać szybko. - Na chwilę umilkł. - Powiedz Caprio, że muszę się z nim zobaczyć.

Łańcuchy wrzynają się w jego ramiona. Musi się ruszać. Musi się uwolnić.

O Boże!

Krew!

Royd, trzęsąc się cały, usiadł na łóżku z otwartymi oczami.

Serce waliło mu jak młotem, był cały spocony.

Potrząsnął głową i spuścił stopy na podłogę. Kolejny diabelski koszmar. Zapomnij. To nie wskrzesi Todda.

W stał, wziął menażkę i wyszedł z namiotu. Wylał sobie wodę na twarz i wziął głęboki oddech. Już prawie świtało, czas odnaleźć Fredericksa. Jeśli buntownicy nie zdążyli jeszcze dla przykładu odstrzelić mu głowy.

Miał nadzieję, że tak się nie stało. Soldono, jego kontakt z CIA, twierdził, że Fredericks to pożyteczny facet dla buntowników. Ale to jest w tym świecie głównie warte. Tutaj chodzi o władzę.

Usłyszał dzwonek swojej komórki. Może to Soldono z informacją, że akcja ratunkowa została odwołana?

- Royd.

- Mówi Nate Kelly. Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie, ale właśnie wróciłem z zakładu. Myślę, że coś mam. Możesz chwilę rozmawiać?

Royd zeszywniał.

- Mów, ale szybko. Mam tylko kilka minut.

- A więc dobrze. Zlokalizowałem pierwsze, eksperymentalne zapisy REM-4. Nie ma formuł. Muszą je trzymać gdzie indziej. Mam jednak trzy nazwiska. Twój ulubieniec - Sanborne, generał Boch i jeszcze jedna osoba.

- Kto?

- Doktor Sophie Dunston.

- Kobieta? Do diabła, co to za jedna?

- Jeszcze nie wiem. Nie miałem czasu tego sprawdzić. Chciałem zadzwonić do ciebie od razu. W teczce jest odwołanie do jej starej teczki. Miałem ją przejrzeć, ale musiałem wiać.

- To oznacza, że wciąż jest zaangażowana.

- Na to wygląda.

- Chcę wiedzieć o niej wszystko.

- Postaram się. Chociaż w przyszłym tygodniu chcę przenieść całość w inne miejsce. Nie wiem, jak długo jeszcze będę miał dostęp do archiwów.

- Do diabła, w przyszłym tygodniu?

- Tak mówią.

- Muszę mieć te informacje. Bez akt badań REM-4 nie mogę tknąć ani Bocha, ani Sanbome'a. Jestem pewien, że to umowa wiązana. Ta kobieta może być dla nas wskazówką, muszę ją namierzyć.

- Kiedy już ją namierzysz, co zamierzasz zrobić?

- Musi mi wyśpiewać wszystko, co wie.

- A potem?

- A jak uważasz? Myślisz, że może liczyć na jakieś szczególne traktowanie tylko dlatego, że jest kobietą?

W słuchawce przez chwilę panowała cisza.

- Myślę, że nie.

- Przecież nie jesteś głupi. Zdobędziesz informacje, zanim zniszczą jej akta?

- Jeśli będę działał szybko i mnie nie przyłapią.

- A więc zrób to. - Royd mówił powoli i dobitnie: - Poświęciłem lata na odszukanie REM-4, nie mogę pozwolić, żeby teraz coś mi przeszkodziło. Chcę wiedzieć wszystko o Sophie Dunston. Jest mi potrzebna i dopadnę ją.

- Wracam jutro wieczorem. Spotkajmy się na lotnisku w Waszyngtonie, przekażę ci wszystko, czego zdołam się do-wiedzieć.

- Jutro nie mogę. - Przemyślał to. Kusilo go, żeby spar-taczyć tę robotę i oddać z powrotem CIA, ale było już za późno. Zanim ci ludzie się wypowiedzą, Fredericks może już nie żyć. - Daj mi tydzień.

- Nie zagwarantuję ci, że za tydzień ona wciąż będzie mogła

nam pomóc. Jeśli Boch i Sanborne się przenoszą, możliwe, że ona się z nimi spotka.

Royd zaklął pod nosem.

- Dwa dni. Potrzebne mi są przynajmniej dwa dni. Znajdź ją i zadzwoń, jeśli się okaże, że ona też się zmywa. Zatrzymaj ją do mojego powrotu.

- Sugerujesz, że mam ją porwać?

- Jeśli to będzie konieczne, to tak.

- Pomyślę. Masz dwa dni. Zadzwoń, jak będziesz w drodze do Waszyngtonu.

Rozłączył się. REM-4.

Boże. Od trzech lat depta im po piętach, ale jeszcze nigdy nie był tak blisko. Właśnie teraz, kiedy miał na głowie Fredericksa.

Dwa dni.

Zaczął się pośpiesznie ubierać. Musi znaleźć Fredericksa i zwiewać stąd. Żadnych błędów. Żadnych gierek. Dzisiaj uwolni Fredericksa z rąk buntowników, nawet jeśli drogę do Bogoty przez dżunglę będzie musiał utorować sobie napalmem.

Może nawet będzie w Waszyngtonie wcześniej niż za dwa dni.

Kelly, nie pozwól jej się wymknąć.

Krzyk Michaela przepełnił cały dom. W tej samej chwili włączył się monitor przy łóżku Sophie.

Zerwała się na równe nogi i pobiegła do sypialni syna. Zanim znalazła się przy jego łóżku, krzyk rozległ się raz jeszcze.

- Już dobrze. - Usiadła na łóżku i potrząsnęła chłopcem.

Kiedy Michael otworzył szeroko oczy, Sophie przytuliła go mocno. -

Już dobrze, jesteś bezpieczny. - Wcale nie było dobrze. Nigdy nie było dobrze. Jego serce bilo tak mocno, jakby chciało się wydostać z tej małej klatki piersiowej. Ciało przeżywały mu malaryczne dreszcze. - Już po wszystkim.

- Mamo?

- Tak? - Przytuliła go do siebie mocniej. - W porządku?

Przez chwilę milczał, a potem odezwał się niepewnym głosem:

- Jasne. Przepraszam, że musiaś ... Powinienem przecież być silny.

- Jesteś silny. Znam dorosłych mężczyzn, którzy mają takie ataki i radzą sobie dużo gorzej niż ty. - Odgarnęła mu włosy z twarzy. Po policzkach płynęły mu łzy, ale ich nie ocierała. Nauczyła się je ignorować, żeby go nie zawstydzić. Nie chciała urazić jego dumy, i tak był tak bardzo od niej zależny. - Zawsze ci powtarzam, że tu nie chodzi o słabość. To po prostu choroba, którą można wyleczyć. Wiem, jaki to sprawia ból, i jestem z ciebie dumna. - Zamilkła. - Jest tylko jedna rzecz, która sprawiłaby, że mogłabym być jeszcze bardziej dumna - dodała po chwili. - Gdybyś chciał mi opowiedzieć o tych snach ...

Chłopiec odwrócił wzrok.

- Nic nie pamiętam.

Oboje wiedzieli, że kłamię. Rzeczywiście, często ofiary nocnych koszmarów nie pamiętały, co takiego im się śniło, ale z zachowania Michaela wynikało, że on wiedział.

- To by ci pomogło, Michael.

Chłopiec zaprzeczył ruchem głowy.

- Dobrze, może innym razem. - Wstała. - Masz ochotę na filiżankę gorącej czekolady?

- Jest w pół do piątej. Masz dzisiaj dużo pracy.

- Jest w pół do piątej. Masz dzisiaj dużo pracy.

- Już się wyspałam - zapewniła i ruszyła w stronę drzwi.

- Obmyj twarz, a ja przygotuję czekoladę. - Michael był blady

jak ściana. Atak był ciężki. Sophie miała nadzieję, że chłopiec nie zwymiotuje. - W kuchni za dziesięć minut, dobrze?

- Dobrze.

Kiedy pięć minut później usiadł przy stole, na policzki zaczął wracać mu kolor.

- Wczoraj po południu dzwonił tata.

- To miłe z jego strony. - Nalała czekoladę do dwóch filiżanek i do każdej wrzuciła kilka słodkich pianek. - Co u niego słychać?

- Chyba wszystko dobrze. - Michael podniósł do ust filiżankę. - Wracam do domu w sobotę wieczorem. Tata z Jean wyjeżdżają. Powiedziałem mu, że się nie gniewam. I tak wolę być tutaj z tobą.

- Cieszę się. Brakuje mi ciebie. - Usiadła z filiżanką w dłoniach. - Ale dlaczego? Chyba lubisz Jean, prawda?

- Jasne. Jest w porządku. Ale myślę, że ona i tata wolą być sami. Tak się przecież zachowują nowożeńcy.

- Czasami. Chociaż oni pobrali się prawie pół roku temu i jestem pewna, że w ich życiu jest dla ciebie miejsce.

- Może. - Pociągnął łyk czekolady i utkwiał wzrok w filiżance. - Mamo, czy to moja wina?

- Wina?

- No wiesz, że ty i tata ...

Wiedziała, że kiedyś zada to pytanie. Ulżyło jej, że w końcu to się stało.

- Że się rozwiedliśmy? Oczywiście, że nie. Po prostu tata i ja jesteśmy zupełnie inni. Pobraliśmy się na studiach, byliśmy prawie dziećmi. Kiedy dorośliśmy, zmieniliśmy się. To się przydarza wielu parom.

- Ale często się o mnie kłóciliście. Słyszałem.

- To prawda, ale my się kłóciliśmy o wiele rzeczy. Tu nie chodziło o ciebie.

- Słowo?

Wzięła jego rękę w swoje.

- Słowo.

- I nie gniewasz się, że lubię Jean?

- Cieszę się, że ją lubisz. Ona uszczęśliwia twojego ojca. To ważne. - Wytarła mu serwetką piankę, którą miał na ustach. - Jest dla ciebie miła. To może nawet jest jeszcze ważniejsze.

Chłopiec chwilę milczał.

- Tata mówi, że Jean boi się trochę tych moich koszmarów. Myślę, że to dlatego nie chcą, żebym u nich nocował.

Ten drań zrzucił winę na Jean. Sophie usiłowała się uśmiechnąć.

- Przywyknie. Chociaż może nawet nie będzie musiała. Przecież już nie każdej nocy je masz. Jest coraz lepiej.

Chłopiec przytaknął i po chwili powiedział:

- Tata pytał mnie o Jocka.

Sophie popijała swoją czekoladę.

- Tak? Powiedziałeś mu o Jocku?

- Pewnie. Powiedziałem mu, kiedy ostatnio byliśmy w kinie.

- Co tata chciał wiedzieć?

Mały uśmiechnął się.

- Spytał, dlaczego jest u nas przez cały czas. Chyba myślał, że jest coś między tobą a Jockiem.

- Co mu powiedziałeś?

- Prawdę. Że Jock jest twoim kuzynem, który przyjechał tu szukać pracy.

Taką prawdę znał Michael. Kiedy Jock się pojawił wymyśliła naprędce tę historyjkę.

- Dobrze się złożyło - powiedziała. - Bardzo nam przecież pomógł. Lubisz go, prawda?

Przytaknął, ale uśmiech zniknął z jego twarzy.

- To trochę kłopotliwe, kiedy podczas moich ataków są w pobliżu obcy ludzie, ale z Jockiem jest inaczej. To tak, jakby on ... wiedział.

Jock naprawdę wiedział. Znał te męczarnie lepiej niż ktokolwiek inny.

- Może on wie. To wrażliwy facet. - Wstała. - Skończyłeś? Umyję twoją filiżankę.

- Ja to zrobię. - Podniósł się, wziął obie filiżanki i zaniósł je do zlewu. - Ty zrobiłaś czekoladę.

- Jasne. Dzięki za wszystko. Możesz już wrócić do łóżka?

- Chyba tak.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Musisz być pewien. Jeśli nie jesteś, posiedzimy jeszcze chwilę i porozmawiamy. Możemy obejrzeć film na DVD.

- Jestem pewien. - Uśmiechnął się. - Ty też się połóż. Sam się podłączę do monitora. Nie mogę się doczekać, kiedy to urządzenie nie będzie mi już potrzebne. Czuję się jak bohater filmu science-fiction.

Sophie zeszywniała.

- Wiesz, że to konieczne. Na razie bez tego nie możesz się kłaść.

Skinął głową i ruszył w stronę drzwi.

- Wiem. To tylko takie gadanie. Sam nie chcę jeszcze kłaść się bez tego. Dobranoc, mamó.

- Dobranoc.

Odprowadziła go wzrokiem. Był taki mały i bezbronny w tej piżamie.

Był bezbronny.

Bezbronny wobec zewsząd otaczającego go bólu, strachu, a nawet śmierci.

To przerażające.

Mimo to radzi sobie jakoś. Powiedziała mu, że jest z niego dumna, ale to nie oddawało jej odczuć. On walczył z odwagą, która ją wręcz zadziwiała.

Chciałaby, żeby dzisiaj już mógł spać spokojnie.

- Wyglądasz na zmęczonego - powiedział Kelly do Royda, który wyszedł właśnie ze strefy celnej na lotnisku w Waszyngtonie. - Za bardzo cię ponaglałem?

- Sam się ponaglałem - odparł Royd szorstko. - I tak jestem cholernie zmęczony. Przez ostatnie dwa dni spałem może trzy godziny.

Kelly pomyślał, że było to po nim widzieć. Szeroka twarz Royda, z wysoko osadzonymi kośćmi policzkowymi zawsze wyrażała napięcie i czujność, ale jego ciemne oczy zdradzały nerwowość i niepokój. Ustajego zawsze były spięte. W znoszonych dzinsach i koszulce koloru khaki, wyglądał jak drwal.

- Okazało się, że nie działają tak szybko, jak się spodziewaliśmy - poinformował Kelly - Nie musiałeś się tak śpieszyć. - Nie mogłem czekać. To doprowadzało mnie do szału

- powiedział Royd i zapytał: - Czego się o niej dowiedziałeś?

- Niewiele. Wszyscy w zakładzie z powodu przeprowadzki pracują teraz na 24-godzinne zmiany, dlatego mogłem dostać się tylko do obecnych akt. Jest terapeutą snu i pracuje w szpitalu uniwersytetu Fentney.

- Terapeuta snu. No tak, to by się zgadzało. Gdzie mieszka?

- Ma dom na przedmieściach Baltimore, niedaleko szpitala.

- I niedaleko zakładu?

- Tak. A więc chcesz ją odnaleźć?

- Mówiłem ci, że tak. Dowiedziałeś się jeszcze czegoś?

- Tylko tyle, że jest rozwiedziona i ma dziesięcioletniego syna.

- Mieszkają sami?

Kelly wzruszył ramionami.

- Mówiłem ci, że udało mi się zdobyć tylko szczątkowe informacje. Może byłoby lepiej, gdybyś poczekał, jak dotrę do ...

- Mam ryzykować, że pryśnie? - burknął Royd i pokręcił głową. - Muszę działać. Masz jej zdjęcie?

- Stare, z akt pracowników. - Kelly wyjął z kieszeni zdjęcie.

- Ładna.

Royd rzucił okiem na zdjęcie.

- Niezła. Sypia z Sanborne'em?

- Mówiłem ci, że nie miałem czasu, żeby ...

- Wiem, wiem. Tak tylko pomyślałem. Zwróć na to uwagę przy dalszych poszukiwaniach.

Kelly zatrzymał się przy samochodzie, kiedy otwierał drzwi, Royd jeszcze raz spojrzął na fotografię.

- Pewnie nie. Wygląda na kobietę, którą trudno zdominować, a Sanborne lubi być górą. Pięć lat temu zabił w Tokio InJstytutkę.

- Pięknie. Jesteś pewien?

- Tak. Jest niewiele rzeczy, których nie wiem o tym człowieku. Tak czy owak sprawdź to. - Royd wsiadł do samochodu. Wracasz do zakładu?

Kelly skinął głową.

- Za to mi płacisz. Straszne tam teraz zamieszanie, może mi się uda czegoś dowiedzieć.

- Możesz też oberwać.

- Jestem wzruszony twoją troską.

Royd chwilę milczał.

- Naprawdę się martwię. Nie mam zamiaru pozwolić, żeby przez Sanborne'a zginęła choćby jeszcze jedna osoba.

Kelly uśmiechnął się.

- Poza tym lubisz mnie.

- Czasami.

- A to już ustępstwo z twojej strony - dodał Kelly. - Po tym, jak od roku balansuję dla ciebie na krawędzi. Nie musisz się martwić. Będę ostrożny. To może być moja ostatnia szansa na zdobycie formuły. Czy na pewno nie istnieją kopie?

- Sanborne by na to nie pozwolił. Wartość REM-4 polega na wyłączności. Sanborne ma bzika na punkcie zachowania tajemnicy i sterowania procesem. Może uda nam się je zdobyć dzięki tej Dunston. - Royd zagryzł wargi. - Dzisiaj będę już wiedział.

- Jedziesz prosto do niej?

- Nie mogę pozwolić, żeby mi się wymknęła.

- Mógłbyś przynajmniej poczekać, aż dowiem się czegoś więcej.

- Za długo już czekałem. Powiedziałeś, że odegrała kluczową rolę w badaniach wstępnych. Może wie, gdzie w zakładzie trzymają te dokumenty. Tylko tyle muszę wiedzieć.

- Chcesz, żebym pojechał z tobą?

- Ty się zajmij swoją robotą, a ja zajmę się swoją. Zrobię to, co potrafię najlepiej. - Wzruszył ramionami. - Dzięki Sanborne'owi.

- Może i Sophie Dunston.

- Tak, jak powiedziałem, ona pasuje do tej układanki. Znajdę cię, kiedy będę już wiedział, gdzie są akta. - Jeśli uda ci się zmusić ją do mówienia.

Royd posłał mu tylko chłodne spojrzenie. Kelly w duchu skarcił się za to, co powiedział. W końcu Royd był człowiekiem, któremu nie brakowało determinacji. Nie było wątpliwości, że zrobi, co będzie konieczne.

Niech Bóg ma w opiece Sophie Dunston.

Rozdział 3

-W ciągu ostatnich dwóch dni rozmawiałem z Mac Duffem dwukrotnie - powiedział Jock, kiedy Sophie podniosła słuchawkę. - Chce, żebym wracał do domu.

Sophie starała się ukryć zawód. Z drugiej strony, przecież tego właśnie chciała.

- A więc jedź. Nie jesteś mi potrzebny. Prawdę mówiąc, kiedy nie pojawiałeś się przez ostatnie kilka dni, myślałam, że już wyjechałeś.

- Cały czas starasz się mnie pozbyć. Przestań. Powiedziałem MacDuffowi, że przyjadę, jak sprawy będą załatwione. A to jeszcze się nie stało. Jesteś bardzo uparta. Jak Michael?

- Wczoraj w nocy miał atak, ale szybko go obudziłam.

- Cholera. Jego stan się nie poprawia. Powiedz mu, że przyjadę jutro. Możemy pójść na ten film science-fiction, który chciał zobaczyć, albo, jeśli będzie chciał, do Chuck E. Cheese' s.

- Ja go zabiorę, Jock. On nie potrzebuje starszego brata. Jedź do domu. - Zamilkła na chwilę. - Jego ojciec o ciebie pytał.

- To dobrze. Odrobina konkurencji dobrze mu robi. Nie masz smykałki do wybierania sobie mężów. Dziwię się, że Michael wyrósł na tak fajnego chłopaka.

- Dave ma wiele dobrych cech.

- Może, ale zauważyłem, że więcej uwagi poświęca zarabianiu kasy niż Michaelowi.

- To prawda, że pieniądze są dla Dave'a ważne, ale Michael też.

- Nie będziemy się o to kłócić - powiedział pojednawczo i zmienił temat. - Byłem w zakładzie. Pakują wszystko do ciężarówek. Może to ma coś wspólnego z twoją wizytą. Wkurzyłaś Sanborne'a, a wkurzeni ludzie są nieprzewidywalni. Musimy to omówić. Zaproś mnie na herbatę, kiedy wrócimy z Michael'em.

- Daj spokój.

- Przyjadę od razu - zdecydował. - Muszę zacząć nad tobą pracować. Robisz się coraz bardziej uparta.

- Zamknę drzwi. Wracaj do Szkocji.

Usłyszała jego śmiech i dźwięk odkładanej słuchawki. Przez chwilę stała nieruchomo. Nie powinna czuć tej ulgi, a jednak. Nie powinna zatrzymać tu Jocka, to nie było w porządku. Powinna zadzwonić do MacDuffa i poprosić go, żeby wywarł na Jocku większą presję.

Jutro.

Było już późno, a o ósmej rano miała umówione spotkanie. Poszła do sypialni Michaela sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Śpij dobrze i głęboko, kochany. Każda przespana noc to dar. Zamknęła cicho drzwi i wróciła do kuchni, żeby nastawić w ekspresie kawę na rano. Kofeina jest jej w tym okresie szczególnie potrzebna.

Weszła do sypialni i wyciągnęła rękę, żeby zapalić światło. Jakieś ramię zacisnęło jej pętlę na szyi.

- Zaczynij krzyczeć, a skręcę ci kark, suko.

Boże!

Nie krzyknęła. W jednej chwili wymierzyła mu łokciem cios w brzuch i kopnęła w nogę.

Stęknął i poluzował uścisk.

Wyrwała mu się i podbiegła w stronę szafki nocnej, na której trzymała pistolet, który dał jej Jock.

Zanim jednak dobiegła, on dopadł ją, powalił na kolana i zacisnął dłonie na jej gardle.

Ból.

Nie mogła oddychać.

Próbowała uwolnić się z tego uścisku.

Nie mogła przecież umrzeć. Michael. ..

Pluła mu w twarz.

- Suko! - Zdjął jedną rękę z jej gardła, żeby wymierzyć jej policzek.

Odchyliła głowę i ugryzła go w rękę.

Smak krwi. Jego krzyk pełen wściekłości i bólu. Uwolniła się, ale on natychmiast złapał ją za włosy. Zobaczyła błysk metalu.

Nóż.

Śmierć.

Nie!

Wpatrywała się w jego wykrzywioną twarz, wciąż próbując się uwolnić. Była obrzydliwa.

- Boisz się? - wysapał. - Powinnaś się bać. Byłoby łatwiej, gdybyś ... - Otworzył szeroko oczy ze zdumienia, jego ciało się wygięło. - Co, u diabła ...

Zobaczyła czubek noża wystający z jego klatki piersiowej.

Jego oczy były wciąż szeroko otwarte, kiedy opadł na nią. Człowiek stojący za nim przesunął ciało. Jock?

- Dźgnął cię?

To nie był Jock. Wysoki, dobrze zbudowany, krótko obcięte włosy. Ton jego głosu był beznamiętny, podobnie twarz nie wyrażała żadnych emocji.

- Dźgnął cię? - powtórzył. - Cała jesteś we krwi. Popatrzyła na zakrwawioną bluzkę.

- Nie, to pewnie jego krew.

Mężczyzna zerknął na ciało.

- Pewnie tak. Kto to?

Zmusiła się, żeby spojrzeć na twarz napastnika. Cienkie, brązowe włosy, szare, szeroko otwarte oczy, trójkątna twarz. - Nie wiem - wyszeptała. - Nigdy go wcześniej nie widziałam.

- Wpadł, ot tak, poderżnąć ci gardło?

Zdała sobie sprawę, że cała się trzęsie. Czuła się słaba, bezbronna i zła.

- Kim, u diabła, jesteś?

- Matt Royd. Może znasz moje nazwisko.

- Nie.

Wzruszył ramionami.

- Było ich tak wielu, prawda?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Pokój twojego syna jest na końcu korytarza, prawda?

- zapytał, kierując się w stronę drzwi.

Sophie zerwała się na równe nogi.

- Skąd to wiesz? Nie waż się zbliżyć do niego.

- Zanim zobaczyłem twojego przyjaciela wślizgującego się przez okno, zrobiłem mały rekonesans.

Nie wiem, kogo tak wkurzyłaś, ale ...

- Zostaw Michaela w spokoju - powiedziała i rzuciła się w stronę sypialni syna, bo przyszło jej do głowy, że w tym czasie ktoś inny mógł się tam wkraść. Otworzyła drzwi sypialni. Była słabo oświetlona, Michael leżał bezpiecznie.

Może.

Musiała być pewna. Rozejrzała się po pokoju. Oddech Michaela był równy. Najwidoczniej jego sen nie był głęboki, bo otworzył nagle oczy.

- Wszystko dobrze, mamó?

- Cześć - powiedziała miękko. - Dobrze. Sprawdzalam tylko. Śpij.

- Dobrze. - Zamknął oczy - Jadłś? Masz na bluzce ke-tchup.

Zapomniała o krwi.

- Sos ze spaghetti. Przygotowałam na jutro. Narobiłam bałaganu. Dobranoc, synku.

- Dobranoc, mamó.

Odwróciła się i wyszła z pokoju. Royd stał w korytarzu.

- Wydaje się, że wszystko w porządku. Sophie skinęła głową.

- Jak się tu dostałeś?

- Tylnymi drzwiami.

- Są zamknięte.

- To dobry zamek. Otworzenie go zajęło mi kilka minut.

- Jesteś złodziejem?

Uśmiechnął się krzywo.

- Jeśli mam takie zlecenie. Robiłem w życiu niejedno. Myślę, że znam wiele sztuczek, które znał twój niedoszły morderca. Te były najłatwiejsze. Przed REM-4 przeszedłem szkolenie.

Sophie zeszywniała.

- Co?

- REM-4. - Patrzył na nią uważnie. - Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię. Nie drażnij mnie teraz, bo mogę stracić nad sobą panowanie.

- Wynoś się z mojego domu - powiedziała niepewnie.

- Nie podziękujesz mi za uratowanie życia? Nieładnie. - Pokręcił głową i dodał: - Jeśli będziesz współpracować, może pomogę ci pozbyć się ciała z twojej sypialni. Jestem dobry w takich rzeczach.

- Skąd wiesz, że nie zadzwonię po policję? On włamał się do mojego domu. - Spojrzała mu w oczy. - Podobnie jak ty.

- Grozisz mi? - zapytał łagodnie. - Nie lubię, jak ktoś mi grozi.

Nagle zaczęła się panicznie bać. Boże, teraz bała się bardziej niż przed chwilą, kiedy walczyła z tym maniakiem w sypialni. Zwilżyła usta.

- To ty mi grozisz. Włamałeś się do mojego domu. Skąd mogę wiedzieć, czy gdyby mężczyzna w sypialni mnie nie zaatakował, ty byś tego nie zrobił?

- Tego nie wiesz - zgodził się. - W każdej chwili mogę cię zaatakować. Kuisz mnie, ale staram się opanować. Jeśli dasz mi to, po co przyszedłem, masz szansę, że przeżyjesz.

Serce Sophie biło jak szalone. Ledwo mogła złapać oddech.

Oparła się o ścianę.

- Wynoś się.

- Jesteś przerażona. - Podeszedł do niej bliżej i położył dłonie na jej ramionach. - Masz do tego prawo. Jednak byłoby szkoda, gdyby twój syn stracił matkę tylko dlatego, że nie była rozsądna.

Była w pułapce. Czowała, jak przeszywa ją lodowatym spojrzeniem.

- Kto cię przysłał? Uśmiechnął się.

- Ty.

Uśmiechnęła się. Po czym kopnęła go w krocze i wymknęła się pod jego ramieniem, kiedy związał się z bólu. Pobiegnęła do drzwi frontowych.

Wpadła prosto w ramiona Jocka. Próbowwała go odepchnąć.

- Uważaj, Jock. On ...

- Ciii. Wiem. - Spojrzał nad jej głową i lekko odsunął. - Co się dzieje, Royd?

Royd znieruchomiał.

- To ty mi powiedz. Nie spodziewałem się, że cię tu spotkam. Chcesz sobie przypisać pierwszeństwo? Nie ma mowy.

Sophie otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

- Jock, znasz go?

- Można tak powiedzieć. Chodziliśmy razem do szkoły.

- Spojrzał na Royda. - Jesteś na fałszywym tropie. Nie ona jest twoim celem.

- Jasne - rzucił szorstko Royd. - W aktach Sanbome'a, zarówno starych, jak i nowych, widnieje jej nazwisko.

- Skąd wiesz?

- Nate Kelly. Jest dobry. Nie popełnia błędów.

- Co nie znaczy, że nie interpretuje błędnie swoich odkryć.

- Odwrócił się do Sophie. - Z Michaeliem wszystko w porządku?

Skinęła głową.

- Ale w mojej sypialni leży martwy facet.

Jock spojrzał na Royda.

- To jeden z twoich ludzi?

- Nie zabijam swoich ludzi - powiedział. - Był tu przede mną. Chciał ją zabić. Nie mogłem na to pozwolić. Jest mi potrzebna.

Jock spojrzał na Sophie.

- Sophie?

- On go zabił.

- Kto to był?

Pokręciła głową.

- Nie wiem.

- W takim razie sam muszę mu się przyjrzeć.

Sophie utkwiała wzrok w Roydzie.

- On ci nic nie zrobi - zapewnił Jock. - To nieporozumienie.

- Nieporozumienie? Pięć minut temu zabił człowieka.

- I uratował ci życie - dodał lodowatym tonem Royd.

- Bo jestem ci potrzebna.

- Zgadza się.

- Royd, to nie ona jest twoim celem - powtórzył Jock.

- Wytłumaczę ci to przy okazji, a teraz, odsuń się.

- Grozisz mi?

- Tak, jeśli się nie odsuniesz. Chociaż głupio by było, gdybyśmy rzucili się na siebie, bo przecież jesteśmy po tej samej stronie. A tak w ogóle, to próbowałem cię namierzyć przez ostatnie kilka dni. MacDuff twierdzi, że ja nie miałem ostatnio żadnej praktyki, a ty cały czas jesteś na bieżąco

- Nie gadaj. Byłeś najlepszy. Poza tym nie zapominasz.

- Gramy do tej samej bramki - powtórzył Jock. - Daj mi trochę czasu, a udowodnię ci to.

Sophie zauważyła, że Royd nie chce ulec Jockowi. Na chwilę zapadła cisza, w każdej chwili Royd mógł wybuchnąć. Jednak odwrócił się na pięcie i rzucił:

- Obejrzyj ciało.

- Jock, nie chcę, żeby ten Royd został w moim domu - odezwała się Sophie. - Nie obchodzi mnie, co zaszło między wami. Nie chcę, żeby to miało jakikolwiek wpływ na mnie lub mojego syna.

- Tkwisz w tym po same uszy - stwierdził twardo Royd.

- Wszystko, co od tej pory zrobię, będzie miało wpływ na twoje życie. Módl się, żeby Jock przekonał mnie, żebym uwierzył w jego historyjkę. Chociaż to mało prawdopodobne.

- Spokojnie - powiedział Jock. - Zrób kawy, my tymczasem przyjrzymy się napastnikowi. Kawa dobrze ci robi.

- Chcę iść ... - Nie, nieprawda. Nie chciała iść z nimi. Nie chciała znowu zobaczyć tego mordercy ze sztyletem wbitym w klatkę piersiową.

- Sprawdzę, co u Michaela. Spotkamy się w kuchni.

Dziesięć minut później nastawiała w kuchni kawę, starając się opanować. Boże, tak się trzęsła, że nie mogła utrzymać kubka. Za chwilę się uspokoi. Zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech. Po śmierci rodziców bywały miesiące, kiedy nie potrafiła niczego kontrolować. Teraz była silna, a ten mężczyzna był po prostu zagrożeniem.

Krew tryska z krwawej rany. Nieprzytomnie. Nieprzytomnie.

Nieprzytomnie.

Nie, teraz nie straci panowania nad sobą. Teraz wszystko jest w porządku.

- Sophie? - Jock wszedł do kuchni. Otworzyła oczy i skinęła głową.

- W porządku. Po prostu wspomnienia.

- Jakie wspomnienia? - zapytał Royd, który wszedł za Jockiem.

Sophie spojrzała na niego chłodno.

- To nie twoja sprawa.

- Idź do łazienki i doprowadź się do porządku. - Podał jej białą bluzkę. - Pomyślałem, że może nie chciałabyś od razu wracać do sypialni.

- Dzięki. - Wzięła bluzkę i wyszła z kuchni. Kiedy przechodziła koło Royda, który stał w drzwiach, starała się go nie dotknąć. Wyczuwała jednak jego emocje i podniecenie. Musi opanować się, zanim będzie mogła zmierzyć się z tym człowiekiem. Niech Jock się nim zajmie. Niech go stąd wyrzuci.

Umyła się, zmieniła bluzkę i uczesała włosy. Przez chwilę starała się odegnąć od siebie myśl o trupie w sypialni. Na próżno. Może to i lepiej. Powinna stawić czoło temu, co się stało, a także stawić czoło Mattowi Roydowi.

Kiedy weszła do kuchni, Jock i Royd siedzieli przy stole.

Royd był zrelaksowany, przypominał jej tygrysa. Tygrys. Tak, to określenie bardzo do niego pasowało.

- Nalałem ci kawy - powiedział Jock i gestem zaprosił ją, żeby zajęła miejsce koło niego. - U siadź. Musimy porozmawiać z Roydem.

Pokręciła głową.

- Usiądź - powtórzył Jock. - I tak już masz za dużo problemów. Nie musisz jeszcze robić sobie wroga z Royda.

Zawahała się, ale w końcu usiadła.

- Wiesz, kim jest mężczyzna z sypialni? - spytała. Zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, ani ja, ani Rod go nie poznajemy. Wkrótce pewnie się dowiemy. Royd zrobił mu zdjęcie telefonem i wysłał do swojego człowieka w zakładzie Sanbome'a.

- Do swojego człowieka?

- Wynajął człowieka, który ma za zadanie zdobyć informacje z akt Sanbome'a. Pracuje w centrum ochrony zakładu, obsługuje monitory.

- Dlaczego to zrobił?

- Nie lubi Sanbome'a - wyjaśnił Jock. - Myślę, że w równym stopniu jak ty.

- Dlaczego? - zapytała i spojrzała w twarz Jocka, przypomniała sobie, co Royd mówił wtedy, w sypialni. No i to, że chodzili razem do szkoły. Zrobiło jej się niedobrze.

- Następny?

Jock przytaknął.

- Trochę inne okoliczności, ale rezultat bardzo podobny.

- O Boże.

- Tu nie chodzi o mnie - wtrącił Royd. - Na razie nie usłyszałem nic, co by miało mnie przekonać, że ona nie jest po stronie Sanebome'a.

Jock milczał chwilę.

- Dwa lata temu jej ojciec zastrzelił jej matkę, usiłował zastrzelić jej syna, i zanim popełnił samobójstwo, postrzelił Sophie. Bez powodu. Nikt nie ma pojęcia, dlaczego tak się stało.

Royd przeniósł chłodne spojrzenie na Sophie.

- Jeden z twoich eksperymentów nie wypalił?

- Nie - szepnęła. - Na Boga, nie ...

- Jesteś niesprawiedliwy, Royd - powiedział cicho Jock.

- To przecież możliwe. Skąd możesz wiedzieć?

Sophie zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nigdy bym nie ... Kochałam go. Kochałam ich oboje.

- I oczywiście nie jesteś niczemu winna. Twoje nazwisko figuruje w aktach Sanborne'a, przy zapisach o badaniach wstępnych nad REM, to oczywiście też nic nie znaczy.

- Tego nie powiedziałam. - Wyciągnęła rękę po stojący przed nią kubek. - To dużo tłumaczy, a właściwie wszystko.

- Dlaczego?

Sophie poczuła się, jakby Royd się nad nią pastwił.

- To moja wina. To wszystko było ...

- Spokojnie, Sophie. - Jock ujął ją za rękę. - Później mu powiem. Nie musisz znowu przez to przechodzić.

- Nie ochronisz mnie. Nie mogę uciec od tego, co zrobiłam.

Mierzę się z tym codziennie. Za każdym razem, kiedy patrzę na Michaela i wiem ... - Urwała i spojrzała na Royda. - Nic, co powiesz, nie sprawi, że będę czuła się gorzej niż teraz. Ta rana nie będzie już głębsza. Chcesz wiedzieć, co się stało? Byłam młoda i mądra i myślałam, że mogę zmienić świat. Zaraz po studiach zaczęłam pracę w Sanborne Pharmaceutical. Wszystko szło po mojej myśli, bo zgodzili się, żebym mogła kontynuować badania. Doktoryzowałam się z chemii i medycyny. Zrobiłam specjalizację w zakłóceniach snu, ponieważ przez wiele lat mojego dzieciństwa mój ojciec cierpiał na to i miał nocne koszmary. Chciałam pomóc jemu i ludziom takim jak on.

- W jaki sposób?

- Wypracowałam proces, który u pacjenta powoduje chemicznie przejście do stanu REM-4, najbardziej czynnego psychofizycznie poziomu snu. W stanie REM-4 człowiek jest podatny na sugestie i można wywołać przyjemne sny, zamiast koszmarów. Można nawet wyeliminować bezsenność. Sanborne był podekscytowany, kiedy się dowiedział. Namówił mnie, żebym pominęła Agencję do spraw Żywności i Leków i pojechała do Amsterdamu przeprowadzić testy. Chciał utrzymać wszystko w najwyższej tajemnicy, dopóki nie będziemy pewni, że to działa. Nie musiał mnie długo nakłaniać. Wiedziałam, że miną wieki, zanim Agencja zatwierdzi proces, a byłam pewna, że jest on bezpieczny. Testy wyszły pomyślnie. Ludzie, których przez całe życie męczyły koszmary, teraz byli wolni. Byli szczęśliwsi. Efektów ubocznych nie zauważono. Szalałam ze szczęścia.

- I co dalej? - Sanborne powiedział, że musimy trochę poczekać. Odebrał mi wyniki testów i próbował nakłonić, żebym przekazała mu badania nad REM-4. Kiedy odmówiłam, odsunął mnie od badań. Byłam wściekła, ale nie podejrzewałam, że ma złe zamiary. - Na chwilę zamilkła. - Chciałam wiedzieć, jak idą dalsze testy, więc pewnej nocy poszłam do laboratorium i przejrzałam akta. Możecie zgadnąć, co tam znalazłam. Wykorzystywali właściwości leku, żeby rozpracować sposób kontroli umysłu. Znalazłam korespondencję między Sanborne'em a generałem Bochem, w której omawiali zalety takiej kontroli podczas wojny. Poszłam do Sanborne'a i powiedziałam, że odchodzę i zabieram ze sobą badania. Na początku był wściekły, ale potem ochłonął. Następnego dnia do moich drzwi zapukało dwóch prawników. Powiedzieli, że skoro w momencie przeprowadzenia pomyslnych badań byłam pracownicą Sanborne'a, z prawnego punktu widzenia badania należą do niego. Miałam dwa wyjścia: albo oddać badania, albo iść do sądu. - Umilkła i po chwili mówiła dalej: - Wiecie, że nie miałabym szans przeciwko prawnikom Sanborne'a. Nie chciałam prowadzić dalej badań. Teraz wiedziałam, że mogą być niebezpieczne. Z drugiej strony nie chciałam, żeby Sanborne kontynuował badania w swoim kierunku. Zagroziłam, że jeśli nadal będzie prowadził testy nad kontrolą umysłu, pójdę do prasy i telewizji. Powiedział, że zaniecha badań. Myślałam, że wygrałam. Dostałam pracę na uniwersytecie w Atlancie i postarałam się o wszystkim zapomnieć.

- Nie miałaś dowodów na to, że Sanborne zaniechał badań?

- W laboratorium miałam przyjaciół. Wiedziałabym, gdyby kontynuował badania.

- Wiedziałabyś?

- Dobrze, byłam naiwna. Powinnam była od razu pójść do telewizji. Ale całe swoje dorosłe życie poświęciłam medycynie, nie chciałam tego popsuć. Ci prawnicy zrujnowaliby moją karierę i życie. - Odetchnęła głęboko. - Badania wstrzymano. Przez następne sześć miesięcy sprawdzałam to regularnie. Projekt był zamknięty.

- Co się stało po tych sześciu miesiącach? Sophie zacisnęła dłoń na kubku.

- Potem nie bałam się już, że zrujną mi życie. Ono wtedy właśnie legło w gruzach. Pewnego dnia wybrałam się na ryby z tatą i mamą. Jock już opowiedział, co się wtedy stało. Mój ojciec kompletnie oszalał. Nagle wyciągnął broń i zabił kobietę, która kochał w życiu najbardziej. Zabiłby i mojego syna, gdy-bym go nie osłoniła. Kula przeszła moją klatkę piersiową. Następnego dnia obudziłam się w szpitalu. Kompletnie się posypałam, kiedy dowiedziałam się, co się stało. To wszystko nie miało sensu. To nie miało prawa się zdarzyć. Na kilka miesięcy trafiłam do szpitala psychiatrycznego. - Zacisnęła pięści. - Byłam słaba. Powinnam była być przy synu, ale Dave nie powiedział mi, że Michael ma problemy. Powinnam była przy nim być.

- Sophie, to tylko dwa miesiące - powiedział cicho Jock.

- Sama miałaś problemy.

- Nie jestem dzieckiem - odparła szorstko. - Jestem jego matką i powinnam była z nim być.

- Wzruszające - mruknął Royd. - Ale wróćmy do San-borne'a.

Boże, co za świnia!

- Przepraszam, że marnuję twój cenny czas. Nie było moim zamiarem wzbudzenie w tobie współczucia. Choć wątpię, czy w ogóle jesteś zdolny do takich uczuć. - Pociągnęła łyk kawy. - W szpitalu przy życiu trzymała mnie próba zrozumienia tego, co się stało. Nie wierzyłam, że ojciec zwariował. Był wspaniałym człowiekiem. Był uprzejmy, miły i pod każdym względem normalny. Może oprócz zaburzeń snu, które miewał od dzieciństwa. Chociaż te w ostatnich miesiącach jakby ustąpiły. Chodziło nowego specjalisty. Doktor Paul Dwight. Sprawdziłam go. To szanowany człowiek. Widywali się dosyć często i wydawało się, że terapia działa. Coraz częściej przesypiał całe noce, a koszmary zdarzały się coraz rzadziej. Mama była szczęśliwa. Tamtego dnia wyglądał wręcz na wypoczętego. Wtedy przypomniałam sobie wyraz twarzy ludzi, którzy brali udział w testach w Amsterdamie. Kiedy budzili się po zastosowaniu terapii REM-4, byli wypoczęci i szczęśliwi. - Sophie potrząsnęła głową. - Myślałam, że to wszystko mi się wydaje, że szukam I. wiążków tam, gdzie ich nie ma. Musiałam to sprawdzić. Ale czy nie byłby to idealny sposób na pozbycie się mnie? Słyszy się czasami o szaleńcach, którzy zabijają całe rodziny, a potem popełniają samobójstwo.

Rodzinne tragedie. Nie ma żadnego tajemniczego zabójcy. Wszystko jasne. Mnie by nie było, a San-borne mógłby kontynuować swoje badania nad REM-4.

- Zrobiłaś coś z tym?

- Kiedy wyszłam ze szpitala, odszukałam nazwisko i adres

tamtego terapeuty. Zadzwoiłam, żeby umówić się na wizytę. Telefon był wyłączony. Ten człowiek zginął w wypadku samochodowym trzy tygodnie wcześniej.

- Coś więcej niż zbieg okoliczności - zauważył Jock.

- Też tak myślałam. Wynajęłam prywatnego detektywa, który miał zbadać związek między doktorem Dwightem a San-borne'em. Wszystko, czego się dowiedział, to to, że spotkali się na konferencji w Chicago tego samego roku. Przez ostatnie kilka miesięcy doktor Dwight regularnie składał w banku depozyty, w sumie, prawie pół miliona dolarów.

- To jeszcze nic nie znaczy.

- Może nie dla sądu, ale dla mnie to był wystarczający dowód. To dało mi siłę. Musiałam zdobyć więcej informacji. Moi przyjaciele wciąż pracowali w laboratorium. Zaczęłam ich wypytywać. Zapewnili, że testy nie były kontynuowane, przy najmniej na terenie zakładu. Oddział zamknięto, a pracowników oddelegowano do innych projektów. Poprosiłam moją przyjaciółkę, doktor Cindy Hodge, żeby się rozejrzała. - Na chwilę przerwała. - Zdołała listę nazwisk. Podała też nazwę miejsca. Garwood w Dakocie Północnej. - Zamilkła, bo wy-czuła zmianę w zachowaniu Royda. - To miejsce nie jest ci obce? - spytała po chwili.

- Znam je bardzo dobrze - odparł i spojrzał na Jocka. - A ty?

- Moje szkolenie trochę się różniło od twojego. W ogóle nie pamiętałem Garwood, dopóki rok temu nie zacząłem odży-skiwać pamięci. - Skinął głową w stronę Sophie. - To właści-wie ona uruchomiła ten proces, kiedy zaczęła mnie szukać.

- Szukała cię? - zdziwił się Royd.

- Myślałeś, że to ja ją ścigałem? Ja nie uwolniłem się tak szybko jak ty.

- Byłem w Garwood na długo przed twoim przybyciem. Nic nie działo się szybko. To była droga przez piekło.

- Nie byliście razem w Garwood? - zapytała Sophie. - Nic nie rozumiem.

- Jock został przywieziony do Garwood na prośbę Thomasa Reilly'ego, który trenował własną drużynę zombie. Zapłacił Sanborne'owi za wykorzystanie REM-4 do manipulacji wołą Jocka i kilku innych. Ale eksperymentował też z innymi metodami, a Sanborne był tylko narzędziem.

- A ty?

- Ja byłem prezentem generała Bocha dla Sanborne'a na otwarcie laboratorium w Garwood. - Najego twarzy pojawił się wymuszony uśmiech - Generał chciał się mnie pozbyć, a wysłanie mnie do Garwood, do jego współnika w zbrodni, było doskonałą okazją. Podobała mu się myśl, że złamię moją wolę. Nawet gdyby się nie udało, zawsze istniała duża szansa, że po prostu oszaleję. Tak skończyło dwóch ludzi, kiedy tam byłem.

Sophie była przerażona.

- Och, nie - wyszeptała.

Royd spojrział na nią ze sceptycyzmem.

- Musiałaś o tym wiedzieć, skoro wiedziałaś o Garwood. Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Tego nie było w aktach Sanborne' a.

- Z tego, co wiem, chłopci, którzy mieszkali niedaleko Auschwitz, też mówili, że o niczym nie wiedzieli.

- Zapewniam cię, że ...

- Skoro mówi, że nie wiedziała, to znaczy, że mówi prawdę - oświadczył stanowczo Jock. - Sanborne nie trzymałby dowodów swojej porażki. Po prostu przypadków szaleństwa nie odnotował.

- Jesteś pewien? - zapytała Sophie. - REM-4, który stworzyłam, był bezpieczny zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Przysięgam, że był bezpieczny.

- Weź pod uwagę fakt, że oni go zmienili - zauważył Royd Ogromnie zwiększyli czynnik sugestywny. Niektóre umysły nie potrafiły zaakceptować takiego stopnia poddania. Jestem pewien, że dokonali zmian. Pięćdziesięciu dwóch mężczyzn i, Garwood może to potwierdzić.

- Akta wspominają jedynie o trzydziestu czterech - powiedziała Sophie.

Royd spojrzał na nią.

- Zabił ich? Wzruszył ramionami.

- Policzyłem ludzi przed odejściem. Było ich pięćdziesięciu dwóch. Nie wiem, co się z nimi stało. Mogę tylko zgadywać. Przez trzy miesiące się ukrywałem. Wtedy właśnie CIA wpadło na ślad obiektów Thomasa Reilly'ego. Sanborne przestraszył się, że CIA może trafić na Garwood poprzez akta Reilly'ego. Dlatego zamknął interes w Garwood i przeniósł w inne miejsce.

- Do Maryland - powiedziała Sophie. - Dlaczego nie poszedłeś na policję?

- Policja niechętnie słucha zabójców. Jestem pewien, że generał dopilnował, żeby przynajmniej jedna operacja, na którą zostałem wysłany, została udokumentowana. Poza tym przez cztery lata byłem w komando "Foki", a wszyscy wiedzą, że jesteśmy tam trenowani w zabijaniu. Musiałem go dopaść w inny sposób.

- W jaki?

- Musiałem zarobić pieniądze, żeby kupować informacje. Zajęło mi to trochę czasu, ale zlokalizowałem zakład REM-4, mam wtyczkę w firmie Sanborne'a, która ... doprowadziła mnie do ciebie.

- Ale ja przecież ... Nigdy bym nie ... - Urwała i energicznie potrząsnęła głową. - Nie, właśnie, że to zrobiłam. To ja to zaczęłam. To moja wina. Nie mogę cię winić, że ..

Włączył się monitor Michaela.

- Boże! - Sophie zerwała się na nogi. - Michael... Wybiegła z pokoju.

Rozdział 4

Royd mruknął parę przekleństw pod nosem i podniósł się powoli.

- Nie ucieknie - zapewnił Jock. - Siadaj i dopij kawę.

Pobiegła do syna. Zaraz wróci.

Royd usiadł.

- Co mu jest?

- Ma koszmary. Czasami też ataki bezdechu.

- Jezu.

- I zanim zapytasz, nie eksperymentowała na nim. To się zaczęło po tym, jak jego dziadek zabił jego babkę, a matkę postrzelił kulą, która była przeznaczona dla niego. Sophie twierdzi, że kiedyś było gorzej. Może wydobrzej. Jest to o tyle straszne, że to jeszcze dziecko.

- Powiedziałeś, że to ona ciebie znalazła. Jak?

- W aktach z Garwood, do których dotarła, były odwołania do przypadków, nad którymi pracował Thomas Reilly. Co prawda ludzie, na których robiono badania w Garwood, "zniknęli", ale wciąż istniała szansa na odnalezienie kilkorga osób, na których badania prowadził Reilly. Przecież on miał całe zastępy mężczyzn gotowych posłusznie wykonywać polecenia tego, kto najwięcej zapłaci. Rozproszyli się, kiedy CIA wpadło na trop Thomasa Reilly'ego. Większość z nich wyłapali, ale kilkoro z nas pozostało na wolności. - Jock zrobił pauzę. - Zresztą wiesz. Sam mnie znalazłeś rok temu.

- Wtedy powiedziałeś mi, że nie masz pojęcia, dokąd Sanborne przeniósł badania nad REM-4.

Kłamałeś?

Jack zaprzeczył ruchem głowy.

- Wtedy niewiele pamiętałem. Minęło bardzo dużo czasu, zanim byłem na tyle silny, żeby połączyć ze sobą fakty. Kiedy MacDuff znalazł mnie w schronisku w Denver, gdzie trafiłem po ucieczce od Reilly'ego, byłem niczym warzywo. Spotkałem cię za wcześnie, żeby móc cokolwiek powiedzieć. Gdybyś znalazł mnie kilka miesięcy później, dowiedziałbyś się o wiele więcej. Sophie pojawiła się we właściwym momencie. Byłem gotowy, żeby wszystko sobie przypomnieć. To ona sprawiła, że wspomnienia zaczęły wracać.

Royd przyglądał mu się uważnie. Zdaje się, że mówił prawdę. Teraz siedział przed nim inny mężczyzna niż ten, którego poznał rok temu. Wtedy wydawał się niestabilny psychicznie i tajemniczy. To wszystko gdzieś się rozwiało.

- A co pamiętasz?

- Pamiętam, że jeszcze przed nalotem CIA Reilly miał zamiar wysłać kilku chłopaków na szkolenie do nowego miejsca Sanborne'a, gdzieś w Maryland.

- Dlaczego wtedy się ze mną nie skontaktowałeś? Do diabła, przecież wiedziałeś, że takie informacje są mi cholernie potrzebne. Zdobycie tej informacji zajęło mi kilka miesięcy.

- Byłem zajęty z Sophie.

- Zajęty?

- Prawdę mówiąc, to ona nie zdawała sobie sprawy z ogromu działalności Sanborne'a. Była zdruzgotana. Chciała sama dopaść Sanborne'a. Nie mogłem jej na to pozwolić.

- Dlaczego nie?

- Wzruszyła mnie - powiedział Jock po prostu. - Bardzo cierpiała, wydawało jej się, że to wszystko jej wina. Na początku chciała dostać się do zakładu i zniszczyć akta badań nad REM-4. Jednak okazało się, że zmienili wszystkie kody, i nie mogła tego zrobić. Wtedy postanowiła zabić Sanborne'a, z nadzieją, że jego śmierć położy kres dalszym badaniom.

- A więc poprosiła ciebie, żebyś to zrobił.

Znowu pokręcił głową.

- Miała takie poczucie winy z powodu tego, co zrobili, że nie pozwoliła mi na to. Poprosiła jedynie, żeby nauczył ją, jak zabić człowieka.

- I zrobiłeś to?

- Tak, ona technicznie jest bardzo dobra. Jest prawie tak dobra jak ja. Ale mam wątpliwości, czy jest w stanie to zrobić. Ona uważa, że tak. Wszystko zależy od tego, ile w niej nienawiści. To może mieć ogromne znaczenie. - Przyjrzał się uważnie Roydowi. - Prawda?

Royd zignorował pytanie.

- Ona jest winna. Skąd wiesz, że nie zaczęła tych badań z zamiarem manipulowania ludzką wolą?

- Ufam jej.

- A ja nie.

- Nie jestem głupi, Royd. Ona mówi prawdę. Wyglądasz na cholernie sfrustrowanego - zmienił temat.

- Dlaczego wciąż się upierasz, że ona jest po ich stronie?

- Dlatego, że była moją jedyną szansą na zdobycie informacji, które naprowadziłyby mnie na formuły REM-4 i pozwoliłyby na przywołanie Sanborne'a i Bocha. A teraz ty usiłujesz mi wmówić, że ona jest niewinna. - Zaciśnął pięści. - Nie, nie kupuję tego.

- Kupisz to. Jesteś zbyt inteligentny, żeby być wciąż zaślepiony swoją ideą. Po prostu musisz oswoić się z myślą, że ona jest niewinna.

- Może.

Coś w wyrazie twarzy Royda zaniepokoiło Jocka. - O czym myślisz?

- Odkąd uciekłem z Garwood, jedynym moim celem jest dopadnięcie Sanborne'a. Teraz jestem już tak blisko, Jock, że nie pozwolę, żeby ta kobieta stanęła mi na drodze. Nie będę miał wyrzutów sumienia, jeśli ...

Rozległ się dzwonek komórki Royda. Spojrzał na wyświetlacz.

Nate Kelly.

- Trzymaj kciuki. Dowiedział się, kim jest ten sukinsyn z sypialni - mruknął Royd.

Sophie odczekała chwilę w korytarzu, żeby uspokoić oddech, zanim znowu stanie twarzą w twarz z Mattem Roydem.

Dzięki Bogu, atak Michaela nie był ciężki. Cała ta noc to jeden wielki horror, gdyby ataki Michaela były ciężkie, nie zniosłaby tego.

Zniosłaby. Co za mięczak! Teraz jest w stanie znieść wszystko.

Nawet Royda, który siedzi tam przekonany o jej winie i prze-szywa ją tym swoim lodowatym spojrzeniem.

Złożyła dłonie na piersiach i ruszyła w stronę kuchni. Na jej widok Jock zapytał:

- Zasnął?

Skinęła głową.

- Nie było źle. Pogadałam z nim chwilę i zaraz usnął.

- Dobrze - powiedział Jock. - Miejmy nadzieję, że będzie spał do rana. Musimy się zająć pewną sprawą. Royd właśnie dostał wiadomość od swojego człowieka w zakładzie.

Spojrzała na Royda.

- Dowiedział się, kim jest ten człowiek?

- Jeden z bodyguardów Sanborne'a - oznajmił Royd.
- Przynajmniej jako taki figuruje w aktach personelu. Arnold Caprio.
- Caprio - powtórzyła Sophie.
- Słyszałaś o nim?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie, ale skądś znam to nazwisko.

- Pomyśl.

- Mówiłam ci, nie sądzę, żebym ... - przerwała w połowie zdania. - A jednak. Wiem, kto ...

Poszła do salonu i otworzyła górną szufladę w biurku. Wyjęła z notesu złożoną kartę. Rozłożyła ją i zaczęła czytać listę nazwisk.

Nazwisko Arnolda Caprio było gdzieś pośrodku. Zamknęła oczy.

- Boże.

- Kto to?

Otworzyła oczy i spojrzała na Jocka i Royda.

- Capio jest na liście mężczyzn, na których przeprowadzono eksperymenty w Garwood. Pewnie Sanborne trzymał go blisko siebie, jako swojego ochroniarza. Chociaż teraz widzimy, że był nie tylko ochroniarzem. Sanborne wykorzystywał go, żeby pozbywać się ludzi, którzy stanowią dla niego zagrożenie, tak jak ja. Czy to nie ironia? Sanborne nasyła na mnie jedną z ofiar, za które jestem odpowiedzialna.

- Nie jesteś odpowiedzialna - zaprotestował Jock. - Nigdy nie chciałaś, żeby tak się stało. Chciałaś to powstrzymać.

- Powiedz to Caprio. - Spojrzała na Royda. - Powiedz to Roydowi. Ty myślisz, że ja za to odpowiadam, prawda?

Patrzył na nią przez chwilę, po czym wzruszył ramionami. - Teraz nie jest ważne, co myślę. Powinnaś wiedzieć, że w przeciwieństwie do Thomasa Reilly'ego, Sanborne wybierał nie tylko młodzieniaszków. On uważał, że eksperymenty najlepiej udają się na ludziach, w których zakiełkowała już agresja. Boch często przysyłał mu snajperów wojskowych, lub byłych członków komando "Foki", takich jak ja. Wiem też, że w Garwood było przynajmniej trzech płatnych zabójców i dwóch długodystansowych narkomanów.

Sophie spojrzała na niego zaskoczona.

- Boże, chcesz mnie wpędzić w jeszcze większe wyrzuty sumienia?

- Nie. Odpowiadam na twoje pytanie. Teraz ja cię o coś zapytam. Mojego nazwiska nie rozpoznałaś. Nie ma mnie na liście?

Myślała o tym.

- Nie, ale było nazwisko Jocka. Royd wzruszył ramionami.

- Może na liście masz tylko ludzi, których Sanborne sam zwerbował. Ja byłem prezentem od partnera.

- Odwrócił się do Jocka. - Powinniśmy się pozbyć Caprio. Masz jakiś pomysł? - W kierunku na zachód są bagna. Miną miesiące, a może

lata, zanim go znajdą.

- Napisz mi, gdzie to mniej więcej jest. Wezmę z kuchni worki na śmieci i jakoś go owinę. Ty upewnij się, że w okolicy nikogo nie ma, potem zaniosę go do samochodu.

- Czy musicie ... - zaczęła Sophie. - N a pewno nie ma innego sposobu? Musicie wrzucić go do bagna, żeby zgnił?

- Tak - powiedział Royd. - Chciałabyś może, żebyśmy rzucił go po prostu na trawnik przed domem

Sanbome' a? Z przyjemnością.

Zrobiłby to. Sophie była tego pewna. Widziała w jego oczach tę dziką radość, jaką sprawiłby mu taki wyczyn.

- Nie wątpię.

- Ale to nie byłoby mądre - zauważył Royd. - To byłoby ostrzeżenie, a ja nie mam zamiaru ostrzegać ani Bocha, ani Sanbome'a. Musimy się pozbyć ciała, w przeciwnym razie dalibyśmy Sanbome'owi przewagę. Może mógłby nawet spróbować cię wsadzić za jego śmierć. Wiesz przecież, że ma tyle pieniędzy i znajomości, że z łatwością mógłby to zrobić. I zanim zaczniesz współczuć tej kreaturze, pokażę ci coś, co znalazłem na podłodze w twojej sypialni. - Wyszedł na chwilę, po czym wrócił i rzucił na stół dwa przedmioty. - Przygotował się.

Sophie spojrzała na linę.

- Stryczek?

- Użył noża, ale to była ostateczność. Po prostu Caprio nie był nawet w połowie tak dobrze wytrenowany, jak Jock i ja. Wytrąciłaś go z równowagi, stracił panowanie nad sobą. Ale plan był taki, żeby upozorować samobójstwo poprzez powieszenie. Ale stryczki są dwa. Co ci to mówi?

- Michael? - wyszeptała.

- Rozchwiana psychicznie kobieta zabija swoje dziecko, a potem siebie. Wydawałoby się bardziej prawdopodobne, gdybyś otruła swojego syna, ale Sanbome nigdy nie był dobry w rozpoznawaniu emocji. Może, biorąc pod uwagę twoją przeszłość, stryczki nie są pozbawione sensu. - Odwrócił się na chwilę do Jocka. - Skończę sprzątać i za dziesięć minut będę gotowy. Upewnij się, że droga jest wolna. - Spojrzała jeszcze raz na Sophie i powiedział: - Pogadamy, jak wrócę.

Odprowadziła go wzrokiem.

- Jeśli trzeba, pomogę wam - zwróciła się do Jocka

- I zostawisz Michaela samego? - Jock spojrział na stryczki. Royd mógł ci tego oszczędzić. - Podniósł je i wrzucił do kosza lla śmieci.

- On mi niczego nie oszczędzi - powiedziała Sophie - Nie mam do niego o to pretensji. W takim razie jak mogę wam pomóc?

- Zostań tu i opiekuj się synem. Wiem, co robić. Ty tylko byś przeszkadzała.

Patrzyła, jak drzwi się za nim zamykają, i czuła, jak bardzo jest w tej chwili bezsilna.

Nie mogła zostawić Michaela. Z drugiej strony pozwalała na to, żeby Jock narażał się dla niej. Nie wybaczyłyby sobie, gdyby coś mu się stało.

Był jeszcze Royd. Powinna właściwie czuć to samo w stosunku do Royda. W końcu uratował jej życie, zabijając Caprio. Jednak nie potrafiła czuć winy ani wdzięczności, kiedy chodziło o Royda. Był do niej zbyt wrogo nastawiony.

Ale czy mogła mu się dziwić? Miała szczęście, że Jock był inny. Od momentu, kiedy usłyszała o Garwood, przeżywa agonię ciągłego oskarżania się. Skrzywdziła tych mężczyzn w sposób trudny do wyobrażenia.

Poczucie winy prześladowało ją. Nie mogła przestać o tym myśleć. Nigdy nie przestanie.

Dopóki nie zatrzyma Roberta Sanborne'a.

Jock wrócił, gdy tylko włożyli ciało Caprio do samochodu Royda.

- Myślałam, że jedziesz z nim - powiedziała Sophie.

- Też tak myślałem. Royd stwierdził, że nie ma sensu, żebyśmy obaj ryzykowali, skoro on sam może sobie z tym poradzić. Nie chciał, żebyś została sama.

- Trudno mi uwierzyć, że się o mnie martwił. On jest zupełnie inny niż ty.

- I tak, i nie. Mamy bardzo wiele wspólnego. Kiedy rok temu odnalazł mnie, poczułem z nim pewien rodzaj więzi. Należymy do bardzo ekskluzywnego klubu.

Czuła tę nić porozumienia, kiedy wcześniej siedzieli przy stole. Byli tak różni, a wydawało się, że doskonale się rozumieli.

- On jest zgorzkniały i przepełniony gniewem. Ty też powinieneś taki być.

- On jest sfrustrowany. Mój demon umarł, kiedy zabiłem Thomasa Reilly' ego. Royd wciąż walczy ze swoim. Nie spocznie, dopóki nie dopadnie Bocha i Sanborne' a.

- I mnie?

Jock wzruszył ramionami.

- Nie zabije cię, jeśli przekonam go, że mówiłaś prawdę. Na razie jest nieufny. Myślał, że nareszcie dotarł do kogoś, kto zaprowadzi go do Bocha i Sanborne'a. Nie chce, żebyś była kolejną ofiarą, woli widzieć w tobie kluczową postać. Zajmie mu trochę czasu, zanim się przyzwyczai do myśli, że jesteś po naszej stronie, ale w końcu się przekona. Ale to, że zaakceptuje prawdę, nie znaczy, że nie wykorzysta cię w momencie, w którym będziesz mu potrzebna. Zbyt długo już drzemie w nim żądza zemsty.

- Rozumiem to.

- I nie chodzi tylko o REM-4. W Garwood zginął jego brat.

- Co?

- Boch musiał jakoś zwabić Royda do Garwood, więc załatwił, żeby Sanborne zatrudnił jego młodszego brata. Todd zadzwonił do Royda z zakładu z prośbą o pomoc. Royd oczywiście pojechał.

- Jak zginął jego brat?

- Royd nigdy mi nie powiedział, ale to nie była łagodna śmierć.

- REM-4?

- Sophie, cały ten syf w Garwood nie był wyłącznie związany z REM-4. Sanborne i Boch to skończeni dranie, którzy mają na sumieniu niejedno przestępstwo. Royd powiedział mi, że Boch chciał się go pozbyć dlatego, że był świadkiem jego spotkania z japońskim królem narkotykowym w Tokio. Za-dzwonił do Sanbome'a i powiedział mu, że znalazł sposób na ściągnięcie Royda do Garwood. Nawet gdyby im się nie udało zwabić go do Garwood, znaleźliby inny sposób, żeby się go pozbyć.

- Co Royd robił w Japonii?

- Właśnie wyszedł z "Fok" i, zanim wrócił po Stanów, pojechał na Wschód. Myślał o założeniu firmy, gdyby udało mu się zdobyć pieniądze. Opowiadał mi, że zanim wstąpił do wojska, dorastał w slumsach w Chicago. Wyjście z takiego środowiska sprawia, że człowiek szuka potem tego zabezpieczenia, które dają pieniądze.

- A Garwood wszystko obróciło wniwecz.

- On dopnie swego. Nigdy nie spotkałem nikogo, kto byłby tak zdeterminowany jak on. Po prostu odłożył realizowanie swoich planów życiowych na później.

Przypomniała sobie wyraz skupienia na twarzy Royda, kiedy siedzieli w kuchni przy stole. Zdaje się, że Jock miał rację. Ten człowiek zawsze osiąga swój cel. Odwróciła się.

- Jak myślisz, kiedy wróci?

- Za jakąś godzinę.

- I co wtedy?

- Będziemy musieli zrobić plan.

- Ja mam plan, który zrealizuję w najbliższy wtorek.

- Istnieje duża szansa, że Sanborne nie zrezygnuje z po-zbycia się ciebie, i nie doczekasz najbliższego wtorku.

Miał rację. Też o tym myślała, chociaż nie chciała się przed sobą przyznać, że tak właśnie mogłoby być.

- Zobaczymy.

- Nie sądzę, żeby Royd był tak cierpliwy. Musisz pogodzić się z tym, że w tym wszystkim pojawił się nowy element.

- Z niczym nie muszę się godzić - burknęła. - Odejdź Jock. Z każdą minutą robi się coraz groźniej. Pozwól mi, że sama się tym zajmę.

- Napijesz się czegoś? - Zajął miejsce na krześle naprzeciw niej. - Może się okazać, że będziemy długo czekać.

- Czasami myślę, że wieczność. - Usiadła wygodniej i zamknęła oczy. Cały czas miała przed oczami widok tych dwóch stryczków, które Royd rzucił na stół. Jeden dla niej, drugi dla Michaela. Zawsze martwiła się, co się stanie z Michaelem, gdyby zabiła Sanborne'a, ale nigdy nie przypuszczała, że życie syna może być zagrożone. Zawsze myślała, że ona byłaby jedynym celem. Dlaczego komukolwiek miałyby zależeć na śmierci dziecka? To prawda, że jej ojciec usiłował zabić Michaela, ale tam chodziło o to, żeby wszyscy uwierzyli, że zwariował. Teraz pojawiło się kolejne zagrożenie. Cholerny Sanborne.

- Nie chcę nic do picia. Chcę, żeby ta noc się skończyła.

- Caprio już się zameldował? - spytał Boch, kiedy Sanborne podniósł słuchawkę. - Jeszcze nie.

Boch mruknął jakieś przekleństwo.

- Mówiłem ci, że musisz na niego uważać. Zanim go zwerbowaaliśmy, pracował jako płatny morderca, a eksperymenty z REM-4 nie sprawiły, że jest mądrzejszy.

- Ale jest wobec mnie lojalny. Powiedziałem mu dokładnie, co ma zrobić, i wiem, że to zrobi. Eksperymenty pokazały, że inteligencja czasami przeszkadza w ubezwłasnowolnieniu. Spójrz na Royda.
- Royd był najlepszy ze wszystkich.
- Dopóki pewnego dnia nie zignorował treningu.
- Nie było mu łatwo. Ale nie mówmy o Roydzie. Chcę wiedzieć, dlaczego Caprio się nie zameldował. Poślij jeszcze kogoś do domu Sophie Dunston.
- Żeby zaryzykować, że ktoś go zobaczy, zanim odkryją ciała? Nie mam mowy. Poczekamy.
- Jak chcesz, to czekaj. Ja nie jestem taki cierpliwy. Mam swoich ludzi, którzy, w przeciwieństwie do twoich, mają trochę rozumu. Daję ci dwie godziny, a potem wkraczam.
- Czemu się tak denerwujesz? Ona nawet nie wie o twoim istnieniu. Jej chodzi o mnie.
- Skąd wiedziała, że REM-4 jest tutaj? Skoro wiedziała, mogła równie dobrze dowiedzieć się o naszych kontaktach. Powinieneś był ją zlikwidować, kiedy pojawiła się w okolicy.
- Istniała możliwość, że mogła nam pomóc. REM-4 nie jest doskonały.
- Nic nie jest doskonałe. Nie była nam potrzebna. To, co mamy, jest wystarczająco dobre.
- Twoi klienci mogą być innego zdania. Trzech na dziesięciu umiera lub wariuje.
- To jest wciąż do zaakceptowania. Nie mogę pozwolić na to, żeby tu węszyła. Za trzy miesiące odchodzę na emeryturę, i jeśli chcę utrzymać wszystkie znajomości, muszę być czysty.

Te jego cenne kontakty, pomyślał niecierpliwie Sanborne.

Chociaż mogą się przydać im obu. Ten drań znał każdego człowieka w wojsku, poza tym miał kontakty za granicą, które mogą się okazać bezcenne, gdy REM-4 będzie gotowy. Dlatego teraz starał się ukryć irytację w głosie.

- Utrzymasz swoje znajomości. Na miłość boską, przecież Caprio spóźnia się dopiero godzinę. Nie denerwuj się!

Przez chwilę Boch milczał.

- Dzwonił do mnie mój informator z wiadomością, że Royd opuścił Kolumbię.

- Co?

- Może to nic nie znaczy. Może po prostu dostał następne zlecenie. Jego usługi są w cenie.

- Mówiłeś, że wyślesz kogoś, żeby go załatwił.

- I wysłałem. Trzy razy. On jest zbyt dobry. Zrobiliśmy z niego zawodowca. - Jesteś głupcem.

- Uważaj! Nie mów do mnie w ten sposób.

Uraziłem jego wybujałe ego, pomyślał sarkastycznie Sanborne.

- Miałeś taką okazję, żeby pozbyć się go, kiedy był za granicą.

- Miałem go na oku.

- I pozwoliłeś mu się wymknąć. Boże, pamiętam go w Garwood. Mówisz, że był dobry? Był cholernym ekspertem. Nikt nie był lepszy.

- Znajdę go - zapewnił Boch. - I nigdy więcej nie waż się mówić do mnie w ten sposób.

Sanborne zawahał się. Cholera! Powinienem go kiedyś spacyfikować, powiedział sobie w duchu.

- Przepraszam.

- I dbaj o swoje interesy. Może Sophie Dunston jest tylko kobietą, ale trzeba ją zlikwidować. Chcę być czysty, zanim osiądę na wyspie.

Odłożył słuchawkę.

Czy Boch naprawdę uważał, że on tego nie wiedział? Sophie Dunston stała się niewygodna, kiedy okazało się, że kontynuuje eksperymenty przeprowadzone w Amsterdamie. Blokował ją, ale ta kobieta się nigdy nie poddaje. Szukała i błagała, żeby ktoś ją wysłuchał.

Ale teraz już po wszystkim.

Jeśli Caprio zrobił, co do niego należało.

- Zająłeś się nim? - zapytał Jock Royda, kiedy ten wszedł do domu półtorej godziny później.

Royd skinął głową.

- Ruch na drodze był większy, niż się spodziewałem. - Spojrzał na Sophie. - Wyglądasz ohydnie. Połóż się spać. Porozmawiamy później.

Pokręciła głową.

- Nikt cię nie widział?

- Nie - powiedział i zwrócił się do Jocka: - Możesz już iść.

Zostanę tu i będę pilnował, żeby nic jej się nie stało. - To moja sprawa.

- Och, na miłość boską, dam sobie radę! - wybuchnęła Sophie. - Obaj możecie ...

Michael.

- Dobrze. Jeden z was zostaje. Rzućcie monetą. - Odwróciła się na pięcie. - Będę w pokoju gościnnym na końcu korytarza - rzuciła w drzwiach. - Nie mam jeszcze odwagi wrócić do sypialni.

- Nastawię monitor, a ty idź po prysznic - zaproponował Jock. - Będę czuwał, dopóki nie wyjdiesz z łazienki.

- Dzięki.

Kiedy przechodziła koło sypialni, przeszedł ją dreszcz. Jej bezpieczna przystań stała się sceną przemocy. Może już nigdy nie będzie mogła wejść do tego pokoju bez lęku.

Nie myśl o tym, nakazała sobie. Idź spać. Gdy się obudzisz, będzie lepiej.

Przez następną godzinę nie mogła usnąć. Leżała w łóżku i obmyślała plan. W pokoju obok panowała cisza. Może poszli obaj. Nie, Jock by jej nie zostawił.

Rozdział 5

- Obudź się! Michael!

Zerwała się z łóżka na równe nogi. Nagle ktoś popchnął ją powrotem na pościel.

- Spokojnie. Nic się nie dzieje. Po prostu musiałem cię obudzić - powiedział Royd. - Chciałem, żebyś się kilka godzin przespała, ale twój syn zaraz się obudzi i na pewno nie chciała-bys, żeby spotkał tu obcego człowieka.

- Jasne - przyznała, odgarniając włosy z twarzy. Rzuciła okiem na budzik, który stał na szafce nocnej. W pół do szóstej. - Nie, nie chciałbym, żeby Michael... - Potrząsnęła głową, żeby odegnać resztki snu. - Ale on przed siódmą nie wstaje.

- To dobrze. - Nalał do kubka kawy z dzbanka, który stał na szafce nocnej, i podał jej. - W takim razie, mamy trochę czasu, żeby porozmawiać.

Usiadł w fotelu stojącym obok łóżka. - Przykryj się. Jest chłodno.

- Nie jest mi zimno - skłamała. Koszulka, którą miała na

sobie, była cienka. Poza tym fakt, że była fizycznie i psychicznie wyczerpana, zrobił swoje. - Rozumiem, że twoje było na wierzchu.

- Jock nie oddałby tej sprawy losowi. Chciał zostać ze mną, ale przekonałem go, że i tak muszę z tobą porozmawiać i muszę pobyć przez chwilę sam. - Uśmiechnął się. - Oczywiście mu-siałem mu obiecać, że nie stracę nad sobą panowania i nie poderżnę ci gardła.

- Rozumiem jego obawy - powiedziała sucho. - Jack i ja zaprzyjaźniliśmy się, a ty jesteś wściekły.

- Wzdrygnęła się na te słowa. - A ta wściekłość jest wymierzona we mnie. Nawet cię rozurmem.

- Świetnie. W takim razie jesteśmy na dobrej drodze, żeby się zrozumieć. - Nachylił się do przodu, chwycił koc i rzucił na jej gołe nogi. - Przykryj się, na miłość boską. Masz gęsią skórę.

- Mam nadzieję, że nasza rozmowa nie będzie trwała długo. Co takiego mamy sobie do powiedzenia? Skrzywdziłam cię. Przepraszam. Jeśli jest coś, co mogłabym zrobić, żeby ci to wynagrodzić, zrobię to. - Usta jej wykrzywił dziwny uśmiech. - Jednak nie dam się zabić. Muszę myśleć o synu.

Royd milczał przez chwilę, przyglądając się jej twarzy.

- Boże. Gdyby nie było Michaela, zdaje się, że byś rrru pozwoliła to zrobić.

- Nie bądź śmieszny. - Odwróciła wzrok. - Ale popełniłam straszną zbrodnię i musi istnieć jakaś forma odkupienia jej.

- Jeśli mówisz prawdę, nie wiedziałas, co Sanborne robił z REM-4.

- Czy to powstrzymało Sanborne'a przed tym, co zrobił Jockowi, tobie i innym? Czy to uratowało mojego ojca i matkę? To była moja wina. - Ich oczy się spotkały. - Jeśli nie powstrzymam Sanborne'a, to się nigdy nie skończy. A tej myśli nie mogę znieść, Royd.

- Zabicie Sanborne'a nie wyeliminuje REM-4. Gdyby tak było, zabiłbym go, gdy tylko uciekłem z Garwood. Jest jeszcze Boch. Zabijesz jednego, a drugi czmychnie z dyskiem z REM-4 i tyle go widzieliśmy. Muszę pozbyć się ich obu, zakładu oraz wszystkich akt, każdego zapisku, każdej formuły, której używali w Garwood. Chcę zmieść REM-4 z powierzchni ziemi, żeby nikt więcej nie mógł zrobić nikomu tego, co mnie zrobili. - Ton jego głosu stał się ostrzejszy. - Nie pozwolę, żebyś pokrzyżowała mi plany zabójstwem Sanborne'a. Muszę zniszczyć wszystko.

Pasja, z którą wypowiedział te słowa, sprawiła, że Sophie na chwilę zaniemówiła.

- Co byś zrobił, gdybym jednak go zabiła?

- Lepiej, żebyś nie wiedziała. Myślisz, że teraz jestem wściekły?

Rzeczywiście, potrafiła sobie wyobrazić tę furję, która ogarnęłaby Royda, gdyby ktoś pokrzyżował jego plany.

- Być może będziesz musiał się z tym liczyć.

- Nikt mnie nie powstrzyma. Jeśli chcesz dopaść Sanborne' a, będziesz musiała przejść do mojego obozu.

Zesztywniała.

- Nie chcę ...

- Myślisz, że ja chcę? Ale możesz mi być potrzebna. Przyszedłem tutaj z nadzieją, że uda mi się wydobyć z ciebie choć cię informacji, która ułatwi mi drogę do Sanborne'a i Bocha. Twoje nazwisko figurowało na liście z Amsterdamu. Myślałem, że z nimi współpracujesz.

- Przepraszam, że cię rozczarowałam - mruknęła sarkastycznie.

- W istocie. Nie chciałem być wmieszany w sytuację, w której musiałem zdjąć Caprio. To ciebie miałem ostatecznie sprzątnąć.

Uśmiechnęła się, chociaż jej oczy pozostały poważne. - W końcu ocaliłeś moje nic niewarte życie.

- Nie jest nic niewarte dla mnie. Nie pozwolę na to, żeby było bezwartościowe.

- Żartowałam. Moje życie ma sens. Jestem lekarzem, pomagam ludziom. Jestem matką, i to dobrą. Nie obchodzi mnie, czy jestem cokolwiek warta dla ciebie.

- Ależ obchodzi cię. Czujesz, że masz wobec mnie pewien dług, i mam zamiar to maksymalnie wykorzystać. - Rozsiadł się wygodnie w fotelu i wyciągnął przed siebie nogi. - Więc zacznij przyzwyczajając się do myśli, że nie zabijesz Sanborne'a, póki ja nie wyrażę na to zgody. Teraz odpręż się i posłuchaj.

- Przestań mi rozkazywać, Royd. Zrobię, co będę chciała.

- A chcesz, żeby REM-4 przeżył Sanborne'a? Wiesz, że tak będzie. Kontrola umysłu to rzecz bardzo kusząca, która przyciąga największe szumowiny. Przez ostatnie dekady wojska pół tuzina krajów przeprowadzają z nim eksperymenty. Wszystko się zmieniło, kiedy pojawiłaś się ty. Podałaś Sanborne'owi rozwiązanie na talerzu. Teraz musisz mi pomóc je odebrać.

- Nie muszę robić niczego, czego nie chcę robić.

- Ale ty chcesz to zrobić. Może nie podoba ci się, że przejmuję stery, ale to jest coś, co chcesz zrobić. Jock powiedział mi, że gdybyś mogła, włamałabyś się do zakładu i zniszczyłabyś każdą najmniejszą informację o REM-4. Kiedy się okazało, że to niemożliwe, postanowiłaś ukrócić łeb temu potworowi. Ale pozbawienie Sanborne'a głowy nie zmiecie z powierzchni ziemi REM-4. Musisz wysadzić całe jego królestwo.

Sophie wzięła głęboki oddech, starając się odsunąć od siebie wspomnienie, jakie przywołała jego szczerość. Royd miał rację. Dopóki nie okazało się, że nie może się dostać do zakładu, nie myślała o zabiciu Sanborne' a. Boże, wtedy nawet nie wiedziała o istnieniu Bocha.

Royd przypatrywał się jej uważnie.

- Jeśli załujesz tego, co stało się twoim udziałem, musisz coś na to poradzić. Do diabła, pozbądź się tego cholernego REM-4A.

Przez chwilę milczała.

- Jak? - spytała wreszcie.

- To już coś. - Pochylił się w jej stronę. - Mój człowiek w zakładzie, Nate Kelly, mówi, że przez ostatnie pół roku Sanborne stara się zerwać ze wszystkim i wszystkimi, którzy są związani z REM-4 w tym zakładzie. Kompletna czystka. Mówi, że plotki o przenosinach krążyły, zanim jeszcze zaczęli przenosić sprzęt i archiwum. Sanborne albo zwolnił, albo przeniósł w inne miejsce dwunastu pracowników, którzy od początku związani byli z eksperymentami. Kelly ustalił dane dwóch i próbował się z nimi skontaktować. Jeden zginął w wypadku samochodowym, drugi wyjechał na dłuższe wakacje i nie spodziewano się, że szybko wróci.

- Zostali zamordowani?

- Możliwe. Tak, jak mówię, Sanborne robi czystkę. Myślę, że dowiemy się ... Co się stało?

Sophie zagryzła dolną wargę.

- Moja przyjaciółka, Cindy, która przekazała mi informacje o Garwood ...

- Miałaś ostatnio od niej jakieś wiadomości? Sophie zaprzeczyła ruchem głowy.

- Zwolniła się ponad rok temu. Ale brała udział we wczesnej fazie badań.

- Może jest bezpieczna. Zadzwoń do niej - poradził. - Ty jesteś wysoko na liście ludzi do wyeliminowania.

- Nie miałam do czynienia z Sanborne'em od czasu, kiedy wyszłam ze szpitala. Zadzwoił do mnie wtedy i zaproponował ogromne pieniądze w zamian za powrót do pracy. Posłałam go do diabła. Ale to był okres, kiedy próbowałam interweniować w FBI i u kilku kongresmenów. Na nic się nie zdały te moje wysiłki, ale myślę, że Sanborne obawiał się, że jeśli mnie zabije, mogłoby to wzbudzić podejrzenia.

- Miałaś z nim do czynienia dziś w nocy. To prawda.

- Widziano mnie w zakładzie. Pewnie uznał, że musi się mnie pozbyć, zanim go zabiję.

- Wybacz, ale nie sądzę, że strach przed tobą zmotywował go do tak szybkiego działania. Myślę, że już wcześniej planował zgładzenie ciebie, po prostu przyspieszył realizację tego planu. - Dlaczego właśnie teraz pozbywa się tych wszystkich ludzi?

- Mogę tylko zgadywać. Chce działać na rynku międzynarodowym.

- Co?

- Sanborne uważa, że REM-4 jest już na tyle opanowane, że może zacząć się starać o zagranicznych klientów. Do tego potrzebują bazy, która nie znajduje się na terenie Stanów Zjednoczonych, gdzie będą mogli swobodnie działać, a klienci nie będą przechodzić żadnej kontroli.

- Chce wszystko przenieść za granicę?

- Tak sądzi Kelly. Za granicę lub na którąś z wysp oddaloną niedaleko od głównego lądu. Prawdziwe pieniądze zarobi dopiero na rynku międzynarodowym. Dlatego musi się upewnić, że nikt nie pokrzyżuje mu planów. Chce, żebyś ty i twoje akcje w FBI pozostały już tylko wspomnieniem.

- Stryczek raczej tego nie załatwi - powiedziała i zdała sobie sprawę, że jednak tak. Jeśli wszyscy uwierzyliby w samobójstwo. - Gdzie za granicą?

Royd pokręcił głową.

- Kelly tego nie ustalił. Wie tylko, że ciężarówki wyjeżdżające z zakładu kierują się do doków niedaleko Baltimore.

Sophie zacisnęła pięść.

- Musimy się tego dowiedzieć.

- To właśnie mam zamiar zrobić. Dlatego tu jestem.

- Myślałeś, że ja wiem.

- Taką miałem nadzieję. Ale moja wyprawa nie była nadaremna. Wciąż mogę cię wykorzystać.

- Słucham?

- Czy nie tego właśnie chcesz? To oczywiste, że trawi cię poczucie winy i szukasz tylko sposobu, żeby ją odkupić. Jeśli cię wykorzystam, dostaniesz to, czego pragnęłaś.

- Nie podoba mi się to słowo.

- Nazywam rzeczy po imieniu. Wykorzystam cię we wszelkiej możliwej sprawie. W sposób, którego Jock by nie pochwalił.

- W jaki?

- Sanborne nasłał na ciebie swoje psy.

- Mówiłeś, że chciał się upewnić, odwrócić ode mnie uwagę FBI.

- Chciał też odwrócić od ciebie uwagę swoich zagranicznych klientów. Tylko ty znasz podstawową formułę REM-4. Sanborne musi mieć monopol, a nie będzie go miał, dopóki żyjesz.

Sophie otworzyła szeroko oczy.

- Chyba nie myślał, że mogłabym ją sprzedać?

- Sanborne i Boch wierzą w nieograniczoną władzę korupcji. Na tym założeniu powstało Garwood. Założyli, że w końcu ulegniesz. Właściwie nie mieli wyboru, tylko w to wierzyć. Mówiłeś, że pracowałeś nad udoskonaleniem REM-4. Oni byli—by szczęśliwi, gdyby mogli położyć łapę na twoich wynikach. To wszystko oznacza, że stałaś się dla nich głównym celem.

- Więc?

- To się dla mnie dobrze składa - powiedział bez ogródek.

- Jeśli tak im na tobie zależy, będą cię szukać. Może popełnią jakiś błąd. Może wyślą kogoś, kto będzie miał informacje, których potrzebuję. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Mogę cię również użyć jako przynętę,

- Myślisz, że ci na to pozwolę?

- Tak. Myślę, że zaczynam cię poznawać. Pozwolisz mi na wiele, żeby odkupić dawne winy.

- To byłoby głupie.

- Zrobiłabyś to. Mylę się?

Nie odpowiedziała.

- Dlaczego tak myślisz?

- Ponieważ jesteśmy bardziej do siebie podobni, niż sądzisz. Dałbym się ukrzyżować, gdybym mógł cofnąć czas.

Wypowiedział te słowa cicho, ale na jego twarzy odmalowało się poruszenie.

- Dlaczego?

- Bo kiedyś dokonałem złego wyboru. Podobnie jak ty.

Chciała go spytać, o jaki wybór chodziło, ale bała się dopuścić do zbytnej poufałości, która mogłaby ich tylko do siebie zbliżyć. A to byłoby zbliżenie się do wściekłego zwierzęcia, Pomyślała, że to nie jedyne podobieństwo. Kiedy tak tu siedział wielki, mocny, z napiętą twarzą, wydał jej się dziwnie znajomy.

Tygrys, tygrys w oślepiającym blasku ... Odwróciła wzrok.

- Ja bym się tak nie poświęciła.

- Jasne. REM-4 od lat kieruje twoim życiem. - Chciała coś powiedzieć, ale powstrzymał ją, podnosząc w górę rękę. - Możesz przyłączyć się do mnie i zniszczyć REM-4 albo zabić Sanborne'a, ryzykując, że REM-4 będzie nadal niszczył ludzkie życie. Wybór należy do ciebie.

- Nie udawaj, że ci nie zależy.

Uśmiechnął się.

- No dobrze. Zależy mi. Mogłabyś mi to ułatwić.

Chwilę milczała.

- Co na to wszystko Jock?

- Jock jest rozdarty. Musi wracać do Szkocji. Wie, że potrafiłbym się tobą zaopiekować. Wie też, że nie musiałbym tego robić, gdyby tak było dla mnie wygodniej.

Tak, Royd nie liczyłby się z nią. Ale droga, którą podąża, to n;l, który ona wyznaczyła sobie już wiele lat temu.

- Przemyślę to.

- Tylko szybko. Muszę cię stąd zabrać. Mamy najwyżej kilka godzin, zanim Sanborne wyśle kogoś, żeby sprawdził, co z Caprio. Może już się zorientował, że Caprio nawalił, i zleca tę robotę komu innemu.

- Mam pracę. Nie mogę tak po prostu zniknąć.

- Możesz przecież zachorować. Jesteś lekarzem. Na pewno będziesz potrafiła symulować chorobę.

- Nie mam w zwyczaju kłamać - oburzyła się.

- A ja tak. Jeśli wiem, że to może uratować mi tyłek. - Wstał. - Rozejrzę się dookoła domu.

Sprawdzą, czy wszystko w porządku. Miej przy sobie telefon. - Podał jej wizytówkę z numerem telefonu. - Możesz też po prostu zawołać. Tak czy inaczej wrócę za godzinę. Możesz mnie wtedy przedstawić synowi, żeby wiedział, kim jestem. Na twoim miejscu nie posyłałbym go dzisiaj do szkoły.

Sophie przeszedł dreszcz.

- Zastanowię się. Zresztą on nie będzie wiedział, o co chodzi.

- Nie musi. I tak ma za sobą dużo gorzkich doświadczeń mówiąc to, Royd zmarszczył brwi. - Może mieć problem. Muszę coś wymyślić.

- Zostaw w spokoju mojego syna. Nie pozwolę ci go wykorzystać.

Uśmiechnął się.

- Widzisz, już pogodziłaś się z tym, że wykorzystam ciebie. Taka jest siła poczucia winy.

Spojrzała na niego w zamyśleniu.

- Jestem przekonana, że potrafisz być przerażający.

- Pewnie masz rację. - Ruszył w stronę drzwi. - Nastawię kawę i zadzwonię po Jocka. Będzie chciał, żebyś go upewniła, że powinien wracać do MacDuff's Run.

- Już mu to powiedziałam.

- Ale teraz masz w ręku silniejszy argument.

- Jeszcze nie podjęłam decyzji, jeśli chodzi o ciebie, Royd.

- A więc pośpiesz się. Nie możesz stracić takiej okazji. Mogę ci nawet obiecać, że ani ty, ani twój syn nie zginiecie, jeśli będziecie wykonywać moje polecenia.

Słyszała jego kroki w korytarzu i trzaśnięcie drzwi frontowych.

Boże.

Opadła na poduszki, myśląc o tym, co powiedział Royd.

Zanim się zjawił, wierzyła, że zabicie Sanborne'a położy kres nieszczęściu, które spowodowała.

Teraz nie była pewna. Wszystko się komplikuje.

Przynajmniej w swojej krucjacie nie będzie sama.

Royd i tak będzie ścigał Sanborne'a. Z nią czy bez niej. Jeśli się zgodzi na jego warunki, może wiele stracić. Z drugiej strony Royd może się jej przydać.

Nie mogła już zasnąć. Wstała z łóżka i poszła do łazienki.

Kwadrans później była ubrana i szła do kuchni.

Nagle zatrzymała się w progu.

Cholerny manipulator. Niech go diabli wezmą!

Na blacie kuchennym, obok ekspresu do kawy, leżały dwa stryczki, które wcześniej Jock wrzucił do kosza.

- W porządku, Jock. Nie jesteś już tam potrzebny - powiedział MacDuff. - Wracaj do domu.

- Sanborne zaczyna mieszać. Chciał ją zabić.

- Royd go powstrzymał. Powiedziałeś mi, że z nim jest bezpieczna. Ufasz mu?

- Ufam mężczyźnie, którego poznałem rok temu. Myślę, że ufam mu też teraz, ale stawka nie toczy się o moje życie. Możesz zadzwonić do Yenable'a z CIA i dowiedzieć się, czy mogą sporządzić raport o Roydzie?

- On nie zajmuje się Ameryką Południową. Poza tym, odkąd pomógł w pozbyciu się Thomasa Reilly'ego, awansował. Może nie chce ryzykować posady.

- Przekonaj go. Musi przecież mieć kontakty w Ameryce Południowej. Chcę wiedzieć.

- Jeśli raport cię usatysfakcjonuje, wrócisz? Jock przez chwilę milczał.

- Na trochę. Będę chciał trzymać rękę na pulsie. MacDuff zaklął pod nosem.

- Jock, to nie jest... - Urwał nagle. - Zaraz oddzwonię dodał po chwili.

Rozłączył się.

Jock wstał. Zanim wróci do domu Sophie, powinien wziąć prysznic. Royd powiedział mu, że kazał Sophie zostać z Micha-elem w domu. Ale Royd nie znał Sophie. Ona i tak zrobi to, co będzie uważała za słuszne.

Jeśli mu się poszczęści, MacDuff wkrótce zdobędzie potrzebne mu informacje. Szkot zawsze osiągał zamierzony cel. Chce, żeby Jock wrócił do domu, i zrobi wszystko, żeby tak było.

Jeśli to będzie konieczne, MacDuff przyjedzie do Waszyngtonu. Boże! Jock, nie chciał mieszać go do tego wszystkiego. MacDuff i tak już uratował mu skórę, dzięki niemu nie zwariował. Ale zależność Jocka od jego przyjaciela musi się kiedyś skończyć.

Zadzwonił telefon.

- Właśnie wsiadła z dzieckiem do samochodu - powiedział Royd. - Dokąd, u diabła, może jechać?

- Zabrała ze sobą jakieś rzeczy?

- Nie.

- W takim razie odwozi Michaela do szkoły. Pewnie zostanie w okolicy, żeby upewnić się, że wszystko porządku.

- Mówiłem jej, żeby została w domu, do cholery! - wybuchnął Royd.

- Jedziesz za nią?

- Oczywiście.

- Jeśli ich zgubisz, chłopak chodzi do Thomas Jefferson Middle School. Nie powinieneś rozmawiać z nią teraz, kiedy jesteś taki wściekły. Nie rób tego, jeśli chcesz, żeby współpracowała. Pewnie ją czymś wkurzyłeś, prawda?

- Może. Ryzyko zawodowe. Mogłem albo ją zastraszyć, albo być agresywny.

- Chyba nic nie udało ci się wskórać.

- Będzie tego żałować. Boch i Sanborne już na pewno wiedzą, że Caprio nie wykonał zadania.

Przyślą kogoś innego.

- Najpierw upewnią się, że teren jest czysty.

- W domu nie jest bezpieczna. Może nawet nie jest bezpieczna, w ogóle zostając w mieście.

Przekonaj ją.

- Ale z tobą będzie bezpieczna? - upewnił się Jock po chwili milczenia.

- Obiecałem jej. Dotrzymuję obietnic. Porozmawiaj z nią.

- Zastanowię się.

Royd nie odzywał się chwilę.

- Jestem inny niż ty. Nie będę dla niej miły. Nie wybaczę jej, jeśli nawali. Będą nią manipulował i wykorzystam ją, żeby osiągnąć swój cel. Ale ostatecznie pozbedziemy się REM-4, a ona będzie żyła.

Czy nie tego właśnie chcemy?

- Cel uświęca środki?

- A tak - burknął Royd. - Nie udawaj, że myślisz inaczej.

- Staram się tak nie myśleć. Tego nas uczyli na szkoleniu

w Garwood. Nie chcę dać tym sukinsynom tej satysfakcji. - Nie zawsze się udaje.

Nie, nie zawsze, pomyślał Jock. Pranie mózgu, jakie im zafundowali, odwoływało się do najbardziej zwierzęcych instynktów w człowieku.

- Czasami.

- Tak, czasami. Ale nie w przypadku Bacha i Sanborne'a.

- Royd zamilkł na chwilę. - Jestem przy szkole.

- Na jakiej ulicy.

- Sykomory.

- No tak, wiezie go do szkoły. Zaparkuje i będzie obserwowała szkołę. Chcesz, żebym tam pojechał?

Cisza.

- Tak. Muszę skontaktować się z Kellym i porobić plany. Zadzwońię do ciebie, jak skończę. Zmienię cię.

- Będę za pół godziny.

Cholerny Jock.

MacDuff wstał i podszedł do okna gabinetu. Patrzył na fale rozbijające się o brzeg. Tylko tego mu brakowało, żeby Jock I rzucił na niego ten ciężar. Dlaczego ten chłopak nie może po prostu wrócić do domu?

Bo Jack nie jest już małym chłopcem. Robi, co uważa za słuszne, i nie potrzebuje MacDuffa. W pewnym sensie łatwiej było, kiedy Jock był tym cholernym robotem.

Łatwiej, ale nie lepiej. Stopniowo Jock stawał się człowiekiem, którym mógłby się stać wcześniej, gdyby nie padł ofiarą eksperymentów Thomasa Reilly'ego. Nie, to nieprawda. To doświadczenie zmieniło go. Nigdy już nie będzie tym żywym, radosnym chłopcem, który jako dziecko biegał po całym zamku. Wszędzie go było pełno. Ale niech to, wyszedł z tej czeluści i MacDuff nie da sobie odebrać tego, że to on mu w tym pomógł.

Dobrze, a teraz trzeba sprowadzić go do domu. Musi zapomnieć o Sophie Dunston i jej problemach. Bóg wie, że Jack miał wystarczająco dużo własnych kłopotów.

MacDuff podniósł słuchawkę i wykręcił numer Venable'a.

- Mówi MacDuff. Chcę cię prosić o przysługę.

- Znowu? Oddałem ci przysługę, kiedy przekazałem ci prawa nad Jockiem. Nie będę znowu nadstawiał za ciebie głowy.

- To nic takiego. Potrzebne są mi pewne informacje.

Venable chwilę milczał.

- Jeśli chodzi o Sanborne'a, wiesz, że nic nie mogę zrobić. To za duża szucha. Na niego trzeba mieć niezbita dowody. Wysłałem człowieka do Garwood. Nie znalazł żadnych powiązań z Sanborne'em. Fabryka plastiku, która splajtowała po roku działalności. Jeśli chodzi o Sophie Dunston, to CIA ma ją za wariatkę, która mści się na szefie za to, że ją wyrzucił.

- Jock jej wierzy.

- Myślisz, że jego mają za stabilnego psychicznie? Na miłość boską, on też był w psychiatryku. Poza tym trzy razy próbował popełnić samobójstwo.

- Nie chodzi o Sanborne'a.

- To dobrze, bo i tak nic nie mogę zrobić.

- Chcę, żebyś sprawdził człowieka, który pracuje dla was w Kolumbii. Potrzebuję informacji o nim jak najszybciej. Najwyżej za kilka godzin.

- Będzie ciężko. Jestem bardzo zajęty.

- Wiem. Ale to pomoże mi sprowadzić Jocka do domu. Ty i tak nigdy nie pochwalaleś jego swobody.

- Racja - mruknął Venable. Westchnął. - Dobrze, kto to ma być?

- Cześć, Sophie.

Sophie zamarła. Odetchnęła z ulgą, kiedy zobaczyła Jocka idącego w stronę samochodu.

W rękę trzymał torbę z MacDonalda.

- Przyniosłem ci cheeseburgera i frytki. Założę się, że nie jadłaś śniadania. Siedzisz tu już od kilku godzin.

- Skąd wiesz? - zdziwiła się. Odblokowała zamek, otworzyła drzwi i wzięła cheeseburgera. - Śledziłeś mnie?

- Ja nie. Royd. Przekazał mi pieczę nad tobą. Powiedział, że ma do załatwienia sprawy, ale wydaje mi się, że po prostu chciał, żebym załagodził sytuację.

- Drań - mruknęła i ugryzła kanapkę. - Ten człowiek jest zimny jak lód.

- Nie. Wręcz odwrotnie. Jest raczej jak ogień. Frytkę?

Wzięła jedną. .

- Bronisz go?

- Nie, tłumaczę. Nie marnowałbym śliny, gdybym nie wierzył, że powinnaś go zrozumieć.

- Dlaczego?

- Myślę, że wiesz. Jesteś zła, ale zdajesz sobie sprawę, że Royd mógłby ci pomóc.

- I powinnam mu ufać? Skinął głową.

- MacDuff uważa, że tak.

- Słucham?

- Poprosiłem, żeby sprawdził, jakie zadanie Royd wykonywał ostatnio w Kolumbii.

- I?

- Znajomy z CIA skontaktował się z Ralphem Soldono, człowiekiem, który ma do czynienia z Roydem w Kolumbii. Soldono jest pod wrażeniem Royda. Uważa go za wojskowego supermana. Pracuje sam albo z kilkoma jego Ludźmi.

- Co robi?

- Wszystko. Od odbijania ludzi z rąk buntowników do eliminowania szczególnie niebezpiecznych grup bandyckich. Jest szybki, bystry i nigdy się nie poddaje.

- Zdążyłam się zorientować.

- Soldono powiedział też, że Royd nigdy się nie wycofuje z roboty, bez względu na to, jak trudna się staje. I dotrzymuje słowa - dodał po chwili milczenia. - To chyba jest dla ciebie ważne?

- Tak. Powiedział, że nie zabije mnie ani Michaela i że REM-4 zostanie zniszczony. Mam mu wierzyć?

Uśmiechnął się.

- Za dobrze cię znam, żeby próbować wpływać na twoje decyzje. Mogę ci tylko dostarczyć potrzebne informacje i zostawić do oceny. Soldono uważa, że można na Roydzie polegać. Ale ten facet nie jest ani grzeczny, ani subtelny. Może też narażać twoje życie. Sama musisz zdecydować, czy chcesz zaryzykować. Na pewno też nieraz zachowa się niestosownie.

- O, tak - potwierdziła Sophie, przypominając sobie dwa stryczki obok ekspresu do kawy.

Jock przyglądał się jej uważnie.

- Ale skłaniasz się ku niemu?

- Wiesz, że chciałam włamać się do zakładu i zniszczyć wszystkie informacje o REM-4. Nie mogłam. Royd ma w zakładzie swojego człowieka, który wie więcej ode mnie. Pewnie dużo więcej. Mówi, że chce się mną posłużyć. Pozwolę mu spróbować. Może ostatecznie to ja się nim posłużę. - Spojrzała na Jocka. - Ale ty nie masz tu już nic do roboty. Jedź do domu.

- Ciągle to słyszę. I może, jeśli spodoba mi się plan Royda, wrócę na jakiś czas. Zobaczę. Powiedziałaś coś Michaelowi? - Nie, obudziłam go późno i potraktowałam to jako wymówkę, żeby odwieźć go do szkoły.

- To nie będzie trwało długo. On ...

- Wiem - przerwała mu. - Ale dopóki nie muszę, nic mu nie powiem. Nie chcę, żeby miał jeszcze gorsze koszmary.

Skinął głową.

- Po prostu przygotuj się na to. - Otworzył drzwi. - Wracam do swojego samochodu. Muszę zadzwonić w kilka miejsc. Jeśli chcesz, zostanę i odbiorę Michaela.

- Nie, po lekcjach ma trening. Zabiorę go do Chuck E. Cheese w drodze do domu.

- Jechać z wami?

- Nie. Muszę coś jeszcze zrobić.

- Posiedzę tu chwilę. I obiecuję, że do końca dnia nie będziemy cię śledzić. Ani Royd, anija. Zadzwon, jeśli zmienisz zdanie i będziesz chciała towarzystwa.

Popatrzyła, jak odchodzi. Wołałaby, żeby to Jock z nią został, nie Royd. Wołała też zmienić zdanie. Ale Royd był na tropie, a Jock musiał wracać do Szkocji. Na razie musiała zaufać temu draniowi.

Rozdział 6

- Co się dzieje, mamó? - zaniepokoił się Michael, patrząc przez okno samochodu. - Coś się stało?

Sophie zacisnęła ręce na kierownicy. Chociaż podczas obia-
du Michael milczał, spodziewała się, że
zada to pytanie.

- Co masz na myśli?

- Martwisz się czymś. Najpierw myślałem, że chodzi o mnie, ale to chyba coś więcej, prawda?

Powinna była wiedzieć, że Michael wyczuje jej niepokój. Po tym wszystkim, co przeszedł, stał się
wrażliwy na takie sprawy. Czasami zastanawiała się, jak mu się udaje pozostać normal-
nym
chłopcem.

- To nic takiego. Praca.

- Szczerze?

Zawahała się. Chciała go chronić, ale czy ukrywanie prawdy było najlepszym rozwiązaniem? Sprawy
się komplikowały i może się zdarzyć, że wkrótce Michael będzie musiał stanąć twarzą w twarz z całą
tą ohydą.

- Nie musisz się niczym martwić, przynajmniej na razie. I nie chodzi o pracę.

Michael chwilę milczał.

- Chodzi o dziadka?

Sophie zagryzła wargi. To był pierwszy raz, kiedy wspomniał jej ojca od czasu tego tragicznego
popołudnia na pomoście.

- Częściowo. Może się okazać, że będę musiała najakiś czas odesłać cię do taty.

Chłopak energicznie potrząsnął głową.

- Nie zgodzi się.

- Zgodzi się. On cię kocha.

- Dziwnie się przy mnie zachowuje. Zawsze czuje ulgę, kiedy wyjeżdżam.

- Może myśli, że ty nie lubisz z nim przebywać. Powinniście pogadać.

Znowu potrząsnął głową.

- Nie będzie chciał, żebym u niego został. Zresztą i tak bym do niego nie pojechał. Jeśli masz kłopoty, zostanę z tobą.

Wzięła głęboki oddech.

- Porozmawiamy o tym w domu. Tak naprawdę nie mam problemów i nic ...

- Spójrz na te ciężarówki - przerwał jej Michael, otwierając okno. - Co się dzieje?

Trzy biało-niebieskie ciężarówki na światłach, z napisami Baltimore Light and Gas stały zaparkowane przy ulicy. Nagle zobaczyła policjanta rozmawiającego na środku ulicy z motocyklistą.

Sophie najpierw zwolniła, potem zatrzymała się.

- Nie wiem. Zobaczymy.

Policjant puścił motocyklistę i szedł teraz w kierunku samochodu Sophie.

- Co się stało? - zapytała.

- Ulatnia się gaz. Pani mieszka w tym budynku?

- Nie, cztery budynki dalej - powiedziała i spojrzała na mężczyzn w szarych uniformach, którzy wchodzili do domu. - Czy oni ewakuują ludzi?

- Nie, sprawdzają, gdzie jest awaria. Mamy pilnować, żeby nikt nie wchodził do budynków, dopóki nie skończymy. - Uśmiechnął się. - Na razie znaleźli dwie małe usterki. Ale musimy uważać. Radzimy wszystkim na ulicy, żeby nie włączały żadnych urządzeń, dopóki nie skończymy.

- Mieszkam przy High Tower, czy nas to obejmuje?

Policjant zajrzał do rozpiski.

- Nie. Tam powinno być w porządku. Proszę tylko uważać. - Machnął na znak, że może jechać. - Jeśli będzie miała pani jakieś wątpliwości, proszę zadzwonić do spółki gazowej.

Oczywiście.

- Wyczujemy gaz, jeśli u nas się ulatnia, prawda? - zapytał Michael, gdy ruszyli.

- Jasne. Dodają do niego zapach, żeby można było wyczuć. Przejeżdżając obok kolejnych domów, Sophie nie zauważyła żadnych oznak awarii. - Na wszelki wypadek i tak zadzwonimy do spółki gazowej.

Wjechała na podjazd i pilotem otworzyła garaż.

- Wiesz co, powinniśmy to zrobić, zanim ...

- Zatrzymaj się. - Przyoknie samochodowi zobaczyła twarz Royda. - Zatrzymaj się!

Sophie instynktownie nacisnęła pedał gazu.

- Wychodźcie oboje!

Tonjego głosu był nieznoszący sprzeciwu. Sophie posłusznie wykonała polecenie. Otworzyła drzwi.

- Wsiadaj, Michael.

- Mamo, co ... - mamrotał zdezorientowany Michael, wychodząc z samochodu.

- Dobrze. - Royd usiadł na siedzeniu kierowcy. - Teraz weź go do mojego samochodu. Jasnobrązowa

toyota. Kluczyki są w stacyjce. Zabierz go stąd. Zadzwoń do ciebie, kiedy będzie wystarczająco bezpiecznie, żebyś mogła wrócić.

Zawahała się.

- Zrób to! - rozkazał.

Sophie wzięła Michaela za rękę i pobiegła w kierunku toyoty. Kiedy byli już w samochodzie i Sophie ruszyła, Michael zapytał:

- Mamo, kim był ...

- Nie teraz. - Spojrzała w lusterko wsteczne. Co, u diabła ...

Jej samochód zjeżdżał właśnie z podjazdu. Nagle ruszył gwałtownie do przodu.

Royd wyskoczył z samochodu i popchnął go do garażu. Co się dzieje?

Michael obejrzał się za siebie.

- Co on robi? Dlaczego powiedział, że ...

Nagle dom eksplodował.

Szyby samochodu zatrzęśły się od siły wybuchu. Płomienie.

Drewno, drzwi, szkło, wszystko w kawałkach spadało na chodnik.

Royd!

Gdzie był Royd?

Jeszcze przed chwilą widziała go, jak leżał na trawniku.

Teraz wszędzie był czarny dym.

Zadzwoił jej telefon. Usłyszała głos Royda:

- Czekam na ciebie za rogiem, na końcu ulicy.

- Co się stało? Co ty zrobiłeś?

Rozłączył się.

Rzuciła telefon i wykręciła gwałtownie. Kątem oka widziała, jak z domów wybiegają ludzie i pędzą w stronę piekła, które zostało z jej domu.

Jej domu. Domu Michaela.

Spojrzała na syna. Miał bladą twarz, ręce zacisnął na plecaku. - Trzymaj się, teraz jesteśmy bezpieczni.

Tylko potrzasnął głową.

Prawdopodobnie był w szoku.

Czy mogła się dziwić? Ona sama była wstrząśnięta. Royd stał na rogu.

Sophie zjechała na krawężnik. Royd wskoczył na tylne siedzenie.

- Jedź. Spadamy stąd. Nikt nie powinien cię zobaczyć.

Nacisnęła pedał gazu. Usłyszała dźwięk syreny.

- Dlaczego?

- Później ci wytłumaczę. Skręć w lewo w następną przecznicę - polecił Royd, wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer. - Do diabła, Jock, awaria. Spotkajmy się w zajeździe La Quinta przy autostradzie nr 40. - Rozłączył się. - Zatrzymaj się i prześiądź się z chłopakiem na tylne siedzenie. Ja poprowadzę.

- Przestań mi rozkazywać, Royd - powiedziała Sophie, starając się opanować drzenie głosu. - Musisz mi to wszystko wyjaśnić.

- Może nie przy chłopcu - odparł cicho Royd. - A ja teraz nie mogę mu pomóc.

Miał rację. Przed chwilą Michael był świadkiem, jak jego dom stanął w płomieniach, i wciąż był w szoku. Zjechała na krawężnik.

- Chodź, Michael. Musimy się przesiąść.

Nie protestował. Jego ruchy były nieskoordynowane.

- Wszystko w porządku. - To było kłamstwo. - Nie, nie w porządku. - Przytuliła go. - Jest fatalnie, ale zrobimy wszystko, żeby było dobrze.

Chłopiec nawet na nią nie patrzył. Skupił wzrok na Roydzie, który siadał właśnie na miejscu kierowcy.

- Kto to jest?

- Nazywa się Matt Royd.

- On wysadził w powietrze nasz dom.

- Nie. On nie chce nas skrzywdzić.

- To dlaczego ...

- Wytłumaczę ci, jak tylko sama się dowiem. To już niedługo. Zaraz spotkamy się z Jockiem.

Chłopiec skinął głową.

- Nie pozwolę, żeby cokolwiek ci się stało.

Chłopiec podniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy.

- Za kogo mnie masz, mamó? Nie boję się, że coś mi się stanie. Chodzi mi o ciebie.

Sophie przytuliła go do siebie mocniej.

- Przepraszam. Cóż, nie pozwolę też, żeby cokolwiek mi się stało.

Poniosła wzrok i napotkała spojrzenie Royda w lusterku wstecznym.

- Zawieź nas do zajazdu. Mój syn i ja musimy się dowiedzieć, o co tu chodzi.

- Zaczekajcie tu.

Royd wyskoczył z samochodu i poszedł do recepcji. Wrócił po pięciu minutach.

- Pokój 55. Pierwsze piętro. To na końcu budynku. Sąsiednie pokoje są puste. Zapłaciłem za nie.

Zaparkował przed wejściem do pokoju i podał jej kluczyki. - Zamknijcie drzwi. Idź, może chłopiec się uspokoi. Ja zaczekam na Jocka.

- Nie jestem chłopcem - obruszył się Michael. - Nazywam się Michael Edmunds.

Royd skinął głową.

- Wybacz, jestem Matt Royd. - Wyciągnął rękę. - To, że mamy małe zamieszanie, nie oznacza, że mogę cię traktować tak, jakbyś był nieobecny. Zaprowadzisz mamę do pokoju i podasz jej szklanekę wody? Wygląda na zdenerwowaną.

Michael spojrzał na wyciągniętą dłoń i po chwili ją uściśnął. - Nic dziwnego - powiedział. - Ale dojdzie do siebie. Jest twarda.

- Zdążyłem zauważyć - przyznał Royd i spojrzał na Sophie.

- Twój Michael też jest twardy. Powinnaś być z nim szczerą.

Sophie wysiadła z samochodu.

- Nie potrzebuję rady, jak mam rozmawiać z synem. Chodź, Michael.

- Poczekaj. - Michael wciąż przypatrywał się Roydowi.

- Skoro nie ty wysadziłeś nasz dom, zrobił to ktoś inny. Mam rację? To chyba nie był wypadek.

- Masz rację - twierdził bez wahania Royd. - To nie był wypadek. Ktoś po prostu chciał, żeby tak to wyglądało.

- Dość tego - przerwała Sophie.

Royd wzruszył ramionami.

- Chyba popełniłem gafę.

- Prawdziwą gafę popełnisz, jeśli nie przyjdiesz zaraz do nas i nie powiesz mi, o co tu naprawdę chodzi. - Spojrzała na Michaela. - To znaczy nam.

Royd uśmiechnął się.

- Przyjdę, jak tylko zjawi się Jock.

- Liczę na to. - Podeszła do drzwi i przekreśliła klucz w zamku. - Mam już dosyć tego, że robi się rzeczy za moimi plecami.

- Powiedział, żebyśmy zamknęły drzwi - przypomniał Michael, kiedy byli już w środku, a Sophie trzasnęła drzwiami.

Przesunęła zasuwkę.

- Taki miałam zamiar.

- Jesteś na niego wściekła - zauważył Michael, przyglądając się jej uważnie. - Dlaczego?

- Nie przekonał mnie do siebie.

- Czy on przypadkiem nie uratował nam życia?

- No, tak - przyznała niechętnie.

- Ale ty go nie lubisz.

- Nie znam go dobrze. Ale to jest typ, który staranuje cię, jeśli nie zejdziesz mu z drogi.

- Na początku też mi się nie podobał, ale chyba nie jest złym człowiekiem.

- Słucham?

- Nie, nie jest taki jak Jock - powiedział szybko Michael. - Ale czuję się przy nim bezpiecznie. Jest jak Schwarzenegger w "Terminatorze", którego widziałem u taty.

No tak, zdaje się, że ten film umieściła na liście filmów zakazanych. Nawet w tym przypadku nie może polegać na byłym mężu.

- Royd nie jest żadnym Terminatorem. - Może nie powinna tak deprecjonować Royda, w końcu tak niewiele rzeczy dawało Michaelowi poczucie bezpieczeństwa. - Ale przy nim nic ci się nie stanie. Był kiedyś w komando "Foki". Wie, co robi.

- Był w "Fokach"?

Widziała, że to mu zaimponowało. Może za bardzo. - Usiądź i spróbuj wypocząć. Co za wieczór!
Michael pokręcił głową.

- Ty usiądź. - Poszedł w stronę łazienki. - Pan Royd powiedział, że powinnaś napić się wody.

- Pan Royd jest... - przerwała w pół zdania. Nie powinna.

Michael oderwał się teraz od tego, co się stało. To mu dobrze zrobi. Opadła na fotel. - Rzeczywiście przyda mi się.

Podał jej szklankę wody i usiadł na łóżku.

- Pan Royd miał rację. Muszę wiedzieć, o co tu chodzi, żeby móc ci pomóc, mamó.

Boże, teraz w ogóle nie przypominał dziecka.

Ale to nie znaczy, że może go tym wszystkim obarczać. Jeśli nie zdradzi mu chociaż części

informacji, ryzykuje, że koszmary Michaela się nasilą. A to byłoby chyba gorsze.

- Mamo, nie trzymaj mnie od tego z daleka. Ja muszę ci pomóc.

- Michael... - Poglaskała go po policzku. Boże, jak ona go kochała! Co ma mu powiedzieć? Że jego matka była gotowa zabić człowieka? Że wczoraj ten człowiek próbował zabić ich oboje? Może na razie wystarczy ogólny zarys sytuacji, bez wdawania się w szczegóły.

- Kilka lat temu bardzo martwiłam się o twojego dziadka.

Pewnie nie pamiętasz, ale miewał koszmary. Coś tak, jak ty. Cierpiał też na bezsenność. Bardzo chciałam mu pomóc. Więc zaczęłam pracować nad ...

- Czy to Sanborne wysadził nasz dom? - spytał Michael. Sophie skinęła głową.

- Prawdopodobnie on to zlecił.

- Chciał cię zabić. Czy on cię nienawidzi?

- To chyba nawet nie jest nienawiść. Po prostu mu przeszkadzam. Chce się pozbyć każdego, kto wie cokolwiek o REM-4.

- Nienawidzę go. - Oczy Michaela błyszczały. - Chciałbym go zabić.

- Rozumiem to. Ale ja też ponoszę odpowiedzialność. To nie ...

- To on skrzywdził dziadka i babcię i tych wszystkich ludzi - przerwał jej. - Skrzywdził ciebie. To nie twoja wina. On to zrobił. To on to wszystko zrobił.

Poczuła jego łzy na swoim policzku.

- Poniesie karę. Staramy się znaleźć sposób, żeby go ukarać. A to nie jest łatwe.

- Dlaczego? Przecież dobrzy zwyciężają.

- Zwyciężymy. - Spojrzała mu w oczy. - Obiecuję .

- On wysadził nasz dom, więc dlaczego my nie wysadzimy jego? - powiedział gwałtownie.

Wielki Boże!

- Oko za oko?

- Założę się, że pan Royd tak właśnie by zrobił. Zapytamy go?

- Musimy go zapytać o wiele rzeczy. Ale chyba nie o to. - Pocałowała go w czoło. Czas wrócić do normalności, jeśli Michael miał przespać noc spokojnie. - Idź umyć twarz. Żadne z nas nie jadło za wiele. Zadzwoń po pizzę.

- Nie jestem głodny - powiedział. - Ale ty powinnaś coś zjeść.

- Mam nadzieję, że i ty zjesz trochę. Zapytam Royda, czy zje z nami. - Poszła w kierunku drzwi. - Jock powinien zaraz tu być. On chyba lubi pepperoni.

- Z grzybami - powiedział Michael, idąc w kierunku łazienki. - Zaraz wrócę.

Otwierając drzwi, pomyślała z ulgą, że Michael zachowywał się normalnie. Myślała, że będzie się bał, ale go nie doceniała. Po szoku przyszedł gniew i poczucie odpowiedzialności za nią. Royd i Jock siedzieli w samochodzie. Kiedy ją zobaczyli, wysiedli.

- Przykro mi, Sophie - powiedział cicho Jock. - To musiał być dla was szok.

- Jak on się ma? - spytał Royd.

- Dobrze. - Sophie wzięła głęboki oddech. - Nie, nie jest dobrze. Będziesz zadowolony, kiedy ci powiem, że z nim rozmawiałam.

- Powiedziałaś mu wszystko?

- Prawie wszystko. Nie musi wiedzieć o Caprio. - Spojrzała na Jocka. - Nie musi też wiedzieć, co dokładnie zdarzyło się tobie i Roydowi.

- Dobrze - zgodził się Royd. - Mógłby nas pomylić ze złą stroną. Myślę, że i tak ma w głowie zamęt.

Sophie przytaknęła.

- Do tego stopnia, że uważa cię za Terminatora. Rozwiałam jego nadzieje i powiedziałam, że jesteś człowiekiem z krwi i kości.

Jock się zaśmiał.

- Nie miej mu tego za złe. W ostatnich dwóch filmach Terminator ochraniał dzieciaka.

- A w pierwszym był głównym złoczyńcą. Jestem pewien, że woli ciebie - powiedział Royd - Ty jesteś żelazną ręką w aksamitnej rękawiczce.

- Cóż, też myślę, że mnie lubi bardziej. Czego nie można we mnie lubić? - zażartował Jock.

Sophie spojrzała na nich chłodno.

- Może tego, że siedzieliście tutaj obaj, zamiast przyjść do mnie i wyjaśnić mi, o co w tym wszystkim chodzi.

- Masz rację - przyznał Jock. - Ale uznaliśmy, że potrzebujesz trochę czasu z Michaelem.

Sophie odwróciła się do Royda.

- Skąd wiedziałeś, że dom wybuchnie?

- Nie wiedziałem. Pomyślałem, że to prawdopodobne. Ten ulatniający się gaz w noc po nieudanej próbie zabicia cię wydawał mi się podejrzany.

- Ale gaz ulatniał się cztery przecznice dalej.

- I to miało uśpić twoją czujność. W tej sytuacji wybuch twojego domu przestaje być tak podejrzany dla władz. A ty nic nie podejrzewałaś.

- Podejrzewałam. Dlatego miałam zamiar zadzwonić do spółki gazowej od razu, jak tylko wejść do domu.

- Nie dotarłabyś tam. W garażu było pełno oparów gazowych. Na podłodze garażu zamontowane zostało urządzenie, które spowodowałoby wybuch, gdy tylko byś na nie wjechała.

- Skąd wiedziałeś?

Przez chwilę milczał.

- Tak ja bym zrobił. Tak mnie wyszkolono.

Sophie zamarła. Po czym odwróciła od niego wzrok.

- Oczywiście - mruknęła.

- Nie odwracaj wzroku - rzucił Royd szorstkim tonem. - Powinnaś być wdzięczna, że przewidziałem, co mogłoby się stać tobie i twojemu synowi. Moglibyście już nie żyć.

Zmusiła się, żeby znowu na niego spojrzeć.

- Jestem wdzięczna za wszystko, co może ocalić życie Michaela. Nie mam prawa potępiać tego, że tak cię wyszkolono. Poniekąd sama jestem temu winna.

- Do cholery, nie to miałem ...

- To nie znaczy - przerwała mu - że nie jestem wściekła, że zniszczyłeś mój dom. Skoro przewidziałeś, co się stanie, mogłeś po prostu zabronić mi wjeżdżać do garażu. Ale ty wepchnąłeś tam mój samochód i wysadziłeś mój dom.

- To prawda, wysadziłem go.

- Dlaczego? I dlaczego kazałeś mnie i Michaelowi tu przyjechać? Dlaczego nikt miał nas nie

widzieć?

- Jeśli wszyscy uznają cię za zmarłą, będziemy mieli przewagę.

- Jaką?

- Czas.

Zastanowiła się.

- Ale po przeszukaniu ruin będą wiedzieli, że nas tam nie było.

- To trochę potrwa. Ogień będzie się długo palił, bo spowodował go wyciek gazu. Potem, z powodów bezpieczeństwa, będą musieli poczekać, aż temperatura pogorzeliska spadnie. Eksplozja była tak duża, że wszyscy pomyślą, że jeśli byłaś w środku, nie mogłaś przeżyć. Będą szukali szczątków zwłok, a to zajmie im ogromnie dużo czasu. Jeśli mieliśmy szczęście i nikt cię nie widział, to mamy szansę.

- Szansę na co?

- Musimy zabrać Michaela - powiedział Jock. - Od ciebie, Sophie.

Zamarła.

- O czym ty mówisz?

- W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin Michael dwukrotnie omal nie zginął, a przecież to nie on jest celem. Tak długo, jak jest przy tobie, jego życie jest zagrożone.

- Chcecie mi go zabrać? - Zacisnęła pięści. - Nie pozwolę na to. On mnie potrzebuje.

- On musi żyć - powiedział Royd. - A ty musisz mieć swobodę działania, bez konieczności martwienia się o niego. - Zamknij się. To cię w ogóle nie dotyczy. Wiesz co ...

- Zamilkła. To go dotyczy. I ona to sprawiła, tworząc REM-4.

- Nie byłeś nigdy świadkiem żadnego z jego nocnych koszmarów.

- Ale ja byłem - odezwał się Jock. - A mi ufasz, prawda?

- Co masz na myśli?

- Chcę, żeby Michael pojechał ze mną do MacDuff' s Run.

- Do Szkocji? Nie ma mowy.

- Tam będzie bezpieczny - przekonywał. - MacDuff o to zadba. Ja o to zadbam. Zajmowałem się nim, kiedy ty byłaś w pracy. Wiem, jak wyglądają jego nocne koszmary. Damy sobie radę.

Michael tysiące kilometrów stąd ...

- Przez cały czas będę się o niego bała.

- W takim razie zastanów się, co jest dla ciebie ważniejsze - poradził Royd. - Obiecałem, że wam obojgu włos z głowy nie spadnie, ale rozdzielenie was ułatwiłoby mi sprawę.

Sophie zamknęła oczy i poczuła ogromny strach. Od kiedy wyszła ze szpitala, największą odległością, jaka oddzielała ją od syna, było osiem kilometrów.

- To moje dziecko. Ja muszę się nim zająć. Mężczyźni milczeli.

Nie musieli nic dodawać. Wszystko zostało powiedziane.

W imię matczynej miłości była po prostu samolubną wiedźmą. Nie mogła tego zrobić Michaelowi. Otworzyła oczy.

- Rozmawiałeś już z MacDuffem?

- Tak - odprął Jock. - Jak tylko Royd do mnie zadzwonił i powiedział, co się stało. MacDuff nie ma nic przeciwko temu.

- To nie wystarczy.

Jock potrząsnął głową.

- Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. MacDuff przyjmie Michaela jak syna. Wierz mi, ten człowiek ma bardzo rozwinięte poczucie więzi.

- Będę musiała z nim porozmawiać.

- Tak myślałem. Może być jutro rano? MacDuff załatwił już

podróż. Odlatujemy z Michaeliem prywatnym samolotem jutro o dziewiątej rano.

Dobry Boże, wszystko to dzieje się za szybko . - Michael nie ma nawet paszportu.

- MacDuff załatwia mu brytyjski paszport.

- Co?

- Będzie podróżował jako Michael Gavin. - Uśmiechnął się. - Mój młodszy kuzyn.

- Fałszywy paszport?

Jock skinął głową.

- MacDuff był w marynarce, niejedno ma za sobą. Zdobył kilka cennych kontaktów.

- Fałszerze - burknęła.

- No, cóż, tak. Wysoko wykwalifikowani.

Przez chwilę milczała.

- Porozmawiam z nim. Nie obiecuję, że pozwolę ci zabrać Michaela.

- Pozwolisz - zapewnił Jock. - Będziesz mogła z nim codziennie rozmawiać, poza tym wiesz, że będę się nim dobrze opiekował - rzucił spojrzenie na Royda - mimo że nie jestem Terminatorem.

- A żebyś wiedział, że nie jesteś - powiedział Royd i zwrócił się do Sophie: - Chcesz, żebym się ulotnił, kiedy będziecie przekazywać mu tę wiadomość?

Zastanowiła się.

- Nie. Myślę, że on nie będzie chciał jechać. Zbyt się o mnie martwi. Nie może myśleć, że zostaję tutaj sama.

Uśmiechnął się.

- Już podjęłaś decyzję. Szukasz tylko najlepszego sposobu, żeby ją zastosować.

Odwróciła się i otworzyła drzwi.

- Najlepszym sposobem jest zamówienie pizzy. Potem Jack porozmawia z Michaeliem. Myślę, że Michael jego posłucha.

- A co ja mam robić?

- Masz siedzieć z poważną miną i wyglądać na człowieka wielce odpowiedzialnego. - Rzuciła mu lodowate spojrzenie. - Jeśli już będziesz musiał się odezwać, postaraj się nie chlapnąć niczego, co mogłoby go zaniepokoić.

- Dlaczego się nie kładziesz? - zapytał Michael Sophie, która siedziała w fotelu. - Nic mi się nie stanie.

Spojrzała na niego. Leżał w łóżku. Boże, to byłby cud, gdyby nie miał ataku po tym wszystkim, co dzisiaj przeszedł. Najpierw jego dom został wysadzony w powietrze, potem Jock przez kilka godzin przekonywał go, żeby pojechał z nim do Szkocji. Wciąż nie mogła uwierzyć, że w końcu się zgodził.

- Nie jestem zmęczona. Śpij już. Przez chwilę się nie odzywał.

- Boisz się, bo nie mam monitora. Przez całą noc nie będziesz spała, bo boisz się tego, co mogłoby się stać, gdybyś zasnęła.

- To tylko jedna noc. Jock obiecał, że MacDuff będzie miał monitor, jak tam dojedziecie.
- To ci dzisiaj nie pomoże. To ja powinienem nie spać. To ja zawsze sprawiam ci kłopoty.
- Nie ... No tak, masz pewne problemy, ale kto ich nie ma?
- Takich jak ja - niewiele osób. Mamo, czy ja jestem wariatem?
- Nie, nie jesteś wariatem. Skąd ten pomysł?
- Nie potrafię przestać. Staram się, próbuję, ale nie potrafię powstrzymać tych snów.
- Opowiedz mi o nich, może będę mogła ci pomóc. - Przysunęła się do niego i wzięła go za rękę. - Nie odsuwaj mnie od tego, Michael. Pozwól mi pomóc.

Potrzasał głową.

- Wszystko będzie dobrze. Czuję się dużo lepiej, od kiedy dowiedziałem się, że dziadek nie był szalony. A nawet jeśli był, to nie była jego wina. Kiedyś bałem się, że ... Nie rozumiałem tego. Dziadek mnie kochał. Wiem o tym.
- Ja też to wiem.
- Nie rozumiałem, jak mogło do tego dojść.
- Musiałbyś być Einsteinem, żeby to zrozumieć. Zrozumienie tego zajęło mi kilka miesięcy.
- Wiem, że Snabome'a należy ukarać, ale nie chcę, żebyś to była ty - odezwał się po chwili milczenia. - On cię skrzywdzi.
- Rozmawialiśmy o tym. Nie pozwolę mu na to. Nie skrzywdzi ani ciebie, ani mnie. I musi zostać ukarany. Dopóki on jest na wolności, żadne z nas nie jest bezpieczne. Ufasz Jockowi, prawda?
- Tak.
- Powiedział, że będziesz bezpieczny. Powiedział też, że z Roydem każdy może czuć się

bezpieczny.

Michael skinął głową.

- No tak, on był w fokach.

I dzięki Bogu, pomyślała Sophie. To jest dla Michaela argument nie do podważenia.

- A więc, wszystko będzie dobrze. Przytaknął, a potem zapytał:

- Myślisz, że Bóg wybaczył dziadkowi?

- Wiem, że babcia by mu wybaczyła. To nie była jego wina.

- Pewnie tak. To nie była też twoja wina.

- Śpij już. Masz przed sobą długi lot.

- Jak długo będę musiał tam zostać?

- Nie wiem. Niedługo. - Boże, jak ona będzie za nim tęskniła! - Ale codziennie będziemy do siebie dzwonić.

- O której?

- O szóstej waszego czasu.

- Obiecujesz?

- Obiecuję .

Michael nie odezwał się już, ale Sophie wiedziała, że nie śpi. Śpij, mały. Będę tu czuwała, powiedziała w duchu. Wiedziała, że nieprawdą było, że będzie przy nim, cokolwiek się zdarzy. Do dziś nie zdawała sobie sprawy, że jej syn boi się, czy nie oszaleje. Powinna była wiedzieć.

Michael wreszcie uwolnił z uścisku jej rękę. Zasnął?

Ułożyła się w fotelu. Była zmęczona, ale nie mogła zamknąć oczu. Odpocznie, jak Michael będzie w samolocie. Powinna zadzwonić i upewnić się, że MacDuff ma właściwy monitor. I tak powinna z nim porozmawiać. Ufała Jockowi, ale nie była pewna MacDuffa.

- Mamo? - powiedział sennie Michael. - Przestać cierpieć ...

- Nic mi nie jest, kochanie - szepnęła miękko.

- To nieprawda. Czuję to. Cierpisz. To nie twoja wina ...

Usnął.

Nachyliła się nad nim i pocałowała go delikatnie w czoło, zanim opadła z powrotem na fotel.

Rozdział 7

Royd obserwował, jak ociągając się, Michael wchodzi z Jolciem do prywatnego samolotu.

- Zaraz dostanie hysterii - powiedział cicho.

Dobry Boże, miała nadzieję, że do tego nie dojdzie. Przez całą drogę na lotnisko milczał, ale to do niego podobne.

- Może nie. Jock był bardzo przekonujący.

- Dostanie hysterii - powtórzył Royd. - Przygotuj się na to. Jak może przygotować się na ...

Nagle Michael odwrócił się, zbiegł po schodkach i zaczął biec po płycie lotniska. Po chwili rzucił się jej w ramiona.

- Nie chcę jechać - wyszeptał. - Nie powinienem. Nie powiniem.

Przytuliła go mocno do siebie.

- Będzie dobrze - powiedziała niepewnie. - Nie prosiłabym, żebyś jechał, gdybym nie wierzyła, że to najlepsze wyjście.

Przez chwilę się nie odzywał. Jego oczy zaszyły łzami.

- Obiecujesz, że będziesz o siebie dbała? Obiecujesz, że nic ci się nie stanie?

- Obiecuję. - Uśmiechnęła się. - Royd też ci to obiecał. Chcesz, żebyśmy spisali umowę?

Potrząsała głową.

- Ale zawsze coś się może zdarzyć. Coś zupełnie niespodziewanego.

- Nie mnie. - Spojrzała mu w oczy. - Chcesz się wycofać?

Znowu potrząsała głową.

- Nie zrobiłbym tego. Chciałbym zostać, ale Jock mówi, że beze mnie będziesz bezpieczniejsza.

- Ma rację.

- W takim razie pojedę. - Przytulił się do niej raz jeszcze, po czym odwrócił się do Royda. - Dbaj o nią. Słyszysz? Jeśli pozwolisz, żeby jej się coś stało, będziesz miał ze mną do czynienia.

Zanim Royd zdążył odpowiedzieć, Michael ruszył biegiem w stronę samolotu, gdzie czekał na niego Jock. Chwilę później drzwi do samolotu zamknęły się za nimi.

Royd zaśmiał się.

- Marny mój los. Mówił całkiem serio. Czuję, że między twoim synem a mną zawiązuje się pewne porozumienie.

- Och, zamknij się! - Otarła łzy, obserwując samolot na pasie startowym. Coś w środku rozdzierało jej serce na pół. Powiedziała Michaelowi, że tak będzie najlepiej. Dzisiaj rano rozmawiała z

MacDuffem, który obiecał zatroszczyć się o jej syna. Ale to nie przyniosło jej ulgi. Odprowadziła startujący samolot wzrokiem i odwróciła się do Royda. - Chodźmy stąd.

Kiedy byli już na parkingu, zapytała:

- Rozmawiałeś ze swoim znajomym, Kellym?

- Wczoraj wieczorem nie mogłem go złapać. Mówił, że skontaktuje się ze mną, dopiero kiedy będzie bezpiecznie. Jeżeli Sanborne jest zajęty wyeliminowaniem każdego, kto jest związany z REM-4, zdobycie tych akt musi graniczyć z cudem.

- Czy to znaczy, że nie będziesz próbował tego zrobić?

- Nie bądź głupia - powiedział chłodno. - To znaczy, że poczekam, dopóki nie będę miał jakiegoś pewniaka.

- A jeśli go nie zdobędziesz? Jeśli uda mu się uciec z tymi aktami i osiąść za granicą?

Otworzył jej drzwi do samochodu.

- Wtedy go odnajdę i wysadzę cały ten interes w powietrze. Ani ton jego głosu, ani wyraz twarzy nie zdradzały żadnych

emocji, mimo to czuła bijącą od niego siłę. Była ona niemalże namacalna. Sophie wzięła głęboki oddech i zmieniła temat.

- Dokąd jedziemy? Z powrotem do motelu?

Pokręcił głową.

- Wyjeżdżamy z miasta. Zarezerwowałem miejsca w motelu, jakieś czterdzieści mil stąd. Nie mogę ryzykować, że ktoś cię zobaczy i rozpozna. Zgodnie z wczorajszymi wiadomościami, ty i Michael zostaliście uznani za zmarłych. Chciałbym, żeby wszyscy jak najdłużej tak myśleli.

- Pewnie nie mogę dać znać mojemu byłemu mężowi, że jego syn żyje?

- Nie.

O tym nie pomyślała.

- To będzie dla niego ciężkie. On kocha Michaela.

- Trudna sprawa - przytaknął, kiedy wyjeżdżali z parkingu. - A co z tobą? Ciebie też wciąż kocha?

- Ożenił się powtórnie.

- Nie o to pytałem.

Wzruszyła ramionami.

- Mam z nim dziecko. Skąd mogę wiedzieć, ile zostało w nim z dawnego uczucia?

- A ty?

Spojrzała na niego, ale on nie odrywał wzroku od drogi.

- Słucham?

- Czujesz coś do niego?

- To nie twoja sprawa. Dlaczego chcesz to wiedzieć?

Przez chwilę się nie odzywał.

- Może szukam potencjalnego słabego punktu.

- A robisz to?

- Nie.

- A więc ciekawość?

Wzruszył ramionami.

- Może. Nie wiem.

- Do diabła z twoją ciekawością. Wszystko, co powinieneś wiedzieć, to to, że nie pobiegnę do Dave'a, żeby mu powiedzieć, że Michael i ja żyjemy. - Oparła głowę o siedzenie i zamknęła oczy - Męczy mnie ta rozmowa. Obudź mnie, kiedy dojedziemy na miejsce.

Pokój w Holiday **Inn** Express był czysty i spartańsko umeblowany, ale miał kilka udogodnień, których brakowało motelowi, w którym zatrzymali się zeszłej nocy.

Royd rozejrzał się po wnętrzu i wręczył Sophie klucze.

- Będę w pokoju obok. - Uśmiechnął się. - Michael byłby wściekły, gdybym nie był w pobliżu.

Sophie rzuciła torebkę na łóżko.

- Potrzebne mi są jakieś ubrania. Wszystko zostało w domu.

- Pojdę coś kupić. - Obrzucił ją uważnym wzrokiem. - Szóstka?

- Ósemka. Buty siódemka. I potrzebny mi laptop. Pójdę wziąć prysznic, a potem się zdrzemnę. - Ruszyła w kierunku łazienki. - Sprawdzisz, czy są jakieś wiadomości o naszej wczorajszej śmierci?

- Co tylko każesz.

- Cudownie. Kto by pomyślał, że zniszczyłeś cały dorobek mojego życia.

- Obiecuję ci, że zwrócę wszystko, co miało jakąś wartość.

- Nie możesz tego zrobić. Nie dbam o meble i sprzęty, ale o rodzinne fotografie, ulubione zabawki mojego syna.

- Tego ci nie zwrócę - przyznał cicho. - O tym nie pomyślałem. Dorastałem w ośmiu różnych rodzinach zastępczych i nikt nigdy nie zrobił mi zdjęcia do albumu. Postaram się jednak wynagrodzić to Michaelowi. Tylko ty będziesz mogła ocenić, czy czas, który dla was zdobyłem, był wart tego, co ci odebrałem.

Oczywiście, że był tego wart. Michael leciał właśnie w bezpieczne miejsce.

- Zrobiłeś to, co uznałeś za słuszne.

- Tak. Ale to nie znaczy, że zrobiłem to w najlepszy z możliwych sposobów. Nie jestem doskonały ...
W drodze powrotnej wstąpię po chińszczyznę. Zamknę drzwi. Nie otwieraj nikomu, dopóki nie wrócę.

Drzwi za nim zamknęły się.

Nie otwieraj nikomu, dopóki nie wrócę.

Rzucił te słowa, jakby od niechcienia, ale ona poczuła ich ciężar. Wciąż była celem, a to się Roydowi podobało. Dlaczego już się nie bała? Była zmęczona, na skraju wyczerpania, ale się nie bała. Może dlatego, że Michaelowi nie groziło już niebezpieczeństwo? Teraz, kiedy już nie musiała się o niego martwić, mogła stawić czoło wszystkiemu.

Weszła pod prysznic i odkręciła ciepłą wodę. Stała tak przez chwilę. Michael będzie bezpieczny. Nikt by się nim lepiej nie zaopiekował niż Jock.

Poza Roydem.

Skąd to jej przyszło do głowy? Royd symbolizował przemoc i niebezpieczeństwo. Nie było w nim krzty łagodności, tego, co miał Jock. Był bezwzględny i miał w sobie tyle delikatności co rozjuszony nosorożec.

Mimo to, wiedział, że Michael spanikuje w ostatniej chwili. Ale to była ocena sytuacji, nie wrażliwość. Nigdy nie wątpiła, że jest inteligentny.

Przestań o nim myśleć, przywołała się do porządku. Zrelaksuj się, a potem weź się w garść. Była wściekła na siebie za to, że zaczynała powoli odczuwać skutki samotności. Michael był zawsze przy niej, albo w myślach, albo fizycznie. Każdy dzień zaczynał się i kończył z synem. Teraz została od niego odseparowana, a to bolało.

Przestań się nad sobą rozczulać i zrób to, co do ciebie należy.

Tylko w ten sposób znowu będziecie razem. Była nie tylko matką, ale i myślącą kobietą o silnej woli.

Teraz musi skupić się na Sanbornie.

Royd siedział w fotelu w drugim końcu pokoju. Jedną nogę miał przewieszoną przez poręcz, głowę opartą o oparcie.

Tygrys, tygrys w osłepiającym blasku ...

- Wypałaś się? - Usiadł prosto i uśmiechnął się. - Spałaś jak kłoda. Zastanawiałem się, ile masz za sobą nieprzespanych nocy w ciągu tych kilku ostatnich lat.

Sophie usiadła na łóżku i owinęła się prześcieradłem.

- Jak długo tu jesteś?

Spojrzał na zegarek.

- Trzy godziny. Dwie godziny zajęło mi dobranie dla ciebie garderoby.

Pięć godzin.

- Powinieneś był mnie obudzić. - Spuściła nogi na podłogę.

- Albo samemu się położyć.

- Nie spieszyło mi się. Chociaż zaczyna mi wchodzić w krew budzenie cię, prawda? Jednak tym razem chciałem popatrzeć, jak śpisz.

- To ... - Zamilkła, kiedy napotkała jego wzrok. Zmysłowy.

Tak zmysłowy, jak sposób, w który siedział na fotelu. Szalenie zmysłowo. Odwróciła oczy.

- Musisz zatem znaleźć teraz inny obiekt - odezwała się po chwili. - Nie lubię, kiedy ktoś narusza moją przestrzeń, Royd.

- Nie naruszam jej. Od kiedy tu wszedłem, nie ruszyłem się z miejsca. Po prostu na ciebie patrzyłem. Przepraszam. Za długo byłem w dżungli. - Wstał. - Pójdę do siebie i podgrzeję chińską w mikrofalówce. Ubrania są w tych dwóch torbach. Mam nadzieję, że będą pasować. Starłem się wybrać coś stylowego. - Był już przy drzwiach, kiedy usłyszała: - Ale nie znajdziesz tam niczego, w czym będziesz wyglądała lepiej niż w tym prześcieradle.

Odprowadziła go wzrokiem. Czowała, jak jej policzki różowieją, a piersi naprężają się. Czowała ... Nie, nie chciała myśleć o tym, jak się czuła. Nie chciała też myśleć o mężczyźnie, który wywołał w niej te uczucia. To czyste szaleństwo. Zawsze ciągnęło ją do mężczyzn, którzy byli inteligentni i cywilizowani, tacy jak Dave. Royd może był inteligentny, ale nie był ani odrobinę cywilizowany. Sam ustalał zasady i miał gdzieś wszytkich dokoła.

Poza tym miała prawo tak się czuć. To czysta biologia, biorąc pod uwagę to, że nie kochała się z nikim już na pół roku przed zerwaniem z Dave' em. Taka reakcja przydarzyłaby się z jakimkolwiek mężczyzną.

Może nie z jakimkolwiek. Seksualność Royda była zuchwała ...

Prześnię! - nakazała sobie. - To się już nie powtórzy. Wstała i przeszła przez pokój. Ubrała się, spakowała resztę ubrań i poszła do pokoju Royda. Gdy skończą się, będzie akurat pora, żeby zadzwonić do Jocka i Michaela.

- Właśnie widziałem wieczorne wiadomości - powiedział Boch, kiedy Sanborne podniósł słuchawkę. - Na miłość boską, policja do tej pory nie potrafi ustalić, czy byli w domu w chwili wybuchu.

- Musieli tam być. Policjant, który zatrzymał ich samochód, rozpoznał ich na fotografii. Szczątki ich samochodu znaleziono w pogorzeliisku i na trawniku.

- Ale, do cholery, nie znaleziono ciał.

- Siła wybuchu. Szukają szczątków, ale nie ogłoszą nic, dopóki nie będą pewni. To potrwa.

- Wymówki, Sanborne? Caprio nawalił, a teraz nie masz dowodów, że twój kolejny człowiek wykonał zadanie.

Sanborne próbował utrzymać emocje na wodzy .

- Nie mogę uruchomić żadnego kontaktu w policji. Nie mogę być w żaden sposób z nią kojarzony. Nie rozumiesz tego? Gerald Kenneth zadzwonił do szpitala. Nie dała znaku życia. Zwykle, w weekendy sprawdza, co słychać u jej pacjentów. Ludzie w szpitalu są zaszokowani.

- To mnie nie przekonuje. Ona nie jest głupia. Może się po prostu ukrywać. Na pewno ma przyjaciół, z którymi będzie chciała się skontaktować. Sprawdź ich.

- Muszę być ostrożny. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby zawiadomili policję, że ich nachodzę. - Nie dając dojść do głosu Bochowi, szybko dodał: - Poza tym wysłałem jednego z moich ludzi, Larry'ego Simpsona, żeby podając się za reportera, wypytał sąsiadów i trenera dzieciaka. Nikt nie miał od niej żadnych wiadomości.

- A były mąż?

- W tej chwili jeden z moich ludzi jedzie do domu Edmunda. Zadowolony?

- Nie, nie będę zadowolony, dopóki policja nie ogłosi, że Sophie Dunston nie żyje - powiedział Boch i urwał na chwilę. - Ben Kaffir jest ze mną w kontakcie. Jest zainteresowany REM-4, ale bawi się teraz z Waszyngtonem i nie zdeklaruje się, dopóki nie udowodnimy mu, że jego nazwisko nigdy nie wypłynie w żadnym dochodzeniu. Ta Dunston sprawiła nam zbyt wiele kłopotów.

- Więcej już nie sprawi - zapewnił Sanborne. - Bądź cierpliwy. Daj mi jeszcze jeden dzień, a przekonasz się, że niepotrzebnie się obawiałeś.

- Nie obawiam się. Jadę do Caracas sfinalizować sprawę.

Jeśli dowiem się, że znowu nawaliłeś, wrócę i sam się nią zajmę.

Boch odłożył słuchawkę.

Sanborne opadł na oparcie fotela. Był wściekły na Bocha, ale z drugiej strony tamten mógł mieć rację. Wierzył, że doniesienie policji o odnalezieniu szczątków będzie oznaczało sukces, jednak martwił się zniknięciem Caprio. Opóźnienie w ogłoszeniu, czy w domu przebywały jakieś osoby, mogło oznaczać trudności w zidentyfikowaniu szczątków albo to, że coś poszło nie tak. Sprawy zaczęły się komplikować, a to mu się nie podobało.

Royd?

Miał nadzieję, że to nie on. Nie chciałby konfrontacji z nim w tak ważnym momencie.

Dobrze. Załóżmy, że Royd nie maczał w tym palców i że kobieta i dziecko nie żyją.

Zdobądź dowód.

Otworzył notes i podkreślił ostatnie nazwisko na liście. Dave Edmunds.

Royd nałożył kurczaka na papierowe talerzyki, postawił je na małym stoliku pod oknem. Właśnie nalewał wino do drugiego kieliszka, kiedy do pokoju weszła Sophie.

- Kupiłem czerwone wino. Lubisz czerwone?

Skinęła głową.

- Ale teraz wołałabym napić się kawy.

- Później wstawię wodę. - Wskazał ręką krzesło. - To wino z supermarketu, i tak nie wlejesz w siebie więcej niż dwa kieliszki. Zapewniam, że nie mam zamiaru cię upić.

- Nawet o tym nie pomyślałam.

- Nie. - Skrzywił się. - Wiem, że wszystko, co mówię lub robię, może być dla ciebie podejrzane.

Wyczuwam obawę z twojej strony. Czasami działam impulsywnie, ale nie rzucę się na ciebie.

- Bo jestem dla ciebie zbyt cenna.

- Właśnie - przyznał z uśmiechem. - W przeciwnym razie nie miałabyś szansy.

Usiadła i wzięła do ręki widelec.

- Mam szansę. Jock był bardzo dobrym instruktorem.

Royd zachichotał.

- W takim razie na pewno będę trzymał się z daleka. - Wypił łyk wina. - Słyszałem, że Jock spadł ci jak z nieba.

Spojrzała na niego i zmarszczyła czoło.

- Zachowujesz się ... Nie przypominam sobie, żebym widziała, jak się śmiejesz.

- Może próbuję uspić twoją czujność, żeby móc się na ciebie rzucić.

Spojrzała na niego uważnie. - A robisz to?

Wzruszył ramionami.

- A może dlatego, że wreszcie zadzwonił do mnie Kelly i wiem już, że jest bezpieczny? Myślisz, że jestem bezdusznym sukinsynem, ale nie chciałbym, żeby mu się coś stało, w końcu ja go tam posłałem.

- Ale to zrobiłeś.

- Tak. - Spojrzał na nią znad kieliszka. - Tak, jak posłałbym ciebie.

- To już sobie wyjaśniliśmy. Co powiedział Kelly?

- Że nie znalazł żadnych akt, ale wciąż próbuje. Zadzwoni wieczorem.

- Może nie ma ich w archiwach. Może Sanborne trzyma je w domu.

- Może. Ale jestem pewien, że trzymałby je w miejscu, które jest znakomicie strzeżone, a to jest właśnie zakład.

- Może są w jakimś sejfie?

- Jeśli Kelly będzie miał wystarczająco dużo czasu, jest w stanie otworzyć każdy sejf.

Przypomniała sobie, jak łatwo Royd poradził sobie z zamkami w jej domu.

- Co za zbieg okoliczności! Nawet jeśli Kelly go znajdzie, może nie rozpoznać dysku z aktami - powiedziała cicho. - Chyba że jest dobry z chemii. Sanborne opisał wszystkie wrażliwe dyski kodami. A formuła jest bardzo skomplikowana. Kelly będzie potrzebował pomocy.

- Co masz na myśli?

- Czy Kelly może mnie wprowadzić do zakładu?

Royd osłupiał.

- Nie mam mowy - powiedział wreszcie.

- Nie może mnie wprowadzić czy nie chcesz, żebym to zrobiła?

- I jedno i drugie.

- Zapytaj go, czy mógłby to zrobić.

Wymamrotał jakieś przekleństwo.

- Masz zamiar wejść do paszczy lwa teraz, kiedy usiłujemy się ukryć, żeby nie mógł poderżnąć ci gardła?

- Potrzebny jest nam dysk. Musimy go zdobyć, wiesz o tym.

- I zdobędę go.

- Może ci zabraknąć czasu. Sam mówiłeś, że będzie trudniej, jak przeniosą cały zakład za granicę.
- Nie - oświadczył głosem nieznoszącym sprzeciwu. - Kelly to zrobi.
- Spytaj go, jak mogę się tam dostać. On zapewne wie dokładnie, gdzie są rozmieszczone kamery, skoro pracuje w pomieszczeniu, w którym znajdują się wszystkie monitory.
- Tak, ale nawet jeśli dostaniesz się do środka, pewne miejsca są zastrzeżone i możesz się do nich dostać jedynie dzięki odciskom palców.
- Wiem. Ale Kelly jakoś sobie poradził, skoro zdobył te informacje o mnie.
- Zamienił w komputerze swoje odciski z odciskami jednego z naukowców, który był właśnie na urlopie.
- Skoro raz to zrobił, to może i drugi. Może wymyśli coś innego. Zapytaj go.
- Nie jesteś nam tam potrzebna. Możesz wypisać nam sposoby Sanbome'a na kodowanie na kartce.

Milczała.

- Sophie, powinniśmy współpracować - przypomniał.
 - Chyba że to ty chcesz pracować na własną rękę - powiedziała sucho. - Nie zawahałbyś się nawet minuty, gdybyś musiał zostawić mnie na lodzie.
- Teraz on przez chwilę się zastanowił.
- Może. Ale czy to ma jakieś znaczenie, jeśli robota będzie wykonana?
 - Ma. Kluczowe słowo w zdaniu, które wypowiedziałeś, to "jeśli". Zbyt dużo poniosłam wyrzeczeń, żeby teraz po prostu oddać ci pole. - Skończyła jeść i podniosła do ust kieliszek. - Chcę działać. Chcę, żeby mój syn wrócił.

Przyglądał jej się dłuższą chwilę, wreszcie powiedział:

- Zapytam go. Masz rację, dlaczego miałbym cię powstrzymywać? Zdaje się, że po prostu chcesz zginąć.

- Kiedy do niego zadzwonisz?

- Teraz. - Wstał i wyciągnął telefon. - Napij się jeszcze. Wyjdę na chwilę na zewnątrz. Potrzebuję trochę świeżego powietrza.

- Co takiego chcesz mu powiedzieć, czego ja nie powinnam usłyszeć?

- Chcę go zapytać, jakie masz szansę, kiedy już cię tam wprowadzi. Ale, jeśli nie spodoba mi się to, co powie, nigdzie nie pojedziesz.

Drzwi za nim zamknęły się.

Sophie przez kilka minut siedziała nieruchomo, po czym wstała i podeszła do okna. Royd przechadzał się w tę i z powrotem po parkingu, rozmawiając przez telefon. Nie spodziewała się, że tak zareaguje. Liczyła na to, że dotrzyma danej obietnicy, że nic jej się nie stanie, ale jego reakcja na jej pomysł pójścia do zakładu była dziwnie gwałtowna. Może nie знаła go tak dobrze, jak jej się wydawało. Może jego determinacja, żeby dopaść Sanborne'a i Bocha, przesłoniła inne aspekty jego osobowości. Ale im dłużej z nim przebywała, tym więcej niuansów dostrzegała w jego osobowości.

Na przykład pożądanie. Nie, tym nie była zaskoczona. Bardziej zdziwiona była tym, że martwił się o bezpieczeństwo swojego człowieka, Kelly'ego.

Royd wciąż rozmawiał, a ona się niecierpliwiła. Chciała, żeby już wrócił. Nie podobało jej się to, że nie panuje nad sytuacją. Cóż, jedno mogła w tej chwili zrobić. Podeszła do biurka, na którym leżała jej torebka, i wyjęła z niej telefon komórkowy.

Zanim zdążyła wykręcić numer, telefon zadzwonił.

- Też cię kocham. Dbaj o siebie. - Rozłączyła się i odwróciła w stronę drzwi, Royd stał w progu - Znowu dzwonił Dave. Myślałam, że ... - urwała, kiedy zobaczyła wyraz twarzy Royda, kiedy zamykał za sobą drzwi i ruszył w jej stronę. - Co, u diabła ...

Podszedł do niej, miotając przekleństwa i chwycił za ramiona. - Jesteś skończoną idiotką. Mówiłem ci ...

- Zabierz ode mnie te ręce!

- Ciesz się, że są to moje ręce, nie Sanborne'a. Do cholery, zobaczysz, on wycisnie z ciebie to życie, które tak narażasz. Musiałaś zaryzykować, bo wciąż masz słabość do byłego kochanka. Może nawet nie byłego. Dlaczego nie mogłaś po prostu raz mnie posłuchać ...

- Zabieraj te ręce - wycedziła przez zaciśnięte zęby. - Albo zrobię z ciebie eunucha.

- Spróbuj - powiedział i zacisnął mocniej palce na jej ramionach. - Walcz ze mną. Chcę, żeby cię zabolalo.

- A więc ci się udaje. Mam siniaki. Zadowolony?

- Dlaczego nie miałbym być ... - zaczął, gniew zniknął z jego twarzy. - Nie. - Uwolnij ją z uścisku. - Nie jestem zadowolony. - Odsunął się od niej. - Nie powinienem był... Ale do cholery! Nie powinnaś była odbierać telefonu od Edmunda.

- Nie odebrałam - burknęła. - Nie powiedziałam, że odebrałam. Powiedziałam, że dzwonił. Nie dałeś mi dokończyć zdania. Dzwonił wczoraj wieczorem, zostawił wiadomość. Dzisiaj znowu. Zdziwił mnie jego upór, biorąc pod uwagę, że powinien uznać mnie za nieżywą.

- A więc z kim rozmawiałaś?

- A jak myślisz? Z Michaeliem. Właśnie dotarli do MacDuff's Run.

- Och! Zachowałem się jak dureń - mruknął po chwili.

- Idiota. Nie odebrałam jego telefonu nie dlatego, że mi kazałeś, ale dlatego, że uznałam, że tak będzie lepiej. - Spojrzała na niego. - I nie waż się podnosić znowu na mnie ręki.

- Nie zrobię tego więcej. Postraszyłaś mnie - dodał chytrze.

- To dobrze.

- Przepraszam, że na chwilę straciłem panowanie nad sobą.

- To było więcej niż na chwilę, i nie przyjmuję twoich przeprosin.

- Więc będę ci musiał to jakoś wynagrodzić. Może przestaniesz o tym na chwilę myśleć, jeśli ci powiem, że Kelly mógłby wyłączyć kamery na jakieś dwanaście minut.

Zmarszczyła brwi.

- Tylko dwanaście?

- Nie wystarczy, żeby zlokalizować sejf, zabrać dysk i uciec.

- Może wystarczyć.

- To zbyt ryzykowane. Odwołujemy to.

- Ani mi się śni. Muszę się zastanowić.

Przez chwilę oboje milczeli, wreszcie odezwał się Royd:

- Mamy czas do jutra, Kelly musi mieć czas na ustawienie przerwy w dostawie prądu.

- Jeśli Kelly jest tak dobry w otwieraniu sejfów, jak mi mówiłeś, to może nam się udać. Dotarcie do sejfu nie zabierze mi dużo czasu. Wszystkie dyski Sanborne'a byłabym w stanie rozpoznać w mgnieniu oka. Ale dwanaście minut... pomyślę jeszcze. - Ruszyła w kierunku drzwi łączących pokój Roda z jej pokojem. - Dobranoc.

- Dobranoc. Zostaw te drzwi uchylone, ale wejściowe zamknij na klucz. I nie kłóć się ze mną, proszę.

- Marzę o tym, żeby się pokłócić, ale nie jestem tak głupia, za jaką mnie uważasz. Pozwolę ci nie spać całą noc, żeby mnie pilnować. To ci nie zaszkodzi, wręcz przeciwnie.

- Rzeczywiście - potwierdził poważnie. - Jak Michael?

- Lepiej, niż myślałam. Podoba mu się tam. A któremu chłopakowi by się to nie podobało? Szkocki zamek i jego właściciel na każde twoje skinienie.

- Z tego, co wiem od Jocka, MacDuff nie jest na niczyje skinienie, ale jestem pewien, że zaopiekuje się Michaeliem.

- Jock obiecał mi, że obaj się nim zajmą. Mam nadzieję, że będzie bezpieczny. Do jutra, Royd.

Nie czekając na odpowiedź, poszła do pokoju. Chwilę później wciągała na siebie jaskrawożółtą koszulę nocną. Żółta? Dziwne, że Royd wybrał właśnie taki kolor. Podejrzewałby go raczej o granat lub zieleń ...

Będzie miała problemy z zaśnięciem, bo spała w dzień. Może to i lepiej. Będzie miała czas, żeby zastanowić się, czy uda jej się zdobyć dysk, mając do dyspozycji zaledwie dwanaście minut.

- Nie odebrała. - Dave Edmunds rozłączył się. - Włączyła się poczta głosowa. Mówiłem panu, że nie odbierze. Jej telefon albo jest roztrzaskany, albo leży gdzieś w cudzym ogródku rzucony tam siłą wybuchu. Policja powiedziała, że zaraz po tym zajściu dzwonili do niej.

- Zawsze można spróbować. - Larry Simpson wzruszył ramionami. - Tak, jak panu mówiłem, czasami policja za wcześnie sobie odpuszcza. Mają za dużo spraw na głowie. Ale ja jestem dziennikarzem, wolnym strzelcem, co oznacza, że mam mnóstwo czasu. Miałem nadzieję, że uda mi się zdobyć jakiś ładny kasek, który mógłbym sprzedać gazetom.

- Nie znajdzie pan tutaj żadnego kaska - powiedział gorzko Edmunds. - Mój syn nie żyje. Moja była żona nie żyje. To nie powinno się było stać. Ktoś za to zapłaci. Mam zamiar pozwać tych drani ze spółki gazowej. Nie ujdzie mi to na sucho.

- Dobry ruch - stwierdził Simpson i wstał. - To jest moja wizytówka. Jeśli będę mógł panu pomóc, proszę zadzwonić.

_ Może _ powiedział powoli Edmunds. - Jeśli ktoś myśli, że sprawę wygrywa się jedynie na sali

sądowej, jest w błędzie.

_ Pan jest prawnikiem. Pan to wie. - Zamilkł i spojrział w swoje notatki. - Czy pański syn wspominał o kimś jeszcze, kto odwiedzał ich dom, oprócz tego Jocka Gavina?

- Nie.

_ I nie powiedział panu o nim nic, z wyjątkiem tego, że jest kuzynem pańskiej byłej żony?

_ Mówiłem już panu, że nie. - Przyjrzał się uważnie twarzy Simsona. _ Zaczyna mnie pan intrygować, panie Simpson. Wpuściłem pana do domu i współpracuję z panem, bo potrzebne mi jest szersze poparcie. Ale pan za bardzo naciska. Zaczynam się zastanawiać, czy spółka gazowa nie przysłała pana, żeby wybadał pan moje zamiary.

- Widział pan moje dokumenty.

- Sprawdzę jutro, czy wszystko się zgadza.

- Przykro mi, że pan mnie podejrzewa. Chociaż rozumiem pana. Może wróć jutro, kiedy już pan sprawdzi moją tożsamość.

- Może. - Edmunds podszedł do drzwi i otworzył je. - Ale teraz proszę zostawić mnie samego z moim żalem. Dobranoc.

Simpson skinął głową na znak zrozumienia.

- Oczywiście. Dziękuję panu za pomoc.

Edmunds wyszedł z nim na werandę i odprowadził wzrokiem, kiedy tamten wsiadał do samochodu.

Cholera.

Kiedy Simpson był już za rogiem, wyciągnął telefon komórkowy.

- Ma mój numer rejestracyjny. No i może mnie jutro sprawdzić.

- A więc nawaliłeś - stwierdził Sanborne.

- Robiłem, co mogłem. Czego się spodziewałeś? On jest bardzo podejrzliwy. Jest prawnikiem, na miłość boską.

- W porządku, uspokój się• Jak możemy to załagodzić?

Simpson zastanowił się chwilę•

- Ma zamiar pozwać spółkę gazową - powiedział wreszcie. - Myślał, że może oni mnie przysłali. Nie jestem pewien, co chce tym zyskać.

- Pociągniemy ten wątek. Prawnicy zawsze są gotowi za-wierać ugody. Nie powinien ... - przerwał w połowie zdania. - W słuchawce przez moment panowała cisza. - Cholera. Właśnie ogłosili, że w domu nie znaleziono ciała.

- A więc Edmunds nie jest już nam potrzebny.

- Może tak, może nie - odparł w zamyśleniu Sanborne.

- Zadzwoń do niego jutro i umów się na spotkanie pod pretekstem przedyskutowania warunków w imieniu spółki gazowej. Skoro nie ma dowodów na to, że jego syn zginął, może będzie chciał negocjować. Dowiedziałeś się jeszcze czegoś?

- Nie odebrała telefonu. I według dzieciaka, ta Dunston przez ostatnie kilka miesięcy prowadziła się ze swoim kuzynem, Jockiem Gavinem.

Cisza.

- Jock Gavin?

- Tak mi powiedział.

- A niech mnie.

- Znasz go?

- Kiedyś go znałem. Słyszałem o jego imponujących wyczynach, po tym, jak opuścił mój rewir.

- Co za ...

- Wracaj jak najszybciej. Powiem ci, jak masz jutro rozmawiać z Edmundsem.

- Może powinienem odczekać, aż trochę ochłonie?

- Nie chcę czekać. Nie kłóć się ze mną.

Samborne rozłączył się.

Rozdział 8

Trzecia rano.

Sophie znowu zmieniła pozycję, żeby poszukać chłodnego miejsca na poduszce. Rozluźnij się, do diabła! Miała rację, wcześniejsza drzemka pogrzebała wszelkie szanse na sen. Przez ostatnie kilka godzin leżała na łóżku, daremnie usiłując zasnąć. Mogłaby znaleźć w telewizji jakiś nudny film, który by ją uspił, gdyby nie uchylone drzwi. Od momentu, kiedy kilka godzin temu Royd zgasił światło, nie słyszała jednego dźwięku z jego pokoju. Nie chciała go budzić, tylko dlatego, że ...

Teraz usłyszała jakiś dźwięk.

Ciężki oddech. Nie jęk czy krzyk, po prostu ciężki oddech. Zamarła i zaczęła nasłuchiwać.

Jeśli to Royd, to oddychał tak, jakby coś go bolało.

A musiał to być Royd. Słyszałyby, gdyby ktoś inny wszedł do pokoju któregoś z nich.

Może to niestrawność po chińszczyźnie. Nie jej sprawa.

Do diabła! Przecież jest lekarzem. Nie może odwracać się, kiedy ktoś jest w potrzebie. Składała przysięgę. Czasami chciałaby, żeby nie była nią związana. Tak, jak teraz.

Cholera, może to tylko zły sen.

A może nie. Nawet jeśli to tylko koszmar, nie mogła powstrzymać się od gestu miłosierdzia, jakim byłoby obudzenie go.

Przestań wreszcie dywagować. Po prostu to zrób, powiedziała sobie.

Wstała łóżka i podeszła do drzwi, otworzyła je szerzej. Royd leżał na brzuchu, przykryty prześcieradłem.

Zapaliła lampkę stojącą na nocnym stoliku. - Usłyszałam cię. Co ...

Nagle skoczył do niej i przewrócił ją na podłogę. Jego ręce zacisnęły się jej na gardle.

Przekręciła głowę i ugryzła go w nadgarstek.

Nie zwolnił uścisku. Patrzył na nią, ale nie była pewna, czy ją

widział. Na jego twarzy malowała się wściekłość.

Z całej siły uderzyła go pięścią w genitalia. Jęknął z bólu i poluzował uścisk.

Chciała się uwolnić, ale zacisnął uda wokół niej. Wpiła w nie paznokcie.

- Cholera! - Gniew powoli ustępował z jego twarzy. Potrząsnął głową, jakby chciał się obudzić - Sophie? Co, u diabła, robisz? Chcesz mnie zabić?

- Ty draniu! A co myślisz? Pomóż mi wstać.

Royd powoli podniósł się z podłogi.

- W porządku?

- Nie. Już drugi raz dzisiaj rzucasz się na mnie ze swoimi łapami. - Wstając, poprawiła koszulę nocną. - Następnym razem, kiedy się do ciebie zbliżę, wezmę broń.

- I bez broni stanowisz zagrożenie. - Skrzywił się. - Pamiętam, że groziłaś, że zrobisz ze mnie eunucha.

- Zrobiłabym to, gdybym miała nóż - syknęła. - Myślałam, że mnie zabijesz.

- Nie powinnaś mnie była podchodzić.

- Nie chciałam cię zaskoczyć. Zapaliłam światło. Nawet cię nie dotknęłam. Nie dałam ci żadnego powodu, żebyś ...

- Dlaczego? - przerwał jej. - Co się stało? Dlaczego tu przyszłaś?

- Bo ... wydawało mi się, że to nie sen. Nie chciałam ryzykować. Nie znam historii twojej choroby. Myślałam, że może jesteś chory albo masz zawał. To brzmiało, jakbyś ... To głupie. - Odwróciła się. -

Następnym razem będę wiedziała.

- I pozwolisz mi umrzeć na atak serca albo zawał? Nie sędzę.

- Najwidoczniej nie był to żaden z tych przypadków, w przeciwnym razie nie miałbyś siły rzucić się na mnie. - Sprawilem ci ból?

- Tak.

- Przepraszam. - Zamilkł na chwilę. - Co mogę zrobić, żeby ci to wynagrodzić?

- Nic.

Położył rękę na jej ramieniu.

- Zadałem ci ból. Nie chciałem tego, ale słowa nic nie znaczą. Zrobię wszystko, żeby to naprawić. Powiedz tylko, co.

Mówił poważnie. Wyraz jego twarzy był tak napięty, że nie potrafiła od niego odwrócić wzroku. Zadrżała.

- Nie chcę, żebyś robił cokolwiek. PUŚĆ mnie. Idę do łóżka.

Powoli cofnął rękę.

- Dzięki za pomoc. Ale nie rób tego więcej. - Uśmiechnął się lekko. - Jeśli chcesz mnie zbudzić z jednego z tych koszmarów, po prostu rzuć we mnie poduszką albo krzyknij ze swojego pokoju. Tak będzie bezpieczniej.

Sophie zamarła.

- To był koszmar? Przeszło mi to przez myśl, ale nie byłam pewna.

Skinął głową.

- Och, tak. To był zdecydowanie koszmar.

- Co ci się śniło?

- Pogoń, ucieczka, śmierć. Nie chciałabyś znać szczegółów.

Chciała. Ale jasne było, że on nie chce o tym mówić.

- Czy zdarza ci się wtedy lunatykować?

- Nie. Myślisz, że nie wiem, jak wyglądają koszmary? - Pokręcił głową. - To był zdecydowanie koszmar. Wiesz, że najczęściej występują w fazie REM, rzadziej w NREM, fazie głębokiego snu. Zdarzają się raczej pod koniec mojego cyklu snu. Moje ciało wydaje się sparaliżowane, więc pojawiają się tylko dreszcze, nie rzucam się i nie krzyczę. Mam nieznacznie podwyższony puls. No i pamiętam doskonale, co mi się śniło. To nie jest przypadek twojego syna.

Spojrzała na niego w osłupieniu.

- Zdaje się, że masz na ten temat dużą wiedzę. Leczyłeś się kiedyś?

- Broń Boże. Ale, kiedy się pojawiły, chciałem w jakiś sposób nad tym zapanować, więc trochę o tym czytałem.

- Moim zdaniem nie do końca udało ci się nad tym zapanować. Po prostu zidentyfikowałeś zjawisko. Przydałaby ci się terapia.

- Naprawdę? Czyżbym wzbudził twoją zawodową ciekawość?

Zwilżyła wargi.

- Czy te sny mają coś wspólnego z Garwood? Przez chwilę nic nie mówił.

- Tak. A co sobie wyobrażałaś?

- Właśnie to. - Odwróciła głowę. - U siądź i weź kilka głębokich oddechów. Powinieneś się rozluźnić.

Przyniosę ci szklankę wody.

- Po co?

- Po prostu mnie posłuchaj.

Zmarszczył czoło.

- Nie potrzebuję twojej pomocy. Sam mogę sobie przynieść tę cholerną wodę.

- Zamknij się i usiądź. Zaraz wrócę. Uniósł jedną brew i zapytał:

- Mogę się ubrać?

- Po co? Nagość mi nie przeszkadza, zresztą, jak tylko się rozluźnisz, pójdziesz spać.

Spojrzał na siebie.

- Przebywanie z tobą w jednym pokoju nie rozluźnia.

- Rób, jak chcesz - mruknęła i poszła do łazienki.

Widok nagiego ciała Roydajej też nie rozluźniał. Był zbyt męski, jego ciało zbyt muskularne i silne. Sprawiał, że czuła się kobieco i wcale nie profesjonalnie. Nie chciała tak się czuć. Za nic w świecie nie może przyznać mu się do tego.

Napełniła szklankę wodą i wróciła do sypialni. Royd siedział w fotelu z nogami wyciągniętymi przed siebie. Posłuchał jej j nie włożył nic na siebie.

Podawała mu wodę i usiadła na krześle, przy stoliku, przy którym jedli kolację.

- Pocisz się. Czy to normalne w czasie twojego cyklu snu?

Skinął głową.

- Jak często zdarzają ci się te koszmary? - pytała dalej.

- Dwa, trzy razy w tygodniu. - Wypił łyk wody. - Czasami częściej, to zależy.

- Od czego?

- Jak bardzo jestem zmęczony. Zdaje się, że nadmiar energii to potęguje. - Wzruszył ramionami. - Kiedy jestem wyczerpany, koszmary zdarzają się rzadziej.

- To prawdopodobne. A może zmęczenie uwalnia napięcie, które nagromadziło się w ciągu dnia, gdybyś nie był zmęczony, funkcję tę przejmowałby koszmar senny.

- To nie jest żadne uwolnienie, to zasadzka. - Przekreślił głowę i zaczął jej się uważniej przyglądać. - Po co te wszystkie

pytania?

- Jestem lekarzem. Zaburzenia snu to moja specjalizacja. Chcę ci pomóc. Czy to tak trudno zrozumieć?

- Pięć minut temu omal cię nie udusiłem. Czasami trudno to wszystko zrozumieć.

- Nie byłeś wtedy sobą. Nie wiedziałeś, co robisz.

- Tłumaczysz mnie?

- Nie, ale moim zadaniem jest zrozumienie przyczyny i skutku. Zaraz po skończeniu studiów miałam pacjenta, który przyłożył mi tak mocno, że złamał mi nos. - Uśmiechnęła się. - Nie chciała tego zrobić. To był odruch. Ale potem stałam się bardziej ostrożna.

- Nie dzisiaj.

- Nie wiedziałam, że powinnam była uważać. Wydawałeś się .. •

- Przy zdrowych zmysłach?

- Opanowany - poprawiła go.

- Jestem opanowany. - Zrobił minę, kiedy napotkał jej wzrok. - No dobrze, poza tymi momentami, kiedy nie jestem. - Czy brałeś kiedyś narkotyki?

- Nigdy - powiedział beznamiętnie. - Nie wierzę w zasadę klin klinem.

Wzdrygnęła się.

- Nie proponuję ci niczego. Po prostu czasami warto znaleźć sposób na rozluźnienie się przed snem.

- Zgadzam się. Odkryłem to w pierwszym miesiącu, kiedy zacząłem miewać te sny. Próbowałem wielu rzeczy. Poker, zabawy słowne, szachy. Ale stymulacja umysłowa nie pomagała. Pomagało mi zmęczenie fizyczne. Zacząłem biegać przed snem. Codziennie dziesięć kilometrów.

- To musiało cię mocno zmęczyć.

- Czasami. Seks jest bardziej skuteczny - dodał po chwili.

- Jestem pewna. - Spojrzała na niego podejrzliwie. - Próbujesz mnie wprowadzić w zakłopotanie.

- Po prostu wyjaśniam. Pytałaś, co mi pomagało.

- A ty po prostu dostarczałaś mi informacji.

Uśmiechnął się.

- Nie, właściwie otwarcie chciałem cię uwieść. Skądinąd to prawda. Nic tak nie odpręża jak seks. Nie zgadzasz się?

- Jeśli się zgodzę, będziemy ciągnęli tę dyskusję w nieskończoność, a tego nie chcę. Powiesz mi, co ci się dzisiaj śniło? - Nie. Nie teraz. Może kiedy się lepiej poznamy.

To oczywiste, że ten drań "poznanie" pojmował w sensie biblijnym. Wstała.

- Idź do diabła. Chciałam ci pomóc. Powinnam była się tego spodziewać.

Z jego twarzy zniknął uśmiech.

- Nie chcę być twoim pacjentem, Sophie. Nie jestem twoim synem. Ostatnią rzeczą, jakiej od ciebie potrzebuję, to, żebyś trzymała mnie za rękę i pocieszała. Poza tym nie chcę być do końca wyleczony z tych koszmarów.

- Jesteś wariatem.

- Co za określenie! To nie było profesjonalne.

- Żyję z bólem Michaela i wiem, jakie piekło przynoszą te sny. Słowo koszmar pochodzi od starosaksońskiego słowa "ma-rā", które znaczy "demon". Takie koszmary, podobnie jak demony, mogą cię spalić żywcem. Dlaczego, u diabła, nie chcesz się z nich wyleczyć?

Przez chwilę milczał.

_ One odświeżają moją pamięć - wyznał w końcu. - Podsycają gniew. Dzięki nim mogę się skoncentrować na tym, co muszę zrobić.

Podsycają gniew.

- Mój Boże, tego właśnie chcesz? Dobrze wiem, jakie cierpienie przynoszą te sny.

- To dzieło Sanborne'a i Bocha. Taki dostałem od nich dar. Teraz mogę go trzymać przy sobie i obrócić przeciwko nim. Więc nie użalaj się nade mną.

- Nie będę.

- Będziesz. Nic na to nie poradzisz. Jesteś jednym z tych ludzi, którzy dźwigają świat na własnych barkach. - Podniósł się i poszedł w stronę do łóżka. - Nie wdepnęłaś w to gówno, gdybyś nie chciała pomóc ojcu. Cierpisz, bo nie możesz pomóc synowi. Teraz myślisz, że cię potrzebuję, i gdybym chciał, mógłbym zrobić z tobą, co zechcę. - Wślizgnął się do łóżka i przykrył prześcieradłem. - Ale nie chcę.

Więc idź spać.

- Jeszcze będziesz chciał. - Ruszyła w stronę drzwi. - Mam nadzieję, że twoje koszmary nigdy cię nie opuszczą i ... - urwała.

- Nie. Tego nie chcę•

_ Widzisz? - powiedział Royd łagodnie. - Nawet nie potrafisz rzucić na mnie przekleństwa.

- Koszmary to zbyt osobista sprawa, ale mogę wymyślić coś innego, co porządnie wystraszy mężczyznę takiego jak ty.

- Na przykład?

- Niech ci uschną jaja i żebyś dostał alergii na viagrę i wszystkie jej odpowiedniki.

Spojrzał na nią zdziwiony, po czym wybuchnął śmiechem.

- Boże, jesteś twardą kobietą•

- Nie, nie jestem. Jestem delikatna.

Z całej siły trzasnęła drzwiami.

- Jeszcze śpi? - zapytał MacDuff Jocka, który właśnie scho-dził po schodach.

- Był wyczerpany, ale do trzeciej nad ranem nie mógł zasnąć.

- Możemy się przejść? Musimy porozmawiać. Jock pokręcił głową.

- Nie mogę zostawić Michaela nawet na moment. Obieca-łem Sophie.

- Dałem ci tę bezprzewodową opaskę.

- Ale jeśli będzie miał atak i zapadnie w bezdech, a mnie nie będzie przez kilka minut, On umrze.

- No dobrze - westchnął MacDuff. - W takim razie chodźmy na dziedziniec. Stamtąd w trzy minuty dotrzesz do każdego pokoju w zamku. - Uśmiechnął się. - Powinieneś to wiedzieć. Jako dziecko spenetrowałeś tu wszystkie zakątki.

- Nigdy nie dałeś mi do zrozumienia, że jestem kimś gorszym, tylko dlatego, że moja mama była u ciebie gosposią - powiedział Jock, idąc za MacDuffem na dziedziniec. - Nigdy nie pomyślałem, że mógłbyś być draniem, dopóki nie poznałem prawdziwego świata.

- To jest prawdziwy świat, Jock. Jock spojrzał na wieżyczki zamku.

- Dla ciebie. To jest część ciebie. Żyjesz dla tego miejsca.

Dla mnie to tylko miłe wspomnienia i dom mojego przyjaciela.

- Ta także twój dom.

Jock zaprzeczył ruchem głowy.

MacDuff przez chwilę milczał, skupiwszy wzrok na zamku.

- Chcę, żebyś tu został. Pozwoliłem ci odejść, bo wiedziałem, że potrzebny ci dystans. Czułeś, że poświęcam ci zbyt dużo uwagi, bo ... nie byłeś sobą.

Jock zachichotał.

- Chciałeś powiedzieć, że byłem wariatem. MacDuff uśmiechnął się.

- Powiedzmy, że miałaś okresy dezorientacji, kiedy nie panowałaś nad sobą.

- Byłem wariatem - przyznał Jock. - Nie zranisz mnie, mówiąc prawdę. Wciąż zdarza mi się, że zupełnie tracę kontrolę. - Napotkał wzrok MacDuffa. - Ale te okresy są coraz rzadsze. Nie muszę już być cały czas pod twoimi skrzydłami. I tak za dużo się o mnie martwiłeś, włożyłeś w to tyle wysiłku.

- Bzdury. Dopóki zupełnie nie wydobrejesz, tego wysiłku nie jest za dużo. A co by było, gdybym

powiedział, że to ja •iebie potrzebuję, a nie odwrotnie?

- Nie uwierzyłbym. Masz swoje sprawy.

- Na miłość boską, jesteś ważniejszy dla mnie niż ci wszyscy moi pomagierzy razem wzięci. Ty używasz rozumu.

- Myślisz, że oni nie?

- Jock.

- No dobrze. Powiedz mi, jak chcesz wykorzystać ten mój wspaniały umysł.

- Wciąż nie znalazłem złota Ciry.

- Złota Ciry? - Jock zachichotał. - Znowu szukasz tego zaginionego skarbu rodzinnego?

- Nigdy nie przestałem. W ciągu ostatniego roku zajmowałem się tym bardzo intensywnie. National Trust nie dostanie MacDuff's Run. Ta posiadłość należy do mnie.

- Złoto Ciry to mit.

- Zostań więc, a sprawdzimy to razem. To będzie prawdziwa przygoda. Przeszukałem prawie całą posiadłość - dodał MacDuff zniżonym głosem. - Potrzebuję czyjegoś świeżego spojrzema.

Propozycja była kusząca. MacDuff wiedział, jak przekonywać ludzi.

- Chcesz odwrócić moją uwagę od Sophie i chłopca.

- Częściowo. Naprawdę jesteś mi potrzebny. Jesteś jak rodzina. A tylko rodzinie zaufałbym w sprawie skrzyni pełnej złota. Takie mam zasady. Wiesz, że z natury nie jestem ufny. Pomóż mi.

- Zastanowię się.

- Zrób to - powiedział MacDuff i poklepał go po ramieniu.

- Nie masz po co wracać do Ameryki. Na razie zaopiekujemy się chłopcem, a kiedy będzie już bezpiecznie, sam go odstawię do Stanów. - Zauważył, że wyraz twarzy Jocka się zmienił. - Dobrze, ty go odstawisz. Wrócisz następnym samolotem.

- Chyba zbyt mnie przyciskasz.

- Może trochę. Czy ja kiedykolwiek zadowalałem się słabymi środkami?

- Nigdy. - Jock spoważniał. - Ale może będziemy musieli zrobić coś więcej niż tylko czekać tu z Michaeliem. Może się okazać, że ściągnąłem na ciebie Sanborne'a. Kiedy tu lecieliśmy, myślałem o tym, że były małżonki Sophie wiedziały o moim istnieniu. Michael powiedział mi, że jestem kuzynem Sophie, ale Edmunds zna moje nazwisko. To, co on wie, tego Sanborne może się dowiedzieć.

- Jeśli tak się stanie, stawimy temu czoło.

- Sanborne to bardzo wpływowy człowiek.

- Nie tutaj, nie na mojej ziemi. Nie z moimi ludźmi. Niech tylko się tu pojawi!

Jock zaśmiał się. Ta odpowiedź była tak bardzo charakterystyczna dla MacDuffa, że Jock poczuł się jak w domu.

- Rozumiem więc, że nie chcesz, żebym zabrał stąd chłopca i ukrył go gdzie indziej?

- O czym ty mówisz? Wziąłem odpowiedzialność za tego chłopaka. Tylko spróbuj mi go zabrać!

- Nawet nie będę próbował - zaśmiał się Jock, wchodząc po schodach. - Muszę sprawdzić co z Michaeliem. Nawet jeśli nie ma ataku, to tylko małe dziecko z dala od domu.

- On ma dziesięć lat. Ty miałeś zaledwie piętnaście, kiedy uciekłeś z domu z zamiarem odkrywania świata.

- Ale to był mój wybór. Niezbyt mądry, ale Michael nie miał wyboru, musiał tu przyjechać. Poza tym ty musiałeś pojechać za mną, żeby uratować moją skórę. Michael ma tylko mnie.

- Nie mógł mieć więcej szczęścia - powiedział cicho MacDuff. - Ja też w każdej chwili wybrałbym ciebie.

Przez chwilę Jock nie wiedział, co powiedzieć. Zawsze był podopiecznym, nie opiekunem. Gdzieś, w głębi duszy wiedział, że byli teraz z MacDuffem na równej stopie, ale jego uczucia to co innego. Boże, był wzruszony. Na jego twarzy pojawił się wymuszony uśmiech.

- Dobrze wiedzieć. Czy to oznacza, że nie wtrącisz mnie i Michaela do lochów dla naszego bezpieczeństwa?

- To nic nie znaczy. Zawsze robię to, co uważam za konieczne. Chociaż tak się składa, że piwnice są zalane od wiosny. Macie szczęście.

- Wiedzą już, że nie było was w domu - powiedział Royd, kiedy Sophie weszła do jego pokoju następnego ranka. - Strażacy ogłosili to zeszłej nocy.

- Prędzej czy później to musiało się stać. Royd przytaknął.

- Mieliśmy szczęście, że zyskaliśmy trochę czasu. To oznacza, że musimy być bardziej ostrożni. Nie możemy pozwolić, żeby ludzie cię rozpoznali. Teraz nie tylko Sanborne i Boch chcą cię odnaleźć, policja też może mieć do ciebie kilka pytań.

- Nie zamierzam nigdzie się wypuszczać pod warunkiem, że masz dla mnie coś konstruktywnego do roboty. A masz? - Spojrzała mu uważnie w oczy.

Wzruszył ramionami.

- Dzwonił Kelly. Powiedział, że najbardziej odpowiedni czas, żeby zrobić zwarcie, będzie dziś o dziewiątej wieczorem. Wtedy będą wciąż wnosić rzeczy z laboratorium i wpadać na siebie po ciemku. Im większe zamieszanie, tym lepiej.

- Czy może to przygotować?

- Powiedział, że tak. Chce tylko, żebym potwierdził.

- Więc zrób to.
- Nie, dopóki nie opracuję planu odwrotu.
- Skoro Kelly może mnie tam wprowadzić, powinien mnie też stamtąd wyprowadzić.
- To może nie być takie proste. Zwłaszcza jeśli prąd zostanie znowu włączony zbyt wcześnie.
- W takim razie rozpracuj to, ja tam idę. Milczał.
- Powiem mu, żeby spotkał się z nami wpół do dziewiątej przed zakładem - zdecydował po chwili. - Będziemy mieli trochę czasu, żeby coś ustalić.
- Dobrze, zwłaszcza że nawet nie wiem, jak wygląda. Masz jego zdjęcie.
- Nie, ale wygląda jak rudy Fred Astaire.
- Cóż, to mi powinno wystarczyć.
- Potrafi wyjść cało z niejednej trudnej sytuacji, ale nie chcę, żeby musiał to robić dziś - powiedział i skinął w stronę stołu. - Kupiłem sok pomarańczowy i kanapki. Usiądź i jedz.
- Nie jestem głodna.
- I tak powinnaś coś zjeść. Potrzebna jest ci energia. Chyba że jesteś zbyt na mnie wściekła, żeby usiąść ze mną przy jednym stole.
- Byłabym głupia, gdybym dawała dojść do głosu moim uczuciom. Jock ostrzegł mnie, że będę na ciebie wkurzona przynajmniej raz dziennie. - Usiadła i zaczęła jeść kanapkę. - Nie docenił cię. Chyba nie zna cię tak dobrze, jak myśli.
- Cóż, zapewne jedną stronę mojej osobowości zna aż za dobrze.
- Jaka?

- Tę, która stała się również jego udziałem. Psychiczne męki. Próby złamania woli. Świadomość, że nie masz wyjścia, musisz się podporządkować. Jesteś tak pełna poczucia winy, że uważasz, że my z Jockiem też czujemy się winni. Nie mogę mówić za niego, ale ja jestem zbyt samolubny, żeby przejmować się grzechami, które popełniłem, nie mając kontroli nad swoimi czynami. To, że byłem niewolnikiem tych drani, było dla mnie nie do zniesienia. Nie mogłem znieść tego, że byłem zbyt słaby, żeby nad tym zapanować, żeby zabić sukinsynów, którzy mi to zrobili.

- Ja ci to zrobiłam - powiedziała cicho Sophie.

- Bzdura. Gdybym tak myślał, już byś nie żyła. - Opał na fotel i sięgnął po karton z sokiem pomarańczowym. - Przestać jęczeć i spójrz na to tak, jak ja. - Nalał soku Sophie, potem sobie. - Jeśli nie chcesz, żebym mówił o Garwood, nie będę. Chociaż zawsze uważałem, że na rany najlepsze jest słońce i powietrze.

- I odrobina nienawiści?

- A nie?

- Nienawidzę Sanborne'a. Jak możesz w to wątpić?

- Nie wątpię. Po prostu mamy różne podejścia. Może dlatego, że w twojej pracy jest mnóstwo miejsca na miłosierdzie, moja sprowadza się do wykonywania zadań, których nauczyłem się w Grawood.

- No i musisz podsycać nienawiść.

- O tak.

- Gdzie się spotkamy z Kellym? - zmieniła temat.

- Niedaleko zakładu, jakieś pięć kilometrów, jest zatoka. Nie ma tam kamer.

Sophie знаła tę zatokę. Przypomniała sobie dzień, kiedy Illusiała uciekać przed ochroniarzami.

- Czy Kelly zlokalizował sejf?

- Jakiś sejf zlokalizował. Znajduje się w biurze, niedaleko laboratorium. To wydział kadr.
- To może być sejf Sanbome'a. Taka sztuczka. Skinął głową.
- Kelly powinien to sprawdzić. Nie sądzę, żebyś musiała iść lam z nim.
- Jestem pewna. Jeśli zrobi zwarcie, wszyscy w zakładzie będą podejrzani. Może nie mieć drugiej szansy. Idę - postanowiła.

Wzruszył ramionami.

- Rób, co chcesz. Co mnie to obchodzi?
- To, że jeśli mnie stracisz, stracisz swoją przynętę•
- Nie mówiłem, że mam zamiar użyć cię jako przynętę. No, może tak powiedziałem, ale to w ostateczności.
- Czyżbyś zaczynał mięknąć?
- Nic z tych rzeczy. Może po prostu chcę uspić twoją czujność i przekonać cię, że warto by było pójść do łóżka z takim miłym facetem jak ja.
- Miłym facetem? - zdziwiła się. - Daleko ci do miłego faceta, Royd.
- Nawet naj dłuższa podróż zaczyna się od pierwszego kroku - zacytował znane chińskie przysłowie.
- Może ty mnie zmieniasz, co?
- Jesteś śmieszny. Uśmiechnął się.
- Cóż, znasz się na terapii, a mamy przed sobą cały dzień. Może po prostu pójdziemy do łóżka i odpreżymy się przed dzisiejszą robotą?
- Jesteś obrzydliwy - zachnęła się.
- Nie w łóżku. Może czasami jestem, ale nie w łóżku.

Spodobałbym ci się.

- Arogancki drań. - Ruszyła w stronę swojego pokoju. - Nie jestem zainteresowana seksem z tobą.

- Wydaje mi się, że zauważyłem ślad zainteresowania, a ja jestem tak napalony, że muszę zadowolić się tym, co mam.

Boże, co za drań! Spojrzała na niego. Siedział niedbale w fotelu, emanując seksualnością. Nagle zdała sobie sprawę, że za zwykłym beznamiętnym spojrzeniem dojrzała filuterny błysk.

- Nie po to tu jesteśmy - przypomniała.

- Ale to może być moja ostatnia szansa, zanim dasz się dzisiaj zabić. - Uśmiechnął się chytrze. - Może cię ominąć doświadczenie twojego życia.

- Jeśli dzisiaj zginę, nie będę miała życia przed sobą, żeby żałować.

- Jeśli jesteś tak dobra jakja, każda minuta, którą spędzimy razem, będzie jak całe życie.

Nie mogła powstrzymać drżenia warg.

- Chyba jest mi niedobrze.

- Dobrze, odwołuję to. - Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Skoro nie chcesz się odprężyć w ten przyjemny sposób, musisz znaleźć coś innego. Jeśli tego nie zrobisz, przez cały wieczór będziesz zdenerwowana.

- Zawsze mogę znaleźć sobie coś do roboty. Nie mam ze sobą notatek, ale mam dobrą pamięć.

Pomyślę nad przypadkami moich pacjentów. Ale jest coś, co ty możesz zrobić.

- Jestem do twoich usług ... może.

- Nie mogę zadzwonić do mojej przyjaciółki, Cindy Hodge, ale ty możesz. Powiedz, że dzwonisz w moim imieniu. Będzie ci potrzebny jakiś dowód ... - Zastanowiła się chwilę. - Przypomnij jej, że spotkałyśmy się pierwszego dnia, kiedy wyświetlali "Gwiezdne wojny". Chcę wiedzieć, czy żyje, jeśli tak, chcę ją ostrzec.

Skinął głową.

- Daj mi jej numer. Zadzwonię ze sklepu na rogu.

- Sprawdzę w komórce. Kiedy to zrobisz?

- A jak myślisz? - burknął. - Poprosiłaś mnie o przysługę. Martwisz się. Myślisz, że odczekam kilka godzin, aż będzie mi się chciało wyjść? Wrócę za godzinę.

- Dziękuję - powiedziała i zamknęła za sobą drzwi.

Boże, nigdy nie będzie mogła go rozszyfrować. Szorstki w obyciu, zmysłowy i surowy zarazem, namiętny i zimny jak lód. Ujęło ją jego poczucie humoru. W ostatnich latach tak bardzo brakowało jej poczucia humoru. Nawet kiedy była z Da-ve'em, byli zbyt zajęci pracą, żeby dbać o takie subtelności.

Nie chodzi o to, że nie była zadowolona z ich pożycia. Seks zawsze sprawia przyjemność, jeśli dwoje ludzi liczy się ze sobą. Boże, jak to brzmi! Nudno i tradycyjnie.

Jaki byłby seks z Roydem? Nie było gwarancji, że zadbałby o jej potrzeby. Nie, prawdopodobnie nie byłby delikatny. Za-wsze w jego obecności wyczuwała tę zwierzęcą gwałtowność. Sygnały, które jej wysyłał, były niemalże namacalne.

Co też jej przyszło do głowy? Zawsze w jego obecności? Nie wiedziała, że jest tak świadomajego obecności. Tylko ten jeden raz, kiedy ...

Wzięła głęboki oddech. Dobrze, musiała to przyznać. Royd ją pociągał. Nie oznacza to, że poszłaby z nim do łóżka. Co też nie oznaczało, że uczucie to nie minie, kiedy ich wspólne sprawy zostaną zakończone. Po prostu brakowało jej seksu, a Royd był w pobliżu.

Zadzwoił jej telefon. Royd. - Halo.

- Cindy Hodge jest z matką w Catskills. Rozmawiałem z nią. Powiedziałem jej, żeby się nigdzie nie ruszała.

Sophie odczuła ulgę.

- Dzięki Bogu.

- Na razie. - Rozłączył się.

Dotrzymał słowa, a teraz ona może skupić się na istotnych sprawach. Podeszła do biurka i wyjęła papier listowy i pióro.

Pomyśl o Elspeth.

Pomyśl o Randy Lourdes, która cierpiała na poważne zaburzenia snu.

Nie myśl o nagim Roydzie, takim, jaki objawił się wczoraj wieczorem.

Nie myśl o Roydzie, rozwalonym w fotelu, wypowiadającym słowa, które były prowokujące, a zarazem zabawne.

Nie myśl o nim wcale.

Rozdział 9

Simpson się spóźniał.

Dave Edmunds spojrział na zegarek. Gdzież on, u licha, był? Nie powinien był się dać namówić na to spotkanie na wiejskiej drodze. Najpierw posłał go do diabła, ale potem zrozumiał, że wszelkie negocjacje muszą się odbyć w tajemnicy. Nie chciał rozgłosu. Zniwelowałby wtedy niewielką przewagę, jaką miał po ogłoszeniu, że ciała Sophie i Michaela nie zostały znalezione w domu. Oczywiście, był szczęśliwy, że istniała szansa, że żyją, i zrobiłby wszystko, żeby ich odnaleźć. Jednak dopóki nie było dowodu, że nie zginęli, miał szansę zawrzeć układ, zanim się pojawią. Ktoś musiał zapłacić, dlaczego nie jemu? Mógłby wycisnąć z nich ładną sumkę, żeby dostać tadny procent. Mógłby wtedy posłać Michaela do college'u.

Ci dranie z gazownictwa muszą wiedzieć, jakich mógłby im narobić nieprzyjemności, gdyby nie zgodzili się na negocjacje. W przeciwnym razie Simpson nie zadzwoniłby do niego, przyznając się, że pracuje w spółce gazowej, i nie zaproponowałby spotkania.

Teraz ten drań kazał mu na siebie czekać. Gra psychologiczna?

Nie, już jest. Rozpoznał samochód. Kiedy się zatrzymał, Dave podszedł do samochodu.

Simpson otworzył okno.

- Spóźniłeś się. Dwadzieścia minut. Nienawidzę spóźniałstwa. Wiesz, ile spraw był przegrał, gdybym się spóźniał?

- Przepraszam - powiedział Simpson. - Zatrzymali mnie w biurze. Jest weekend, ale to jest duży interes. Kiedy rozmawiałem z tobą przez telefon, powiedziałaś, że nie zejdiesz poniżej sumy, którą wymieniłeś. Moi przełożeni zbaranieli.

- Nie czaruj mnie. Mają nóż na gardle. Albo układ, albo zobaczycie mnie w sądzie, jak trzęsę się przed ławą przysięgłych i opowiadam, jak wasza firma naraziła życie mojego syna. - Naprawdę myślisz, że mógłbyś wydusić coś od nas, skoro nikomu nic się nie stało?

- Tego nie wiemy. Może moja była żona dostała wstrząśnienia mózgu i włóczy się gdzieś, cierpiąc katusze? Bądź co bądź jeszcze jej nie znaleziono. Może będę musiał wynająć prywatnych detektywów. To kosztuje. Nie zdajecie sobie sprawy, jakich kłopotów mogę wam przysporzyć. Pod koniec tygodnia mieszkańcy wszystkich domów w okolicy mogą złożyć pozew przeciwko spółce, która stworzyła psychiczne zagrożenie. Lepiej zrobicie, jeśli teraz się dogadamy i będę cicho.

- Moi przełożeni się z tobą zgadzają - przyznał Simpson z uśmiechem. - Chcieli tylko, żebym się trochę potargował. Powiedziałem im, że nie pójdiesz na to. Tak czy owak nie mam upoważnienia, żeby negocjować z tobą taką ugodę. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, przyjedzie tu ktoś, kto może to zrobić.

- Kto?

- George Londrum.

- Komisarz robot publicznych? - Edmunds zagwizdał.

- Słyszałem, że zdefraudował wszystkie pieniądze, kiedy został komisarzem.

- To nie znaczy, że nie dba o rozwój firmy. Będzie pełnił funkcję jeszcze tylko przez dwa lata, a potem chce mieć miły kącik, do którego będzie mógł wrócić.

- Firma nie będzie prosperowała, jeśli będę zmuszony wycisnąć z nich ostatni grosz.

- Więc mogę do niego zadzwonić i poprosić, żeby tu przyjechał? Czeka na stacji benzynowej kilka kilometrów stąd.

Edmunds chwilę się zastanowił. Dlaczego nie? Londrum był politykiem, a on wiedział, jak rozmawiać z politykami.

- Oczywiście. Niech przyjedzie. Jużja sobie z nim poradzi;. Simpson uśmiechnął się.

- No tak.

Wybrał numer.

- Pan Edmunds mówi, że z przyjemnością się z tobą zobaczy.

Simpson zaczął zamykać okno.

- A teraz, jeśli pan pozwoli, oddalę się. Jestem pewien, że nie chcielibyście rozmawiać przy świadkach. Pan Londrum będzie tu za kilka minut. Wie pan, jak on wygląda?

- Oczywiście.

Edmunds obserwował, jak Simpson odjeżdża. Miał rację.

Wolał rozmawiać bez świadków. Żałował tylko, że za bardzo się bał, żeby nagrać tę rozmowę. Nie miał pojęcia, że komisarz był zamieszany w sprawy spółki.

Simpson zwolnił, kiedy na zakręcie minął go lincoln. Podniósł w górę rękę i pojechał dalej.

Lincoln. Oczywiście Londrum jeździł dużym, luksusowym samochodem. Pewnie chciał mu zaimponować, a zarazem onieśmielić.

Samochód był coraz bliżej.

- Boże! - Jock rzucił karty na stół, kiedy włączył się alarm na monitorze w bibliotece. - Michael! - Skoczył na równe nogi. _ Powinienem być się tego spodziewać. Mielśmy szczęście, że nie miał ataku zeszłej nocy.

- U siadź - polecił MacDuff, idąc w stronę drzwi. - Zajmę się tym.

- Ja jestem za niego odpowiedzialny. Obiecałem Sophie, że ... On nawet cię nie zna.

- A więc powinien zacząć mnie poznawać. - Uśmiechnął się. - Zaufaj mi, Jock. Zajmowałem się tobą, kiedy miałeś napady manii. Teraz mogę się zająć chłopcem.

- Dlaczego chcesz to zrobić? - zapytał Jock, idąc za MacDuffem do hallu. - To mój ...

- Zgodziłem się, żeby tu został - przypomniał MacDuH, wchodząc po schodach. - Teraz muszę go poznać.

- Bo jest jednym z nas - powiedział miękko Jock.

- Jeszcze nie. Mnie nie tak łatwo przekonać. Ale ty go lubisz, a to mi utrudnia. Zostań tutaj, chyba że cię zawołam. Poradzę sobie, Jock.

MacDuff otworzył drzwi sypialni Michaela. Ciszę domu rozdarł krzyk chłopca. Teraz siedział w łóżku, starając się złapać oddech.

MacDuff podszedł szybko do Michaela i potrząsnął nim lekko.

- Obudź się, chłopcze. Nic ci się nie stanie.

Po policzkach Michaela płynęły łzy. Otworzył oczy. Krzyknął znowu, kiedy zobaczył przed sobą twarz Mac Duffa. Wyrwał mu się i przekręcił na drugą stronę łóżka, złapał lampkę stojącą na stoliku nocnym, wyrwał kabel z gniazdka i rzucił nią w MacDuffa.

MacDuff zrobił unik.

- Do cholery. Nie mam zamiaru ... - Szybko znalazł się przy chłopcu i chwycił go za ręce. - Przestań. Jock by się nieźle uśmieł, gdybyś zdołał mnie zranić.

- Jock? Gdzie on jest?

- Na dole. Czeka, aż wrócę. - MacDuff odepchnął chłopca.

- Wiesz, kim jestem?

- Właścicielem tego zamku. - Michael zagryzł wargę.

- Przepraszam. Nie chciałem ...

- Nie przepraszaj. Nie byłeś do końca wybudzony ze snu.

Spodziewałem się, że możesz gwałtownie zareagować. Chociaż nie przewidziałem akurat lampy.

- Nie wiedziałem, kim ...

- Wiem. - Chłopiec wciąż się trząsał. Daj mu odzyskać dumę, pomyślał MacDuff, wstał i podszedł do okna. - Ale tu duszno. - Otworzył okno. - Brakuje powietrza. Sam będę pewnie miał koszmary.

Michael przez chwilę się nie odzywał, wreszcie powiedział: - Nie dlatego miewam koszmary. Pan chyba o tym wie. MacDuff spojrzał przez ramię. Wydawało się, że chłopiec dochodził do siebie, jego puls wracał do normy.

- Wiem. Ale wydawało mi się, że to należy w takiej chwili powiedzieć.

- Chce mnie pan zapytać o koszmary?

- Dlaczego miałbym to robić? To nie moja sprawa.

- Więc dlaczego pan tutaj przyszedł?

- Zaprosiłem cię tu. Jeśli masz problem, do moich obowiązków należy postarać się go rozwiązać. Nie będę mógł tego zrobić, jeśli się nie poznamy.

- Jock mnie tu przywiózł - przypomniał chłopiec. - Nie chcę panu zawracać głowy.

- Gdybyś mi zawracał głowę, nie pozwoliłbym Jockowi, żeby cię tu przywoził. - Milczał chwilę. - Wyjaśnijmy sobie jedno. Nie zadaję pytań i nie jestem twoją matką.

- Tak. Nie rzucałbym w mamę lampą.

- Mam nadzieję - mruknął MacDuff. - Bicie kobiet jest surowo zakazane w tym domu.

- Może, już pan iść. Wszystko w porządku.

- Nie staraj się mnie pozbyć. Mam wrażenie, że nie do końca wywiązuje się ze swoich obowiązków wobec ciebie. Co twoja matka robi, kiedy wybudzasz się z tych koszmarów?

- Nie jest pan moją matką - odparł chłodno chłopiec.

- Mądrała.

Michael otworzył szeroko oczy.

- Przepraszam. Wymknęło mi się. Wiem, że to było niegrzeczne, a nawet...

- Przestań traktować mnie jak potwora. Nie zetnę ci za to głowy.

- Ale jest pan stary, poza tym mama mówiła, że jest pan jakimś lordem i że powinienem być grzeczny.

- Nie jestem taki stary.

- Starszy od Jocka.

- Połowa ludzi na ziemi jest starsza od Jocka. Mam trzydzieści parę lat i doświadczenie, które sprawiło, że jestem tym, kim jestem. Wy, Amerykanie, nie potraficie okazać szacunku.

- Zna pan wielu Amerykanów?

- Kilku. Teraz powiedz, co twoja mama robi, kiedy Się wybudzasz z tych koszmarów.

- Robi mi gorącą czekoladę i rozmawia ze mną.

- Nie pójdę na dół do kuchni po czekoladę, i za słabo się znamy, żeby zajęła nas rozmowa.

- Mogę już zasnąć. Nie musi pan nic robić.

- Bzdury. To dziwne miejsce. Pozbycie się napięcia zajmie ci dużo czasu. Chyba ci to wybije z głowy.

Michel zamarł.

- Słucham?

- Nie dosłownie. Jock mówi, że grasz w piłkę.

- Tak.

- Kiedy byłem w szkole, też grałem. Chodźmy na dwór. Pogramy trochę. Kiedy skończymy, będziesz wykończony.

- Teraz? W środku nocy?

- Dlaczego nie? Masz coś lepszego do roboty? Włóż buty i chodź.

Michael odrzucił na bok koc. Na jego twarzy malowało się podniecenie.

- To gdzie mamy iść?

- Pójdziemy na polanę nad klifem, na tyłach zamku. Stamtąd będzie widać morze. Moi przodkowie pochodzili z gór, bardzo lubili wszelkiego rodzaju popisy zręcznościowe. Teren jest płaski, na pewno znajdę gdzieś piłkę.

- A co się stanie, jeśli wkopię piłkę do morza?

- Będziesz musiał po nią lecieć. A co myślałeś?

Nate Kelly rzeczywiście wyglądał jak Fred Astaire. Tylko jego sposób poruszania się był mniej taneczny, a bardziej zdecydowany.

- Musimy działać szybko - powiedział do Royda, będąc jeszcze w odległości kilku metrów. - Musimy dostać się do środka i przedostać się do działu kadr, zanim dojdzie do spięcia. - Spojrzał w jej stronę - Sophie Dunston?

- Tak.

- Miło cię poznać. Trzymaj się blisko mnie i wykonuj moje polecenia, może uda nam się wtedy wyjść z tego cało. - Odwrócił się i ruszył w stronę zakładu. - Idziesz z nami, Royd? - Nie. Zostanę tutaj, na wypadek gdybyście potrzebowali szybkiego odwrotu.

- Póki prąd będzie wyłączony, nic nam nie będzie. W kałdrach jest pusto o tej porze.

- Źeby nie były to twoje ostatnie słowa. Nigdy do końca nie przewidzisz, co się może zdarzyć. - Royd zwrócił się do Sophie: - To twoja ostatnia szansa. Pozwól Kelly'emu robić to, co do niego należy.

- Mam stracić możliwość zdobycia tego dysku? Przecież on będzie musiał wziąć do ręki każdy dysk, każdy papierek. Świałta włączą się na długo przed tym, kiedy on opuści budynek. Ja od razu rozpoznam właściwy dysk.

- To prawda - przyznał Kelly. - Ale możesz nie wydostać się z zakładu w odpowiednim czasie. Od momentu dostania się do sejfu będziesz zdana wyłącznie na siebie. Ja będę musiał wrócić do roboty i udawać, że przez cały czas nie opuściłem stanowiska pracy. - Spojrzał na Royda. - Chyba że chcesz, żebym zaryzykował i wyprowadził ją stamtąd?

- Nie - odparł krótko Royd. - To jej wybór. Nie mam zamiaru ryzykować twojego stanowiska w zakładzie. Jeśli będzie trzeba, sam po nią pójde.

- Nie ma mowy - powiedział Sophie. - Nikt nie będzie nadstawiał za mnie karku. Róbcie swoje, a ja będę robiła swoje. Dam sobie radę. - Zamilkła. Właśnie przed ich oczami stanął zakład w całej swojej okazałości. Trzypiętrowy budynek otoczony ogrodzeniem. W każdym oknie paliło się światło. Zobaczyła trzy ogromne ciężarówki, przy których uwijali się mężczyźni. Przeszedł ją dreszcz. - Jak mamy ominąć tych ludzi?

- Wejdziemy przez piwnicę po drugiej stronie. Tam jest dużo spokojniej. Tylko jeden strażnik, który zazwyczaj stoi na rogu i obserwuje ciężarówki - wyjaśnił Kelly. - Południową bramę i drzwi do piwnicy zostawiłem otwarte. - Schodzili tera po stromym wzgórzu. - To, co było w piwnicach, zostało już wywiezione, więc mamy szansę, że w ogóle nie natkniemy się na strażnika. Po wejściu do środka skierujemy się od razu na lewo, do schodów ewakuacyjnych i pójdziemy na drugie piętro. Potem znowu skęcimy w lewo, będziemy szli jakieś sto metrów, potem w prawo i dwadzieścia metrów. Zapamiętałaś?

- Schody ewakuacyjne na lewo. Drugie piętro, na lewo sto metrów, w prawo i dwadzieścia metrów.

- W porządku. Nie zapomnij. Zapamiętaj każdy swój krok.

Będziesz wracać sama. Mam dla ciebie okulary na podcierwienie, ale przez nie niektóre rzeczy wyglądają inaczej.

- Żadnych latarek?

- Dopiero w pokoju kadr będą nam potrzebne przy otwieraniu

sejfu. Ale biura na drugim piętrze są przeszklone i nie możemy pozwolić, żeby ktoś nas tam zobaczył. Kiedy stamtąd wyjdziemy, ja pójdę w stronę klatki schodowej i na trzecie piętro, do siebie, ty wrócisz tą samą drogą, którą wejdziemy. Wszystko jasne?

Skinęła głową.

- Powinnam wziąć broń?

- Nie - powiedział Royd. - Możesz zechcieć jej użyć, a chcemy, żebyś uniknęła konfrontacji. Tak będzie bezpieczniej. - Nie chcesz ryzykować utraty Kelly'ego jako wtyczki?

- Oczywiście - odparł chłodno Royd. - Cieszę się, że zrozumiałaś, jakie są w tej chwili priorytety.

- Nie mam wątpliwości.

Byli już prawie przy bramie. Sophie miała spocone ręce.

- Będziesz tu na mnie czekał?

- Jeśli niczego nie zawalisz i nie będę musiał tam po ciebie iść. - Uśmiechnął się. - Jak już wiesz, nie mogę ryzykować utraty Kelly'ego jako wtyczki.

- Nie nawalę.

Miała nadzieję, że to jest prawda. Nie spodziewała się, że będzie się aż tak bała.

- Zaczekaj tutaj. - Kelly otworzył bramę i wślizgnął się na drugą stronę. Dwie minuty później był już z powrotem. - Strażnik stoi na rogu, obserwuje ciężarówki. Royd, zostań tu i miej na niego oko. - Wziął Sophie za rękę. - Schył się i biegnij!

Biegła.

Dziesięć metrów do piwnicy.

Boże, światła były tak jasne, że strażnik mógłby ich zobaczyć w każdej chwili, gdyby się tylko odwrócił.

Jeszcze metr.

Byli już w środku.

Odczuła ulgę, ale Kelly nie dał jej złapać oddechu. Ciągnął ją w stronę schodów ewakuacyjnych.

_ Pośpiesz się, za trzy minuty zgaśnie światło.

Dwie minuty później byli już na drugim piętrze. Kelly spojrzał w stronę przeszklonych biur, w których panowała ciemność.

- Pusto. Wchodzimy. Jeśli będziemy mieli szczęście, wejdziemy tam, zanim ...

Ciemność. Absolutna ciemność.

- Nie mieliśmy szczęścia - stwierdził Kelly, wkładając swoje okulary i biegnąc korytarzem - Trzymaj się mnie, możemy nie mieć wystarczająco dużo czasu. Może nam zabraknąć tej minuty ...

Cholera.

Royd wczuł się pod jeden z samochodów zaparkowanych przed zakładem, kiedy usłyszał krzyki biegających bezładnie strażników.

Spojrzał na zegarek. Nie włączył timera. Niedobrze.

Czy w takim razie powinien pójść za nimi?

Nie przy takiej robocie. Zawsze musi być ktoś w odwodzie. Powiedział Sophie, że musi polegać tylko na sobie.

Musi wiedzieć, że skoro się zobowiązała, to brała na siebie ryzyko. Pomyśl, jak ją stąd wydostać, zanim cały zakład stanie w płomieniach, nakazał sobie. Kelly zrobił, co mógł, ale kiedy Sophie wyjdzie stamtąd, nie będzie już mógł jej pomóc.

Odpowiedzialność Royda zaczynała się tam, gdzie kończyła się odpowiedzialność Kelly'ego.

Znowu spojrzął na zegarek. Minęły dopiero dwie minuty.

Mieli jeszcze dziesięć.

Zaczął wyczołgiwać się spod samochodu.

- Zostało jeszcze dziesięć minut - mruknęła Sophie, kierując światło latarki na zamek sejfu.

- Cicho. - Ręce Kelly'ego delikatnie obracały gałkę.

Miał piękne ręce, zgrabne palce. To dziwne podziwiać ręce włamywacza. Chociaż nie było nic dziwniejszego od tego, że była teraz tutaj, ryzykując życie swoje i jego.

Na miłość boską, otwórz ten sejf. Siedem minut.

Ostatnia minuta zdawała się wiecznością. Sześć minut.

Czuła, jak serce podskakuje jej do gardła. Szybciej! Szybciej!

Drzwi się otworzyły.

Kelly odsunął się.

- Masz tylko dwie minuty. Musisz jeszcze stąd wyjść.

- Dzięki. - Nerwowo przeglądała zawartość pierwszego pudełka z dyskami. - Nie ma go tu. - Sięgnęła po drugie. _ Tutaj też, cholera.

- Czas się kończy.

- Nie ma ... - Nagle zobaczyła dysk na dnie pudełka. Kod Sanborne'a, który był na dysku z REM-4.

- Znalazłaś?

- To nie jest ten sam dysk. Nie wiem, czy ... _ Stała na nogi, rozglądając się po pokoju. Potrzebny był jej laptop. Zobaczyła jeden w rogu, rzuciła się w jego stronę. - Muszę go skopiować.

Kelly zaklął cicho.

- Nie mamy czasu.

Znalazła na biurku czysty dysk i włączyła laptopa. Musi najpierw zapisać go na dysku laptopa, potem skopiować.

- Nie przyszedłam tu po to, żeby wyjść z pustymi rękami.

- Więc weź ze sobą ten cholerny dysk.

- Zrobię to - powiedziała zaciekle. - To chyba nic jest właściwy dysk, ale należy do Sanborne'a. Może się przydać. - Spojrzała za siebie. - Idź już. Musisz wrócić, zanim włączy się światło. Wykasuję dysk z laptopa, włożę dysk do sejfów i zamknę go. Zajmie mi to chwilę.

Spojrzał na zegarek i ruszył w stronę drzwi.

- Najwyżej trzy minuty, Sophie. W przeciwnym razie nie będziesz miała czasu wyjść.

Zniknął za drzwiami.

Boże, żeby ten komputer zechciał odpalić. Włączył się!

Kopiowanie zajęło trzy minuty. Skasowała kopię z dysku laptopa, włożyła oryginał do sejfów i zamknęła go. Wybiegła na korytarz w stronę schodów ewakuacyjnych.

Mniej niż dwie minuty. Pędziła co tchu.'

Po chwili wybiegła z klatki schodowej.

Wciąż miała jeszcze minutę. Rzuciła się na drzwi i otworzyła je gwałtownie.

Zapaliły się światła.

- Szybko. - Krzyknął Royd, złapał ją za rękę i ruszył w stronę parkingu. Wepchnął ją pod pierwszy samochód. - Idiotko, dlaczego tak długo?

- Zamknij się. Musiałam. - Nie mogła złapać oddechu.

- Odesłałam Kelly'ego wcześniej. Miał wystarczająco dużo czasu, żeby wrócić.

- Jeśli nas złapią, to po nas. Módlmy się, żeby wszyscy pobiegli do środka sprawdzić, co się stało.

- Nie możemy wyjść bramą?

- Posłali tam strażników, żeby zobaczyli, czy nikt się nie włamał. Na razie będziemy musieli tu zostać i mieć nadzieję, że uda nam się kiedyś stąd wydostać.

- Na tym parkingu? - zdziwiła się.

- Nie. Pozwolimy się wywieźć stąd jednym z tych vanów.

- Co?

- Masz lepszy pomysł? - spytał sarkastycznie.

- Nie. Ale jestem prawie pewna, że to się nie uda.

- Ja też. Ale nie mamy wyjścia. Nie możemy wrócić do zakładu i dać się postrzelić, kiedy będziemy próbowali przedostać się przez bramę. Mam nadzieję, że nie zostawiłaś żadnych śladów.

Zostawiła? Spieszyła się, ale starała się być ostrożna.

- Nie podoba mi się ta cisza.

- Nie myślałam, że będziemy mieli problem.

- Mam nadzieję, że nie - powiedział chłodno. - Nie mam zamiaru dać się złapać.

Teren wokół ciężarówek wydawał się pusty. Może nie było w nich nic ważnego i wszyscy pobiegli do zakładu sprawdzić, co się stało.

- Wchodź! - Royd popchnął ją w stronę jednej z ciężarówek i szybko wszedł za nią. Rozejrzał się dokoła na stojące tam meble. - Metalowa szafka. - Podeszedł do niej i otworzył drzwi. - Cholera, szuflady - wymamrotał. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niego niewielki przedmiot. - Obserwuj wejście, tymczasem ja pozbędę się tych szuflad.

Przezołgała się na tył samochodu.

- Co to? Scyzoryk armii szwajcarskiej?

- Lepiej wyposażony, ale ten sam pomysł. Co tam się dzieje?

- Sporo. Strażnicy się kręcą. Pospiesz się!

- Spieszę się. Jeszcze tylko jedna szuflada. Ta na górze może zostać.

- Idzie tu strażnik. Nie, zatrzymał się. Rozmawia z kimś.

- Już. - Wstał, wziął szuflady i położył je za kanapą, która stała w rogu. - Chodź. Nie będzie wygodnie, ale zmieścimy się oboje.

- Nie jestem pewna. Karłem nie jesteś.

- Nie doceniasz mnie. - Wczołgali się do środka. - Za to ty jesteś wystarczająco chuda. Teraz cicho, dopóki nie uruchomią silnika.

Znowu ciemność. Bliskość.

Strach.

Serce waliło jej tak mocno, że była pewna, że Royd to słyszy.

- W porządku - wyszeptał. - Nie są zbyt rozgarnięci, w przeciwnym razie nie zostawiliby otwartych drzwi. Mamy szansę, i.e nie będzie im się chciało przeszukać ciężarówki.

Skinęła głową, ale nic nie powiedziała. Nie chciała ryzykować, że ktoś ich usłyszy.

Pięć minut. Dziesięć minut. Dwadzieścia minut. Trzydzieści minut. Czterdzieści minut.

Drzwi ciężarówki zamknięto z taką siłą, że metalowa szafka cała się zatrzęsła.

Sophie poczuła ulgę.

Po chwili silnik został uruchomiony.

Dlaczego zatrzymali ich przed główną bramą? Nie, puścili.

- Mówiłem ci, że będzie dobrze - powiedział Royd. - Kelly jest ekspertem. Prawdopodobnie nie zorientowali się, że prąd wyłączono specjalnie.

- Nienawidzę ludzi, którzy mówią "mówiłem ci".

- Przyznaję, że mam taką słabość. Tak często mam rację, że to zaczyna ludzi wkurzać.

Żartował. Byli zamknięci w tym metalowym pudle, a on się w ogóle nie przejmował. Miała ochotę go zabić.

.- Powinniśmy się cieszyć, że nie postąpili według normalnej procedury.

- To znaczy? .
 - Zazwyczaj, zanim wyślą kontener mi statek, muszą wszystko zapieczętować.
 - Dlaczego teraz tego nie zrobili?
 - Musisz zapytać Sanborne'a.
 - Jak masz zamiar wydostać się z tej ciężarówki, kiedy już dojedziemy na miejsce?
 - Wymyślimy coś na poczekaniu - odparł beztrąsko.
 - Nie chcę działać w ten sposób. Ty wymyślasz na poczekaniu. Ja potrzebuję planu.
 - A więc dobrze. Zaplanujmy coś. Ty pierwsza.
 - Znajdą nas, jak zaczną rozładowywanie. Będziemy musieli wydostać się wcześniej.
 - To jakiś plan. Moim zdaniem powinniśmy poczekać, aż otworzą drzwi. Wtedy albo ich zabijemy, kiedy wejdą tu i zaczną rozładowywać rzeczy, albo poczekamy, aż coś wyładują, i spróbujemy się wyslizgnąć. Będziemy improwizować.
 - Nie muszę pytać, którą opcję wybierasz.
 - Jasne, jestem żądnym krwi draniem, który nie może się doczekać, żeby zacząć zabijać.
 - Nie, nie miałam na myśli ... Nie mam prawa oskarżać Clę o ...
 - Och, na miłość boską, zamknij się - przerwał jej ostro.
 - Masz prawo powiedzieć, co tylko ci do głowy przyjdzie, nie musisz cały czas zadręczać się Poczuciem winy.
- Po chwili zapytał, zmieniając temat:
- Znalazłaś dysk?

- Tak jakby.
 - Albo go znalazłaś, albo nie.
 - Nie znalazłam dysku z REM-4, ale znalazłam inny, który miał kody Sanborne'a. Skopiowałam go.
 - Po co?
 - Chcę zobaczyć, co tam jest. No i wkurzyłam się, że nie znalazłam REM-4. Cholera, miałam nadzieję, że tam będzie.
 - Było wiadomo od początku, że szanse są niewielkie.
 - Ale Pozwoliłeś mi tam pójść.
 - Teraz masz nauczkę. Zawsze, jeśli będą choć najmniejsze szanse na powodzenie, pozwolę ci próbować. Mimo obietnicy, którą złożyłem tobie i Jockowi.
 - Nie proszę cię o nic innego. Nie, to nieprawda. Jeśli kiedykolwiek narazisz życie mojego syna, zabiję cię.
 - To oczywiste. Każdy z nas ma taki przycisk nieskończoności.
 - Przycisk nieskończoności? - zdziwiła się.
 - Spust, który uwalnia to, co w nas złe i dobre. Puszka I 'andory. Czyn albo osoba, która sprawia, że zrobisz wszystko, nawet przekroczysz granicę.
 - Michael jest moim przyciskiem nieskończoności?
 - A nie jest?
- Wszystko, co dobre i złe ...
- Chyba tak. Ale chciałam zabić Sanborne'a za to, co zrobił mojej rodzinie. Może istnieją też inne przyciski?

- W twoim przypadku to są ludzie, których kochasz. To prawda.

- A co jest twoim przyciskiem nieskończoności?

- Nienawiść.

Zaskoczyła ją ta odpowiedź. Powinna zmienić temat, ale kusilo ją, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o tym człowieku.

- Nienawiść to produkt. A co wywołuje tę nienawiść? Co jest tym spustem? Garwood?

- Może.

- Royd.

Chwilę milczał.

- REM-4 nie od razu na mnie zadziałał. Zwalczałem go, co wkurzało Sanborne'a i Bocha. Szukali wszelkiego sposobu, żeby mnie złamać. Podobnie jak Thomas Reilly wobec Jocka. Boch wpadł na pomysł, że użyją mojego młodszego brata, Todda, jako przynętę. Przykuli go do muru w Garwood i za każdym razem, kiedy nie wykonywałem rozkazu, bili go i odmawiali wody. Razem z REM-4 przyniosło to pożądany efekt. Niedługo potem stałem się tym, kim chcieli, żebym się stał.

Posłusznym zombie. Ale Todd nie był już im potrzebny, bo umierał z wycieńczenia, tak był skatowany. Więc zabili go na moich oczach. Zdaje się, że to był końcowy egzamin. Wtedy byli mnie pewni. Boże, jacy oni byli głupi! To pokazuje, jak mało Sanborne wie o ludzkiej naturze. Śmierć Todda była początkiem końca ich panowania nade mną. Dwa miesiące później doszedłem do siebie.

- Chryste.

- Zapewniam cię, że on nie miał z tym nic wspólnego.

- Miałam na myśli ... - Głos jej się załamał.

Cisza.

- Płaczesz?

Nie odpowiedziała.

Royd wyciągnął rękę i dotknął jej policzka.

- Płaczesz. Powinienem być się spodziewać.

- Jesteś zaskoczony? - Głos jej się załamywał. - Cały czas powtarzasz, jaka jestem delikatna.

- Nie chciałem twojego współczucia - powiedział po chwili milczenia. - Zapytałaś, więc odpowiedziałem. Co się stało, to się nie odstanie. To już minęło.

Ale wciąż miał koszmary i nie chciał sobie pomóc. Chciał podsycać nimi swoją nienawiść.

- To nie koniec. - Otarła łzy ręką. - Nie możesz tak mówić.

Wciąż to przeżywasz.

- Nie, teraz odzyskałem kontrolę. Ty też. Tak długo, jak masz kontrolę nad swoim umysłem i wolą, nie mogą ci nic zrobić.

- Wiem.

- Znajdziemy dysk. - W tonie jego głosu usłyszała absolutną pewność. - Musimy się tylko stąd wydostać. Kelly mówił, że ciężarówki rozładowują w doku. Muszę się dowiedzieć, jak się nazywa statek, na który załadują te wszystkie rzeczy. W ten sposób będziemy mogli się dowiedzieć, dokąd płynie.

- Pod warunkiem, że wydostaniemy się stąd niepostrzeżenie, bez żadnych ofiar śmiertelnych - powiedziała sucho. - Co zrobisz, jeśli kogoś zabijesz?

- Będę improwizował.

- Wszystko wydaje się w porządku - powiedział Gerald

Kenneth, kiedy Sanborne odebrał telefon.

- Przeciążenie sieci.

- A co z zapasowym generatorem?

- Wszystko w promieniu pięćdziesięciu mil siadło.

- Nie podoba mi się to.

- Strażnicy przeczesali teren. Żadnych intruzów, wszystko wydaje się w porządku - powtórzył Kenneth.

_ Muszę być pewien. Wychodzę z domu. Sam sprawdzę.

_ Rób, co chcesz. Staram ci się oszczędzić niepotrzebnej wycieczki tutaj.

_ Nie wydaje ci się, że ta Dunston może mieć z tym coś wspólnego?

_ To był wypadek. Nawet jeśli nie, musiał to zrobić ktoś z wewnątrz, ktoś, kto zna się na rzeczy. A to nie mogła być Dunston.

_ Nie podoba mi się to - powiedział jeszcze raz Sanborne i rozłączył się.

Rozdział 10

Cieżarówka zatrzymała się.

Teraz bądź cicho - wyszeptał i ostrożnie otworzył drzwi szafki. - Zostań i czekaj na mój znak. Potem chodź za mną. Musimy to zrobić szybko.

Ta uwaga nie była konieczna, pomyślała rozdrażniona. Uspokój się. Spojrzała na Royda, który czaił się przy wyjściu z ciężarówki, za stojącymi pionowo zwiniętymi dywanami. W rękę trzymał pistolet.

Ktoś otworzył drzwi ciężarówki, rozmawiając z drugim mężczyzną.

- Idź na statek, niech ci portugalscy dranie przysła kogoś do pomocy. Mieliśmy rozładowywać kadzie, a nie jakieś meble. Nie mam zamiaru tego sam robić.

Śmiech.

Zobaczyła niskiego mężczyznę, który odwrócił się po chwili

i zniknął jej z pola widzenia.

Royd wstał i dał jej znak.

Boże, przecież kierowca był zaledwie kilka metrów od nich. Co u diabła?

Miała nadzieję, że Royd wiedział, co robi. Wygramoliła się z szafki i ruszyła w stronę Royda.

Kiedy wychodzili z ciężarówki, poczuła wilgotne, słone powietrze.

Statek.

Nie ma kierowcy. Gdzie się podział?

Wtedy usłyszała, jak otwierają się drzwi drugiej ciężarówki, która zaparkowała dokładnie za tą, z której wyskoczyli,

Ruszyła za Roydem, który wczuł się właśnie pod ciężarówkę i zmierzał do kabiny kierowcy. Kiedy zrównała się z Roydem, usłyszała portugalskiego marynarza. Oboje zneruchomili. Royd wyjrzał zza koła. Sophie wstrzymała oddech.

Pięciu ludzi.

Poruszali się swobodnie, bez pośpiechu rozładowując ciężarówkę, która przyjechała w drugiej kolejności.

- Dwadzieścia metrów stąd jest magazyn - szepnął Royd.

- Nie wiem, czy nie jest zamknięty. Schowamy się najpierw za tam tymi beczkami, potem ruszymy na tył magazynu.

Skinęła głową.

- A więc ruszajmy.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

- Już. Pilnuj się z tyłu.

Po chwili wyczołgał się spod ciężarówki i skierował się w stronę magazynu.

Sophie rzuciła szybkie spojrzenie na drugą ciężarówkę i połączyła za nim.

Dwadzieścia metrów? Było chyba ponad sto. W każdej chwili spodziewała się, że usłyszy za sobą krzyk. Dobiegła do beczek i przykucnęła. Royd był już przy magazynie. W następnej chwili zniknął jej z pola widzenia. No tak. Rzeczywiście musiała się sama pilnować. Zgięła się wpół i pobiegła w stronę magazynu.

- Nieźle. - Royd czekał na nią za rogiem. - Teraz poczekaj tu, podejść bliżej statku. Jak tylko wrócę, zmywamy się stąd.

Ogarnęła ją panika.

- Dlaczego tam idziesz?

- Wszystko działo się tak szybko, że nie zauważyłem nazwy statku.

- Ja zauważyłam. "Constanza". Spojrzał na nią zaskoczony.

- Jesteś pewna?

Jasne. Zobaczyłam nazwę, gdy tylko wyskoczyliśmy z ciężarówki. Czy w takim razie możemy się zmyć stąd teraz?

- Szybko i bardzo ostrożnie.

Po czterech godzinach byli już w motelu. Najpierw taksówka na lotnisko, żeby wynająć samochód, a potem dwugodzinna jazda do motelu.

Sophie była nieprzytomna, kiedy stanęli przed drzwiami.

Royd przekręcił klucz w zamku.

- "Constanza". Muszę sprawdzić tę "Constanzę" na moim komputerze. Pewnie bandera portugalska, powinien ...

- Daj sobie kilka godzin odpoczynku - powiedział Royd, otwierając drzwi na oścież. - W przeciwnym razie możesz zasnąć przed komputerem.

- Nie zasnę. Kierowca wspomniał coś o kadziach, co mógł mieć na myśli? - Poszła w stronę drzwi swojego pokoju. - Wezmę prysznic, może się wtedy rozbudzę. Muszę ... - Urwała, kiedy zobaczyła swoje odbicie w lustrze nad łóżkiem. - Dobry Boże, wyglądam, jakbym przeżyła tornado. - Dotknęła policzka, na którym miała ślady smaru. - Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Poza tym, dlaczego ty się tak nie wybrudziłaś?

- Byłem brudny. Chyba byłaś bardzo spięta w drodze powrotnej, bo nie zauważyłaś, że na lotnisku, zanim poszedłem wypożyczyć samochód, umyłem się w łazience.

Spięta to delikatnie powiedziane. Była wyczerpana i wciąż przerażona. Nie zauważyłaby nawet, gdyby stanął wtedy przed nią nagi. Potrząsnęła głową.

- Dziwię się, że taksówkarz nas w ogóle wpuścił do samochodu.

- Oni nie przejmują się wyglądem pasażerów, poza tym dostał suty napiwek. Właściwie, to dobrze, że byłaś tak brudna, dzięki temu byłaś prawie nie do rozpoznania. Teraz pozwól, że to ja usiądę przy twoim komputerze i poszukam informacji o "Constanzynie", a ty weź prysznic. Oszczędzimy w ten sposób trochę czasu.

Skinęła głową.

- Laptop jest w mojej torbie. Zaraz do ciebie dołączę.

- Nie śpiesz się. - Podszedł do torby i rozsunął suwak. "Constanza" nie odpłynie, póki nie przetransportują na nią wszystkich potrzebnych rzeczy z zakładu.

- Ale chcę wiedzieć. - Wyjęła z torby koszulę nocną i skierowała się do łazienki. - Chcę znać plany Sanborne'a.

- Myślisz, że ja nie? - powiedział, otwierając laptopa. - Nie slynę z cierpliwości.

- Doprawdy? Nigdy bym nie powiedziała - odparła z przekąsem.

Zamknęła za sobą drzwi łazienki i zaczęła się rozbierać.

Kiedy będzie czysta, poczuje się lepiej. Dzisiejsza wyprawa nie była totalną klęską. Co prawda nie znalazła dysku z REM-4, ale miała kopię innego, który był ważny dla Sanborne'a. Nie złapała ich, nie są ranni. Znają też nazwę statku, na który Sanborne załadowuje wszystkie rzeczy z zakładu.

Weszła pod prysznic i odkręciła ciepłą wodę. Co mógł robić Icarus Michael? Była prawie czwarta nad ranem, to znaczy, że u niego była dziewiąta rano. Dzwoniła do niego wczoraj, tak jak obiecała.

Wydawał się zadowolony, a nawet podekscytowany. Powiedział, że poprzedniej nocy miał atak, ale MacDuff się nim zajął. Boże, miała nadzieję, że był szczęśliwy.

Przynajmniej nie groziło mu niebezpieczeństwo, a to najważniejsze.

Trzymaj się, Michael. Staram się z całych sił, żebyś mógł wrócić do domu.

Royd podniósł głowę, kiedy dziesięć minut później wyszła z łazienki.

- Podejdź tu. Musisz coś zobaczyć.

- "Constanza"? - zbliżyła się szybko do biurka. - Znalazłeś coś?

Zaprzeczył ruchem głowy.

_ Chciałem najpierw sprawdzić wiadomości. Policja ogłosiła, że w twoim domu nie znaleziono ciała i że oficjalnie zostałaś uznana za zaginioną.

Zmarszczyła czoło.

- Stare informacje. Powiedziałeś mi wcześniej, że doszłaś do tego straży pożarna. Dlaczego zachowujesz się, jakby ...

- Nie spodziewaliśmy się, że może się stać to, o czym piszili w kolejnym akapicie. Czytaj dalej.

- O czym ty mówisz? Nie widzę nic, co ... O Boże! - Spojrzała na niego przerażona. - Dave? - wyszeptała. - Dav" nie żyje?

- Na to wygląda. Sprawdziłem dzienniki. Znalaziono jego ciało wczoraj po południu w rowie za miastem.

Patrzyła z niedowierzaniem.

- Zastrzelony. Zabójca nieznany.

- Policja ma swoje typy.

Potrząsnęła głową.

- Mnie? Szukają mnie. Myślą, że ja to zrobiłam. - Opadła na łóżko. - Mój Boże.
- To się składa dla nich w jedną całość. Wyszłaś swój dom i liczysz na to, że wszyscy uznają cię za martwą. Po czym mordujesz swojego byłego męża.
- Przecież musiałabym się spodziewać, że odkryją, że nie zginęłam w wybuchu.
- Pamiętaj, że policja uważa cię za osobę niestabilną psychicznie.
- Ale dlaczego miałabym zabijać Dave'a?
- Często po rozwodzie ludzie się kłócą. Wy się nie kłóciliście?
- Oczywiście, że tak. Ale nigdy bym ... - Zaczęła się cała trząść. - Na miłość boską, on był moim kochankiem. Urodziłam mu dziecko.
- Ale on, po rozwodzie, ożenił się z inną kobietą, kiedy straciłaś rozum.
- Nie straciłam rozumu - powiedziała przez zęby. - Nigdy by mnie nie wypuścili, gdybym była niespełna rozumu.
- Nie? Jest mnóstwo opowieści o przedwczesnych zwolnieniach, które kończą się zabójstwami.
- Zamknij się.
- Bawię się tylko w adwokata diabła. Pisali, że żona Edmunda zeznała, że wyszedł z domu po otrzymaniu teleronu. Był bardzo podekscytowany, ale nie chciał powiedzieć, o co chodzi. Naturalne by było, że nie chciał powiedzieć żonie, że idzie się spotkać z byłą małżonką.
- Jean nie była o mnie zazdrosna.
- Dlaczego nie miałyby być? Jesteś piękna, mądra i jesteś matką Michaela.

- Ona po prostu ... Była kobietą stworzoną dla Dave i wiedziała o tym. Chciała być gospodynią domową i wspierać swojego męża. Wiedziała, że nie jestem dla niej zagrożeniem, i.c chcę tylko dobra Michaela.
- Myślę, że ta kobieta teraz zastanawia się nad tym wszystkim. Pograżona w smutku wdowa zawsze szuka zemsty.
- Przystaniesz wreszcie? - Podniosła drżącą rękę do czoła. Muszę pomyśleć.
- Staram ci się pomóc. Cała się trzęsiesz i ... - Urwał. - Pewnie sama oplakujesz tego drania.
- On nie był draniem - obruszyła się Sophie. - Miał wady, jak każdy ...
- Dobrze, dobrze. - Royd zamknął laptopa z dziwną gwałtownością. - Co ja tam mogę wiedzieć? Ale ja nie zostawiłbym partnerki, gdyby miała kłopoty. Z tego, co ludzie mówią, węzły małżeńskie powinny być jeszcze silniejsze. Powinien być cały czas przy tobie.
- Nie wiesz, jak trudne było życie z Michaeliem.
- Ale ty z tym żyjesz. Użalaj się nad nim ile dusza zapragnie, jeśli jesteś taka głupia. Ale nie pozwolę, żeby jego śmierć w czymś nam przeszkodziła. Musimy sobie jakoś z tym poradzić.
- Ty wiesz, że ja go nie zabiłam. Policja to potwierdzi.
- Czyżby? Nie, jeśli jego śmierć była metodycznie zaplanowana. Nie sądzę, żeby Sanborne tym razem wysłał jakiegoś Caprio. Tym razem to był zawodowiec.
- O czym ty mówisz?
- O tym, że morderca zatarł wszystkie swoje ślady i na pewno zostawił takie, które zaprowadzą policję na twój trop.
- Jak?
- DNA. To teraz najlepszy przyjaciel zabójcy. Pod warun-

kiem, że on sam potrafi uniknąć kulki.

- Jestem pewna, że ty potrafisz - powiedziała gorzko Sophie.

- Tak, jestem bardzo dobry w unikaniu kulek. Ale o mnie się nie martw. Martw się o kopertę albo włosy, które policja znajdzie na miejscu zbrodni.

- Kopertę? - zdziwiła się.

- Taki przedmiot sugerowali nasi nauczyciele w Garwood.

DNA ze śladu śliny na kopercie można zidentyfikować jeszcze dziesięć lat później. Włosy to następny pewniak. Czy Sanborne miał dostęp do twojej korespondencji, kiedy dla niego pracowałaś?

- Oczywiście.

- W takim razie mają kozła ofiarnego - zawyrokował.

Sophie zdawała się nie rozumieć.

- Zabił go tylko po to, żeby mnie zrobić?

- Właśnie.

Potrząsnęła głową, ciągle w szoku.

To nieprawdopodobne. Nie, nie mogę w to uwierzyć. Lepiej uwierz. Musimy zaplanować kolejny krok. Zostaw mnie, Royd. Muszę się zastanowić.

Później to zrobisz. Możesz opłakiwać Edmunda, jak już zdasz sobie sprawę z konsekwencji. Teraz najważniejsze dla ciebie jest to, że cię szukają. Pamiętaj, że jeśli Sanborne próbuje cię dopaść, Michael też nie jest bezpieczny.

- Michael jest bezpieczny w Szkocji.

- Czy MacDuff będzie taki chętny, żeby go ochraniać, jeśli to będzie oznaczało konflikt z rządem amerykańskim?

- Nie wiem. Ale wiem, że Jock nie pozwoli, żeby mu się cokolwiek stało.

Ale czy znajdzie mu jakieś schronienie, gdyby MacDuff mu go odmówił? Tego nie wiedziała.

- Może go tam nie znajdą. A może znajdą. Dave mógł powiedzieć Jean o Jocku. Już sama nie wiem. - W razie czego musimy spodziewać się najgorszego. Po pierwsze, jesteś podejrzana o morderstwo. Trzeba 'się będzie nieźle gimnastykować, żeby cię z tego wydobyć. Po drugie, tak długo, jak jesteś podejrzana, nie jesteś wiarygodna dla władz ze swoją historyjką o Sanbomie i on jest bezpieczny. Po trzecie, Michael jest bezbronny wobec Bocha, Sanborne'a i policji. Zgadza się?

- Tak.

- Teraz powinnaś się trochę przespać. - Wstał. - Powinnaś przemyśleć swoją sytuację, a nie rozpaczać po śmierci Edmunda.

- Nie. Na miłość boską, on był moim mężem! - zawołała, czując, jak do oczu napływają jej łzy. - Ty może umiesz rozdzielać takie rzeczy, ale ja nie. Nie potrafię patrzeć na to tak chłodno jak ty.

- Chłodno? Chciałbym umieć patrzeć na to chłodno. Byłoby mi wtedy łatwiej - powiedział Royd i ukląkł przed nią. - Chcesz, żebym cię pocieszał? Dobrze. Chociaż uważam, że Edmunds nie był wart tego, żebyś teraz tak za nim szlochała.

- Nie szlocham. I nie chcę twojego - Urwała, kiedy Royd ją przytulił. - PUŚĆ mnie. Co ty sobie ubzdurałeś.

- Zamknij się - burknął, przytulając jej głowę do siebie. - Jeśli chcesz, to płacz. Nie znajdziesz u mnie zrozumienia, ale mogę posłużyć ci ramieniem, na którym możesz się wyplakać, i uszanuję twoje prawo do własnego zdania. - Pogłaskał ją po głowie. - Szanuję cię, Sophie.

Jego ręka była niezdarna jak łapa niedźwiedzia. Ta niezdarność mogłaby irytować, ale zamiast tego była kojąca.

- Zostaw mnie. To ... dziwne.
- Powiedz mi to. Ale nie masz tu nikogo innego. Jestem chyba lepszy od przemoczonej poduszki?
- Niewiele - wyszeptła. Instynktownie przytuliła się do niego mocniej. Kłamała. Czuła teraz, jak ból i szok odpływają. - Wiesz, że nie musisz tego robić. Nie oczekuję od ciebie takiego zachowania.
- Cóż, sam jestem zaskoczony. Nie wiem, jak to się robi, i doprowadza mnie to do szału. Nie jestem dobry w tych przytulankach. Seks jest prosty, ale nie ... - Wziął głęboki oddech. - Nie chciałem mówić o seksie. Tak mi się wymknęło. Zresztą co ja się będę tłumaczył. Jestem facetem.
- I głęboko mnie szanujesz - dodała sarkastycznie. Osunął ją od siebie i spojrzał w oczy.
- Powiedziałem to szczerze. Jesteś mądra i miła, poza tym jesteś dobrą matką. Wierz mi, wiem coś o matkach. Miałem ich kilka. To nie twoja wina, że masz niezbyt dobrze poukładane w głowie.
- Mam dobrze poukładane. Jesteś najbardziej nietaktownym mężczyzną na ziemi i nie zamierzam ...
- Cii - Znowu ją przytulił. - Będę trzymał buzię na kłódkę. Przynajmniej spróbuję. Jeśli nie przestaniesz wychwalać Edmunda, nie ręcę za siebie. Nie był ciebie wart.
- On był porządnym człowiekiem. To nie jego wina, że poślubił złą ... - Nie, nie będzie go przekonywać, zresztą spodobała jej się, że próbował ją pocieszyć i stał przy niej. Przynajmniej teraz, kiedy była zrozpaczona. Jutro może o wszystkim zapomni, ale teraz był przy niej. - I żyłby, gdyby nie ja.
- Cudownie. Następną ofiarą. Czy nigdy ci się nie znudzi ciągnięcie za sobą tak ciężkiej winy? - Wstał i wziął ją z ręką. - Gdyby był z tobą, stawialibyście czoło Sanborne'owi razem.

- Pchną! ją na łóżko i położył się obok niej. - Nie bój się, nie

rzucę się na ciebie. Po prostu nie mogę klęczeć przed tobą przez całą noc, to mało wygodna pozycja.

- Nnowu ją przytulił. - W porządku? Jeśli nie, pójdę.

- Naprawdę? - rzuciła z przekąsem.

- Pewnie nie.

Nie czuła żadnego zagrożenia z jego strony. Nawet była mu wdzięczna, że jest tak blisko.

- Za dużo tego gadania. - Zamknęła oczy. - Daj mi zasnąć, Royd.

- Jasne - zgodził się i przykrył ich oboje prześcieradłem.

- Śpij dobrze. Nic ci się nie stanie, póki tu jestem.

Dziwne ... Dave nigdy nie wypowiedział takich słów. W ich małżeństwie jakoś nie było miejsca na zaspokajanie tak elementarnych potrzeb, jak choćby poczucie bezpieczeństwa. Dave był zabawny, podziwiała jego intelekt i lubiła jego ciało. Na początku mieli wspólne cele, a potem mieli Michaela. Dave kochał Michaela.

- Cholera - odezwał się nagle Royd. - Przestań płakać. Nie znoszę tego.

- Twardziel. - Otworzyła oczy i spojrzała na niego. - Ty nie płakałeś po śmierci swojego brata?

- Tak - powiedział powoli. - Ale to byłem ja. Nie chcę, żebyś ty płakała. Nie podejrzewałem, że tak właśnie będę się czuł, ale jeśli nie możesz się powstrzymać, to płacz.

- Dziękuję - powiedziała z ironią. - Będę kontynuowała. Położył głowę na poduszce.

- Cały czas mówię coś nie tak. Pewnie wolałabyś, żeby był tu teraz Jack. On by wiedział, jak się zachować w takiej sytuacji.

- Nie, nie chcę, żeby Jock tu był. Chcę, żeby był teraz z Michaelem. - Znowu zamknęła oczy. - I masz rację. Jest delikatniejszy od ciebie. Ale wiem, że starasz się mi pomóc, i doceniam to. Daj mi kilka godzin, a nie będę potrzebowała żadnego z was.

- Dobrze. - Znowu pogłaskał ją po włosach. - Zrobię wszystko, co chcesz ... przez następne kilka godzin .

Znowu ta niezdarność. To była dla niego nowa sytuacja, i starał się, jak mógł. I robił to dla niej.

- Dziękuję. - Tym razem w jej głosie nie było sarkazmu.

- Proszę.

Zasnęła. Mógł już iść .

Nie teraz. Royd wpatrywał się w ciemność, ciągle trzymając Sophie w ramionach. Nie chciał, żeby była sama, kiedy się obudzi. Była tak bezbronna. Może jego obecność nie była tym, czego teraz chciała, ale trudno. Musiała czuć się bardzo samotnie, skoro przyjęła jego pomoc.

Dlaczego tak mu zależało na tym, żeby jej pomóc? Jej ból obchodził go o tyle, żeby mogła funkcjonować.

Bzdura. To ona go obchodziła. Coraz bardziej się do niej zbliżał. Obserwował ją, rozmawiał z nią, widział jej strach i akty odwagi. Chciał utrzymać między nimi dystans, ale nie potrafił.

Seks.

Och, tak, zdecydowanie. Jego pobudzenie w tym momencie było na to dowodem. Nie było mu łatwo leżeć tu teraz obok niej. Dlaczego? Należał do mężczyzn, którzy mogli mieć każdą kobietę, a Sophie była teraz taka bezbronna. Mógłby sprawić, żeby tego zapragnęła. Potrafił to robić. Sophie była silną kobietą i w ogóle o niego nie dbała. Nie obraziłaby się za przygodę na jedną noc.

Jeśli byłaby to krótkotrwała przygoda. Nie był pewien, czy to by mu wystarczyło.

Przestań o tym myśleć, przywołał się do porządku. Obiecał jej, że jej nie tknie, co było jeszcze bardziej ...

Sophie poruszyła się i jęknęła. Cholera.

Spojrzał na nią. Wyglądała jak bezbronne dziecko.

Do diabła, przecież nie była dzieckiem. Była kobietą, która miała dziecko i przez ostatnie lata przeszła piekło. Seks by ją rozluźnił. To nie musiałyby być ...

Przestań, zachnął się w duchu. To się nie stanie. Obietnica. Pachniała cytrusami. Mydłem.

Spokojnie. Powinien pomyśleć o czymś innym. Nie był przecież dzieckiem. Może nie był przyzwyczajony do powstrzymywania pożądania, ale na pewno potrafił to zrobić.

Taką miał nadzieję. Przytulił się mocniej.

To będzie bardzo długa noc.

Rozdział 11

Był już późny poranek, kiedy Sophie otworzyła oczy. Royda nie było. Poczowała ukłucie gdzieś w środku.

Głupia. To normalne, że była sama. Wiedziała, że całą noc był przy niej, ale to nie znaczy, że ...

- Dzień dobry. - W progu stał Royd. - Jak się masz?

- Lepiej ... A może nie. Jestem odrętwiała, ale przynajmniej mogę teraz jasno myśleć.

- W takim razie weź prysznic i ubierz się. Musimy się stąd zmywać.

- Teraz? - Usiadła w łóżku. - Tak od razu?

- **Im** szybciej, tym lepiej. - Podał jej gazetę. - Jesteś na pierwszej stronie. Resume tej samej historii, ale zdjęcie jest dobre, anie chcemy, żeby ktokolwiek cię rozpoznał. Zdjęcie Michaela też tam jest - dodał po chwili. - Policja boi się o jego bezpieczeństwo.

- Ja też. - Spojrzała na zdjęcie Michaela. - Myślę, że mogłabym zabić własnego syna? Że jestem wariatką?

- Twój ojciec zabił twoją matkę.

- Dziedziczne szaleństwo? Będę gotowa za pół godziny. Dobrze?

Skinał głowę.

- Spakuję cię.

Wstała z łóżka i poszła w stronę łazienki.

- Sama mogę to zrobić.

- Nie mogę tak tu siedzieć beczynnie. Muszę coś zrobić.

- W takim razie poszukaj informacji o "Constanzy". Nie zrobiłam tego wczoraj.

- Byłaś zdruzgotana - powiedział. - Ale ja sprawdziłem jej rano. Statek jest portugalski, ale pływa pod banderą Liberii. Ma czterdzieści dwa lata i żeby go wynająć, trzeba mieć kasy jak lodu. To ciekawe, że ostatnią osobą, która go wynajęła, był Said Ben Kaffir.

Sophie zatrzymała się w drzwiach łazienki. - A kto to jest?

- Handlarz bronią, który załatwia dostawy dla fanatyków religijnych i różnych szumowin w Europie i na Bliskim Wschodzie.

- Handlarz bronią - powtórzyła. - A REM-4 może być potężną bronią.

- Wykwalifikowani zabójcy, którzy wykonają każde zadanie, nie licząc się z własnym życiem, wszystko bez żadnych pytań.

- Myślisz, że Ben Kaffir ma coś wspólnego z planami Sanborne'a?

Wzruszył ramionami.

- Kto wie? Ale to ciekawy zbieg okoliczności - powiedział i schował laptop do torby. - Będę musiał to zbadać dokładniej. Pośpiesz się, Sophie. Masz piętnaście minut. Spotkamy się przy samochodzie.

- Za dziesięć minut - obiecała. Był teraz zupełnie inny niż wczoraj wieczorem, pomyślała Sophie, zamykając drzwi łazienki. Nie, to nieprawda. Może i wczoraj był inny, ale to nie był Doktor Jekyll i Mister Hyde. Tulił ją, chciał jej pomóc, choć nie potrafił być delikatny.

Ale był z nią szczery. Nie było w nim nic z pozera. Może dlatego właśnie przyjął jego pomoc. Royd mówił to, co myślał. To samo było już ogromnym pocieszeniem.

Jednak nie może następnym razem przyjąć jego pomocy. Już i tak zbyt wiele mu odebrała, kiedy został zesłany do Garwood. Teraz pracowali razem tylko dlatego, że to jedyne wyjście, żeby pokonać Sanborne ' a i Bocha. Nie może dopuścić, żeby zrobił dla niej coś jeszcze, poza tym, co byłoby absolutnie konieczne.

Kiedy Sophie wsiadała do samochodu, Royd spojrzął na legarek.

- Dziesięć minut. Dotrzymujesz słowa. - Przekręcił kluczyk w stacyjce. - Dzwoniłem do Kelly' ego. W zakładzie nie podjęto żadnych dodatkowych działań w związku z awarią prądu. Przyjechał Sanborne i wszystkich przesłuchał, ale Kelly jest poza podejrzaniami. Pierwsze, co zrobił Sanborne, to poszedł do działu kadr i przeszukał sejf. To znaczy, że dysk, który skopioowałaś, ma dla niego duże znaczenie. Wrzuc go do komputera i sprawdźmy, co tam jest.

- Nie teraz. Zrobimy to później.

Spojrzął na nią.

- Później?

- Kiedy już będziemy w Szkocji.

Uśmiechnął się.

- Jedziemy do MacDuffs Run?

- Oczywiście. Nikt inny, tylko ja muszę powiedzieć Michaelowi, że jego ojciec nie żyje. Poza tym, zarówno Sanborne, jak i policja mogą chcieć szukać mojego syna. A ja nawet nie znam MacDuffa. Jock za niego ręczył. Nie jestem jednak pewna, że ochroni mojego syna. Najwyższy czas, żebym go poznała i oceniła sama. Muszę być pewna.

- Widzę. - Uśmiech zniknął z jego twarzy. - Ale Michael jest bezpieczniejszy, kiedy ciebie nie ma w pobliżu.

- Wiem. - Zaciśnęła nerwowo ręce. Boże, czuła się bezsilna. Ale to Jock ufa MacDuffowi, nie ja.

Royd skinął głową.

- W takim razie lecimy do Szkocji. Odczuła ulgę.

- Nie musisz ze mną jechać. Nie chcę cię narażać. Potrzebna pt mi jednak pomoc w zdobyciu odpowiednich dokumentów, które umożliwią mi wyjazd z kraju. Takich, jakie MacDuff Illlatwił Michaelowi. Mógłbyś to dla mnie zrobić?

- Może. Ale tego nie zrobię. To by było zbyt niebezpieczne. Poza tym musimy działać szybko. Będziemy musieli poradzić sobie bez papierów.

- Co?

- Potrafię pilotować samolot, dowiedziałem się coś niecoś o szmuglowaniu, kiedy byłem w Azji. Chyba uda mi się prze-szmuglować cię stąd do Szkocji.

- A co z Departamentem Bezpieczeństwa Narodowego?

- Co ma być? Poza tym co masz do stracenia? - Podniósł brwi. - Poza życiem, jeśli nas zestrzela.

- Mamy duże szanse, że to zrobią?

- Gdyby tak było, nie decydowałbym się na taki krok. Zaufaj mi, Sophie.

- Mam problem z zaufaniem.

- To oczywiste. Ale nie pierwszy raz będę przeprowadzał taką akcję.

Przyglądała się jego twarzy. Pewnie niewiele jest takich rzeczy, które miałby jeszcze zrobić po raz pierwszy.

- A więc dobrze. Możesz zorganizować samolot?

- Już to zrobiłem. - Spojrzał na zegarek. - Za godzinę będziemy na lotnisku Montkeyes, samolot już powinien tam być.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Co? Montkeyes?

- To prywatne lotnisko. Bardzo dyskretne.

- I wszystko już zorganizowałeś?

- Zdaje się, że zaczynam cię bardzo dobrze poznawać. Przewidziałem, co będziesz chciała zrobić. Zadzwoniłem nawet do Jocka i upewniłem się, że Michael nie dowie się o śmierci Edmunda od nikogo innego. Miałem tylko nadzieję, że nie wpadniesz na pomysł zabrania Michaela z MacDuff's Run.

- Wciąż mogę to zrobić.

- Cóż, będę musiał sobie dać radę i z tym.

- Nie, to ja będę musiała sobie dać z tym radę. To ja jestem odpowiedzialna za Michaela. - Odwróciła wzrok. - Szkoda, że nie mogę sobie poradzić bez twojej pomocy. Właśnie, kiedy mówiłam sobie, że nie mogę wciąż korzystać z twojej pomocy, proszę cię o coś takiego.

- Nie martw się. Jakoś to sobie odbiję.

Spojrzała na niego w zdziwieniu, w tonie jego głosu i wyrazie twarzy było coś, czego nie potrafiła odczytać.

- Boże, nie jestem przecież rycerzem w srebrnej zbroi. Mylisz mnie z Jockiem. Po wczorajszym wieczorze chyba już wiesz, że nie jestem uosobieniem dobroci.

- Wczoraj mnie zaskoczyłeś - powiedziała powoli.

- Sam byłem zaskoczony. - Zacisnął ręce na kierownicy.

- Normalnie nie jestem tak tolerancyjnym i pobłażliwym człowiekiem.

Zmroziło ją.

- Nie prosiłam cię o tolerancję. Nie potrzebuję jej. To, co czułam do Dave'a, to wyłącznie moja sprawa.

- Nie mówiłem o Edmundsie - wyjaśnił i włączył radio .

- Z tym potrafię już sobie poradzić. Gdyby ci wciąż na nim zależało, rzuciłabyś we mnie jakimś ciężkim przedmiotem. Nie zrobiłaś tego, co znaczy, że masz do tamtego związku wystarczający dystans, żeby uświadomić sobie, że mówiłem prawdę.

Chciała zaprzeczyć, ale Royd miał rację.

- W porządku - powiedział, przyglądając się jej uważnie.

- Kiedy ktoś umiera, to normalne, że użalamy się nad jego losem. Chyba że ktoś, tak jak ja, jest zazdrosny i reaguje jak wściekłe zwierzę.

Zazdrosny?

- No dobrze, powiedziałem to. Zrobiłem to specjalnie, bo chciałem, żebyś zaczęła o tym myśleć. Chcę się z tobą kochać. Pragnę tego niemalże od dnia, w którym cię poznałem.

Oblała ją fala gorąca. Uspokój się, wariatko, przywołała się do porządku.

- Mówiłeś, że zbyt długo byłeś w dżungli - powiedziała niepewnie.

- Nie chodzi o jakąkolwiek kobietę. To musisz być ty .

- Jasne .

- Ale nie naciskam. Więc zapomnij o tym, ułóż się wygodnie i posłuchaj muzyki.

- Zapomnij? - Spojrzała na niego z niedowierzaniem. - Nie chcesz, żebym o tym zapomniała

- Oczywiście, że nie. Chcę, żebyś przechowywała to gdzieś głęboko i wyciągnęła na światło dzienne, kiedy już przyzwyczaisz się do tej myśli.

Zwilżyła wargi.

- Nie dojdzie do tego.

Zdawał się nie słyszeć jej słów.

- Myślę, że spodobałbym ci się. Nie jestem delikatny, nie szepczę czułych słów do ucha. Nie należę do świata, który dzieliłaś z Edmundsem. Moja edukacja formalna skończyła się na szkole średniej, potem wszystkiego, co umiem, nauczyłem się sam. Mówię, co myślę. Nie boję się porównań. Robię to, co do mnie należy. I jestem pewien, że pragnę cię bardziej niż jakikolwiek mężczyzna, z którym byłaś. Poczekam, aż będziesz mnie pragnęła z równą siłą.

Patrzyła na niego, nie wiedząc, co powiedzieć. - Spodobałbym ci się - powtórzył miękko.

- Nie chcę ...

- Nie naciskam. - Przyspieszył. - Wiem, jakie są priorytety. Mamy robotę. Po prostu pomyśl o tym.

Niech go cholera.

Jego ciało było na wyciągnięcie ręki. Serce jej zaczęło szybciej bić.

Oparła się wygodniej i zamknęła oczy. Słuchaj muzyki, powiedziała sobie w duchu. Słuchaj muzyki.

- Więc o co chodzi? - zapytał Boch, kiedy Sanborne podniósł słuchawkę. - Czy policja ją znalazła?

- Nie. Moje wtyki w policji twierdzą, że ciągle jej szukają. Boch zaklął cicho.

- Musimy się jej pozbyć. Może zagrozić naszym negocjacja-cjom. Powiedziałaś, że wystarczy ją zrobić w to morderstwo. - I rzeczywiście wystarczy. Jak tylko ją zgarną, nie wywinie się z więzienia. Dowody DNA są niepodważalne.

- Jeśli twój człowiek nie popełnił żadnego błędu.

- Nie popełnił. Dałem mu jej włosy i doskonale podrobioną notatkę do Edmunda, z prośbą o spotkanie. Są na niej ślady jej śliny. Oczywiście, wszystkie inne ślady usunął.

- A samochód?

- Jest na dnie zatoki. Bądź cierpliwy. Teraz już tylko czekamy, aż ją złapią.

- W dupie mam cierpliwość. Zacznie rozповідаć. na prawo i lewo o REM-4, jak tylko dorwą się do niej reporterzy.

- Na razie nie będzie rozmawiała z reporterami. Najpierw zostanie zatrzymana. Wtedy mój człowiek w policji będzie mógł się do niej dostać.

- Czego użyje?

- Cyjanku - odparł Sanborne z uśmiechem. - Cóż, to chyba ulubiona trucizna samobójców. W końcu jest lekarzem i ma dostęp do wszelkiego rodzaju specyfików.

- A co z chłopakiem? Jego też musimy dopaść. Nie będzie litości dla kobiety, która zabija własne dziecko. Musimy ich dopaść, zanim znajdzie ich policja.

- Moim zdaniem wysłała chłopaka w jakieś odludne miejsce, kiedy zdała sobie sprawę, że jest w niebezpieczeństwie.

Przez chwilę milczeli.

- Jock Gavin?

- To byłoby logiczne. Gavin był pod skrzydłami szkockiego lorda o nazwisku MacDuff. Wysłałem

do Szkocji tego samego człowieka, który sprzątnął Edmunda, żeby trochę powęszył w okolicy tego zamku.

- Gavin jest profesjonalistą. Zabranie mu chłopca nie będzie zadaniem prostym.

- Nic, co warte zachodu, nie jest proste. Ten człowiek, zanim podejmie jakąkolwiek akcję, ma zdać mi sprawozdanie z sytuacji.

- Kogo tam posłałeś. Znam go?

- O tak - powiedział Sanborne. - To Sol Devlin.

- Dobry Boże!

- Zgodzisz się ze mną, że ten człowiek nie partaczy roboty. Bądź co bądź to jeden z twoich ludzi. Byliśmy z niego bardzo dumni, kiedy ukończył szkolenie w Garwood. A może po prostu potrzebowałeś sukcesu po tym, jak Royd wziął nogi za pas?

- Devlin był sukcesem. Jest niemalże doskonały. Taki, jaki byłby Royd.

- Zgadzam się. Chętny morderca. Dlatego zostawili go do takiego zadania.

- Chciałem go użyć jako przykładu dla Bena Kaffira.

- To może poczekać.

Boch milczał.

- Dobrze, zdaje się, że masz rację.

Oczywiście, że mam rację, sukinsynu, pomyślał Sanborne. - Jak masz zamiar pozbyć się chłopaka?

- Ta sama kula, od której zginął Edmunds. Ta suka może być

właśnie w drodze do niego, dlatego Delvin ma poczekać, aż tam dojedzie.

- A jeśli ona tam nie dotrze? Jeśli policja ją wcześniej zgarnie?
- Wtedy zabijemy chłopaka i rzucimy go do morza i nikt nie będzie mógł powiedzieć, kiedy to się stało. Zresztą Devlin nie wykorzystał całego materiału DNA przy Edmundsie. Muszę kończyć.
- Poczekaj. Czy masz już analizę wyników, które przysłał nam Goreshank?
- Nie, ale powinienem je mieć lada chwila.
- Bez względu na to, jakie będą wyniki, będziemy działać.

Sanborne pomyślał, że wyniki Gorshanka mają bardzo dużo wspólnego z tym, czy powinni dalej działać. Czy Boch tego nie widział? Ale nie miał zamiaru się z nim teraz kłócić.

- Porozmawiamy o tym później. Muszę teraz skontaktować się z Devlinem. - Rozłączył się i wybrał numer Devlina.
- Gdzie jesteś?
- Na wzgórzach nad zamkiem. Nikt nie wchodził ani nie wychodził. Muszę podejść bliżej.
- Więc dlaczego tego nie robisz?
- Jest tu niedaleko chata pastucha. Muszę się gimnastykować, żeby mnie nie zobaczył.
- To są wymówki. Musisz podejść bliżej.
- Skoro tego chcesz. - Ton głosu Devlina był bez wyrazu mimo to Sanborne nie miał wrażenia, że ma do czynienia z zombie. Częścią szkolenia w Garwod było zadbanie o to, żeby żołnierze zachowywali się pozornie normalnie. Tak, Devlin był prawie doskonały. Sanborne mógł wyobrazić go sobie stojącego na wzgórzu. Wspaniała maszyna na jego usługi. Taka władza nad istotą ludzką mogłaby uderzyć do głowy. Posiadanie pieńędzy nie może się równać temu podnieceniu, jakie przynosi posiadanie władzy absolutnej.
- Tylko żadnych błędów, rób to, po co cię tam wysłałem. Rozłączył się.

Sol Devlin schował telefon. To, po co mnie tu przysłał.

Nienawidził, kiedy Sanborne go ograniczał, dlatego czasami celowo mówił lub robił rzeczy, które zmuszały go do dawania mu większej swobody. Sanborne nie zdawał sobie sprawy z tego, że jego sługa miał nad nim kontrolę.

Uśmiechnął się na tę myśl. Nie był pewien, czy zdoła się wyrwać spod władzy Sanborne'a. Raz spróbował, ale doświadczenie to było zbyt bolesne. Nie wiedział nawet, czy pragnął życia pozbawionego celu, jaki wyznaczył mu Sanborne. Dośtawał jedzenie, kobiety i narkotyki.

Poza tym lubił to, co robił.

Ważne było to, że praca ta sprawiała mu przyjemność. Tak, jak teraz, kiedy był podekscytowany na myśl o akcji.

Wkrótce. W ciągu kilku godzin.

Devlin odwrócił się i spojrział na chatę stojącą kilkaset metrów niżej.

- Mama przyjeżdża - powiedział Michael, powoli odkładając słuchawkę. - Powiedziała, że będzie za kilka godzin.

MacDuff spodziewał się tego od wczoraj, kiedy Jock powiedział mu o śmierci Edmunda.

- Jak się z tym czujesz? - zapytał cicho MacDuff.

- Myślę, że w porządku. Nie chciała mi powiedzieć, co się stało, ale głos miała zaniepokojony.

- Ma prawo się niepokoić, z tego co usłyszałem od ciebie i Jocka.

Michael podniósł wzrok.

- To nie to. Czy jest coś, o czym mi nie mówicie? Powinien mi powiedzieć? Nie, chłopak i tak dużo przeszedł. - Tak, ale nie mogę ci nic powiedzieć. Tylko twoja mama może to zrobić.

Michael zmarszczył brwi.

- Nie chcę czekać.

- Szkoda. - MacDuff uśmiechnął się. - Nie zawsze dostajemy to, czego chcemy. - Wstał. - Zgłaszam się na ochotnika, który zajmie twoje myśli czymś innym. Może pogramy trochę w piłkę.

- To nie sprawi, że przestanę o tym myśleć.

- Chcesz się założyć? Zmęcę cię tak, że nie będziesz mógł w ogóle myśleć. - Ruszył w stronę drzwi. - Chodź, weźmiemy Jocka.

Michael zawahał się.

- Chciałeś przecież, żebym przejrzał te szuflady i poszukał papierów, które wyglądają na stare.

- Dzisiaj cię zwalniam z tego obowiązku. Sam potrzebuję trochę ruchu.

- Co te cholerne owce robią na środku drogi? - spytała Sophie niecierpliwie. - Ktoś powinien ich pilnować.

- Pewnie w pobliżu jest jakiś pasterz. To jest Szkocja - powiedział Royd, ostrożnie przejeżdżając wśród stada owiec. - To tu normalne.

- Wiem. Po prostu jestem zdenerwowana. Na miłość boską, nie potracę ich.

- Naprawdę? W ogóle bym nie powiedział, że jesteś zdenerwowana. - Royd włączył długie światła. - Tam, w górze, jest MacDuff's Run.

Zamek był ogromny, górował dumnie nad okolicą. Sophie przypomniała sobie "Ivanhoe".

- Dodaj gazu. Muszę się jak najszybciej zobaczyć z Michaeliem.

- Masz zamiar mu dziś powiedzieć?

- Nie ma sensu tego odkładać. Poza tym musi się dowiedzieć ode mnie, muszę to zrobić, zanim ktoś mnie uprzedzi. Zatrzymaj się! - Omal nie potracili jednej z owiec. Sophie wyskoczyła z samochodu i przeniosła zwierzę na bok, potem wróciła do samochodu. - Cała noc minie, zanim dojedziemy do bram zamku.

- Teraz już chyba będzie z górki. Niemniej będę uważał na żywy inwentarz.

- To nie twoja wina. To miejsce jest nieźle zacofane, i dziwię się że MacDuff nie ma lepszego ...

- Stop! - Byli już przy bramie, kiedy z ciemności wyłonił się strażnik. Miał przy sobie M-16. Kiedy się zatrzymali, zaświecił im w oczy latarką. - Pani Dunston?

- Tak. Proszę zgasić to światło.

- Za chwilę. - Spojrzał na fotografię, którą trzymał w ręku.

- Przepraszam. - Skierował strumień światła w drugą stronę.

- Musiałem się upewnić. Jestem James Campbell.

- Skąd ma pan tę fotografię?

- Jock - rzucił krótko i pojrzał na Royda. - Pan Royd?

Royd skinął głową.

- Czy mógłby pan nas teraz puścić?

Strażnik potrząsnął głową.

- Pan prosił, żeby odesłać was na polanę nad klifem. Jest tam razem z chłopcem. - Wskazał drogę na lewo. - Proszę wyjść z samochodu i pójść w tamtą stronę.

- Nie podoba mi się to - powiedział Royd, otwierając drzwi.

- Ja pójdę. Ty zaprowadź samochód na dziedziniec. Nie mogę pozwolić, żeby MacDuff ryzykował, pozwalając chłopcu na bieganie poza bramami.

- Ryzykować? - zdziwił się James Campbell. - Nie ma żadnego ryzyka. Pan tam jest.

Sophie pomyślała, że zabrzmiało to jak: "Superman tam jest". Najwidoczniej ten człowiek darzył MacDuffa takim samym szacunkiem jak Jock.

- Idę z tobą - zdecydowała, wychodząc z samochodu. - Czy Jock też tam jest?

Campbell skinął głową.

- Więc proszę do niego zadzwonić i powiedzieć, że do nich idziemy.

- Czy mogłabyś pozwolić mi się tym zająć? - powiedział cicho Royd.

- Tak, ale chyba nie ma się czym zajmować. Nie sędzę, żeby człowiek Sanborne'a rozbił obóz wokół tych murów.

- I chcesz zobaczyć Michaela tak szybko, jak to tylko możliwe.

- O tak - szepnęła. - Nie mogę się już doczekać, chcę mieć to już za sobą•

Royd przez chwilę milczał.

- Pozwolisz, że pójdę pierwszy i sprawdzę?

- Tkwimy w tym po uszy razem. To ja podjęłam decyzję. Jeśli jest tu jakaś pułapka, to ...

- Michael.

Była jego matką. Musi żyć, żeby móc go ochraniać. Wzięła głęboki oddech.

- Dobrze. Zrób to. Jeśli nie wrócisz za pięć minut, wrócę do zamku i wykiwam Campella.

- Nie tak łatwo go wykiwać - powiedział Jock, który właśnie wyłonił się z ciemności. - A gdyby ci

się udało, musiałbym go zwolnić, biedaka. Cześć, Sophie. Przytuliłbym cię, ale jestem cały spocony. MacDuffi Michael nie dają mi chwili wytchnienia.

- Co?

- Chodź! - Odwrócił się i zniknął w ciemnościach.

Poszła za nim. Nie dają mu chwili wytchnienia? O czym, u diabła, on mówił?

Kiedy wyszła za róg zamku, zobaczyła rozległą polanęograniczoną z dwóch stron ogromnymi skałami.

Na polanie biegały dwie postaci, jedną z nich był Michael, drugą - wysoki, ciemnowłosy mężczyzna, bez koszulki, równk spocony jak Jock. Włosy miał przewiązane chustką• Obaj śmiii się tak, jakby nie mieli żadnych zmartwień.

Sophie patrzyła na nich zaszokowana. Nie takiego Michaelu spodziewała się tu zastać. Wyglądał na ... wolnego. Poczowała ukłucie, kiedy nagle zdała sobie sprawę, że musi zniszczyć to szczęście.

- Mamo! - krzyknął Michael, biegnąc w jej stronę.

Sophie opadła na kolana i złapała go prosto w ramiona.

Pachniał solą, potem i mydłem. Boże, jak ona go kochała.

- Co ty tutaj robisz? Grasz? Nie powinieneś być w łóżku?

- Czekałem na ciebie. A MacDuff powiedział, że mogę. Mówi, że piłka jest dobra na duszę o każdej porze dnia i nocy.

- Obawiam się, że jestem innego zdania.

- Nic mi nie jest. - Spojrzał przez ramię. - To moja mama. A to księżę Connaught, lord MacDuff's Run. Ma jeszcze inne imiona, ale wszystkich nie pamiętam. Chyba musimy skończyć grę .

- Szkoda. Bardzo mi miło, pani Dunston. Mam nadzieję, że podróż minęła bez niespodzianek.
 - Tak, dopóki nie natknęliśmy się na pańskie owce na drodze.
 - Doprawdy?
 - Tak. - Odsunęła od siebie Michaela. - Muszę porozmawiać z moim synem na osobności. Możecie nas zostawić amych?
 - Nie. - MacDuff odwrócił się do Royda i wyciągnął rękę.
 - Pan nazywa się Royd, prawda?
 - Tak. - Uścisnął powoli rękę MacDuffa.
 - Czy mógłby pan zaprowadzić Michaela i panią Dunston do zamku? Muszę zamienić kilka słów z Jockiem. On zawoła Jamesa, który pokaże wam wasze pokoje.
 - Michael i ja możemy porozmawiać tutaj - powiedziała Sophie.
- MacDuff potrząsnął głową.
- To miejsce jest dla niego szczególne. Nie chcę go skalać. _ może pani porozmawiać z nim gdzie indziej. - Odwrócił się i ruszył w stronę Jocka.
- Arogancki drań .
- Skalać? - zapytał Michael, przypatrując jej się uważnie. Objęła go mocno.
 - Chodź, pójdziemy do zamku.
 - Wiedziałem, że coś jest nie tak - wyszeptał. - Powiedz mi.
 - Nie chcę niczego przed tobą ukrywać - powiedziała delikatnie - Ale zdaje się, że nie możemy tu rozmawiać. Chodźmy do twojego pokoju. - Odwróciła się. - Royd?

- Będę tuż za wami, dopóki nie dojdziecie do zamku, i nie upewnię się, że jesteście bezpieczni.
Potem chyba nie będziesz mnie potrzebowała?

Chciała mu powiedzieć, że będzie. Przyzwyczała się do jego towarzystwa i siły, na której nauczyła się polegać. Ale ta sytuacja nie miała nic wspólnego z ich sprawami. To była rzecz między nią a jej synem.

- Nie, nie będę cię potrzebowała.

Royd patrzył, jak Sophie i Michael przechodzą przez dziedzińiec i podchodzą do drzwi frontowych zamku. Sophie szła spokojnie. Royd pomyślał, że od momentu, w którym ją poznał, otrzymywała od życia kolejne ciosy i wszystkie znosiła z taką samą siłą.

Kiedy drzwi za nimi zamknęły się, Royd zacisnął pięści. Czuł się bezsilny. Ona cierpiała, i będzie cierpiała jeszcze bardziej, kiedy powie Michaelowi o ojcu.

Ale nie mógł jej teraz pomóc. Był kimś z zewnątrz.

Więc powstrzymaj chęć ruszenia za nią i zrób coś pożytecznego, nakazał sobie. Odwrócił się i przeszedł znowu przez bramę, przy której stali i rozmawiali Jock, MacDuff i Campbell.

- W czym jest problem? - przerwał im. MacDuff podniósł brew.

- Problem?

- Cholerne owce. Kiedy Sophie powiedziała ci o owcach na drodze, zareagowałeś ... zaniepokoiłeś się. Potem rozmawiałeś Jockiem. Co się dzieje?

- Może to zbieg okoliczności - powiedział MacDuff. - Mo że chciałem poprosić Jocka, żeby pocieszył panią Dunston w potrzebie.

- Bzdura.

Campbell podszedł w stronę Royda.

- Do pana nie mówi się w ten sposób - powiedział spokojnie.

- Czy mam go stąd wyrzucić?

- Spokojnie, James. W porządku - odparł MacDuff. - Idź do zamku i przyprowadź kilku ludzi, wróć za dziesięć minut.

- Jest pan pewien? - zapytał Campbell. - To dla mnie żaden problem.

Jock zachichotał.

- Nie byłbym taki pewien na twoim rruEJscu. Nawet ja miałbym z nim problem. Wróć za dziesięć minut.

Campbell odwrócił się i ruszył w stronę zamku.

- Owce - powtórzył Royd.

- Powiedz mu - zwrócił się Jock do MacDuffa. - Jeśli się nie mylimy, może nam pomóc.

MacDuff przez chwilę milczał, potem wzruszył ramionami.

- Masz rację. - Spojrzał na okoliczne wzgórza. - Owce nigdy nie powinny znaleźć się na tej drodze. Te wzgórza należą do mnie, ale pozwalam Stevenowi Dermotowi i jego synowi paść na nich małe stado. Ich rodzina ma to prawo od pokoleń. Steven nigdy nie dopuściłby do tego, żeby jego stado włóczyło się po mojej drodze.

Royd spojrzał w stronę wzgórze.

- Sprawdź Dermota. - Odwrócił się. - Ja się w tym czasie rozejrzę w okolicy.

- Nie masz żadnych pytań? - zdziwił się MacDuff.

- Nauczyłem się, że wszelkie sytuacje, które odbiegają od normy, są podejrzane. - Spojrzał przez ramię na Jocka. - Idziesz ze mną?

- Jestem pewien, że sobie poradzisz - powiedział Jock cicho. - Dorastałem na tych wzgórzach z synem Stevena, Mar-kiem. Pójdę z MacDuffem sprawdzić chatę.

Royd skinął głową.

- Jeśli nikogo nie znajdę, wrócę i będę was krył.

- Mam Jamesa i innych - powiedział MacDuff. - Może powinienem przydzielić ci kilku ludzi.

- Nie, będą tylko zawadzać.

- Znają teren.

- Będą zawadzać - powtórzył Royd. - Poza tym będę wtedy zmuszony na nich uważać.

- Carnpbell i inni nie są bezbronni - zauważył MacDuff. - Razem ze mną służyli w marynarce.

- To dobrze. Niech pójdą z tobą - powiedział Royd i odwrócił się na pięcie.

- Apodyktyczny drań - mruknął MacDuff do Jocka. - Jestem trochę wkurzony. Mam nadzieję, że jest dobry. Zawsze taki jest?

- Jest dobry - potwierdził Jock. - I tak, zawsze jest taki opryskliwy. Może teraz jest trochę bardziej rozdrażniony. My-ślę, że wyczuwam w nim frustrację. Rzeczy nie idą po jego myśli.

- Cóż, to się często zdarza.

- Ale Royd musi mieć do czynienia z Sophie Dunston i nie jest pewien, jak ona mu pomoże. - Wzruszył ramionami. - A może po prostu nie wie, jak sobie z nią poradzić? Nie jest przyzwyczajony do brania pod uwagę innej osoby, kiedy ma do wykonania robotę. A to jest zadanie jego życia. Dopaść Bocha i Sanbome'a. O, jest James i chłopaki. Chodźmy na górę, do chaty.

Rozdział 12

Ktoś go obserwował.

Royd zatrzymał się pod drzewem i nasłuchiwał.

Wiatr kołysał gałęziami. W oddali słychać było beczenie owiec. Spojrzał w górę, na wzgórza. Jeśli ktoś ukrywał się w tamtych

drzewach, będzie stanowił łatwy cel, gdy zacznie się wdrapywać po stoku.

Jeśli w ogóle ktoś tam był. On wybrałby inne miejsce. Co prawda miejsce do oddania strzału było idealne, ale droga odwrotu fatalna. Nagie wzgórze nie dawałoby ochrony. On zostałby gdzieś tutaj, nisko, gdzie można było się schować za licznymi drzewami i krzakami.

Poza tym wyczuwał, że drań jest w pobliżu. Blisko. Bardzo blisko.

Miał broń? Royd poruszał się szybko między drzewami.

Jeśli tamten miał broń, Royd musiał być szybszy. W końcu zatrzymał się.

Nie wystrzelił. Cisza. Może nie chciał jej mącić wystrzałem. Ale wciąż tam był, czekał.

Royd też postanowił czekać.

Podszedł bliżej drzew. Trzy minuty. Cztery minuty.

Dalej! Rusz się! - przynaglał. - Jeśli będę musiał, zostanę tu całą noc.

Żadnego dźwięku, oprócz wiatru i ... owiec. Minęło następnych sześć minut.

Ledwo dosłyszalny dźwięk kilka metrów dalej od niego. Jakby ktoś się ślizgał...

Dźwięk poruszającego się pytona. Ale też człowieka, który opiera się o pień drzewa.

Albo schodzi z drzewa. Czekał. Podejź tu.

Ile minut minęło, od kiedy usłyszał tamten dźwięk?

Dwie? Trzy?

Wystarczająco dużo, żeby, cokolwiek to było, zdążyć podejść do Royda.

Nie ruszaj się. Nie daj po sobie poznać, że wiesz o jego obecności.

Nie słysząc żadnych kroków. Drań był dobry. Royd poczuł napięcie w karku.

Za nim. Każdy nerw, każdy mięsień był napięty. Powoli odwrócił głowę.

Blżej.

Kątem oka zauważył ruch. Teraz!

Runął na ziemię i wyciągnął nogi, żeby wymierzyć cios w nogi stojącego metr od niego mężczyzny.

Powalił go na ziemię.

Mężczyzna wywinął się i wbił Roydowi nóż w ramię. Royd odruchowo podniósł ramię do góry.

Ból.

Royd wciąż czuł ostrze, które wbiło mu się w mięsień przedramienia. Wyciągnął nóż i rzucił nim. Ostrze trafiło w ramię mężczyzny.

- Royd? - Boże, ten drań się śmiał. - Sanbome nic nie powiedział. Co za przyjemność!

Boże, Devlin.

Devlin przechylił głowę, nasłuchując.

- Och, będę musiał się pośpieszyć. Przerwano nam. Co za szkoda.

Przewrócił się na drugi bok i skoczył w zarośla. Royd wyciągnął pistolet i ruszył za nim.

Krwawił jak zarzynana świnia. Nie ma czasu na opatrzenie rany.

Zobaczył, jak Delvin biegnie w dół zbocza. Wycelował i strzelił. Chybił. Devlin przystanął za kolejnym drzewem.

Głosy, o których mówił Devlin, były coraz bliżej. Jock i MacDuff?

Devlin przemykał między drzewami z niewiarygodną prędkością, jak na rannego.

Zbyt szybko.

Ramię Royda krwawiło. Jeśli się teraz nie zatrzyma, może się wykrwawić na śmierć.

Cholera.

Wystrzelić raz jeszcze? Jest poza zasięgiem.

Stanął i wymamrotał parę przekleństw. Dobrze, musisz zaniechać dalszego pościgu, postanowił. Następnym razem. Z Devlinem zawsze był ten następny raz.

Przywołać tu MacDuffa i Jocka i opatrzyć szybko ranę. Może będą mogli ruszyć za Devlinem.

Nie, oni go nie złapią. On był za dobry. Później się o to będzie pomartwił.

Wyciągnął pistolet i strzelił w powietrze. Potem zacisnął puls powyżej rany i czekał na Jacka.

- Nie wygląda dobrze. Lekarz powinien to zobaczyć. - Jock kończył bandażować ramię Royda. - Straciłeś sporo krwi.

- Później. Bywało gorzej - mruknął, wstając. - Po prostu trzeba zatamować krwawienie. -

Wyciągnął telefon. - Muszę zadzwonić do Sophie i upewnić się, że u niej wszystko w porządku.

- Ona i Michael dadzą sobie radę - zapewnił Jock. - Zamek jest strzeżony jak forteca. Tylko szalenie mógłby wrócić tu od razu po tym, jak wypłoszyłeś go z kryjóWKi.

- Właśnie. - Wystukał numer Sophie.

Odebrała po chwili.

poczuł ulgę.

- Co z Michael'em? - spytał.

- A jak myślisz? Chyba nie zadzwoniłeś po to, żeby zapytać, jak mój syn. Gdzie jesteś?

- Niedługo wrócę - odparł wymijająco. - Był mały problem.

- Jaki problem?

- Już po wszystkim. Pogadamy później. Wracaj do Michaela.

Była zła i sfrustrowana. Trudno. Nie miał czasu na wyjaśnienia.

- Mówiłem ci, że da sobie radę - powiedział Jock. - Gdyby MacDuff w to nie wierzył, nie zostawiłby jej samej.

- Dobrze, dobrze. Wybacz, ale nie będę pokładał takiej ufności w MacDuffie jak ty. Ja muszę być pewien.

- Myślisz, że Devlin miał zamiar sprzątnąć Sophie dzisiaj?

- Gdyby był przekonany, że istnieje najmniejsza szansa, że mu się uda dopaść ją i Michaela, zrobiłby to. Ten człowiek stąpa po krawędzi. - Spojrzał w stronę lasu, z którego właśnie wyszedł MacDuff i pięciu jego ludzi. - Nie znaleźliście go - krzyknął do MacDuffa. - Mówiłem wam, że to strata czasu. Prawdopodobnie miał tu gdzieś zaparkowany samochód i jest w połowie drogi do Aberdeen.

- Zadzwoniłem do sędziego i podałem mu rysopis, który dostałem od ciebie - powiedział MacDuff.

- Będą na niego uważać. Mamy cię szansy.

Royd potrząsnął głową.

- Niewielki. Ten człowiek zna się na swoje robocie.

- Garwood? - zapytał Jock.

Royd przytaknął.

- Jeden z najlepszych. Lub naj gorszych, zależy, jak na to spojrzeć ... Byliście w chacie?

MacDuff zaprzeczył ruchem głowy.

- Byliśmy w połowie drogi, kiedy usłyszeliśmy strzał - powiedział i zwrócił się do Campbella i ludzi stojących z nim: - Wracajcie do zamku. Zajmiemy się tym.

- Może nie ma się czym zajmować - powiedział Royd. - Nie sądzę, żeby ktoś z nim był. Devlin lubi pracować sam, ale pójdę z wanną

MacDuff wzruszył ramionami.

- Rób, co chcesz. - Odwrócił się i zaczął wspinać się po wzgórzu. Jego ludzie podążyli za nim.

Jock stał nieruchomo, wpatrując się w twarz Royda.

- Nie ma się czym zająć?

- Źle to ująłem - powiedział Royd. - Z Devlinem jest zawsze mnóstwo roboty.

Sophie rozłączyła się. Cholerny Royd. Nie było jej to wcale potrzebne. Coś było na rzeczy, a ona ...

- Mamo.

Odwróciła się do łóżka, w którym leżał Michael. Zapomnij o Roydzie, nakazała sobie. Dziś musisz się zająć synem.

- Idę - Położyła telefon na stole i podeszła do łóżka. - To nic. Po prostu Royd sprawdzał, czy wszystko w porządku.

Położyła się koło niego i przytuliła.

- Pytał o ciebie.

- Nic mi nie jest.

To nie była prawda. Był zaszokowany, kiedy mu powiedziała, co się stało.

- To też mu powiedziałam.

Chwilę milczał.

- Dlaczego? - wyszeptał. Po jego policzkach płynęły łzy. Dlaczego tata?

- Mówiłam ci. - Sophie starała się, żeby głos jej się nie I,ałamywał. - Nie jestem pewna. Ale wydaje mi się, że to ma coś wspólnego z moją pracą. Nigdy nie myślałam, że to w jakikol-wiek sposób dotknie twojego ojca. Ale jeśli będziesz chciał obwinić mnie, nie będę protestować.

- Obwinić ciebie? - Wtulił twarz w zagłębienie jej ramienia. Ty po prostu starasz się powstrzymać tych drani. To oni. Ja ... ja go kochałem, mam. - Wiem o tym.

- Jest mi ... wstyd. Czasami byłem na niego wściekły.

- Tak? - pogłaskała go po włosach - Dlaczego?

- Sprawiał, że czułem się ... Nie chciał, żebym u niego przebywał.

- Ależ oczywiście, że chciał. Chłopiec potrząsnął głową.

- Zawadzałem mu. Byłem dla niego ciężarem. Myślę, że on uważał, że jestem ... wariatem.

- To nieprawda. - Ale chłopiec tak wrażliwy, jak Michael, wyczuł doskonale wibracje, które wysyłał Dave. - To nie była twoja wina.

- Byłem dla niego ciężarem - powtórzył.

- Posłuchaj mnie, Michael. Kiedy mężczyzna i kobieta mają dziecko, do ich obowiązków należy trwać przy nim, bez względu na to, co się przydarza. Na tym polega rodzina. Zrobiłeś, co mogłeś, żeby poradzić sobie ze swoim problemem, i tata powinien był przy tobie stać. To on nie był wobec ciebie w porządku. - Przytuliła go mocniej. - Przestać myśleć o winie. Pomyśl o dobrych chwilach, jakie z nim spędziłeś. Pamiętam, kiedy skończyłeś pięć lat, podarował ci Hummera zabawkę, którym obaj bawiliście się wtedy przez cały dzień. Pamiętasz?

- Tak. - Łzy zaczęły mu płynąć z większą intensywnością. - Jesteś pewna, że go nie unieszczęśliwiłem?

- Oczywiście. Kiedy ktoś umiera, pierwszą rzeczą, o której myślą jego bliscy, to to, czy byli dla niego wystarczająco dobrzy. - Zdała sobie sprawę, że to właśnie chciał powiedzieć jej dzisiaj rano Royd. - Ty byłeś dla niego dobry. Masz moje słowo.

- Na pewno?

- Tak. - Dziwny jest ten świat, pomyślała Sophie. Wczoraj wieczorem to ona leżała w objęciach Royda, który próbował ją pocieszać. Dziś ona pocieszała syna. To błędne koło. - Spróbujesz zasnąć? Będę cały czas przy tobie.

- Nie musisz - powiedział, ale zacisnął ramiona wokół jej szyi. - Nie jestem dzieckiem. Nie chcę być dla ciebie obowiązkiem, takim, jakim byłem dla taty.

Cholera. Nie tak to miał zrozumieć.

- Obowiązek nie jest złą rzeczą. Jeśli jest wobec kogoś, kogo kochasz, to może być radość. - Pocałowała go w policzek. - Ty jesteś moją radością. Nigdy w to nie wątp ...

Wszędzie dookoła była krew. Na podłodze, na stole. Ślady prowadziły do zamkniętych drzwi po drugiej stronie pokoju.

MacDuff stał w progu i kłął.

- Posprzątał - mruknął Royd, rzucając okiem na pokój przez ramię MacDuffa.

- Zamknij się - powiedział ostrym tonem MacDuff. - James, ilu ludzi tu teraz mieszka?
- Stary Dermot, jego żona i syn. Syn po rozwodzie sprowadził tu swoją małą córkę z Glasgow - urwał na chwilę. - Ta krew ... Mam sprawdzić pozostałe pokoje?
- Nie, ja to zrobię. - MacDuff ruszył w stronę drzwi, do których prowadziły ślady krwi, otworzył je i zamarł. - O Boże.

Jock i Royd poszli za nim.

- Dobry Boże - wyszeptał Jock, spoglądając na masakrę.
- Dermot?
- Trudno powiedzieć - wychrypiął MacDuff. - Ktoś nieomal zdarł mu skórę z twarzy. - Wszedł do pokoju. - I nie wystarczyła im śmierć Dermota.

Na podłodze leżała kobieta. Szczupła, siwowłosa. Jej brązowe oczy wpatrywały się w nich ślepo. Z kącika ust sączyła się krew.

- To Margaret, żona Dermota. - Jock zacisnął usta. - Skurwysyn. - Rozejrzał się po pokojach. - A gdzie jest Mark i dziecko ... - Może udało im się uciec. - Twarz Jamesa Campbella była biała. - Boże, mam nadzieję, że udało im się uciec.

- Poszukaj ich - polecił Royd. - Przeszukaj resztę chaty i teren dookoła. Mam nadzieję, że uciekli, ale Devlin rzadko pozwala swojemu celowi uciec.

- Dziecko? - spytał Campbell. - Czy dziecko byłoby ...

- Poszukaj ich - powiedział Jock.

Campbell skinął głową i wyszedł z pokoju.

Jock ukląkł przy ciele Dermota i zaczął studiować zmasakrowaną twarz mężczyzny.

- Boże, zrobił to dla przykładu czy po prostu to lubi?

- Lubi to - odparł Royd. - Jeszcze przed REM-4 był zabójcą. Sanbome go wybrał, bo uważał, że doskonale poradzi sobie ze I.koleniem. - Odwrócił się do McDuffa, który stał i wpatrywał się w ciało Dermota. - Dopadnę go. Wbiłem w niego nóż, a on takich rzeczy nie zapomina. Ma dobrą pamięć i pamięta długo.

- Ja też - powiedział MacDuff. - I to ja osobiście wypruję z niego flaki. Dermot był jednym z moich ludzi. Chodźmy teraz poszukać jego syna.

Kiedy wyszli z chaty, spotkali Campbella.

- Studnia - powiedział i gestem wskazał kamienną studnię.

- Leży przy studni.

- Martwy? - zapytał MacDuff.

Campbell skinął głową.

- W jego ciele jest może z pięćdziesiąt ran kłutych. Przez chwilę panowała cisza, wreszcie MacDuff spytał: - A dziewczynka?

- Myślimy, że jest w studni. Poświeciliśmy tam latarkami.

- Przełknął ślinę. - A raczej jej części są w studni. Musiał ją ... poćwiartować.

MacDuff zaklął i ruszył w stronę studni.

- Nie musi pan sprawdzać. To syn Dermota. Znam go. Nie ma mowy o pomyłce.

- Wierzę ci - powiedział MacDuff. - Muszę ich zobaczyć.

- Dlaczego? - zapytał Royd, kiedy wraz z Jockiem dogonili MacDuffa - Martwy jest martwym.

- Muszę zapamiętać ten widok. - MacDuff doszedł do studni i spojrzał na leżące obok niej ciało mężczyzny. - Czas płata figle. Nienawiść z czasem słabnie, chyba że nie pozwalają jej wygasnąć obrazy zachowane w pamięci. Może tego nie zrozumiesz, ale nie chcę nigdy zapomnieć, co Devlin zrobił, nawet jeśli będę musiał czekać latami, aż wpadnie w moje ręce.

- Rozumiem to aż nadto dobrze - mruknął Royd. MacDuff spojrzał na niego.

- Tak mi się wydaje - powiedział, odetchnął głęboko i zaświecił latarką do wnętrza studni - Miałeś rację, James. Poćwiartował ją.

MacDuff wyjął telefon.

- Dzwonię do sędziego. Jock, zostaw tu jednego z ludzi, żeby poczekał na sędziego. Reszta wraca ze mną do zamku. w takiej chwili. Był moim przyjacielem. Co mam powiedzieć sędziemu?

- Nic. Jakiś szaleniec. - MacDuff odwrócił głowę od studni. Nie chcę, żeby nam przeszkadzali - dodał i ruszył w stronę chaty.

Royd patrzył, jak MacDuff daje znak Campbellowi i reszcie, żeby poszli za nim.

- Zaimponował mi. Naprawdę ma zamiar ścigać Devlina.

- Oczywiście - twierdził Jock. - I nie chciałbym być w skórze Devlina, kiedy MacDuff go złapie.

Royd zmarszczył brwi.

- Nie jestem pewien, czy podoba mi się to, że wchodzi mi w drogę.

- Za późno. MacDuff już jest zaangażowany. Zostałby w cieniu, gdyby chodziło tylko o ochronę Michaela. Teraz, kiedy Devlin zmasakrował jego ludzi, już jest za późno. - Jock ruszył za MacDuffem. - Lepiej wracaj do zamku i opatrz porządnie ranę. Chcesz, żebym zadzwonił po samochód?

Royd potrząsnął głową.

- Nic mi nie będzie.

Odwrócił się i zaczął schodzić ścieżką za MacDuffem. Devlin.

Dlaczego Sanborne przysłał do zamku tego szaleńca? Musiał wiedzieć, że ten urządzi tu rzeź.

A może nie? Devlin zawsze był na tyle sprytny, żeby dać Sanborne'owi odczuć, że tamten ma nad nim pełną kontrolę. W ciągu ostatnich tygodni, kiedy Roydowi udało się otrząsnąć z efektów REM-4, zaczął dostrzegać, że nie tyle Devlin był manipulowany przez Sanborne'a, ile właśnie on nim manipulował. Lubił to, co robił. Uwielbiał patrzeć na krew i kochał władzę, która pozwalała mu zabijać. Pod skrzydłami Sanborne'a mógł rozwijać tę pasję.

REM-4 może miało na niego jakiś wpływ, ale on był zabójcą z natury.

Teraz Devlin dostał szansę, jakiej potrzebował, żeby dać upust żądzy przemocy. Michael i Sophie byli celem, ale to było dla niego mało. Rzeź, której dokonał na rodzinie pasterza, tylko podsycała jego apetyt. Teraz trudno go będzie zatrzymać. abyś smażył się w piekle, Sanborne.

Głosy.

Sophie podniosła głowę. Przez otwarte okno słyszała głosy dochodzące z dziedzińca.

Powoli wstała z łóżka i podeszła do okna. Poniżej stał MacDuff i kilku jego ludzi, między nimi dostrzegła Royda. Poczula ulgę. Od kiedy Michael usnął, ona leżała tu i przeklinała go za to, że nie zadzwonił ponownie.

Rzuciła okiem na Michaela. Spał głęboko, podłączony do monitora. Mogłaby wymknąć się na kilka minut. Ruszyła w stronę drzwi.

Chwilę później biegła w dół schodami, dopadła drzwi i otworzyła je z ogromną siłą.

- Niech cię cholera, Royd! Dlaczego nie ... - Urwała, kiedy zobaczyła na jego ramieniu bandaż. -
Co się stało?

- Jest trochę poturbowany - odpowiedział za Royda MacDuff. - Pani jest lekarzem, prawda? Proszę go opatrzyć.

Wyminął ją i wszedł do środka.

Royd wykrzywił twarz w cierpkim uśmiechu.

- MacDuff jest dzisiaj w autokratycznym humorze. Jesl wściekły. Będę potrzebował kilka szwów, ale do tego mog' posłać po tutejszego lekarza.

Sophie podeszła do niego.

- Co się stało?

Boże, głos jej drżał.

- Tutejszy lekarz na pewno będzie lepszy. To nie moju specjalizacja.

- Nie ma sprawy - powiedział i wyminął ją, żeby wejść do środka. - Zajmę się tym.

- Jak to się stało?

- Nóż.

- Jesteś biały jak ściana. Dużo krwi straciłeś?

- Niedużo.

Nie mogła tego dłużej znieść.

- Nienawidzę twardzieli, którzy nie potrafią się przyznać do odrobiny słabości. - Popchnęła go w stronę wejścia. - Chodź, zobaczę tę ranę.

- Tak jest - powiedział i zachwiał się, wchodząc na schody.

- Nigdy nie kłóć się z kobietą, która jest silniejsza ode mnie. W tej chwili jesteś dużo silniejsza ode mnie. Czy to wyłącza mnie z grona twardzieli?

- Może. - Poszła za nim i chwyciła go za łokieć. - Będziemy musieli się przekonać ...

Znów się zatoczył i oparł się o framugę drzwi.

- Och, na miłość boską. - Zarzuciła sobie jego ramię wokół szyi i rozejrzała się po posiłki.

MacDuffa i jego ludzi już nie było. - Nie mogę tu zostać. Muszę wracać do Michaela. Czy dasz radę wejść po schodach z moją pomocą?

- Nie ma problemu.

- Jest - powiedziała, wolno prowadząc go po schodach. - Przyznaj to.

- No dobrze, jest. - Stawiał kroki z wysiłkiem. - Ale dam sobie radę.

- Jeśli czujesz, że możesz zemdleć, lepiej mnie ostrzeż. Nie chcę, żebyśmy oboje zlecieli ze schodów.

- Sam zlecę. Po prostu upuść ...

- Nie powiedziałam, że upuszczę twój tyłek. Powiedziałam, żebyś mnie ostrzegł, żebym miała czas jakoś temu zaradzić. Nie zostawię cię tu samego.

- To nie jest rozsądne. Nie ma sensu, żebyśmy upadli oboje.

- Żadne z nas nie ... - Wzięła głęboki oddech. - Chociaż za to jak się zachowujesz, powinnam cię tu zostawić i pozwolić się wykrwawić na śmierć.

- Już nie krwawię.

- Zamknij się wreszcie. Jest coś takiego, jak przyjęcie pomocy z wdzięcznością.

Milczał.

- Zawsze miałem z tym problemy - powiedział, kiedy doszli na szczyt schodów. - Jako dziecko musiałem radzić sobie sam.

Nie przypominam sobie, żeby ktoś kiedyś oferował mi pomoc. Kiedy poszedłem do wojska, wszystko się zmieniło. Tam musiałem być najlepszy.

- Wtedy nie wypadało prosić o pomoc?

- Ja nie prosiłem.

Wiedziała dobrze, że Royd nie zniżyłby się do tego. Boże, ona mu współczuła! On na pewno nie życzyłby sobie tego, ale ona nie mogła przestać myśleć o tym dziecku, które musiało czuć się przeraźliwie samotne. Ona sama miała kochających i wyrozumiałych rodziców. Samotna poczuła się dopiero po tym strasznym dniu nad jeziorem. Tak, współczuła Roydowi. Opanowała ją nagle chęć przytulenia go i pocieszenia.

- Prześń - powiedział nagle. - Nie potrzebuję współczucia i czułości. Użyj sobie gdzie indziej.

Spojrzała na niego zirytowana. Był ranny i osłabiony, to jednak nie powstrzymało go przed typowymi grubiańskimi odzywkami.

- Dobrze. Nie dziwię się, że żaden rodzic zastępczy nie zechciał cię przytulić. Gotów był byś ich pogryźć.

- Może - przyznał z uśmiechem. - Tak jest lepiej. Taką cię lubię. No i ciebie bym nie ugryzł. Chyba że tego byś chciała - dodał.

Zmysłowość. Jeszcze przed chwilą chciała go pocieszać, teraz sprawił, że poczuła się zgoła inaczej. Miała nadzieję, że wszystko to, co się wydarzyło, spowoduje, że nie będzie już tak na niego reagowała.

Szybko odwróciła wzrok.

- Jesteś niepoprawny. - Pchnęła go na wyściełaną aksamitem ławę, która stała po drugiej stronie korytarza do pokoju Michaela. - Zostań tu. Sprawdzę, co u Michaela. Możesz też pójść do mojego pokoju, następane drzwi od pokoju Michaela, i tam na mnie zaczekać.

- Zostanę tutaj. - Oparł się wygodnie i zamknął oczy. - Nie spiesz się.

Z zamkniętymi oczami wydawał się jeszcze bardziej bezbronny. Tak, że nieomal zapomniała o jego aroganckim zachowaniu. Ale nie może o tym zapomnieć. Royd nie był bezbronny, a ona nie powinna pozwolić rozwijać się sympatii, którą zaczynała do niego czuć.

- Tylko nie zaśnij. Jak runiesz na podłogę, mogę nie pora-

dzić sobie z wciągnięciem cię z powrotem na ławkę.

Uśmiechnął się, nie otwierając oczu. - Na pewno byś sobie poradziła.

Sophie ostrożnie otworzyła drzwi do pokoju Michaela i wślizgnęła się do środka. Spał. Podeszła bliżej. Wyglądał na spokojnego, ale to mogło się zmienić w mgnieniu oka. Był taki bezbronny. Kilka minut wcześniej pomyślała to samo o Roydzie, jednak tamten, wyczuwszy to, odrzucił jej współczucie. Michael też zaczynał odrzucać dowody uzalania się nad nim. Nigdy nie byłby wobec niej niegrzeczny, ale sens byłby ten sam. Dorastał i chciał ten ciężar wziąć na swoje barki.

Ale jeszcze nie teraz. Da mu jeszcze trochę miłości i ochrony. Poprawiła mu koc i poszła do drzwi. Wychodząc, zostawiła je

uchylone.

Royd otworzył oczy. - W porządku? Skinęła głową. Wstał powoli.

- Miejmy to już za sobą. Wiem, że chcesz do niego wrócić.

- Tak.

Ledwo szedł, ale nie miała zamiaru mu pomóc. Da sobie radę, a ona nie będzie go musiała dotykać. Poszła za nim i otworzyła drzwi.

- Zostawię drzwi otwarte, żebym mogła, w razie czego, usłyszeć Michaela. - Zapaliła światło i wskazała na fotel. - Usiądź. Muszę pójść na dół po apteczkę, jeśli uda mi się znaleźć MacDuffa lub któregoś z jego ludzi.

- Nie sądzę, żebyś miała trudności w znalezieniu MacDuffa.

Na pewno jeszcze się nie położył. - Usiadł wygodnie w fotelu. - Ma o czy myśleć.

- O czym ... - W zruszyła ramionami i ruszyła w stronę drzwi.

- Porozmawiamy, jak tylko cię zszyję. Jeśli nie będziesz chciał nic powiedzieć ...

- Sprujesz szwy?

- Nie niszczyłabym swojej pracy. Wymyślę coś innego.

- Boże dopomóż - mruknął.

- Uważaj na Michaela - powiedziała i wyszła z pokoju.

- Już. Nie wygląda to dobrze - orzekła Sophie, kończąc bandażowanie ramienia Royda. - Powinien to zobaczyć lekarz specjalista.

Potrząsnął głową.

- To twoja sprawa. - Wzruszyła ramionami.

- Istotnie. Rany goją mi się szybko. Poza tym myślę, że od tej chwili wszystko potoczy się już błyskawicznie.

- Dlaczego? Powiedz mi, co się dziś wydarzyło.

- Te owce na drodze. Dały do myślenia MacDuffowi i Jockowi. Właściciel owiec nigdy by nie pozwolił sobie, żeby owce zeszły na drogę. Coś musiało się stać. Musieliśmy to sprawdzić.

- Co znaleźliście?

- Jednego z ludzi Sanbome' a, Devlina. - Wskazał głową na ramię. - W lesie. Zraniłem go, ale uciekł. Dlatego zadzwoniłem do ciebie.

- I nic mi nie powiedziałaś - wycodziła.

- To nie był odpowiedni moment, poza tym zajmowałaś się synem.

- Dlaczego moment nie był odpowiedni? Przez chwilę nic nie mówił.

- Musieliśmy sprawdzić pasterza i jego rodzinę.

Sophie przyjrzała mu się uważnie. Bez oporu opowiedział o Devlinie, ale ma trudności z opowiedzeniem o pasterzu.

- I?

- Nie żyją. Zmasakrowani. Pasterz, jego żona, syn i wnuczka, około siedmiu lat.

Sophie była wstrząśnięta.

- Co?

- Słyszałaś. Mam powtórzyć?

- Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

- Może pasterz zobaczył Devlina, więc tamten go zabił ...

Ale myślę, że Devlin po prostu skorzystał z okazji. To żądny krwi łotr. Jeden mały chłopiec by mu nie wystarczył.

- Myślałaś, że mógł potem przyjść prosto do zamku?

- Nie. Ale ten człowiek ma ogromną tolerancję na ból, więc musiałem się upewnić. Musiałem usłyszeć twój głos. Spodziewałem się, co możemy zastać w chacie pasterza. A jednak to, co lam zobaczyłem, było okropne.

- Oczywiście. Potrząsnął głową.

- Nie było tak w kilka miesięcy po opuszczeniu Garwood.

Wtedy moje emocje były jeszcze stępione. Nie czułem nic.

Uśmiechnął się krzywo.

- Jeden ze skutków ubocznych REM-4. Trwało to trochę.

- O Boże.

- Przestań już z tą winą! Powinienem być wiedzieć. Dla kogoś takiego jak ty utrata uczuć jest prawie tak samo okropna jak kontrola umysłu. Jeśli to ci pomoże, to, co tam zobaczyłem, wstrząsnęło mną. Ta mała dziewczynka ... - Urwał, żeby przełknąć ślinę. - Tak, przez moją duszę przeszło wtedy tysiące uczuć.

- To mi nie pomaga. - Głos jej załamał się. - Nie chce, żebyś cierpiał. Nie chcę, żeby ktokolwiek cierpiał. Ci biedni ludzie ...

Wzięła głęboki oddech. - Nic dziwnego, że MacDuff był wobec mnie taki szorstki. Pewnie uważa, że jestem za to odpowiedzialna.

- Może. Zapytasz go o to rano. Wiem, że jest wściekły i ma zamiar dopaść Devlina. Jeśli ja go nie uprzedzę. - Zauważywszy wyraz jej twarzy, dodał: - Nawet nie będę musiał go ścigać. On sam mnie znajdzie. Devlin nie lubi obrywać. Nawet jeśli Sanborne odwoła go z tej roboty, Devlin nie spocznie, dopóki limie nie dopadnie.

- Pocieszające.

- Żebyś wiedziała. To wiele ułatwia. - Powoli wstał. - Czy orientujesz się, gdzie wyznaczono mi miejsce w tym muzeum? - Dwa pokoje dalej. Pomogę ci ... - Zawahała się. - Zapomniałam. Idź sam. Jeśli zemdlejesz, przejdę po tobie rano w drodze na śniadanie.

- Nie ma sprawy - mruknął i ruszył w stronę drzwi.

- Jeśli ty albo Michael będziecie czegoś potrzebować, zadzwoń.

- Chciałeś powiedzieć, jeśli będzie nam potrzebna pomoc?

- To właśnie chciałem powiedzieć. - Zatrzymał się w drzwiach. - Chcesz mnie może rozebrać i położyć do łóżka? Na to ci pozwolę.

- Nie. Straciłeś swoją szansę.

- Tchórz. Tym lepiej. Nie jestem dzisiaj sobą.

Patrzyła, jak powoli idzie do swego pokoju. Kusilo ją, żeby pójść za nim. Dzisiaj otworzył się przed nią bardziej niż kiedykolwiek, ale musiało to być podyktowane bólem i wstrząsem. Chciałby pewnie, żeby ta znieczulica spowodowana REM-4 zadziałała tam, w chacie pasterza.

Powiedział, że to skutek uboczny. Kolejny cios w jej serce.

Jak dużo jeszcze takich skutków ubocznych przytrafiło się ludziom w Garwood?

Po kolei. Nie może ciągle zamartwiać się, rozmyślając nad Garwood. Musi skupić się na celu. Teraz jej zadaniem jest ochrona syna i zniszczenie Sanborne'a i Bocha.

Poza tym będzie musiała rano stawić czoło MacDuffowi, który prawdopodobnie powie jej, żeby wzięła stąd syna i zniknęła z jego zamku i życia. Nie mógłby się zachować inaczej po tym, co spotkało jego ludzi. Royd powiedział, że MacDuff jest wściekły, a to przez nią ten morderca znalazł się w tej okolicy.

Jutro. Teraz idź do syna, nakazała sobie. Musi być przy nim, gdyby i jego nawiedził w nocy koszmar.

Rozdział 13

- Mogłabym z panem porozmawiać?

MacDuff podniósł głowę znad biurką i wstał.

- Nie mam za dużo czasu, pani Dunston. W ciągu godziny spodziewam się tu sędziego z kilkoma ludźmi ze Scotland Yardu.

- To nie będzie trwało długo - zapewniła, wchodząc do hiblioteki. - Musimy porozmawiać.

_ Oczywiście. Miałem zamiar zrobić to później. Jak się czuje chłopiec?

- Nie czuje się najlepiej. Ale to normalne. Widziałam go przez chwilę, zanim poszedł wziąć prysznic, ale zdaje się, że już lepiej w porównaniu z wczoraj. No i nie miał w nocy ataku.

- Odkąd tu jest, zdarzył mu się tylko jeden atak. Może wyrasta z tego.

Potrząsnęła głową.

- Ale jest coraz lepiej.

- Proszę usiąść - powiedział MacDuff - jestem potwornie zmęczony. Wczoraj w nocy przeszedłem piekło, a moja uprzejmość nie pozwoli mi spocząć, dopóki pani nie wybawi mnie z tej udręki. Tak zostałem wychowany i niosę ten krzyż w zamian za możliwość władania tą górą kamieni.

Usiadła na wskazanym krześle.

- To wspaniała góra kamieni i zaskakująco wygodna - zauważyła.

- Zgadzam się. Dlatego też wciąż walczę, żeby pozostała w moim posiadaniu. Kawy? - Nie czekając na odpowiedź, nalał do filiżanki gorącego napoju i podał jej. - Śmietanki?

Pokręciła głową.

- Jest pan bardzo miły. Spodziewałam się, że będzie pan zły.

- Jestem zły. Jestem wściekły. - Usiadł wygodnie w fotelu. - Ale nie na panią. Przyjąłem do mojego domu Michaela i tym

samym stałem się za niego odpowiedzialny. Za niego i wszelkie konsekwencje wynikające z jego pobytu tutaj. Jednak spodziewałem się ewentualnych ciosów w moją osobę, nie w moich ludzi. Ta rzeź wczoraj była bezsensowna.

Przeszedł ją dreszcz.

- Tak. Royd mówił, że to było okropne. Spodziewałam się, że każe pan mnie i Michaelowi opuścić to miejsce.

- I pokazać temu łotrowi Sanbome'owi, że poddajemy się po jednej bitwie? Żeby przysłał tu swoje maszyny do zabijania, zastraszając mnie, żebym oddał mu Michaela, którego wykorzystają przeciwko pani? - Oczy MacDuffa błyszczały z gniewu. - Zatrzymałbym tu was choćby dlatego, żeby zrobić mu na złość.

- I tak pewnie będziemy musieli odejść. Może zjawić się tu policja, kiedy zorientuje się, że wysłałam tu Michaela. Policja może myśleć, że jestem wystarczająco szalona, żeby zabić własne dziecko.

- Postaram się trzymać Scotland Yard z daleka - obiecał, marszcząc brwi. - Jednak jestem trochę niespokojny. Nie czuję się dobrze z tym, że będę musiał zostawić Michaela, kiedy opuszczę MacDuff's Run.

- Pan wyjeżdża?

- Jest pani zaskoczona? Devlin zabił moich ludzi. Nie może to mu ująć płazem. Proszę się nie martwić, dopilnuję, żeby chłopak był bezpieczny.

- Przed chwilą obawiał się pan, że może tego nie dopilnować.

- Może nie być bezpieczny, dopóki nie znajdę odpowiedniej osoby, która mogłaby przejąć tu nad wszystkim pieczę. Pracuję nad tym.

- To zbytrocne. To ja jestem odpowiedzialna za mojego syna i to ja zadbam o to, żeby mu się nic nie stało. Niech pan robi, co do niego należy. Ja zajmę się moim synem.

- Nie zrobi pani tego.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Słucham?

- Pani i Royd możecie być mi potrzebni. Tkwiecie w tym po same uszy i macie informacje, których mogę potrzebować. Nie mogę pozwolić, żeby skoncentrowała się pani wyłącznie na opiece nad synem.

- Dobry Boże, pan jest taki sam jak Royd.

- To znaczy wyrachowany? Może. Ale i tak roztoczę opiekę nad chłopcem. - Wykonał ruch ręką. - Proszę teraz odejść i poszukać Michaela i Royda. Muszę zająć się sędzią i inspektorem ze Scotland Yardu. Prowadzi śledztwo w sprawie śmierci Dermota. Proszę nie rzucać się w oczy. Nie chcę, żeby wiedział, że w zamku są obcy.

- Ani ja - zapewniła sucho. - Mogliby podejrzewać, że to ja dokonałam tych zabójstw.

Zamknęła drzwi. Nie wiedziała, czego się spodziewała po MacDuffie, ale on wciąż ją zaskakiwał. W jednej chwili arogancki, w drugiej pełen troski. Jedynej rzeczy, której była pewna, to tego, że z tym człowiekiem trzeba się liczyć i że ona powinna mieć się na baczności.

- Co to za marsowa mina.

Spojrzała w górę i zobaczyła Jocka stojącego w progu frontowych drzwi. Uśmiechał się, ale jego oczy były poważne. Wyglądał na zasmuconego. Dlaczego wydało jej się to dziwne? Przez całą noc miał do czynienia ze śmiercią.

- Dopiero wróciłeś? Skinął głową.

- Zostałem do przyjazdu inspektora ze Scotland Yardu. Po-tem nie chcieli mnie puścić. Przez pół nocy sędzia wisiał na telefonie, rozmawiając z MacDuffem, żądając od niego po-twierdzenia mojego alibi.

- To nie ty powinienes być tam zostać. Logiczne było, że z twoją przeszłością ...

- Wiem. MacDuff też nie pochwalał tego pomysłu. Ale Mark Dermot był moim przyjacielem - Umilkł i po chwili

zmienił temat: - Dlaczego marszczysz brwi? Widziałem cię, jak wychodziłaś z biblioteki.

- W takim razie powinienes wiedzieć, dlaczego jestem zła.

Ten MacDuff jest arogancki. Powiedziałam mu, że jest taki sam jak Royd.

- Cóż, są pewne podobieństwa. Co takiego zrobił?

- Powiedział, że on zajmie się Michaeliem, czy tego chcę, czy nie, gdyż ja jestem zbyt potrzebna, żeby tracić czas na zabawę w matkę.

Jock zachichotał.

- Musiał być naprawdę zmęczony. Zazwyczaj jest bardziej dyplomatyczny. Jeśli chce, potrafi być czarujący.

- W takim razie to nie jest jego dobry dzień. Powiedział, żebym poszła już, nie rzucała się w oczy i że porozmawiamy później. - Masz zamiar to zrobić?

- Oczywiście, że nie. Chociaż tak, mam zamiar nie rzucać

się w oczy. Byłabym głupia, gdybym tego nie zrobiła. Nie chcę, żeby Scotland Yard deptał mi po piętach. Ale nie pozwolę, żeby MacDuff mówił mi, co mam robić. To ja muszę podejmować decyzje. - Potrząsnęła głową. - Chociaż ostatnio mało miałam okazji, żeby spokojnie pomyśleć.

- MacDuff jest bardzo dobry dla Michaela, Sophie - powiedział cicho Jock.

- Widzę. Michael wspominał coś o poszukiwaniu skarbów.

Czy MacDuff wymyślił tę historyjkę na poczekaniu, żeby go zabawić?

Joe wzruszył ramionami.

- Krążą pewne historie. Tak czy owak, rozerwały trochę Michaela. Był po prostu małym chłopcem z dala od domu.

- Jestem wdzięczna. Ale nie na tyle, żeby pozwolić Mac Duffowi ingerować we wszystkie moje sprawy.

- Porozmawiam z nim.

- Rób, co chcesz. - Odwróciła się i skierowała się w stronę

schodów prowadzących na górę - Muszę sprawdzić, co u Royda. Jest osłabiony. Nie powinien był wracać wczoraj do zamku o własnych siłach.

- Proponowałem, że zadzwonię po samochód.

- To wyłącznie jego wina. Ten idiota myśli, że jest Supermanem - rzuciła przez ramię.

- Nie byłeś zbyt taktowny - powiedział Jock do MacDuffa, wchodząc do biblioteki. - Poza tym Sophie nie jest osobą, której można rozkazywać. Będziesz miał szczęście, jeśli nie weźmie Michaela pod pachę i nie ucieknie.

MacDuff spojrział na niego.

- Byłem zbyt zły, żeby troszczyć się o maniery. Poza tym musiałem powiedzieć jej, żeby zeszła wszystkim z oczu, dopóki Scotland Yard nie odjedzie. Jada tu?

- Będą za piętnaście minut. To inspektor Mactavish, jest uprzejmy. - Uśmiech z twarzy Jocka zniknął. - Wtedy, gdy nie oskarża mnie o dokonanie tej masakry. Kazali mi stać tam i patrzeć, jak wyciągają ze studni tę małą dziewczynkę. Pewnie chciał zobaczyć moja reakcję.

MacDuff zaklął pod nosem.

- Mówiłem ci, że powinieneś być wrócić do zamku, jak tylko Scotland Yard pojawił się na horyzoncie.

- Mark był moim przyjacielem ... Kiedy masz zamiar ruszyć za Devli"em?

- Wkrótce. Najpierw muszę załatwić sprawy tutaj. I przekonąć Scotland Yard, że nie dostałeś szalu i to nie ty popełniłeś tę zbrodnię.

- Ona nie będzie czekała na twoje decyzje - powiedział Jack. - Chyba że dogadasz się z Roydem. Jego zaakceptowała. - W takim razie porozmawiam z nim. Wychodzę spotkać się z inspektorem na dziedzińcu. Potrzebuję trochę świeżego powietrza. Może ty też nie powinieneś rzucać się w oczy?

- Posłusznie dołączę do pozostałych uciekinierów, którzy schronili się w twoim zamku. Jeszcze jakieś rozkazy?

- Posłusznie? Ty nie znasz znaczenia tego słowa. - MacDuff podszedł do drzwi. - Ale możesz coś dla mnie zrobić.

- Do usług.

- Zadzwoń do Jane MacGuire i sprawdź, czy będę mógł zadzwonić do niej dziś po południu. Chciałbym z nią porozmawiać.

- Dlaczego sam tego nie zrobisz?

- Ona ciebie lubi i nie traktuje cię jak zagrożenie.

- To prawda, nigdy tak nie uważała, nawet wtedy, kiedy naprawdę mogłem nim być. Niesamowite.

- Przechylił głowę na bok. - Myślisz, że ciebie uważa za zagrożenie?

- Może. Po prostu zadzwoń.

Michaela nie było w pokoju.

Co, u diabła? Powiedziała, żeby na nią zaczekał.

- Wszystko w porządku.

Odwróciła się i zobaczyła w progu Royda.

- Czekasz na mnie w moim pokoju. Przyszedłem sprawdzić, czy wszystko w porządku, pomyślałem, że może nie powinien być teraz sam. Więc poprosiłem, żeby pomógł mi zmienić bandaż. Zawsze lepiej, żeby miał zajęcie.

- To prawda. Dziękuję. - Spojrzała na niego uważniej. - Jesteś blady, ale wyglądasz lepiej niż wczoraj. Dobrze spałeś?

- Wystarczająco dobrze. Może pójdziemy na dół i przygotujemy coś do jedzenia?

- Nie teraz. MacDuff przyjmuje wizytę inspektora z Scotland Yardu. Chce, żebyśmy zostali tutaj, dopóki nie odjedzie. - Rozmawiałaś z MacDuffem?

- Tak. Miałaś rację. Ma zamiar dopaść Devlina, chce wy-

korzystać nas, żebyśmy mu pomogli. Uważa, że Michael może nie być tu bezpieczny po jego odjeździe. Stara się wymyślić inny plan.

- I to cię wkurza? Dlaczego?

- Nie jestem zła dlatego, że stara się ochronić Michaela. Ale denerwuje mnie, że on nawet nie zapyta mnie, jaki ja mam pomysł.

- Jestem pewny, że zmienisz jego podejście. - Uśmiechnął się. - Tak, jak zmieniłaś moje.

- Nie mamy zbyt wiele czasu. Liczyłam, że będę mogła trochę dłużej polegać na MacDuffie.

Myślisz, że Sanborne wysłał Devlina, żeby zabił Michaela, czy to była pułapka na mnie?

- To mogła być jedna z tych rzeczy albo obie.

- Cholera, więc jak mam ...

- Jest coś, o czym musisz wiedzieć. Dzwonił dziś do mnie Kelly.

Zamarła.

- I co?

- Prosiłem go, żeby miał na oku statek. Zeszłej nocy wypłynął.

- Co? Przecież jeszcze nie opróżnili zakładu.

- Najwidoczniej wzięli już wszystko, co było im potrzebne, a resztę zostawili.

- Niech ich diabli, więc jak ...

- Spokojnie. Kelly czuwa nad tym. Wynajął motorówkę i dogonił statek, zanim wypłynął na pełne morze. Statek kieruje się na południe.

- ASanborne? Wzruszył ramionami.

- Kelly nie może być w dwóch miejscach naraz. Ale jeśli będziemy śledzić statek, mamy duże szanse, że Sanborne i Boch wyjadą na jego powitanie w miejscu przeznaczenia.

- A jeśli nie?

- Wtedy pomyślimy, jak ich dopaść. A raczej ja. Muszę wyjechać, żeby dołączyć do Kelly'ego, ale ty nie musisz ze mną jechać. Jeśli wolałabyś zostać z Michaeliem ...

- Cicho bądź. Wiesz, że muszę jechać. - Ale jej obowiązkiem było też chronienie Michaela - Poza tym powiedziałaś, że mogę ci być potrzebna. Nagle zmieniłeś zdanie?

- Nie. Radziłem sobie bez ciebie przez całe życie. Może i udowodniłaś, że możesz być przydatna, ale nie będę miał z ciebie żadnego pożytku, jeśli będziesz cały czas myślała o dziecku. Więc trzymaj się ode mnie z daleka.

- Pięknie. Jesteś pewnie najbardziej ... - zaczęła i spojrzała mu w twarz. - Czyżbyś starał się mnie chronić. Dziwne ...

- Wcale nie dziwne. Powiedziałem ci, że jeśli będę mógł, będę cię chronił. Ale zrobisz, co uznasz za słuszne.

- Żebyś wiedział. Więc zamknij się. Nie udaje ci się być miłym. Jesteś bardziej przekonujący, kiedy jesteś opryskliwy. - Podeszła do okna i spojrzała na dziedziniec. - Widzę zaparkowany samochód. Pewnie inspektora. Nie możemy jeszcze zejść na dół. - Odwróciła się i zaczęła przeszukiwać swoją torebkę - Mogę więc teraz sprawdzić, co jest na dysku, który skopiowałam w zakładzie. Pójdiesz w tym czasie do Michaela?

- Chcę zobaczyć, co tam jest.

- Później ci powiem, to może być nic ważnego.

- Skoro było w sejfie, musi mieć jakąś wartość.

- Mogę wam jakoś pomóc?

Odwrócili się i zobaczyli Jocka stojącego w progu. Patrzył to na Royda, to na Sophie.

- Czyżbym wyczuwał w powietrzu pewne napięcie?

- Owszem, możesz pomóc - powiedział Royd. - Mógłbyś pójść do mojego pokoju i pobyć trochę z Michaeliem? Musimy coś sprawdzić.

- Jasne. Niedługo będę mógł go zabrać na polanę. On lubi tam być. Inspektor powinien zaraz odjechać. MacDuff ma duże wpływy i nawet Scotland Yard traktuje go trochę inaczej.

- Poczekaj - powiedziała Sophie. - Przyszedłeś tu w jakimś konkretnym celu?

- Załagodzić trochę atmosferę. Ale nie między wami. Rozmawiałem z MacDuffem. Zdaje sobie sprawę z tego, że nie był z tobą zbyt delikatny. Ale on naprawdę chce jak najlepiej dla ciebie i chłopca. Robi wszystko, żeby zapewnić mu ochronę.

- Żeby uwolnić się od niego i ruszyć w pogoń za Devlinem, żeby go zabić.

Jock uśmiechnął się.

- Mam nadzieję, że nie - powiedział z łagodnym uśmiechem. - Mam nadzieję, że zostawi to mnie. Wizualizowałem już wszystko ze szczegółami - dodał i odwrócił się.

Sophie przeszedł dreszcz, kiedy odprowadzała go wzrokiem.

Piękny jak poranek, a zabójczy. Nie była przyzwyczajona do tej strony Jocka

- Boże.

- Nie widziałaś tej małej dziewczynki w studni - powiedział cicho Royd.

- Po prostu ... zaskoczył mnie. - Podeszła do torby i wyciągnęła laptopa. - Muszę zabrać się do pracy. Nie mogę z nim zostawiać Michaela na długo, kiedy jest taki wkurzony. - Usiadła, włączyła komputer i włożyła dysk. - Zobaczmy, co tu mamy.

- Liczby - mruknął Royd.

- To są formuły - poprawiła go odruchowo. Nagle zamarła. -REM-4.

- Co?

- To nie jest moja formuła, ale została użyta jako baza.

- Wiedziałaś, że tak się stało.

- Ale nie tak. - Wzrok miała utkwiony w monitor. - To jest coś innego.

- W jakim stopniu?

- Jeszcze nie wiem - powiedziała, patrząc na kolejne formuły. - Nie podoba mi się to. Idź już. Trochę to potrwa.

- Mogę ci jakoś pomóc?

- Odejdź - powtórzyła. Formuł było coraz więcej. Same formuły. Skomplikowane formuły. Ktokolwiek jest ich autorem, to geniusz.

- Jak długo ci to zajmie? Potrząsnęła głową.

- A więc wrócę za kilka godzin - zdecydował.

Powiedział coś jeszcze, ale go nie słyszała. Była zbyt pochłonięta tym, co widziała na ekranie. Zaczynało się to układać we wzór...

MacDuff zadzwonił do Jane McGuire późnym popołudniem.

- O co chodzi, MacDuff? To do ciebie niepodobne prosić Jocka, żeby do mnie zadzwonił.

- Musiałem być pewien, że będziesz miała dla mnie czas. Muszę o czymś z tobą porozmawiać.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

- Bzdura. Moim zdaniem chciałeś, żebym rozmawiała chwilę z Jockiem i wspominała dawne czasy.

- Równie dobrze sam mógłbym to zrobić - powiedział łagodnie. - To są też nasze wspomnienia.

- Ale w moich relacjach z Jockiem nie było żadnego zgrzytu.

- Dałem ci bardzo dużo czasu, żeby tamta zadra poszła w zapomnienie. Dzwoniłem do ciebie tylko dwa razy. Bóg mi świadkiem, że nie było to dla mnie łatwe.

- Czego chcesz, MacDuff?

- Jak tam twoja wspaniała Eve Duncan?

- Bez sarkazmu. Ona jest wspaniała.
 - To nie był sarkazm. Podziwiam ją. Co u niej?
 - Pracuje jak szalona, jak zwykle. Wezwali ją do Waszyngtonu, do szkoły medycznej.
 - A Joe? Pojechał z nią?
 - Nie, Joe jest tutaj. - Urwała i powtórzyła pytanie: - Czego chcesz, MacDuff?
 - Chcę cię prosić o małą przysługę. Trochę twojego czasu.
 - Jestem bardzo zajęta. Za miesiąc mam wystawę.
 - Jestem pewien, że znajdziesz trochę czasu dla rodziny.
 - Nie jestem twoją rodziną.
 - Nie będziemy się o to kłócić. Rodzina czy nie, wiem, że masz wielkie serce i nie pozwolisz, żeby coś złego stało się niewinnemu dziecku.
 - MacDuff!
 - Potrzebuję twojej pomocy, Jane. Wysłuchasz mnie?
 - Nie dam się wykorzystać.
 - To tylko dziecko, Jane.
- Cisza.
- Niech cię diabli! Mów.

Ręce Sophie zaczęły się pocić. Oddychaj spokojnie, rozkazała sobie w duchu. Trzeci raz sprawdzała wszystkie formuły, żeby upewnić się, że ma rację. Z drugiej strony modliła się, żeby się myliła. Nie myliła się jednak. Kilka ostatnich linijek potwierdzało jej obawy, ale ona nie mogła w to uwierzyć.

Wyjęła dysk z komputera i schowała z powrotem do pudełka.

W pokoju było już szaro. Słońce prawie zaszło.

Wstań! Idź powiedzieć Roydowi. Był tu w ciągu dnia chyba ze trzy razy, ale za każdym razem odsyłała go z kwitkiem. Teraz musiała się z kimś podzielić tymi hiobowymi wieściami.

Weszła do łazienki i zmoczyła twarz. Lepiej.

- Ręcznik? - Royd stał w progu, trzymając w ręku ręcznik.

- Dzięki. - Osuszyła twarz.

Podał jej filiżankę gorącej kawy.

- Dzięki - powtórzyła, wypila łyk kawy. - Gdzie jest Michael?

- Właśnie go zostawiłem z Jockiem. Chyba poszli na polanę.

- Muszę iść wytłumaczyć mu, dlaczego nie mogę teraz z nim być.

- Najpierw mnie wytłumacz kilka rzeczy - powiedział Royd. - Może powiesz mi, dlaczego jesteś błada i trzęsiesz się jak ofiara malarii.

- Nie trzęsę się - zaproponowała, choć zdała sobie sprawę, że to nieprawda. Nie mogła iść do Michaela w takim stanie. Poza tym chciała porozmawiać z Roydem. - Jestem wściekła. - Weszła do pokoju i rzuciła się na łóżko. - Sprawdziłam trzy razy, Royd. To prawda.

- O czym mówisz?

- Sanborne 'owi nie wystarczyło Garwood. Zrobił krok dalej. Wynajął naukowca do poszerzenia możliwości REM-4.

- Poszerzenia?

- REM-4 można było produkować jedynie w małych ilościach. To był jeden z podstawowych problemów, nad którym pracowałam. W przeciwnym razie REM-4 dla zwykłego odbiorcy byłby bardzo kosztowny.

- Naukowiec Sanborne'a rozwiązał ten problem?

- Ogromnie zwiększył potencjał REM-4 tak, żeby mógł być rozpuszczalny w wodzie, wciąż zachowując swoje właściwości.

- W wodzie? W szklance wody?

Skinęła głową.

- Albo w kadzi. Pamiętasz, co powiedział kierowca ciężarów-ki? Że na statek ładowali kadzie.

Skinął głową.

- Mów dalej.

- Na końcu wszystkich formuł było kilka linijek tekstu mówiącego, że chociaż wystąpiły pewne problemy, ogólne wyniki są obiecujące. Gorshank zapewnia, że eksperyment na wyspie powiedzie się.

- Na wyspie? A więc szukamy wyspy?

- Prawdopodobnie.

- Wiesz, jak Gorshank ma na imię?

Potrząsnęła głową.

- To pewnie jeden z naukowców Sanborne'a, ale nigdy o nim nie słyszałam.
- A eksperymenty?
- Po co byłyby Sanborne'owi te kadzie z REM-4? Tu mamy już do czynienia z kontrolowanym, małym eksperymentem.
- Więc co wymyśliłaś?
- Zatopi te kadzie w jakimś zbiorniku wodnym i będzie czekał na efekt.

Skinął głową.

- To ma sens - przyznał.
- Jak możesz być tak spokojny? On chce się przekonać, czy może zrobić zombie z tych ludzi.
- A potem sprzedać formułę temu, kto zapłaci więcej, żeby tamten mógł stosować go na ogromną skalę - domyślił się Royd. - Bardzo nieładnie.
- Nie wybiegłam myślami tak daleko - powiedziała Sophie.
- Myślałam o 'tym eksperymencie na wyspie. Przecież tam mogą zginąć ludzie.
- Albo zrobi z nich potulne owieczki gotowe na rozkazy grup terrorystycznych.
- Musimy go powstrzymać.
- Tak. - Royd ruszył w stronę drzwi. - Mamy trop. Gorshank.
- Gdybyśmy tylko wiedzieli, kim on jest albo gdzie się znajduje. - Wyszła za nim na korytarz. - Masz znajomości. Możesz się dowiedzieć?
- Mogę spróbować. Ale musimy działać szybko. Potrzebujemy wsparcia. - Spojrzał na nią. - Wciągnę w to MacDuffa. Rozmawiałem z Jockiem, który twierdzi, że MacDuff ma kontakty tam, gdzie ja ich nie mam. Czyli wszędzie. Od parlamentu brytyjskiego do policji amerykańskiej.

- Nie będę się z tobą sprzeczała. - Uśmiechnęła się. - Choć-ciąż podejrzewam, że policja nie będzie chciała słuchać nikogo, gdy się dowie, że chodzi o mnie. Pozwolę MacDuffowi zrobić wszystko, żeby powstrzymał Sanborne'a. Możemy się tylko nie zgodzić co do Michaela.

- To wasza sprawa - powiedział, schodząc po schodach.

- Zostawię tę sprawę wam do rozstrzygnięcia.

- Och, dziękuję - mruknęła z ironią. - Zbytek łaski.

- Chyba tego właśnie ode mnie oczekujesz - burknął. - Nie chcesz, żebym wchodził ci w drogę. Cały czas prawisz kazania o dobrodziejstwie wzajemnej pomocy, a jesteś taka samajakja. Zostałaś zraniona i boisz się, żebym teraz ja cię nie zranił. Cóż, rzeczywiście mógłbym to zrobić. Ale nie z wyrachowania. I gotów byłbym zabić każdego, kto spróbuje to zrobić. Tak, do diabła, byłbym gotów zabić dla ciebie. Czy to ci się podoba, czy nie.

Sophie stanęła, wstrząśnięta jego nagłym wybuchem.

- Zbyt ostro? Szkoda. Musiałem to powiedzieć. I tak byłem bardzo dyplomatyczny, jak na mnie.

- Dyplomatyczny? Ty?

- A tak. I jeśli masz zamiar iść ze mną do MacDuffa, pospiesz się.

Ruszył w stronę biblioteki.

Sophie poszła za nim powoli. Powinna być na niego wściekła. Zachował się wobec niej brutalnie. Groził.

Ale nie jej. Mój Boże, powiedział, że mógłby dla niej zabić. I mówił to poważnie.

- Pospiesz się.

Sophie odruchowo przyspieszyła kroku. Miał rację. Musieli podzielić się swoim odkryciem z MacDuffem. On mógł im pomóc. To nie był czas, żeby głowić się nad zagadką, jaką był Matt

Royd.

- Gorshank - powtórzył MacDuff. - Nie znacie imienia?

Choćby pierwszej litery?

- Tylko nazwisko - powiedziała Sophie. - Dziś po południu próbowałam znaleźć w Internecie, na stronach uniwersyteckich lub organizacji naukowych człowieka o tym nazwisku. Nic.

- Może nie jest naukowcem amerykańskim?

Skinęła głową.

- Możliwe. Ale sprawdziłam również organizacje międzynarodowe. Nie ma żadnego Gorshanka.

- Jest mnóstwo wschodnioeuropejskich naukowców, którzy pracowali w bloku sowieckim nad kilkoma parszywymi projek-tami. Nie szukali rozgłosu - zauważył Royd. - Po upadku muru berlińskiego rozpierzchli się na wszystkie strony.

- Jeśli tak jest w tym przypadku, Gorshank będzie na czyjejs liście - powiedział MacDuff. - Prawdopodobnie na liście Departamentu Stanu albo CIA. Znam tam trochę ludzi. Zobaczę, co się da zrobić.

- Jak długo to może potrwać?

Wzruszył ramionami.

- Sam chciałbym to wiedzieć. Nawet jeśli go zidentyfikuje-my, mogą nie być w stanie go znaleźć. Może już jest na tej wyspie.

- Mam nadzieję, że Sanborne nie planował, żeby Gorshank znalazł się na wyspie przed nimi - powiedziała Sophie. - Byli bardzo ostrożni, jeśli chodzi o formułę REM-4, i nie będą: chcieli, żeby naukowiec, który zna formułę, został zwerbowany przez innych klientów.

- Będę działał szybko - przyznał MacDuff. - Nie chcę ... Rozległ się dzwonek telefonu Royda.

- Przepraszam. - Nacisnął guzik. - Royd. - Słuchał chwilę.

- Cholera. Nie, wiem, że nic nie mogłeś zrobić. Przerzywa, Zadzwoń do mnie, kiedy dopłyniesz do portu.

Rozłączył się.

- Kelly zgubił "Constanzę" ..

- Och, nie - wyszeptała Sophie.

- Złapał go szkwał. Ma szczęście, że przeżył. Ale w żaden sposób nie mógł utrzymać "Constanzy" w zasięgu wzroku. Kiedy morze ucichło, statku nie było.

- Czy istnieje jakiś sposób na wysledzenie tego statku? - spytała Sophie.

- Gdyby Kelly miał przy sobie urządzenia radarowe najnowszej generacji, może byłaby jakaś szansa. Ale nie miał na to czasu - powiedział Royd i zwrócił się do MacDuffa: - Wyjeżdżam. Będę czekał na twój telefon z informacjami o Gorshanku po drugiej stronie Atlantyku.

Wyszedł.

- Pani chce jechać z nim? - zapytał MacDuff, przyglądając się uważnie Sophie.

- Muszę jechać z nim - odparła zaciskając ręce. - To ja rozpętałam to piekło. Muszę teraz położyć temu kres.

MacDuff skinął powoli głową. - A Michael?

- Oczywiście, jest jeszcze Michael. Nie może tu zostać bez

pana i Jocka. Chyba że zmienił pan zdanie?

- Nie. Wyjeżdżam, gdy tylko wypełnię zadanie, które mi pani powierzyła. Chyba jest jedno wyjście

- Wyjście?

- Mam przyjaciółkę, która właśnie jest w drodze do mojego zamku. Powinna być tu w ciągu kilku godzin.

- To kobieta?

- Jane MacGuire. Jedzie tu ze swoim adopcyjnym ojcem, zostaną tu tak długo, jak to będzie konieczne. -

Dlaczego miałabym jej ufać?

- Bo ja jej ufam. - Uśmiechnął się. - Ponieważ jej ojciec jest detektywem w wydziale policji w Atlancie i jednym z najmądrzejszych i najtwardszych ludzi, jakich znam.

- Policja? Zwariował pan? Zabiorą mi Michaela. Oni myślą, że jestem wariatką, która morduje członków swojej rodziny.

- Wyjaśniłem im sytuację. Joe Quinn jest człowiekiem o szerokich horyzontach i wie, że czasami rzeczy są inne, niż nam się wydają. Poza tym kocha i ufa Jane. Jeśli się podejmuje zająć jakąś sprawą, doprowadza ją do końca. Poza tym zostawię tu Campbella, wraz z kilkoma ludźmi, z przykazaniem, żeby byli posłuszni Quinnowi. Nie będzie żadnego problemu.

Sophie wciąż nie była przekonana. Policjant, któremu ufa, MacDuff. Michael byłby chyba bezpieczny.

- Nie wiem ...

- Jane MacGuire jest bardzo silną, mądrą kobietą i ma dobre

serce - powiedział MacDuff. - Trochę przypomina mi panią. Dlatego też pomyślałem o niej. Poza tym wychowywała się w kilku zastępczych rodzinach, zanim została adoptowana. Wie, co to znaczy być samotną i wykorzystywaną. Jest waleczna. Michael ją polubi. Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mógł zająć się problemami Michaela lepiej niż Jane. Nie wiem tylko, czy gra w piłkę -

dodał z uśmiechem.

- Jestem pewna, że Michael...

- Będzie w dobrych rękach - zapewnił MacDuff. - Daję pani słowo. Będzie bezpieczny. Jane się nim zaopiekuje. Tak będzie najlepiej. Może pani jechać ze spokojną głową.

Wierzyła mu.

- Chcę porozmawiać z nią i jej ojcem.

- Będzie pani musiała do nich zadzwonić - powiedział MacDuff. - Nie sądzę, żeby Royd chciał czekać.

- Poczeka. Nawet jeśli będę musiała go zwięzać. Najpierw muszę porozmawiać z Michaelem, potem zadzwonię do Jane MacGuire. Być może będę też chciała porozmawiać z Joe Quinnem. Nie pozwolę mu wyjechać beze mnie.

- Musi, pani o to zadbać. Wydaje mi się, że Royd szuka wymówki, żeby panią tu zostawić.

- Dlaczego tak pan myśli?

- Intuicja. Royd może się znaleźć między młotem a kowadłem. To może być trudne dla człowieka, który zawsze dążył prosto do celu. On nie chce, żeby coś się pani stało, a z drugiej strony może mu pani pomóc złapać Sanborne' a.

- Jestem pewna, że Royd nie jest miękkim człowiekiem. Nie pozwoli, żeby emocje przesłoniły trzeźwe myślenie.

Zabiłbym dla ciebie.

- Pomyślała pani o czymś. - MacDuff przyglądał się uważnie jej twarzy. - Nie twierdzę, że Royd jest miękki. Ale widzę, że kierują nim również inne emocje niż tylko zemsta. To moi, e sprawiać, że jest nieprzewidywalny.

- Jest nieprzewidywalny od chwili, kiedy go poznałam. - Wstała i ruszyła do drzwi. - Czy mógłby pan dla mnie załatwić rozmowę z Jane MacGuire. Wrócę w ciągu godziny.

Skinął głową.

- Zrobię, co w mojej mocy. W tej chwili jest nad Atlantykiem. To może trochę potrwać.

Nagle przyszło jej coś do głowy.

- Przyjeżdża tu, nawet mnie nie znając? Musicie być sobie bardzo bliscy.

Uśmiechnął się.

- Można powiedzieć, że jesteśmy pokrewnymi duszami. Ale nie przyjeżdża tu dla mnie. Kiedy opowiedziałem jej o chłopcu, nie potrafiła odmówić. - Podniósł słuchawkę telefonu, który stał na biurku. - Teraz powinna pani znaleźć Royda i pozwolić mi skontaktować się z Jane. Nie dała mi pani dużo czasu.

Wybiegła z pokoju na korytarz. Royd powiedział, że Michael był na polanie z Jockiem. Ale to z Roydem musiała się najpierw zobaczyć. Powiedziała MacDuffowi, że Royd jest nieprzewidywalny, coś się jednak zmieniło. Wyczuwała to nawet silniej niż MacDuff.

Nie pozwoli mu pojechać bez niej, tylko dlatego, że uznał, że naraża jej życie na niebezpieczeństwo.

Wbiegła pod schodach. Najpierw jego pokój, potem stajnie, gdzie zostawili wynajęty samochód.

Siedział na łóżku. Rozmawiał przez telefon. Przed nim leżała otwarta torba. Rozłączył się, w momencie, kiedy weszła do pokoju.

- Przyszłaś się pożegnać?

- Nie, przyszłam ci powiedzieć, że jadę z tobą. MacDuff znalazł odpowiednią opiekę dla Michaela.

- Naprawdę? - Wstał i zamknął torbę. - Jesteś pewna?

- Tak. I nie próbuj sprawić, żebym w to zwątpiła. - Zaciśnęła pięści. - Tak musi być. Jestem o tym przekonana.

- Powiedz mi to, jak ciebie i twojego syna będzie dzieliło tysiące kilometrów.

- Niech cię diabli! - zawołała łamiącym się głosem. - Nie miałeś problemu z tym, żeby mnie wykorzystać, kiedy się poznaliśmy. Co się stało, że zmieniłeś zdanie?

Spojrzał na nią.

- Zmienił się sposób, w jaki chcę cię wykorzystać. Nie mogła złapać oddechu. Ogarnęła ją fala gorąca.

- Wiesz o tym. Spodziewałaś się tego. Nie jestem mężczyzną, który ukrywa, co czuje.

Zwilżyła wargi.

- Nie spodziewałam się, że seks stanie na drodze celu, który oboje obraliśmy.

- Ja też nie. Więc może nie chodzi o seks. - Umilkł i po chwili mówił dalej: - Wstrząsnęło to tobą. Jeśli to tylko seks, jest to pociąg tak silny, że może zachwiać moim postępowaniem. A skoro jest tak silny, będziesz miała ze mną problem. Nie jestem tak opanowany ani cywilizowany jak twój były mąż. Więc zastanów się dobrze, zanim się do mnie zbliżysz.

- Chcesz, żebym zaczęła się ciebie bać? Przecież mnie nie zgwałcisz.

- Nie, ale mogę zastosować inne sztuczki.

- Jadę z tobą - zdecydowała.

- W porządku. Dlaczego miałoby mnie to martwić? Chcę tylko kochać się z tobą, zanim dasz się zabić - powiedział i chwycił torbę. - Zorganizowałem samolot. Chcę wyruszyć za pół godziny.

- W takim razie będziesz musiał poczekać. Muszę porozmawiać z Michaelem. Jest wciąż na polanie z Jockiem?

- O ile mi wiadomo, to tak.

- Spotkamy się przy samochodzie, jak tylko skończę.

- Muszę porozmawiać z Jockiem. Przyślij go na dziedziniec.

Wzięła głęboki oddech. Cała się trzęsła. Mimo to wciąż czuła tę falę gorąca. Z jednej strony strach o bezpieczeństwo Michaela, z drugiej ta fizyczna potrzeba. Jej ciało reagowało ze wzmożoną siłą. Niemal zwierzęcą.

Ale nie była zwierzęciem, gotowym rzucić się w ramiona Royda tylko dlatego, że był dziki, namiętny i ...

Przestań, nakazała sobie. Poszukaj Michaela. Postaraj się, wytłumaczyć mu, że mama znowu go opuszcza, po tym, jak właśnie dowiedział się, że jego ojciec nie żyje.

Jak, u diabła, miała to zrobić?

Rozdział 14

Michael i Jock nie grali w piłkę. Siedzieli na jednym z ogromnych głazów, które otaczały polanę.

- Cześć, Sophie - odezwał się Jock, wstając - Wszystko w porządku?

Skinęła głową.

- Muszę porozmawiać z Michaelem. Zostawisz nas?

- Jasne. - Przez chwilę studiował wyraz jej twarzy, po czym odwrócił się do Michaela. - Myślę, że twoja mama potrzebuje pomocy. Zajmiesz się tym?

Michael skinął głową.

- Spotkamy się później.

Jock uśmiechnął się.

- Jasne.

- Royd chciał się z tobą zobaczyć, jest na dziedzińcu - powiedziała Sophie.

Skinął głową i ruszył w stronę ścieżki.

Sophie odwróciła się do Michaela. Jak powinna zacząć? -

Wyjeżdżasz, prawda?

Zamarła.

Michael stał wpatrzony w morze zabarwione kolorem zachodzącego słońca.

- W porządku, mamó.

Przez chwilę milczeli.

- To nie jest w porządku. Nie chcę tego robić. Nie chcę cię tu ostawiać. Jeśli to ci się nie spodoba, zrozumieć.

Potrząsnął głową.

- Jak mógłbym być na ciebie zły? Jesteś moją mamą. Dzieje się wokół ciebie wiele złego. Starasz się robić to, co jest dla nas najlepsze. Jock mówi, że ja muszę robić swoje.

- Jock?

- Nawet gdyby mi tego nie powiedział, nie byłbym zły.

- Wyciągnął rękę i położył na jej dłoni. - Pamiętasz, jak zeszłej nocy powiedziałaś mi o obowiązku, że czasami jest ciężarem, a czasami radością? Mówiłaś o mnie. Ale ja też mam swoje obowiązki. Masz problemy, a ja powinienem ci ułatwiać sytuację, jak mogę. Taki jest mój obowiązek. Pewnie będę się bał. Martwił o ciebie. Musisz mi obiecać, że nic ci się nie stanie.

- Postaram się ... - A co tam! - Obiecuję.

- Jock powiedział, że ktoś zajmie się mną, kiedy on i MacDuff będą zajmowali się tobą. Nie będę sprawiał im problemów, mamó.

Łzy stanęły jej w gardle.

- Wiem. - Przytuliła go do siebie. - Jestem bardzo dumna i, ciebie. Czy Jock powiedział ci, kto przyjedzie, żeby się tobą i,ająć?

Potrząsnął głową.

- Więc powiem ci, co wiem.

- Nie teraz. Jock powie mi później. - Przytulił się do niej mocniej. - A może moglibyśmy tu chwilę razem posiedzieć? Ale ty chyba nie masz tyle czasu, prawda?

Pół godziny. Oczami wyobraźni widziała Royda przechadzającego się niecierpliwie po dziedzińcu.

Przytuliła go jeszcze mocniej.

- Wystarczająco. Nie ma pośpiechu.

Kiedy Sophie dotarła na dziedziniec, było już ciemno. Royd wyprowadził wypożyczony samochód przed stajnię.

- Musiałam spędzić z nim trochę czasu.

- Wiem, na miłość boską. Myślisz, że będę ci prawil kazania? - Otworzył drzwi od strony pasażera.

- Dlatego odczekałem godzinę, zanim posłałem po ciebie Jocka. Wsiadaj. Powiedziałem Jockowi, żeby poczekał piętnaście minut, zanim tu wróca. Chyba nie chcesz, żeby cię zobaczył?

- Moja torba.

- W bagażniku.

- Muszę porozmawiać z MacDuffem. To potrwa tylko chwilę.

- Już z nim rozmawiałem. Jane MacGuire zadzwoni do ciebie na komórkę. Wsiądziesz wreszcie? Nie chcesz chyba utrudniać tego dziecku.

Wsiadła.

- Nie, nie chcę. - Usiadła i zamknęła oczy. - Zabierz mnie stąd.

- To właśnie staram się zrobić.

Usłyszała trzaśnięcie drzwiami i start silnika. Royd odezwał się dopiero po kilku minutach.

- Ciężko?

Otworzyła oczy.

- Masz na myśli to, czy dostał histerii? Nie, był bardzo wyrozumiały i nie zrobił nic, co mogłoby mi złamać serce. To takie dobre dziecko, Royd.

Skinął głową.

- Wiem. Nie miałem okazji spędzić z nim zbyt wiele czasu, ale zauważyłem to. - Zamilkł, po czym dodał: - Jock jest przekonany, że Michael będzie bezpieczny. On zna tych ludzi i ufa im. To ci powinno pomóc.

- Jesteś podejrzanie miły - mruknęła, spoglądając na niego.

- Czyżby? Muszę się pilnować. - Nacisnął pedał gazu.

- Możesz jeszcze pomyśleć, że jestem porządnym człowiekiem.

- Nigdy nie powiedziałam, że nie wierzę ...

- Przestań. Nigdy nie myślisz o mnie w powiązaniu z Garwood? Nie pamiętasz, kim byłem? Kim jestem?

- To nie znaczy, że nie jesteś porządny. Gdybym nie wierzyła w ciebie, musiałabym wątpić też w siebie - wyznała i zmieniła temat: - Jock powiedział Michaelowi, że on i Mac Duff mają mnie ochraniać. Z tego co wiem, MacDuff jedzie szukać Devlina.

- Jego horyzonty się poszerzyły, odkąd powiedziałem mu, że Devlin jest jednym z ludzi Sanborne'a. Jeśli będzie musiał

i Bocha, żeby dobrać się do skóry Devlinowi, zrobi to.

- Poza tym lepiej jest, że mamy wspólny plan, a nie działamy każdy na własną rękę.

- Właśnie. - Rozległ się dzwonek jego telefonu. - Royd.

- Kelly? - zapytała cicho Sophie.

Skinął głową.

- Zostań na miejscu. Jesteśmy w drodze do Miami. Dam ci znać, kiedy masz wrócić do Stanów. -

Rozłączył się - Jest na Barbados. Ten port był najbliższy miejsca, gdzie stracił z oczu "Constanzę" .

- Miami? Dlaczego do Miami?

- To dobra baza wypadowa. Nie wiemy, gdzie jest Gorshank. Może być na wyspie, ale równie dobrze w Stanach.

- Albo w jakimś innym miejscu na świecie.

- Z tego, co mi mówiłaś, wnioskuję, że Sanborne będzie chciał mieć go blisko siebie.

- Jak myślisz, kiedy MacDuff dowie się czegoś o Gorshanku?

- Na pewno nie będzie się lenił.

- Wiem. Chciałam tylko ... Boję się. Ta choroba, którą tworzył Sanborne, rozprzestrzenia się.

- Formuła Gorshanka może okazać się niewypałem. Sama mówiłaś, że nie wiesz, jak doszedł do niektórych wyników.

- Równie dobrze może być dobra. Teraz nie mogę trzeźwo myśleć.

- Na lotnisko mamy jeszcze około godziny. Postaraj się rozluźnić.

- Nie mogę się rozluźnić. - Wpatrywała się w ciemność za oknem. - Nie, dopóki nie zadzwoni Jane MacGuire.

- Nic z tego - powiedział Devlin, kiedy Sanborne podniósł słuchawkę. - Zrobiłem, co mogłem, ale nie mówiłaś, że na scenie pojawi się Royd.

Sanborne zaklął.

- Nie miałem pewności. Jesteś przekonany, że to był Royd?

- Och, tak. Na ramieniu mam ranę od jego noża. W Garwooc często na siebie wpadaliśmy.

- Skoro miałeś go w rękę, powinieneś był go zabić. Jaa z ciebie pożytek?

Cisza.

- Przepraszam - powiedział po chwili potulnie Devlin. - Jaa mogę się zrehabilitować?

- Zabij kobietę i dziecko.

- Za późno. Royd mnie zidentyfikował i na pewno da cynk MacDuffowi. Jeśli zbliżę się do zamku, dopadną mnie. Pośłuchałem cię i zlikwidowałem przeszkodę. Policja będzie miała na oku całą okolicę.

- Ty idioto!

- Powiedziałeś, żebym zrobił, co do mnie należy. Wiem, że nie chcesz, żebym dał się złapać, bo wciąż mogę ci się przydać. Pozwól mi dopaść Royda, a on zaprowadzi mnie do kobiety. - Więc zostań w Szkocji i wykonaj zadanie.

- Nie sądzę, żeby wciąż tu byli. Royd zna mnie bardzo dobrze i będzie myślał, że może mnie namierzyć.

- A ty myślisz, że możesz namierzyć jego. Który z was ma rację?

- Ja. Ponieważ on obciążył się kobietą. Ona go będzie ciągnęła w dół.

- Powiedziałeś, że nie powinieneś wracać do zamku.

- Jeśli wciąż tam jest, nie zostanie długo. On chce dopaść ciebie, a teraz mnie.

- A Sophie Dunston?

- Dostałem rozkaz. Oczywiście, zrobię, co do mnie należy. Po prostu to potrwa trochę dłużej.

Sanbome zastanowił się. Priorytety się zmieniły teraz, kiedy dowiedział się, że wmieszany jest w to Royd. Stanowił zagrożenie, które powinni wyeliminować szybko i skutecznie.

- Kobiętę może w każdej chwili zgarnąć policja. Royd nie zostanie przy niej, jeśli oznaczałoby to zagrożenie dla niego. Za bardzo zależy mu na dopadnięciu mnie.
- Więc mogę skupić się na Roydzie?
- Jeśli wypłynię. Do tego czasu zostaniesz ze mną.
- Żeby cię chronić? - zapytał Devlin i szybko dodał: - To mądre posunięcie. Włos nie może spaść ci z głowy.
- Cieszę się, że pamiętasz o naczelnej zasadzie - powiedział Sanborne sarkastycznym tonem - Czasami mnie zdumiewasz, Devlin.
- Dlaczego? Czyż nie wykonuję zawsze tego, co do mnie należy?
- Zawsze. Ale często przelewasz więcej krwi niż to konieczne.
- Te środki zawsze prowadzą do celu.
- Może - mruknął Sanborne i spojrzał na raport leżący przed nim na biurku. Jeśli analizy wyników Gorshanka były właściwe, wszystko może się w każdej chwili zmienić. - Sytuacja się zmienia. Bądź czujny. Niewykluczone, że będę w tym czasie miał dla ciebie inną robotę.

Rozłączył się.

Może krew, którą tak hojnie przelewa Devlin, w tym wypadku li na coś się przyda. Może paradoksalnie przekona Sophie, aby przeszła do jego obozu. Musi czuć się osaczona.

Ma ją odnaleźć i znowu zwabić?

Może. Nigdy nie był zadowolony z Gorshanka. Na początku wydawało mu się, że znalazł idealne zastępstwo, i mógł wreszcie pozbyć się Sophie. Ale Gorshank nie był tak błyskotliwy i twórczy, jak Sophie. Rezultaty jego ostatnich badań były obiecujące, ale niepewne. Siedmiu martwych i dziesięciu, którzy wykazywali jedynie mały ułamek potulności, którą miał zamiar osiągnąć.

Może poczekać, aż Devlin zabije Royda, wtedy ona poczuje się osamotniona?

Cidyby chłopak nie był ukryty za tymi kamiennymi murami, dliłpadłby go i sprawił, żeby cierpienia syna przekonały ją. Ale Devlin mówił, że ochrona chłopaka była nie do przebiccia, ponadto w okolicy roilo się od policjantów. Jednak może jest jakaś szansa ...

Będzie musiał szybko podjąć decyzję. Boch naciskał na zrobienie końcowych testów, żeby zacząć negocjować.

Dalej, Royd! Devlin czeka na ciebie.

Tym razem nie obchodzi go, ile krwi zostanie przelane.

Zanim Sophie wsiadła do samolotu, zadzwonił jej telefon.

- Sophie Dunston? Mówi Jane MacGuire. - Kobięcy głos był młody, ale wyczuwało się w nim siłę -
Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale pomyślałam, że poczekam, al. dojadę do MacDuff' s Run,
żeby mogła pani porozmawiać z synem.

- Dziękuję.

- Jest w pokoju obok. Zawołam go, jak skończymy. Pewnie ma pani do mnie kilka pytań.

- Czy MacDuff powiedział pani o zaburzeniach snu mojego syna?

- Tak, będę spała w sąsiednim pokoju. Damy sobie radę. To dobry chłopak. Jestem pewna, że jest pani z niego dumna.

- Tak. - Sophie przełknęła ślinę. - MacDuff powiedział, że pani ojciec jest detektywem. Jestem zdziwiona, że zechciał przyjechać z panią.

- Niełatwo go było przekonać - powiedziała szczerze Jane.

- Joe ma dużo pracy, ale nie dyskutował, kiedy dowiedział się, że chodzi o życie dziecka. Może mu pani zaufać. Gdybym miała dziecko, nie mogłabym wymarzyć sobie dla niego lepszego opiekuna.

- Robiąc to, naraża się pani na niebezpieczeństwo. Dlaczego się pani zdecydowała? Czy tak bliskie więzi łączą panią z MacDuffem?

- Ależ nie - zapewniła kobieta i zamilkła na chwilę. - MacDuff i ja przeżyliśmy razem wiele, ale nie zawsze się zgadzamy. Jednak w tym wypadku jesteśmy zgodni, że należy pomóc pani synowi. Joe i ja zaopiekujemy się nim.

- Czy pani jest policjantką? Jane zachichotała.

- Nie, broń Boże. Jestem artystką. Ale Joe nauczył mnie, jak mam dbać o siebie i innych. Czy ma pani jeszcze jakieś pytania?

- Nic mi na razie nie przychodzi do głowy.

- Zawsze może pani do mnie zadzwonić. Nie będę odstępowała pani syna na krok. Obiecuję.

- Dziękuję. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem pani wdzięczna. Czy mogę teraz poprosić Michaela?

- Już. - Sophie usłyszała podniesiony głos Jane: - Michael! Już idzie.

- Mamo? Wszystko dobrze?

- Tak. Właśnie wchodzę do samolotu. Wszystko u was w porządku?

- Tak. Joe to fajny facet, ale nie gra w piłkę. Powiedział, że za to nauczy mnie judo.

- To ... interesujące. A Jane?

- Jest miła. I ładna, bardzo ładna. Przypomina mi kogoś ...

- Bądź grzeczny. Oni oboje chcą ci pomóc.

- Nie musisz mi tego mówić, Uamo.

- Przepraszam. Chyba sama CZuję się niepewnie. Wiem, że będziesz mądry i dobry, jak za Wsze. -
Odetchnęła głęboko. - Kocham cię. Będę dzwoniła, kiedy tylko będę mogła. Do widzenia, Michael.

Rozłączyła się.

- Zadowolona? - zapytał Royd, podając jej chusteczkę.

- Na tyle, na ile mogę być zadowolona. - Wytarła oczy.

- Jane MacGuire wydaje się Uczciwa i szczerą. Myślę, że zaopiekuje się Michaeliem. Michael ich polubi. Nawet jeśli ani ona, ani Joe Quinn nie grają w piłkę - dodała z uśmiechem. - Michael mówi, że Jane jest bardzo ładna.

Uśmiechnął się•

- Możesz mieć problem. Może bucha w nim testosteron. Może się okazać, że kiedy zobaczysz się z nim, będzie śmiertelnie zakochany.

- Nie dbam o to. Dam sobie z tym radę. - Oddała mu chusteczkę. - Chodźmy. - Ruszyła w stronę samolotu - Gdzie się zatrzymamy w Miami?

- Cóż, na pewno nie w Ritzu. Na wybrzeżu wynająłem dom na plaży. Już wcześniej się tam zatrzymywałem. Jest usytuowany na odludziu, poza tym jest całkiem wygodny. Dopóki nie skryształizują się nasze dalsze plany, zostaniemy tam.

Skinęła głową.

- Chciałabym znowu przestudiować dysk Gorshanka. Tak, jak ci mówiłam, znalazłam tam kilka luk. Chciałabym się przyjrzeć uważniej jego wynikom, kiedy będę miała chwilę spokoju.

- Ślęczałaś nad nimi cały dzień.

- To za mało na formuły, nad którymi praca zajęła Gorshankowi prawdopodobnie cały ostatni rok.

- Śpi? - zwrócił się MacDuff do Jane MacGuire, która schodziła właśnie po schodach.

Skinęła głową.

- Trochę to trwało. Jest zaniepokojony i nie chce, żeby ktoś to zauważył. Dzielny dzieciak. -

Spojrzała mu w oczy. - I bardzo cię lubi.

- A to niespodzianka.

- Nie bardzo. Możesz być, kim chcesz. Dla Michaela jesteś

miły. - Zeszła ze schodów i stanęła przed nim - Jock powiedział, że jeden monitor jest w moim pokoju, a drugi w bibliotece. - Tak. Jeśli będziesz potrzebowała ich więcej, poproś Campbella.

- Kiedy wyjeżdżasz? Myślałam, że czekasz na wiadomości o tym Gorshanku.

- Zostanę jeszcze jedną noc, potem bez względu na to, czy informacje dotrą czy nie, wsiadam do samolotu do Stanów - powiedział i dodał: - Tutaj jesteś bezpieczna, Jane. Zostawiam ci większość moich ludzi. Jestem pewien, że nie będziesz żałowała tej decyzji. Nie ściągnąłbym was tutaj, gdybym w to nie wierzył.

Wzruszyła ramionami.

- Stanie się, co ma się stać. Teraz nasze bezpieczeństwo zależy od nas. A żadne z nas nie jest mięczakiem. Joe to jeden z najtwardszych ludzi, jakich znam, a ja dorastałam na ulicy. Nie w żadnym zamku, jak ty. Pokaż mi, gdzie są monitory.

Zachichotał.

- Zapomniałem, jaką jesteś szczerą osobą. - Uśmiech powoli zniknął z jego twarzy. - Pamiętam każdą charakterystykę, która czyni cię niepowtarzalną Jane MacGuire.

- Wiem - mruknęła, otwierając drzwi biblioteki. - W przeciwnym razie nie byłoby mnie tutaj, żeby cię wyręczać, podczas gdy ty dobrze się bawisz, ratując dla świata demokrację.

- Bawię się?

- Większość mężczyzn lubi ucieczki i pościgi. To instynkt jaskiniowca. A jeśli do tego dochodzi jakaś duża awantura, tym lepiej. - Rozejrzała się po pokoju i zauważyła monitor. - Dobrze, prawdopodobnie zabiorę go stąd. Nie będę rysowała w tym pomieszczeniu. Może w hallu?

- Kogo masz zamiar rysować? Michaela?

- Może. Jak na tak młodego chłopca ma bardzo interesującą

twarz. Może dlatego, że tak dużo przeszedł. Bardzo intrygująca twarz

- Ty sama jesteś intrygująca. Pamiętam, jak trudno mi było odwieść cię od rysowania Jocka.

- Jock, oprócz tego, że jest najpiękniejszą istotą jaką poznałam, miał w wyrazie twarzy coś prometejskiego. Nie mogłam się powstrzymać. - Spojrzała na niego uważnie. - Ciebie nie narysowałam nigdy. Chociaż nie byłbyś złym modelem.

- Jestem zaszczycony - powiedział sucho. - Chociaż wypadam blado przy Jocku i Michaelu.

Wzruszyła ramionami.

- Pewnie nigdy nawet nie spróbuję. Jesteś zbyt skomplikowany. Nie miałabym tyle czasu.

- Jestem tylko prostym właścicielem ziemskim, który stara się utrzymać w kupie przekazane mu dziedzictwo.

- Ty, prosty? Jesteś w połowie cywilizowanym arystokratą, a w połowie potomkiem tych bandyckich przodków baronów. - Widzisz? Nie mogę być tak bardzo skomplikowany. Rozszyfrowałaś mnie.

- Dotknęłam zaledwie powierzchni. - Odwróciła się i zaczęła iść w stronę schodów. - Pozostajmy w kontakcie. Chcę być informowana o tym, co się dzieje.

- Oczywiście. Wciąż widzisz się z Markiem Trevorem? - spytał.

- Tak.

- Często?

Obejrzała się.

- To nie ,twoja sprawa, MacDuff.

- Cóż, czasami jestem wścibskim draniem. Często?

- Dobranoc, MacDuff.

Zachichotał.

- Dobranoc, Jane. Szkoda, że wam się nie układa. Ale mówiłem ci, że ...

- Do diaska, wszystko jest w porządku. Dlaczego nic chcesz ... - Zamilkła na moment, kiedy zobaczyła diabelskie ogniki w jego oczach. - Przyjechałam tu, żeby zająć się chłopcem, a nie po to, żeby słuchać twoich prowokacji. Zabierz Jocka i jeżdź mi z oczu. Lepiej zrobisz, pomagając tej biednej kobiecie, która krwawi w środku, bo nie wie, komu może zaufać i powierzyć opiekę nad synem.

Uśmiech zniknął z twarzy MacDuffa.

- Ona wie, komu zaufać, Jane. Ma intuicję i byłaby głupia, gdyby nie dostrzegła tego, jakim jesteś skarbem. - Odwrócił się, i ruszył w kierunku biblioteki. - Nie będziemy cię budzić, żeby się pożegnać. Podziękuj jeszcze raz Joemu za pomoc.

- Poczekaj. - Pomyślała zirytowana, że prawdopodobnie! bawił się teraz nią. Był mistrzem manipulacji, w przeciwnym razie nie byłoby jej tutaj. Jednak nie mogła pozwolić, żeby ta rozmowa zakończyła się tak gorzkim tonem. - Uważaj na siebie, MacDuff,

Uśmiech rozjaśnił mu twarz.

- Jesteś słodka, Jane.

- Przestań.

- Ukrywasz to głęboko, ale tym bardziej jest to intrygujące. Postaram się załatwić szybko wszystkie sprawy. Mam mnóstwo swoich własnych planów.

Drzwi biblioteki zamknęły się za nim.

Jane zawahała się, zanim weszła na schody. Jak zwykle! MacDuff igrał z jej uczuciami. Po co, u licha, tu przyjechała?

Wiedziała jednak po co. Chłopiec. Nie było ważne to, 'i.i; MacDuff ją irytował i wtykał nos w nie swoje sprawy. Dziwne więzi, które zawiązały się między nimi przed laty, wciąż istniały. Starła się o nim zapomnieć. Jednak miało się stać inaczej. Nie potrafiła odmówić mu, kiedy opowiedział jej o Sophie Dunston i jej synu.

Zresztą nie chodziło o MacDuffa. Nie byłaby w stanie odmówić nikomu, kto poprosiłby ją o pomoc w takiej sprawie. W dzieciństwie sama przeszła piekło. Uratowali ją Eve i Joe. W ten sam sposób potrzebował jej teraz Michael. Musiała mu pomóc.

MacDuff nie miał nic wspólnego z tym przymusem wewnętrznym.

Poza tym, że znając ją dobrze, złożył jej propozycję nie do odrzucenia. Nie mogła ~aprzeczyć. Zresztą dlaczego miałyby to robić? MacDuff był po prostu sobą, a to ich obecne spotkanie będzie tak samo krótkie, jak poprzednie. Kiedy Sophie Dunston będzie wreszcie bezpieczna i wróci po swojego syna, ona wyjeździe stąd bez żalu, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

I zagra na nosie MacDuffowi.

Dom na północ od Miami przypominał stylem domy hiszpańskie. Otoczony był wysokim murem. W środku znajdował się dziedziniec. Royd zaparkował wypożyczony samochód na ulicy i poszedł otworzyć żelazną bramę.

- Ładnie tu - odezwała się Sophie, wpatrując się w małą fontannę, która stała na środku dziedzińca.

- Powiedziałeś, że już tu kiedyś byłeś?

- Kilka razy. Jest bardzo wygodny. - Zamknął za nimi bramę. - I bezpieczny. Lubię być otoczony murami.

- Masz ich wokoło siebie wystarczająco dużo.

Spojrzał na nią.

- Rozumiem, że nie masz na myśli domu?

- Przepraszam, tak mi się wymknęło - mruknęła. - Masz prawo do odgradzania się od kogo tylko chcesz.

- Od ciebie się nie odgradzam.

- Czyżby? - Oderwała wzrok od fontanny i spojrzała mu w oczy. - Nie to miałam na myśli.

- Więc uważaj, co mówisz. Obserwuję każdy twój gest, intonację głosu. - Wyprzedził ją, żeby otworzyć drzwi do domu. - W środku są trzy sypialnie, gabinet, jadalnia i kuchnia. Możesz sobie wybrać sypialnię. Weź prysznic i spotkajmy się w kuchni za godzinę. Wyjdę po jedzenie. Kilka kilometrów stąd jest kubańska restauracja. Jest jeszcze wcześnie, ale chyba byś coś zjadła?

- Tak - zgodziła się, wchodząc po schodach. - Cokolwiek.

- Nie otwieraj nikomu.

Przystanęła i spojrzała na niego.

- Mówiłeś, że to miejsce jest bezpieczne.

- Bo jest. Ale tylko głupiec się nie pilnuje. - Odwrócił się i otworzył drzwi.

Royd nie był głupcem, pomyślała, idąc na górę. Sam przez lata żył w piekle, piekle, które poniekąd ona mu urządziła, i wciąż nie zaznał spokoju. Z każdą spędzoną z nim chwilą, odczuwała ten żal i ból, który poczuła, kiedy po raz pierwszy dowiedziała się o Garwood.

Zapomnij o tym. Powiedział jasno, że nie potrzebuje współczucia, przywołała się do porządku. Weźmie prysznic, zadzwoni do Michaela i upewni się, że u niego wszystko dobrze.

Oby MacDuff dowiedział się czegoś o Gorshanku.

Michael siedział skulony w fotelu przyoknie. Pokój oświetlony był jedynie księżycowym światłem.

- Już późno. Powinieneś się położyć. - Jane miała zająrzeć tylko, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, ale nie mogła przejść obojętnie wobec jego bólu. Weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

- Nie możesz spać? Potrząsnął głową.

- Martwisz się o mamę?

- Czekam na jej telefon. Powiedziała, że zadzwoni, kiedy będzie w Stanach.

- Ona wie, że tutaj jest już późno.

- Zadzwoni. Obiecała.

_ Chciałaby pewnie, żebyś przestał się martwić i położył się; spać. Obudzę cię, jeśli zadzwoni. - Podeszła do niego, - To głupie z mojej strony. To, że czegoś chcemy, nie znaczy, że jest to możliwe.

- MacDuff powiedział coś podobnego - powiedział Michael: _ Nie musisz ze mną zostawać. Nic mi nie jest. Nie chcę CI sprawiać kłopotu.

_ To żaden kłopot - zapewniła, siadając na podłodze po turecku. - Boisz się zasnąć?

- Czasami. Ale nie dziś. Po prostu martwię się o mamę.

- Nie dałeś jej tego po sobie poznać. Byłeś bardzo dzielny. Wiem, że jest z ciebie dumna.

Potrząsnął głową.

- Sprawiam jej dużo kłopotów.

Nie powinna z nim dyskutować. Był inteligentnym chłopcem i szybko rozpoznałby kłamstwo. .

- To nie znaczy, że nie ma powodów, żeby być z ciebie dumną.

- Bo jest moją marną. Nikt inny by tak nie myślał. - spojrzał jej w oczy. - Ty tak nie myślisz..

Czas konfrontacji. Wiedziała, że to nastąpi. Zaakceptował. Ją: bo wiedział, że tak będzie lepiej dla jego matki, ale teraz IIUS1 eh stanąć twarzą w twarz.

- Nie byłoby mnie tutaj, gdybym tak nie uważała. .

- Nawet mnie nie znałaś - przypomniał. - Dlaczego przyjechałaś? Dlatego, że MacDuff ci kazał?

- On mi nic nie może kazać. - Michael wciąż się w nią wpatrywał. Czekał na odpowiedź. -

Przyjechałam, bo wiedziałam, że mnie potrzebujesz. Kiedy byłam mała, nie miałam takiej mamy jak ty i byłam samotna. Potem pojawiła się kobieta, która mnie przygarnęła i wszystko się zmieniło. Nazywa się Eve Duncan. On i Joe dali mi dom i nie byłam już samotna. To ona nauczyła mnie, że ludzie muszą sobie pomagać. Pomyślałam, że mogłabym dać ci trochę tego, co dostałam od nich.

- Było ci mnie żal? - zapytał obronnym tonem. - Nie potrzebuję współczucia.

- Oczywiście, że ci współczuję. Masz problem, a ja chcę ci pomóc go rozwiązać. To nie znaczy, że uważam, że jesteś żaloszny. Jesteś dzielny chłopcem. Nie wiem, czy sama zniósłabym to, przez co ty przeszedłeś.

Milczał, wciąż wpatrując się w jej twarz.

Potrzebował czegoś więcej, musiała mu to dać, nawet jeśli miałyby to zaboлеć. Uśmiechnęła się z trudem.

- Nie chciałam się zgodzić na przyjazd tu, dopóki MacDuff nie powiedział mi, jak masz na imię.

Zmarszczył czoło.

- Co?

- Powiedział, że masz na imię Michael. Kiedyś znałam chłopca, który miał tak na imię. To było, jeszcze zanim przygarnęła mnie Eve. Był ode mnie młodszy. Nazywaliśmy go Mickey. Byłam dla niego jak starsza siostra. Razem doras-taliśmy.

- Jestem do niego podobny?

- Nie. On był cudowny i kochałam go, ale ty jesteś bardziej dzielny i niezależny. - Przełknęła ślinę.

- Ale mojemu Michaelowi nie mogę już pomóc, więc uznałam za słusne pomóc innemu chłopcu o tym imieniu.

- Czy twój Michael odszedł?

- Tak. - Powiedziawszy to, odwróciła wzrok. - Odszedł. Pozwolisz mi sobie pomóc? Poczulałabym się lepiej. Zostaniesz moim przyjacielem i pozwolisz pomóc sobie i twojej mamie?

Przez chwilę nic nie mówił, po czym wolno skinął głową.

- Chciałbym zostać twoim przyjacielem.

- Więc przekonam cię, żebyś położył się już, żebym mogła powiedzieć twojej mamie, że dobrze wykonałam swoją pracę?

Uśmiechnął się.

- Chyba tak. - W stał z fotela i ruszył w stronę łóżka. - Nie chciałbym, żebyś miała problemy. Ja nie jestem nawet w połowie tak silny jak mama.

- Myślę, że jesteś - szepnęła. Przez chwilę patrzyła, jak chłopiec podłączył aparaturę, zanim położył się spać. - Jestelli dumna, że mogę być twoją przyjaciółką, Michael. Dziękuję ...

Kiedy Royd zapukał do drzwi sypialni, Sophie właśnie skończyła rozmawiać przez telefon.

Schowała telefon do kieszeni dżinsów i otworzyła drzwi zamaszystym ruchem.

- U Michaela wszystko dobrze. Spał. Musiałam go niestety obudzić. MacDuff jest wciąż w zamku. Powiedział, że nie zlokalizował jeszcze Gorshanka.

- Pewnie bardzo się niecierpliwi - zauważył Royd. - Jesteś gotowa coś zjeść?

- Umieram z głodu - przyznała. - Byłeś w tej restauracji kubańskiej?

- Nie. Zmieniłem zdanie. - Ruchem głowy wskazał na korytyz, który trzymał w ręku. - Byłem w sklepie. Pomyślałem, że możemy zjeść na plaży. Morze jest spokojne, a mnie przyda się trochę relaksu i świeżego powietrza.

Jej też. Odkąd Royd pojawił się w jej życiu, cały czas byli w biegu.

- W takim razie chodźmy. - Wyminęła go w drzwiach i zaczęła schodzić w dół. - Chociaż dziwię się, że tęsknisz za spokojem, nie wydajesz się ... - Nie dokończyła zdania. - Jesteś dziwny. Czuję, że gdybym otarła się o ciebie przypadkiem, doznałabym szoku - dodała po chwili.

- Nie miałaś traumy po spędzeniu ze mną nocy w tym samym łóżku.

- Nie - przyznała nie patrząc na niego. - Tamtej nocy byłeś bardzo miły.

- Nie jestem miły. - Otworzył przed nią drzwi frontowe.

- Prawie wszystko, co robię, robię z wyrachowania. Czasami robię wyjątki, ale nie liczę na nie.

- Ani mi to w głowie. Nauczyłam się, że nie można na nikim polegać z wyjątkiem siebie. - Zdjęła tenisówki, kiedy weszli na plażę. - Ale jeśli chodzi o ciebie, to czasami myślę, że mogłabym ci zaufać.

- Dlaczego?

- Bo znam twoją motywację. - Słońce zachodziło, piasek pod nogami był jeszcze ciepły. Wiatr rozwiał jej włosy i nagle Sophie poczuła się taka lekka, wolna ... Podniosła twarz, żeby wciągnąć w płuca słone powietrze. - To był dobry pomysł, żeby tu przyjść,

- Czasami miewam dobre pomysły - mruknął, wskazując kilka głazów przy samym morzu. - Tam?

Skinęła głową.

- Gdziekolwiek. Jestem głodna jak wilk.

- Pierwszy raz słyszę, żebyś przyznawała się do tak silnej potrzeby. Zdaje się, że jesz tylko tyle, żeby utrzymać się przy życiu. Jesteś za chuda.

- Jestem silna i zdrowa.

- Wyglądasz tak, jakby wiatr mógł cię przewrócić.

- Wygląd może być mylący. - Przystanęła przy głazach.

- Ty nie mógłbyś mnie przewrócić.

- Ależ mógłbym - zapewnił i zaczął otwierać koszyk. - Jestem dobry w siłowaniu się z rzeczami i ... z ludźmi. Ale nigdy bym tego nie zrobił. Za dużo by mnie to kosztowało.

Sophie poczuła, że brakuje jej tchu. Czula nagły przypływ krwi w dłoniach i dziwną nadwrażliwość wewnątrz nadgarstków. Nie mogła oderwać od Royda wzroku.

Wreszcie on odwrócił od niej oczy.

- Usiądź i jedz. Pastrami z chlebem żytnim, ogórki konserwowe i frytki. Nie mieli wina, więc będziesz musiała obejść się colą.

- W porządku. - Powoli usiadła przed nim. Nie, nie do końca w porządku. Była osłabiona i kręciło jej się w głowie. Boże, nie czuła się tak od czasów, kiedy była nastolatką. - Lubię pastrami. - Ostrożnie wzięła z jego ręki kanapkę. Nie dotknij go. To zbyt niebezpieczne. Niebezpieczne było już samo patrzenie na niego, które sprawiało, że chciała wyciągnąć rękę i dotknąć jego twarzy. Był taki nieprzejednany, ale ona wiedziała, że umiałaby przebić się przez tę gardę. Czuła się jak pijana.

Adam, Ewa i to cholerne jabłko. To, co w tej chwili czuła, było czystym instynktem.

Może nie czystym.

- To dobrze. - Przyglądał jej się uważnie. - Nie rzucę się na ciebie tylko dlatego, że czujesz się teraz bezbronna. Nie po to cię tu przyprowadziłem.

Chciała zaprzeczyć, że czuje się bezbronna, ale nie mogła

skłamać. Nigdy nie czuła się bardziej bezbronna. - Więc dlaczego mnie tu przyprowadziłeś? Zmarszczył czoło.

- Powinnaś się odprężyć. Chciałem też powiedzieć ci, że ... byłem dla ciebie zbyt szorstki. Nie chciałem, żebyś jechała ze mną, i dlatego byłem nieprzyjemny.

- Tak.

Wzruszył ramionami.

- Nie chciałem tego. Obchodzi mnie to, czy będziesz żyła, czy zginiesz.

Wyglądał teraz jak mały chłopiec. Sophie uniosła brwi.

- Pocieszające. Więc skłamałeś, mówiąc, że chciałeś Się tylko ze mną przespać.

- Cóż, kłamałem, mówiąc, że był to jedyny powód. - Uśmiechnął się. - Ale zdecydowanie była to silna motywacja. - Spoważniał. - I wciąż jest. Ale nie naciskam. - Skończył kanapkę, położył się na piasku i zamknął oczy. - Na razie.

Spojrzała na niego z rozbawieniem, ale i ze złością. To było typowe dla niego zachowanie. Sprowokować ją takim zdaniem, a potem zignorować.

- Dokończ kanapkę i wyciągnij się - powiedział Royd, nie otwierając oczu. - Może to być twoja ostatnia szansa, żeby trochę wypocząć przed akcją. Zawsze powinno się wykorzystywać takie chwile.

- Wiem. - Przełknęła ostertni kęs i przez chwilę siedziała, przyglądając mu się uważnie. Zdaje się, że zasypiał. Kiedy ona siedziała tu rozdygotana i bezbronna, on ją ignorował. Do diabła!

Położyła się na plecach.

- Jeśli zasnę, obudź mnie, zanim nastąpi przyływ. Nie lubię gwałtownego budzenia.

- A ja czasami tak. Odrobina szorstkości pobudza krew.

Kiedys ci pokażę ...

- Nie chcę, żebyś ... - Nie odzywaj się do niego, nakazała sobie. Każde jego słowo wywoływało w jej głowie różne obrazy. Nagi Royd pierwszej nocy. Royd patrzący na nią wzrokiem, który przeszywał ją na wylot i sprawił, że serce biło jak szalone. - Nie mogę się odprężyć, kiedy ciągle mówisz.

- Słusznie. Jesteś rozsądną kobietą. Tu mam z tobą problem. Nie wyglądasz na lekarza.

- A jak powinien wyglądać lekarz?

- Nie tak jak ty. Twoje włosy po myciu wyglądają jak włosy dziecka. Rzadko się malujesz, wyglądasz czysto, gładko i błyszcząco ...

Boże, znowu zrobiło jej się gorąco.

- Ten opis odpowiada Shirley Temple. - Próbowała po-wstrzymać drzenie głosu. - Mam nadzieję, że jestem czysta, ale nie ma we mnie nic z dziecka. - Zamknęła oczy. - Nie zapominaj, że sama jestem matką.

- Jak mógłbym zapomnieć? Dziecko dominuje w twoim życiu.

- To prawda.

Jednak Michael wydawał się w tym momencie bardzo daleko. Od dawna poczucie, że jest kobietą, nie górowało nad poczuciem bycia matką. Była teraz doskonale świadoma swojego ciała, mięśni, falujących piersi. Chociaż oczy miała zamknięte, wciąż miała przed oczami obraz morza, piasku i Royda.

- Dobrze - powiedział niskim głosem. - Tak powinno być.

Nie miałem na myśli niczego innego. Jesteś po prostu ludzką istotą. Jeśli będziesz mnie potrzebowała, Sophie, będę tu.

Nie mogła odpowiedzieć. Niech go cholera! Szorstki, zużwały, nieokrzesany, ale potrafił sprawić, że chciała się do niego przytulić, pocieszyć go. Kiedy wydawało się, że wzięła się w garść, powiedział coś, co znowu ją rozczuliło.

- Dziękuję - szepnęła i przelknęła ślinę. - Będę o tym pamiętała.

Nie odezwał się. Spał? Wiedziała zbyt dobrze, że sama nie będzie mogła zasnąć.

Będę o tym pamiętała? Trudno by jej było w tej chwili o tym zapomnieć.

Rozdział 15

Do domu wrócili dopiero kilka godzin po zmroku.

-Wszystko w porządku? - zapytał Royd, otwierając brzołę - Nic nie mówisz.

Na jej twarzy pojawił się wymuszony uśmiech.

- Nic mi nie jest. Dlaczego coś miałoby być nie tak? Przez ostatnie kilka godzin leżałam wyluzowana na plaży. - Wyprzedziła go i weszła na dziedziniec. - Miałeś rację. Potrzebne było mi trochę odpoczynku.

Jej ciało było wypoczęte, jednak umysł i emocje - rozdrępane.

On to wyczuwał.

Widziała to w jego spojrzeniu. Odwróciła od niego wzrok i przyspieszyła kroku.

- Jedzenie na plaży było dobrym pomysłem, lepszym niż ...

- Poszczęści mi się? - przerwał jej.

- Słucham?

- Słyszałaś, co powiedziałem - burknął. - Może nie jestem dyplomata, ale muszę wiedzieć.

Odwróciła się do niego.

- Czy ci się poszczęści? - powtórzyła. - Na miłość boską, sprawiasz, że czuję się jak tania dziewczyna w barze.

- To nie tak. Po prostu muszę ... Och, nieważne. - Wyminął ją i zaczął wchodzić po schodach. - Powinienem był wiedzieć, że ...

Usłyszała, jak gwałtownie zamyka drzwi swojej sypialni.

Przez kilka chwil wpatrywała się w zamknięte drzwi, potem ruszyła na górę. Była zaskoczona jego zachowaniem.

I zawiedziona. Nie była pewna, czego oczekiwała, ale na pewno nie tego, że zamknie przed nią drzwi do sypialni.

Więc czego chciała? Postanowiła sobie, że w żadnym wypadku nie powinna pójść z nim do łóżka. To byłby błąd. Połączył ich wspólny cel zniszczenia Sanborne'a i Bocha, poza tym byli jak dzień i noc. Nie można było budować związku bez żadnej podstawy. Z Dave'em mieli mnóstwo wspólnych zainteresowań i celów, a mimo to ich małżeństwo nie przetrwało. Więc czego spodziewała się po związku z człowiekiem, który ...

Co też przyszło jej do głowy? Royd nie chciał się angażować.

Chciał iść z nią do łóżka.

Czyż nie tego chciała i ona? Po co to analizowanie, jakby miała zamiar stworzyć związek?

Drzwi sypialni Royda otworzyły się. Serce skoczyło jej do gardła.

- Muszę ci to powiedzieć. Źle to wszystko wyszło. Nie jestem głupi, ale zawsze, kiedy jesteś blisko, tracę wątek. Nie wiem dlaczego. Wszystko wychodzi na opak.

Zacisnęła rękę na poręczy schodów.

- Dla mnie wszystko było jasne.

Potrząsnął głową.

- Myślisz, że cię obraziłem. Użyłaś słowa "tania". To jest ostania rzecz, jaką mógłbym o tobie pomyśleć.

Oblizwała wargi. - Naprawdę?

- Nie wierzysz mi. - Zaciśnął pięści. - Tamte słowa po prostu mi się wymknęły. Wychowałem się w twardych warunkach i przez całe życie byłem twardy. Powiedziałem to, co myślę. Nie miałem zamiaru cię obrazić.

Nie mogła oderwać od niego wzroku.

- Więc co miałeś na myśli?

Przez chwilę nic nie mówił.

- Chciałem, żebyś wiedziała, że uznałbym siebie za najszczęśliwszego drania pod słońcem, gdybyś pozwoliła mi się dotknąć. Gdybyś się ze mną przespała, to byłoby tak, jakbym wygrał los na loterii. - Uśmiechnął się. - To nie zabrzmiało najlepiej. Nic na to nie poradzę. Taki jestem.

- Jesteś nieokrzesany.

- Ale szczerzy. A nic nie jest dla mnie tak ważne, jak bycie z tobą szczerym. Nie mam zamiaru zwabić cię do łóżka. Mogłem zrobić to na początku, teraz jest już za późno. Musisz tego pragnąć równie mocno jak ja.

- A jeśli nie?

- To będzie źle- powiedział po prostu. - Za bardzo tego pragnę. Mogłbym skrzywdzić cię, zmuszając do tego, żebyś czuła tak samo. A tego nie mogę zrobić. Musisz mnie pragnąć. W przeciwnym razie nie pozwól mi zbliżyć się do siebie. Przerazam cię.

- Nie. - Jego słowa nią wstrząsnęły, nawet ją wzruszyły. Ale nie przeraziły. - Nigdy się ciebie nie bałam. - Uśmiechnęła się niepewnie. - Wiem, że nie skrzywdziłbyś mnie. To po prostu nie jest dobry pomysł. - Zmusiła się do odwrócenia się i ruszyła w stronę swojej sypialni. - Dobranoc, Royd.

- Dobranoc.

Czuła jego wzrok na plecach. Jednak nie odezwał się, dopóki nie doszła do drzwi.

- Mylisz się - powiedział cicho. - To bardzo dobry pomysł. Zastanów się nad tym.

Położyła rękę na klamce. Naciśnij ją, otwórz drzwi i zamknij za sobą, nakazała sobie. To tylko seks. Nie potrzebowała niczego więcej. On nie potrzebował niczego więcej.

- Nasza znajomość jest przelotna.

- Może tak, a może nie.

Weszła do pokoju. Zamknij drzwi i nie oglądaj się za siebie. Nie chciała zamknąć drzwi.

Tym bardziej powinna je zamknąć. Zamknęła drzwi.

Przyjdzie.

Nie, nie przyjdzie. Był aroganckim durniem, skoro mógł pomyśleć, że nie potrafi zapanować nad tym, co ich do siebie ciągnęło.

Iris Johansen

230

Zabójcze sny

Był nagi. Podeszedł do okna i otworzył je. Wciągnął w płuca ciepłe, słone powietrze. Uspokój się. Musi przyjść. Nie kłamał, kiedy powiedział jej, że boi się, że zrobi jej krzywdę. Zazwyczaj panował nad sobą, ale teraz to coś innego. Ona była inna.

Drzwi do jego sypialni otworzyły się. Zamarł, ale nie odwrócił się.

- Zmieniłam zdanie - powiedziała drżącym głosem.

Nie poruszył się.

- Dzięki Bogu.

- Do cholery, odwróć się. Chcę zobaczyć twoją twarz.
- Jeśli się odwrócę, nie moja twarz przykuje twoją uwagę•
- Samochwała.

Powoli się odwrócił.

Spojrzała na jego twarz, po czym przeniosła wzrok niżej.

- Dobry Boże.

- Mówiłem ci.

Szybko powróciła wzrokiem w jego twarzy.

- Czekales na mnie.

- Miałem nadzieję, że przyjdiesz.

- Jestem tego pewna. - Zdjęła przez głowę koszulkę, którą miała na sobie. - A więc dobrze, zrobmy to. - Rzuciła koszulkę na podłogę i po chwili znalazła się na łóżku, naciągając na siebie prześcieradło. - Chodź.

- Za chwilę. Najpierw musisz odpowiedzieć na moje pytanie.

- Nie, nie muszę. Nie musimy nic mówić. Sytuacja jest jasna.

- Muszę cię o coś zapytać.

- Chodź tu.

- Najpierw odpowiedz mi na pytanie.

- Nie chcę rozmawiać. Myślisz, że to dla mnie łatwe?

Potrząsnął głową.

- Myślę, że bardzo trudne. Dlatego muszę być pewny, że jesteś tu z właściwych powodów.

Podniosła rękę do czoła.

- Boże. Niech zgadnę. Chcesz, żebym ci obiecała, że wiem, że z twojej strony nie mogę liczyć na zaangażowanie. Nie chcę zaangażowania, do diaska! Chyba byś ...

- Do diabła z zaangażowaniem! Byłbym głupcem, gdybym myślał, że w tym momencie rozważasz zwiążanie się ze mną w jakikolwiek sposób. Chcę tylko, żebyś odpowiedziała mi na pytanie.

- Wyduś je wreszcie, do cholery!

- Czy chodzi o spłatę długu?

Spojrzała na niego zdumiona.

- Długu?

- Jesteś zaskoczona? Masz miękkie serce i wiem, że za każdym razem, kiedy na mnie patrzysz, pamiętasz o Garwood. Jesteś tak przepełniona winą, że ona odcisnęła się na całym twoim życiu w ostatnich latach. Nie chcę, żebyś szła ze mną do łóżka tylko dlatego, że myślisz, że w ten sposób mi coś wynagrodzisz.

- Boże, ty oszalałeś! - zawołała i usiadła na łóżku. - Nie mam zamiaru niczego ci udowadniać.

- Po prostu odpowiedz.

- Nie. - Patrzyła na niego. - Tak, czuję się odpowiedzialna za to, co się stało.

- Widzisz? Nie jesteś bardziej winna niż broń w rękach mordercy.

Wstała.

- Trochę nieodpowiednie jest to porównanie. I wiem, że mimo wszystko nie składałabym się tu w ofierze niczym jakaś westalka. Za bardzo się szanuję. Popełniłam ogromny błąd, ale to nie znaczy, że teraz ... To miał być tylko seks. - Ruszyła w stronę drzwi. - Nie mam zamiaru cię przekonywać. To nie jest warte ...

- Sprawię, żeby było. - W ułamku sekundy znalazł się przy niej, przytrzymał ją za ramiona i upadł przed nią na kolana. - Daj mi trzy minuty.

- Wstań. Nie mam zamiaru. - Wzdrygnęła się, kiedy poczuła jego usta na brzuchu. Poczł reakcję jej ciała. Jego ręce przesunęły się w stronę jej piersi.

- Trzy minuty. - Czła ruchy jego języka na swojej skórze. - Potem możesz zmienić zdanie.

- Mogę? - Wsunęła ręce w jego włosy. - Nie jestem tego pewna.

- Ani ja. Może kłamię. Więc wróćmy do łóżka. Wtedy nie będzie żadnego ciśnienia ...

- W tej chwili czuję duże ciśnienie - powiedziała drżącym głosem. - Moje kolana chyba się zaraz poddadzą.

- Więc pozwól im na to. - Położył ją na podłodze i nachylił się nad nią. - Dywan jest tak samo dobry jak łóżko ...

- Royd ...

- Cii, już za późno ... - Rozchylił jej uda. Boże, czła się dobrze. - Za bardzo oboje tego pragniemy. Ty za bardzo tego pragniesz. Czuję to.

- Więc daj mi to. - Wbiła paznokcie w jego plecy. - I na miłość boską, jeśli zadasz mi jeszcze jakies głupie pytanie, zamorduję cię ...

- W porządku? - zapytał Royd. - Nie byłem zbyt brutalny?

- Kiedy?

Jej oddech wracał do normy, ale wciąż się trzęsła. Leżał zaledwie kilka centymetrów od niej, ale nie dotykał jej. Pragnęła tego dotyku, chciała czuć jego całego. Boże, zachowywała się jak nimfomanka. Miała orgazm kilka razy, kiedy tak tarzali się na podłodze, jak zwierzęta, a ona wciąż chciała jeszcze. Więc weź to, do cholery! Wyciągnęła rękę i dotknęła jego klatki piersiowej. Była ciepła i lekko wilgotna od potu. Zaczęła bawić się włosami na jego piersiach.

- Byłeś szorstki. Ale ja też. I kto teraz czuje się winny?

- Tak tylko pytam. - Ujął jej rękę i podniósł do ust. - Tak tylko badam.

- Słucham?

- Czy mógłbym zadać ci jeszcze jedno pytanie?

- Zdecydowanie nie. - Spojrzała na niego z ciekawością.

- Co chcesz wiedzieć?

- Czy jestem twoim najlepszym kochankiem?

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Ty przebiegły draniu.

- Czy jestem lepszy od twojego męża?

- Royd, takich pytań się nie zadaje.

- Ja zadaję. - Pochylił się nad nią i zaczął pieścić ustami jej sutek. - To ważne.

- Żeby podbić twoje ego?

- Nie. - Podniósł głowę i spojrzał na nią. - Jeśli zrobiłem coś, co ci się nie spodobało, muszę to wiedzieć. Muszę być twoim najlepszym kochankiem. Jeśli jeszcze nie jestem, muszę nad tym popracować.

Wpatrywała się w niego zdumiona.

- Wiedziałaś, że jesteś ambitny, ale żeby aż tak? Potrząsnął głową.

- Na razie nie mamy ze sobą wiele wspólnego. Może zga-

dzamy się co do kilku rzeczy, ale nie mamy czasu, żeby je zgłębić. Do czasu, kiedy będziemy mogli to zrobić, mamy tylko seks. Muszę być tak dobry, żebyś nie chciała ze mnie zrezygnować.

- I tak nie mogę. Jest przecież REM-4.

- Musisz chcieć ze mną zostać.

- Dlaczego?

- Bo coś do ciebie czuję - odparł po chwili milczenia.

- Jeszcze nie wiem, co to jest, ale nie daje mi spokoju.

- Co za precyzyjna deklaracja!

- Ty jesteś naukowcem, nie ja. Jediną rzecz, którą potrafisz precyzyjnie zrobić, to zastrzelić człowieka z odległości tysiąca metrów. - Wzruszył ramionami. - Drżysz. Nie spodobało ci się to, co powiedziałem.

- Większość ludzi by zadrżała.

- Niekoniecznie. Niektóre kobiety lubią myśl o znajdowaniu się blisko śmierci. To je podnieca. - Wstał. - Chodźmy do łóżka.

- Lepiej będzie, jak pójdę do swojego pokoju.

- Jeszcze nie. - Pociągnął ją lekko za rękę i postawił na nogi. _ Powiedziałem coś nie tak. Muszę to wymazać.

- Jesteś jakimś królem seksu czy co?

- Ależ nie. - Przyciągnął ją do siebie. - Chcę być dla ciebie najlepszy. Co w tym złego?

Wystarczyło, żeby jej dotknął, a już była gotowa.

- Jestem pewna, że coś jest. Wydaje się to psychicznie niestabilne. A co by było, gdybym ja cię zapytała, czy jestem twoją najlepszą kochanką?

- Powiedziałbym ci, że jesteś dobra, ale dopiero razem jesteśmy wspaniali. - Chwycił ustami jej dolną wargę. - I, że nie powinnaś zadawać się z innymi kolesiami, którzy mogliby obniżyć twoje standardy.

Uśmiechnęła się.

- Royd. Jesteś niemożliwy. Zaprowadził ją do łóżka.

- Ale najlepszy?

- Może.

- To za mało. Chyba muszę jeszcze trochę nad tym popracować. - Położył się na łóżku i przyciągnął ją do siebie. - Ale będziesz musiała mi pomóc. Będziesz mi musiała powiedzieć, co lubisz, co cię podnieca. Powiesz mi?

Oddychała coraz szybciej.

- Pewnie nie.

- Dlaczego?

- Idioto, dlatego, że kiedy robisz mi te rzeczy, nie mogę myśleć, mówić też zresztą trudno.

- Niedobrze. - Uśmiechnął się. - Będziemy musieli zbadać to kiedy indziej.

- Nie zrobimy tego. - Ujęła jego twarz w dłonie i spojrzała mu w oczy. - Zamknij się.

- Co tylko każesz. - Nie śmiał się już, ale w jego oczach zobaczyła rozbawienie. - Myślałem, że lubisz rozmawiać w czasie seksu. Wcześniej byłaś bardziej rozmowna. - Udał I,amyślnego. - Choć o ile sobie dobrze przypominam, to były tylko jęki. I zdaje się, że kilka "jeszcze", przeplatane z "och". To było dziwne.

- Zasłużyłeś.

- To też będziemy musieli omówić. Lubisz zadawać ból męskim osobnikom. Nie wiem, ile będę w stanie znieść, ale dla ciebie wszystko, Sophie.

Erotyzm, namiętność i teraz poczucie humoru. Nie spodziewała się humoru.

- Drań. - Przyciągnęła go do siebie i pocałowała mocno. - Czy teraz się wreszcie zamkniesz?

- Och, tak. - Jego ręka biegła po jej ciele. - Dla ciebie wszystko, Sophie ...

Otworzyła oczy, jeszcze senne. Do pokoju, przez okno, wpadały promienie słońca. Kiedy wczoraj tu przyszła, Royd stał nagi w oknie, odwrócony do niej plecami. Widziała jego kształtne pośladki i silne ramiona. Chciała go wtedy dotknąć. Potem jej ręce doświadczyły jego ciała, jak gdyby ...

Royda nie było.

Spojrzała na wgniecenie na poduszce.

Zamknęła oczy. Była zawiedziona. Głupia. Czego się spodziewała? Przeżyli razem cudowną noc. To nie oznacza, że był zobowiązany zostać z nią całą noc.

- Gotowa?

Otworzyła oczy i zobaczyła Royda stojącego przy łóżku.

Miał mokre włosy. Pachniał świeżością.

- Gotowa na co?

Uśmiechnął się.

- Na seks? Prysznic? Śniadanie? Poranne pływanie? Wymieniłem wszystkie możliwości według stopnia ważności dla mnie.

Poczuła ciepło w środku. Te kilka słów, które wypowiedział, odpędziły od niej poczucie opuszczenia.

- Masz mokre włosy. Brałeś prysznic czy pływałeś?

- Wziąłem prysznic. Pomyślałem, że zaczekam na ciebie.

- Wciąż jej się przyglądał. - Albo wstajesz, albo ja dołączam do ciebie. Skoro już prawie południe, powinniśmy chyba coś zjeść. - Odwrócił się do drzwi. - Weź prysznic. W łazience zostawiłem dla ciebie ubranie. Znalazłem w twojej torbie. Zrobiłem kawę i omlet. Wystarczy ci dwadzieścia minut?

- Będę potrzebowała pół godziny. Muszę umyć głowę. Czuję się, jakbym przeżyła tornado.

- Przeżyłaś. - Uśmiechnął się przez ramię. - Razem przeżyliśmy.

Wyszedł, zanim zdążyła coś powiedzieć. Wstała i poszła do łazienki. Jej ciało było lekkie, smukłe, mięśnie rozluźnione. Po tak intensywnej nocy powinna być wykończona. Tymczasem czuła się znakomicie. Nie przypomina sobie, żeby kiedykolwiek czuła się tak, będąc z Dave'em. Ich seks był satysfakcjonujący, ale nigdy pochłaniający wszystkie zmysły.

Nie myśl o byłym mężu. Nie porównuj! To, co przeżyła z Roydem zeszłej nocy, było wyjątkowe. Czasami zdarza się, że dwoje ludzi jest do siebie dopasowanych pod względem seksualnym wręcz doskonale. Co nie znaczyło, że pasowali do siebie pod innymi względami. Bóg jeden wie, że ona i Royd mieli bardzo różne poglądy na wiele rzeczy.

Weszła pod prysznic. Strumień ciepłej wody przyniósł jej kolejne ukojenie. Dobrze. Nie chciała w tej chwili o niczym myśleć. Odchyliła głowę do tyłu, żeby woda płynęła po całym jej ciele.

- Jesteś pięć minut spóźniona - powiedział Royd, kiedy

Sophie weszła do kuchni. - Ale ja też. Miałem telefon. - MacDuff?

Potrząsnął głową.

- Kelly. Chciał instrukcji.

- Co mu powiedziałeś?

- Żeby znalazł inną łódź motorową i poczekał na nas. - Wyłożył omlety na dwa talerze - Nalej kawy, ja wyjmę z lodówki sok pomarańczowy.

- Łódź motorową?

- Przestań się zamartwiać. Nie lubię tego.

Uniosła brwi.

- A więc mam przestać?

- Dopóki nie wydarzy się coś, co sprawi, że trzeba się będzie martwić. - Popchnął ja lekko w stronę krzesła. - U siądź i uśmiechnij się do mnie tak, jak to zrobiłaś, wchodząc do kuchni.

- Jak to zrobiłam?

Przechylił głowę, żeby lepiej się jej przyjrzeć.

- Zachęcająco. Zdecydowanie zachęcająco. Wiesz, jak to na mnie działa? - Dotknął jej włosów. - Są jedwabiste. Twoja skóra też jest jedwabista. We wszystkich miejscach, które dotykałem.

Nie mogła złapać oddechu. Poczula, że najej twarzy pojawiają się rumieńce.

Przesunął rękę w dół do jej piersi.

- Piękne, miękkie i jedwabiste - powiedział miękko. - Chcesz zrobić to na podłodze kuchennej?

Chciała. Cała drżała. Miała ochotę pociągnąć go na podłogę i...

- Chodź - powiedział. Jego ręka powędrowała pod jej bluzkę. - Zjeść możemy później.

- Tak, ale ... - Wzięła głęboki oddech i chwyciwszy jego rękę, wyjęła ją spod bluzki. Boże, to było takie trudne. - To nie ma znaczenia, kiedy zjemy. Ale ma znaczenie to, że posługujesz się seksem, żeby odwrócić moją uwagę od innych rzeczy. Powinnam martwić się o wszystko, co się wokół nas dzieje, podczas gdy ty traktujesz mnie jak lalkę, którą możesz wyjąć w każdej chwili i pobawić się nią, po czym odłożyć z powrotem do pudełka.

_ Zła taktyka? - Wzruszył ramionami i usiadł na krześle, naprzeciwko niej. - Przepraszam.

Chciałem cię chronić. Od jakiegoś czasu coś mnie opętało i wczorajsza noc była znacząca. Może ma to coś wspólnego z pierwotnym instynktem. Jestem pewien, że potrafiłabyś lepiej to wytłumaczyć. To ty masz te stopnie naukowe.

- Cały czas wyrzucasz mi, że jestem wykształcona. Masz z tym jakiś problem?

- Nie, jeśli ty go nie masz. - Podniósł do ust filiżankę. - Ja nauczyłem się sam wszystkiego, co powinienem umieć.

Nauczył się też jej ciała. Nie chciała myśleć o wczorajszej nocy, to czyniło ją słabą. Jej ciało czekało na jego dotyk.

- Zdaje się, że masz do tego talent.

Zachichotał. Spojrzała na niego. On dokładnie wiedział, o czym ona myślała. Nie odwróci wzroku. Podniosła do lisi widelec z kawałkiem omletu.

- Cieszę się, że tak uważasz. Najczęściej wiem, co robić. Jeśli tylko bodźce są wystarczająco silne. Moglibyśmy rozmawiać na ten temat przez następny tydzień, ale nie mam zamiaru tego robić. Stąпам po grząskim gruncie i muszę zrobić wszystko, żeby to zmienić.

- Co masz na myśli?

- W tej chwili jestem w całkiem dobrej formie. Zeszłej nocy przeżyłaś miłe chwile. Czujesz, nie myślisz. Ale ja nie mogę się na tym opierać. Pewnego dnia wystraszysz się i zaczniesz myśleć o

swoim synu, życiu i o tym, jak bardzo jesteśmy od siebie różni.

- Jesteśmy różni.

- Nie w łóżku - powiedział gwałtownie. - Jeśli chodzi o resztę, możemy negocjować. Wczoraj powiedziałem ci, że coś do ciebie czuję. To się nie zmieniło, może tylko o tyle, że jest silniejsze. Dużo silniejsze. Nie mam pojęcia, w jakim kierunku to zmierza, ale nie mogę stracić tego uczucia. Nie mogę stracić ciebie.

- Nie chcę o tym teraz rozmawiać.

- A ja tak. Nie wiem, ile jeszcze czasu zostało, zanim sprawy przybiorą dramatyczny obrót. Nie planowałem tego, ale to się stało, i muszę sobie z tym poradzić. Byłem z tobą szczery. Teraz ty.

- Co chcesz, żebym ci powiedziała? - Zwiżyła wargi. - Wczorajsza noc była fantastyczna. Przez całe życie byłam pracoholiczką, a seks nigdy nie był dla mnie istotny. Był po prostu czymś przyjemnym. Z tobą seks nie jest przyjemny, Royd. To było coś nie z tej ziemi. Zresztą widziałeś moją reakcję. Mam zamiar dalej z tobą sypiać. Myślałeś, że robię to dlatego, że jest mi ciebie szkoda. Ale tak naprawdę to, szkoda jest mi siebie samej. Przez ostatnie lata życie mnie nie rozpieszczało. Teraz mam zamiar używać przyjemności, jeśli tylko mogę. Zaslługuję na to. Czy to chciałeś wiedzieć?

- Częściowo. To początek. Nie była to przygoda na jedną noc?

Zawahała się.

- Nie wiem, czy ... wszystko może się zmienić w okamgnieniu. Jak mogę być pewna swoich uczuć? Jest przecież Sanbome, me mogę ...

- Dobrze, dobrze. Nie jest tak źle, jak myślałem. Przynajmniej nie wahasz się, jeśli chodzi o seks. Po prostu nie jesteś pewna przyszłości. - Dopił kawę. - Tym mogę się zająć.

- Może nie zechcesz tego zrobić - powiedziała cicho. - Nie jestem femme fatale. Cokolwiek do mnie czujesz, może minąć za dzień lub dwa.

- Może, chociaż jest to mało prawdopodobne. Zawsze raczej konsekwentnie dążę do celu. Skończ śniadanie. Pójdziemy po-pływać.

Oparła się o krzesło i spojrzała na niego. Wielkie nieba, Royd był zmienny.

- Po prostu chcę ci dać trochę luzu - powiedział, przyglądając się jej twarzy. - Zbyt mocno naciskałem.

- Jesteś bardzo pewny siebie - mruknęła, wstając. - I mnie. Kąpiel dobrze mi zrobi. - Zaczęła rozpinąć koszulę. - Ale nie wystarczająco. Nie tego w tej chwili potrzebuję. Rozbierz się, Royd.

- Sophie?

- Obiecałeś, że będziesz się ze mną kochał na podłodze kuchennej. - Rozpięła ostatni guzik koszuli.

- A ty dotrzymujesz słowa.

- Tak. - Zaszedł ją od tyłu. Pieszcząc jej piersi, wyszeptał do ucha. - Zawsze.

Dwie godziny później zadzwonił telefon Sophie. Telefon leżał na nocnym stoliku, wychyliła się przez ciało Royda, żeby odebrać.

- Mam informacje o Gorshanku. Z CIA - powiedział MacDuff. - Anton Gorshank. Rosyjski naukowiec, który przed upadkiem Związku Radzieckiego pracował nad podejrzanymi projektami.

- Chemik?

- Tak, ostatnie wiadomości od niego pochodziły z Danii.

CIA twierdzi, że zniknął z pola widzenia jakieś dwa lata temu.

- Nie wiedzą, gdzie jest teraz?

- Pracują nad tym. Mają kilka tropów. Poprosiłem Joe Quinna, żeby wywarł na nich presję.

Spodziewam się wiadomości od niego wkrótce. Zadzwoń.

- Dziękuję. Co u Michaela?

- W porządku.

- Mogę z nim porozmawiać?

- Musisz zadzwonić do Jane. Przed dwiema godzinami opuściliśmy MacDuff' s Run.

- Rozumiem ...

- Mówiłem ci, Sophie, że wyjedziemy, jak tylko się czegoś

dowiemy - powiedział cicho.

- Wiem. - Jednak wciąż czuła się niepewnie na myśl o tym, że Jock i MacDuff nie opiekują się już Michaeliem. Zaczęła ufać im. - Dokąd jedziecie?

- W waszą stronę. Do widzenia, Sophie.

- Do widzenia. - Rozłączyła się.

- Gorshank? - zapytał Royd.

Skinęła głową.

- Wiemy, że jest rosyjskim naukowcem, który zniknął z Danii przed dwoma laty. Nie wiemy, gdzie jest teraz. MacDuff spodziewa się wkrótce otrzymać jakieś informacje na temat jego obecnego miejsca pobytu.

- To dobrze.

- On i Jock są w drodze. MacDuff twierdzi, że wkrótce nastąpi jakiś przełom.

Royd oparł się na łokciu i spojrzał na nią.

- A ty boisz się o Michaela?

- Oczywiście, że się boję. Zawsze się o niego boję. Tak jest od dnia, kiedy zginęli moi rodzice. -
Usiadła na łóżku. - Zadzwoń do niego i porozmawiam z Jane. Poczuję się wtedy lepiej.

- Naprawdę?

- Komuś muszę zaufać. Czuję się teraz samotna.

- A ja?

- Nie to miałam na myśli ...

- Wiem. - Wstał z łóżka. - Właśnie wylano na ciebie kubel zimnej wody i nie uważasz mnie za kogoś, kto może cię wesprzeć. Wydawało mi się, że zaczynam sobie dobrze radzić w tej materii, ale widocznie się myliłem. - Wzruszył ramionami. - W porządku. Wezmę to, co mi dajesz. Powiedziałaś, że masz problemy z zaufaniem. Może pójdziemy popływać po twoim telefonie do Michaela?

- Dobrze. - Poszła w stronę łazienki. - Jeśli MacDuff nie zadzwoni wcześniej.

- Oczywiście. Sprawiałaś, że na chwilę straciłem głowę, ale wciąż pamiętam o robocie, jaką mamy do wykonania.

- Byłabym idiotką, gdybym uwierzyła, że jesteś mężczyzną, który może się zupełnie zapomnieć. Zawsze wiedziałam ...

- Sophie.

Spojrzała na niego.

- W ten sposób się ode mnie oddalasz. Nie pozwolę na to. ,Może te sprawy będą teraz na drugim miejscu, ale nie zaniedbam ich zupełnie.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Tak przywykłaś do bycia tylko z synem, że teraz starasz się zignorować to, co między nami zaszło. Ale ja ci na to nie pozwolę. Miesiąc miodowy jeszcze się nie skończył.

- Miesiąc miodowy? To wskazuje na pewne zobowiązania, które między nami nie istnieją.

- Jak znał, tak znał. - Ruszył w stronę drzwi. - To wszystko, co miałem do powiedzenia. Pomyślałem, że powinienem cię ostrzec.

- Boże, to brzmi jak groźba.

- Czego się spodziewasz po takim facecie, jak ja? To nie jest groźba. Nie mam zamiaru cię prześladować. Jeśli odejdziesz, kiedy to wszystko się skończy, w porządku. Ale zrobię wszystko, żebyś tego nie zrobiła. Do tego czasu będę cywilizowany i słodki do wyrzygania. Zobaczymy się na dole.

Drzwi za nim zamknęły się.

Cywilizowany i słodki? Ten drań nie miał pojęcia, jakie jest znaczenie tych słów. Był twardy i nieokrzesany. Znaleźć się w jego pobliżu to jak tkwić w środku tornada.

Ale przez ostatnią dobę nie chciała, żeby było inaczej. Był szorstki, ale nie zadawał bólu, poza tym był fantastycznym kochankiem. Zdawało się, że zaczęła się uzależniać od jego nieprzewidywalności. Nigdy nie czuła się w jego obecności zagrożona. Wiedziała, że mimo sposobu bycia, nigdy nie zrobiłby jej krzywdy.

Samokontrola.

W swoim dorosłym życiu musiała cały czas się kontrolować, w małżeństwie, w pracy, kiedy była z Michaelem. W łóżku z Roydem nie musiała się kontrolować. Całkowicie oddawała się przyjemności.

Zamknęła drzwi łazienki i oparła się o drzwi. Przestań myśleć o Roydzie. Prawdopodobnie nie powinna była dopuścić do tego zbliżenia, ale co się stało, to się nie odstanie. Spędziła z nim miłe chwile, ale to nie znaczyło, że powinna to kontynuować. Nie musiała kończyć tego gwałtownie, ale powinna skupić się na ...

Chryste. Stał jej przed oczami obraz Royda. Nagie, muskularne ciało. Zuchwały i namiętny.

Przestań o nim myśleć, nakazała sobie. Na próżno.

Rozdział 16

Kiedy pół godziny później schodziła na dół, zadzwonił jej telefon.

MacDuff?

Royd stał na dole schodów i przypatrywał się jej uważnie. Drżącą ręką Sophie nacisnęła przycisk "odbierz".

- Jak się masz, Sophie? - zapytał Sanborne. - Mam nadzieję, że dobrze.

Zamarła na schodach.

- Czego chcesz, Sanborne?

Royd znieruchomiał. Utkwił wzrok w twarzy Sophie.

- Tego, czego zawsze chciałem - powiedział Sanborne.

- W współpracy z kimś, kogo szanuję i komu ufam. Chyba zdajesz sobie sprawę, jak bezsensowna jest twoja zemsta. Nie wygrasz, a ludzie, których kochasz, mogą ucierpieć.

- Tak jak Dave?

- Nie wiem, co masz na myśli. Policja jest przekonana, że to ty zabiłeś Edmunda. - Milczał chwilę.

- Miałem na myśli twojego syna.

- Ty łajdaku!

- Słyszałem o tym strasznym zajściu w Szkocji. Tak się cieszę, że twój syn jest wciąż bezpieczny.

- I tak pozostanie - wycodziła przez zęby. - Nic mu nie zrobisz, Sanborne.

- Bo weszłaś w spółkę z Roydem? To był błąd. Ten człowiek jest niezrównoważony. Pociągnie cię za sobą na dno.

- Ja też nie jestem zrównoważona, kiedy w grę wchodzi twoja osoba.
- Więc już czas, żebyś dała z tym spokój. Mam dla ciebie propozycję nie do odrzucenia.
- Nie obchodzą mnie twoje propozycje.
- Jesteś w większych tarapatach, niż wtedy, kiedy dzwoniłem do ciebie po raz ostatni. Jesteś poszukiwana przez policję. DNA pobrane na miejscu zabójstwa Edmunda prowadzi prosto do ciebie. Twoja kariera jest skończona, a twój syn w niebezpieczeństwie. Wierz mi. Przyłącz się do mnie, Sophie. Zdobędziesz władzę, będziesz miała pieniądze, a chłopiec będzie bezpieczny.
- I stanę się takim potworem, jak ty.
- Władza, Sophie.
- Jesteś chory, Sanborne.

Nie odpowiedział od razu.

- Widzisz, jak potrafię powstrzymać nerwy na wodzy? To dowodzi, jak bardzo zależy mi na twojej współpracy.
- To dowodzi, że nie jesteś tak pewien REM-4, jak chciałbyś.
- Jaka jesteś mądra. Ale masz przy sobie przykład REM-4. Royd był wzorcowym osobnikiem. A wszystko dzięki tobie.
- Zamknij się!
- Dobrze. Nie chcę cię obrażać, skoro mamy razem pracować. Będę z tobą w kontakcie.

Rozłączył się.

- Czy muszę pytać, czego chciał? - odezwał się cicho Royd.
- Nie. - Cała się trzęsła. - Nie spodziewałam się, że ... Zaskoczył mnie.

W jednej chwili znalazł się przy niej, tuląc ją do siebie mocno.

- Spokojnie. Chce cię przestraszyć i osłabić. Nie daj mu wygrać.

Sophie wczepiła się w niego.

- Boże, jaki to łajdak! Groził, że coś się stanie Michaelowi.

- To jego as w rękawie.

- Mówił też o tobie. Powiedział, że jesteś wzorcowym osoli nikiem, którego stworzył, i że ja się do tego przyczyniłam. M illl rację. To moja wina.

- Jestem wzorcowym osobnikiem. Zamarła.

- Przynajmniej tak uważałaś zeszłej nocy. I ty się do tego przyczyniłaś. Wielokrotnie.

- Wiesz, że miałam na myśli ... - Spojrzała mu w oczy. - To nie jest śmieszne.

- Ależ jest. - Uśmiechnął się. - Śmieszne jest myśleć, że może skrzywdzić nas, mówiąc te bzdury. - Odwrócił się i lekko klepnął ją po plecach. - Idź na górę i spakuj się. Musimy zmyl. się stąd w ciągu pięciu minut.

- Myślisz, że namierzili nas po tym telefonie?

- Możliwe. W każdym razie nie mam zamiaru siedzieć tu i czekać, aż zjawi się policja lub ludzie Sanborne'a.

Pobiegła do swego pokoju.

- Nie sądzę, żeby to miała być policja. On ... Wydaje mi się, że ... On chce mnie żywą, Royd.

- Więc musimy się zastanowić, dlaczego tak nagle mu się śpieszy.

Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi wyjściowych.

- Najpierw musimy stąd pryskać.

Sanborne odwrócił się do Bocha.

- Namierzyłeś ją?

Boch podniósł głowę znad telefonu.

- Pracują nad tym. Gdzieś w południowej Florydzie. Sanborne rzucił przekleństwo.

- Gdzie? Royd już pewnie zarządził ewakuację.

- Może zostawia jakiś ślad ...

- Nie mogę szukać jej po całych Stanach. Muszę mieć ją w garści natychmiast.

Może pošlemy na Florydę Devlina? On na pewno ich wytropi. Jest przecież ekspertem.

- Nic, nie chcę marnować ...

Zamilkł, zastanawiając się nad czymś. Cholera, chciał zważyć tę kobietę do swojego obozu. Miał niewielkie szanse, ale zawsze lepiej, żeby pracownik był chętny do pracy, niż gdyby miał być do niej zmuszony. Nauczył się tego dzięki Garwood. Istniało pewne prawdopodobieństwo, że mogła wpaść w ręce policji. Najwyraźniej nie była wystarczająco zastraszona.

- Dobrze - powiedział wreszcie. - Poślemy Devlina. Muszę z nim porozmawiać.

- Powiedz coś - odezwał się Royd, gdy tylko wjechali na autostradę. - Jak myślisz, do czego zmierza Sanborne? Powiedział, że chce cię mieć żywą.

- Och, jestem przekonana, że prędzej czy później będzie chciał mnie zabić. Ale jeszcze nie teraz. - Zmarszczyła brwi, starając przypomnieć sobie szczegóły rozmowy. - Chciał mnie przekonać, żebym dołączyła do jego ekipy. Boże, wyobrazasz sobie, jakie ten człowiek musi mieć ego? Miałabym tak po prostu zapomnieć o tym, co on zrobił?

- Tu nie chodzi o ego. Obserwuję go od czasu, kiedy wyostałem się z Garwood. Czegoś brakuje w jego psychice.

- Sumienia?

- Nawet nie o to chodzi. On nie ma uczuć, w takim sensie, w jakim większość ludzi to rozumie. Udaje, ale nie ma. Jest sprytny, ma wycucie piękna, rozkoszuje się posiadaniem władzy, ale nie rozumie bólu i nienawiści, którą powoduje. Dlatego, że ich nie odczuwa. Skoro jednak doskonale rozumie żądę władzy, nie potrafi pojąć, dlaczego nie możesz zapomnieć o złu, które ci wyrządził, skoro zaoferował ci tak wiele. - Wzruszył ramionami. - Jesteś lekarzem. Znasz pewnie na to fachowe słownictwo.

- Bardzo dobrze to wytłumaczyłeś.

To miało sens. Była tak przepelniona nienawiścią i poczuciem winy, że nigdy nie pokusiła się o przeanalizowanie psychiki Sanborne'a. Po prostu chciała pozbyć się jego i REM-4. Ale teraz, kiedy przypominała sobie wszystkie spotkania z Sanborne'em, dostrzegła symptomy.

- To dlatego nie ma skrupułów przed wykorzystywaniem REM-4 - powiedziała.

- Tak myślę. Oczywiście, starałem się go rozgryźć, żeby potem móc go skutecznie zniszczyć. Nie obchodzi mnie, czy jest wariatem. Nie mam zamiaru go leczyć. Mam zamiar go zabić. Ale dlaczego on teraz na ciebie naciska? - zastanowił się po chwili milczenia. - Mówiłaś mi, że już wcześniej starał się cię przekonać, ale odkąd go odesłałaś z kwitkiem, zaczął na ciebie polować. I teraz nagle zmienia taktykę. Jesteś pewna, że dobrze rozumiałaś?

- Oczywiście - zapewniła i pomyślała, że jest pewien powód. - Gorshank.

- Co?

- Mówiłam ci, że to, co zobaczyłam na dysku, było genialne, ale nie wiedziałam, skąd wziął takie wyniki.

- Powiedziałaś, że potrzebujesz czasu, żeby im się przyjrzeć.

- Może jego obliczenia są niewypałem? Może jest w nich kilka gigantycznych dziur?
- Wtedy Sanbome musiałyby je szybko załatać. Ściągając naukowca, który zna podstawową formułę
- domyślił się Royd.

Skinęła głową.

- Jestem im rozpaczliwie potrzebna. To tylko przypuszczenie, ale ...

Jej telefon zadzwonił.

- Mogę odebrać?
- Jeśli będziesz rozmawiać krótko.

Nacisnęła przycisk "odbierz".

- Gorshank jest w Charlotte, w Karolinie Południowej - powiedział MacDuff. - Ivy Street 321.

Włączyła funkcję głośnomówiącą, żeby Royd też mógł słyszeć.

- Jak go znaleźli?
- Przelał dużą kwotę do rosyjskiego banku, żeby spłacić dług mafii. Jock i ja, jak tylko znajdziemy się w Waszyngtonie, ruszamy do Charlotte.

- Kiedy tam dotrzecie?

- Za jakieś siedem godzin.

Royd potrząsnął głową.

- Jeżeli Gorshank jest spalony, to może być za późno. Może nam uda się tam dotrzeć wcześniej. Zadzwonimy do ciebie, kiedy będziemy na miejscu. - Rozłączył się, zanim Sophie zdążyła coś powiedzieć. - Jedziemy do Daytony. Stamtąd złapiemy samolot do Charlotte.

- Spalony?

- Jeśli Sanborne wierzy, że Gorshank nawalił, ten facet nie przedstawia już dla niego żadnej wartości.

- Może być tylko dla Sanborne'a zagrożeniem - zauważyła Sophie i dodała: - Może podzielić los wszystkich ludzi, którzy pracowali nad tym projektem, a popadając w niełaskę, zostali zwolnieni. Potem Sanborne wysłał za nimi płatnych zabójców. - Spojrzała na Royda. - Może jest już za późno?

Skinał głowę.

- Musimy mieć nadzieję, że Sanborne będzie trzymał Gorshanka przy życiu dopóty, dopóki nie uda mu się zwerbować ciebie. Musiał mu trochę ufać, inaczej nie wpisałby go na listę płac. - No nie wiem. Sanborne jest okrutny. Dla niego rzeczy

dzielą się na czarne i białe. Jeśli stwierdzi, że Gorshank wodził go za nos, nie da mu drugiej szansy.

- W takim razie może okazać się, że szukamy wiatru w polu - uznał Royd i nacisnął mocniej pedał gazu. - Ale nie odpuszczę szansy dostania Gorshanka w swoje ręce. On musi wiedzieć, o jaką wyspę chodzi. Jeśli żyje, musimy go dopaść.

Dom przy Ivy Street 321 był małym, szarym, drewnianym budynkiem, otoczonym topolami. Znajdował się z dala od ulicy.

Dom był ciemny, ale w oknie pokoju na lewo od wejścia widać było migające światło telewizora. Od przyjazdu do Stańców Gorshank stał się zagorzałym fanem telewizji. Jeśli tylko nie siedział przy biurku, leżał przed telewizorem, oglądając Simpsonów, CSI lub inne programy.

Devlin przestudiował raporty o Gorshanku, które dostał od Sanborne'a, choć nie było mu to potrzebne. Gorshank był człowiekiem o stałych przyzwyczajeniach, a brak umiaru we wszystkim czynił go załóżnie bezbronnym. Zbyt bezbronnym. Devlin nie był zadowolony, kiedy Sanborne wysłał go tutaj, zamiast pozwolić mu zgładzić Royda. To by dopiero było wyzwanie.

Ale musiał trochę spuścić z tonu po ucieczce w MacDuffs Run.

Na chwilę koniec z manipulacją. Poza tym zabicie takiego głupka, jakim był Gorshank, będzie czystą przyjemnością. Głupcy zawsze go irytowali.

Musi sprawdzić drzwi i znaleźć sposób, żeby dostać się do środka. Gorshank będzie siedział w fotelu z puszką w ręku, wtedy on rzuci się na niego, zanim tamten zorientuje się, co się dzieje. Wtedy też zdecyduje; czy zada mu szybką śmierć, czy będzie się delectował.

To będzie bułka z masłem.

- Zostań tu - polecił Royd, kiedy zaparkował przy krawężniku. - Najpierw muszę wszystko sprawdzić.

Sophie spojrzała na migające światło w jednym z frontowych okien. W tym miasteczku taki widok był powszedni. Nie było się czego obawiać.

Dlaczego więc Sophie przeczuwała, że to zły znak?

- Idę z tobą. Nie mam zamiaru wchodzić ci w drogę. Jock zawsze ostrzegał mnie, że nie powinnam tego robić. Jeśli chcesz, żebym zaczekała na zewnątrz, zrobię to. Ale mam ze sobą broń i umiem się nią posługiwać. Będę w pewnej od ciebie odległości, gdybyś mnie potrzebował.

Przez chwilę milczał, wreszcie wzruszył ramionami.

- W takim razie, chodź - zdecydował i otworzył drzwi. - Ale odczekaj chwilę, muszę się rozejrzeć.

Pięć minut później wrócił.

- W porządku, ale zostań na zewnątrz i nie wchodź do środka. Dobrze?

- Chyba że mnie zawołasz. - Wsiadła z samochodu. - A to może się zdarzyć, Royd. Nie jesteś niezniszczalny.

- Staram się. - Ruszył w stronę domu. - Tylne drzwi.

- Nie możemy po prostu wejść frontowymi i zapukać? On nawet nas nie zna. Czy tak nie byłoby prościej?

- Skoro przejął twoją robotę, mógł widzieć twoje zdjęcia _ powiedział, poruszając się szybko - Ale masz rację. Ja nigdy nie myślę o najprostszym rozwiązaniu. Nie tego mnie uczono. _ Zatrzymał się przy tylnych drzwiach i zaczął rozglądać się po ogródku, jednocześnie nasłuchując. - Nie sądzę, że dzisiaj właśnie zmienię swoje przyzwyczajenia.

Sophie wyczuwała w nim napięcie.

- O co chodzi?

- Ktoś może go obserwować, skoro jest taki ważny dla Sanbome'a i wie o REM-4. Gdzie oni są? Spodziewałem się, że kogoś tu zauważę ... Chyba że zostali odwołani, bo nie są już potrzebni.

Sophie przeszedł dreszcz.

- To znaczy, że Gorshank może już nie żyć.

Nie odpowiedział.

- Zostań tu. Zostawię drzwi uchylone. - Schylił się i gwizdnął cicho. - Boże! - Wyprostował się. - Miej broń w pogotowiu. Ten zamek ktoś już wyważył.

Otworzył drzwi i zniknął w mroku.

Sophie zacisnęła dłoń na pistolecie, który miała w torebce.

Serce biło jej jak szalone. Nasłuchiwała głosów z domu. Minuta w lokla się za minutą. Czula się bezużyteczna. Jeśli coś stanie się Roydowi, nie będzie mogła mu pomóc, stojąc tu jak kołek.

Uspokój się! Jock zawsze powtarzał, że w ten sposób najczęściej popełnia się najpoważniejsze błędy. Gdzie kucharek sześć ... Co za słodkie powiedzenie. Nie przystaje do grozy sytuacji.

Usłyszała jakiś dźwięk. Oddech, krok. ..

Gdzie? W kuchni?

Nie, nie w kuchni.

Za sobą.

Dzięki Bogu, dom był mały. Niewiele czasu zajęło mu sprawdzić, że dom jest czysty. Teraz sprawdź salon, rozkazał sobie, gdzie Gorshank oglądał telewizję.

Zszedł bezszelestnie po schodach i ruszył w kierunku salonu.

Z progu widział wyraźnie zarówno telewizor, jak i Gorshanka.

W telewizji pokazywano Simpsonów. Ale Gorshank nie oglądał.

Royd zatrzymał się w progu, wzrok utkwiał w fotelu, który stał przed telewizorem.

Gorshank był przywiązany do fotela, jego oczy wpatrywały się ślepo w migający ekran.

Był zakneblowany, powieki miał otwarte, przytwierdzone za pomocą szpilek do skóry.

Był wykastrowany.

Boże, to musiał być Devlin.

Royd sprawdził pokój i podszedł do Gorshanka.

Był martwy. Ale zmarł niedawno. Z rany zadanej nożem w serce wciąż sączyła się krew.

Gorshank był już bezużyteczny. Ale może zostawił coś, co mogłoby im się przydać. Miał wątpliwości. Delvin wiedział, co ma zrobić.

Przez dłuższy czas pastwił się nad Gorshankiem, po czym chwilę temu odszedł.

Royd zamarł. Przeszedł go zimny dreszcz. Jak długą chwilę?

Czy przeszkodzili mu? Royd, zanim wszedł do salonu, sprawdził dom. Wszystko było w

porządku. Nikt niczego nie szukał.

A jeśli Devlin słyszał, jak on i Sophie szli w stronę werandy, dobił Gorshanka i uciekł przez jedno z okien? Żadne z okien frontowych nie było otwarte.

A tylnie? Jeśli ... Nagle usłyszał strzał.

Zobaczyła błysk metalu w rękach człowieka, który nagle pojawił się przed nią.

Sophie podniosła pistolet i wystrzeliła w momencie, w którym padała na ziemię.

Kula raniła mężczyznę.

Widziała, jak jego twarz wykrzywia się w bólu.

- Suka.

Ruszył w jej stronę • Wystrzeliła raz jeszcze. Chybiła.

Celuj starannie, powtarzał Jock. Powstrzymaj nerwy na

wodzy.

Jak mogła spokojnie wycelować, kiedy on zbliżał się do niej?

To musi być Devlin. Poruszał się powoli. Ten oprawca miał kulę w klatce piersiowej, a zdawał się tego nie czuć. I to spojrzenie.

- Suka. Dziwka. Nie możesz mi nic zrobić. Ręce ci się trzęsą, jesteś przerażona. Ale ja mogę zabawić się z tobą na najróżniejsze sposoby. Myślisz, że dzieciak jest bezpieczny? Franks z łatwością wyszarpię go policji. Sanborne nie pozwolił mi go zdjąć. Twierdzi, że ze swymi zachwianiami mógłbym zniszczyć jego najlepszą kartę przetargową. Ma rację. Ale ty mnie nieźle wkurzyłaś, więc wkroczę do akcji, żeby delektować się myślą, jak chłopak ...

Wymierzyła. Tym razem nie chybi. Nie zdarzyła wystrzelić.

Nagle za Devlinem pojawił się Royd i chwycił go za szyję.

- Idź do diabła, Devlin

Jednym ruchem złamał mu kark. Devlin opadł na ziemię.

W sekundzie Royd znalazł się przy niej.

- W porządku?

Oczywiście, że nie. Wciąż miała przed oczami wyraz twarzy Devlina i prawdopodobnie nie zapomni go do końca życia. Zło ...

Skinęła głową.

- Nic mi nie zrobił. Ale postrzeliłam go, a on wciąż szedł w moją stronę. Jak Frankenstein.

- Nie powinno cię to dziwić. Mówiłem ci, że miał ogromną wytrzymałość na ból. Wiedziałaś, co zrobił w chacie.

- Tak, ale kiedy go zobaczyłam ...

Przestań się trząść! Nie mogła być słaba. Devlin nie żył.

Musiała się wziąć w garść.

- Daj spokój! - Ton głosu Royda był szorstki, ale jego dotyk delikatny. Przytulił ją do siebie. - Nic ci już nie zrobi. Nikogo już nie skrzywdzi. Nie pozwól, żeby cię prześladował. Zabiłem go, ale gdybym się nie pojawił, sama byś go zabiła.

Przytuliła się do niego mocniej.

- Zrobiłabym to. Musiałabym to zrobić. Mówił o Michaelu ... - Nagle zeszywniała. - Boże, mówił chyba, że Sanborne znowu wysłał kogoś do Szkocji, chyba jakiegoś Franksa. Powiedział, że wydrze Michaela policji bez problemu. Dlatego Devlina przysłał tutaj.

- Policja ... Jedyny sposób, w jaki policja mogłaby być w to zaangażowana, to ekstradycja.
- Ale Scotland Yard nie przeszukiwał zamku, kiedy tam byliśmy.
- MacDuff potrafi być przekonujący. A Sanborne znalazł sposób, żeby przekupić kogoś na bardzo wysokim stanowisku.

Sophie spojrzała na niego.

- Muszę zadzwonić do Jane i ostrzec ją.
- Przewidziałem taką okoliczność. Są przygotowani.
- Nie mów mi takich rzeczy - wybuchnęła. - Nie wiedzą, że Sanborne tam kogoś wysłał.
- Masz rację. Wejdźmy do środka. Możesz zadzwonić z kuchni. Muszę przeszukać biurko Gorshanka.

Gorshank. Prawie o nim zapomniała.

- Nie żyje?

Skinął głową.

- Prawie przyłapaliśmy Devlina. - Popchnął ją w stronę drzwi wejściowych. - Zadzwoń. Musimy się śpieszyć. Ktoś mógł usłyszeć strzały.
- Policja może zaraz tu być.
- Niekoniecznie. Zdziwi Cię, ilu ludzi woli nie mieszać się w cudze sprawy.

Ruszył w stronę korytarza i zniknął jej z pola widzenia. Sophie opadła na krzesło i wzięła głęboki oddech. Może powinna zapalić światło? W kuchni było ciemno. Wszędzie ciemność. Wszędzie dookoła śmierć.

Nie myśl o tym! Powinna skupić się na tym, co ma do zrobienia.

Lepiej nie zapalać światła. Widziała wystarczająco dobrze, żeby wybrać numer MacDuff s Run. Wyciągnęła telefon.

- Spokojnie. Wiem, że się boisz. Masz prawo - powiedziała Jane, kiedy wysłuchała opowieści Sophie. - Łajdaki.

- Ostrzeż Campbella, powinien mieć się na baczności. Przyjadę tak szybko, jak to będzie możliwe.

- Poczekaj, niech pomyślę ... Nie przyjeżdżaj. Zabieram Michaela do Stanów.

- Co?

- Jeśli Sanborne'owi uda się przekabacić na swoją stronę lokalną policję i dojdzie do ekstradycji, nie będziemy mogli pomóc twojemu synowi. Może nawet nie będziemy widzieli, dokąd go zabiorą.

- Jej głos był zabarwiony frustracją. - Gdzie jest MacDuff, kiedy go potrzebujemy?

- W drodze tutaj.

- Nie liczyłam na to, że może pociągać za sznurki na odległość. Sama się tym zajmę.

- Nie możesz opuścić zamku. Zobaczą cię.

- Jest sposób. Już kiedyś z niego korzystałam.

- Jane, to mi się nie podoba.

- Wiem. Przywiązałaś się do myśli, że Michael jest dobrze chroniony w tych kamiennych murach - powiedziała łagodnie Jane. - Ale tam, dokąd jedziemy, też będzie bezpieczny. Joe dopilnuje, żeby miał go na oku każdy policjant.

- Atlanta?

- To zapewni mu najlepszą ochronę. Zaufaj mi, Sophie. Na tym świecie kamienne mury mogą bardzo łatwo zostać zburzone, dzięki pieniądзом i sile polityków. Musimy zabrać stąd Michaela.

- Może jeśli zadzwonimy do MacDuffa, będzie mógł ... - Tak bardzo nie chciała narażać Michaela, choćby tylko przez chwilę. Jane miała rację. Kamienne mury nie dawały już dobrego schronienia.

- Muszę się zastanowić. Zadzwonię później.

- Za niedługo, dobrze? - Jane rozłączyła się.

- Chodź - powiedział Royd, stając w drzwiach. - Musimy stąd wiać.

Skinęła głową i wstała. - Znalazłeś coś?

- Tak myślę. Dzwoniłem też do MacDuffa i poprosiłem go, żeby ściągnął tu ludzi z CIA, żeby zabrali ciało Devlina. Sanborne nie powinien jeszcze wiedzieć, że Devlin nie żyje. - Spojrzał na nią uważniej. - Co z Michaëlem?

- Jane chce zabrać go do Atlanty. Mówi, że wie, jak opuścić zamek niezauważenie. - Starła się ukryć drzenie głosu. - Boję się

- Co jej powiedziałaś?

- Muszę ...

- Jeśli jej ufasz, pozwól jej działać - poradził, otwierając drzwi do samochodu. - Nie podoba mi się myśl, że rząd może przejąć opiekę nad Michaëlem. Niełatwo jest dostać się do kogoś, kto jest przetrzymywany rzekomo dla własnego bezpieczeństwa.

- Wydajesz się bardzo pewien. Próbowalesz kiedyś to zrobić?

- Raz. W Syrii. - Usiadł na miejscu kierowcy. - Ale nie chciałabyś znać szczegółów. - Zapalił silnik.

Nie, nie chciała wiedzieć. Za dużo śmierci dookoła. Jednak musiała zapytać.

- Sanborne?

- Nie. Byłem wtedy w "Fokach". Zadzwoni do Jane i powiedz jej, żeby wiała z Michaëlem.

- Słyszałeś o tym Franksie?

- Simon Franks. Nie jest tak dobry jak Devlin, ale zna się na swej robocie. I wykona dokładnie to, co każe mu Sanborne - dodał po chwili.

- Boże.

- Może o tyle dobrze, że nie poderznąłby gardła Michaelowi, o ile nie dostałby takiego rozkazu. Devlin zrobiłby to z przyjemnością, dopiero później martwiłby się tym, co powie dzieć Sanborne'owi.

- Nie mogę rozmawiać o tym, co mogliby zrobić mojemu synowi. - Głos jej zadrżał. - Może nie masz żadnych uczuć wobec Michaela, ale jest to trudne dla kogoś, kto ...

- Kto powiedział, że nie mam wobec chłopaka żadnych uczuć? - zapytał szorstko Royd - Lubię go. Nie kocham go. Nie miałem okazji lepiej go poznać, a i to uczucie nie rozwija się we mnie szybko. Kłamałbym, gdybym powiedział ci, że jest inaczej. Ale nie traktuj mnie jak wyzutego z uczuć drania z Garwood. - Zaciśnął ręce na kierownicy. - Ostatnio czuję nawet zbyt dużo.

Zdała sobie sprawę z tego, że go zraniła. Nie przypuszczała, że mogłaby sprawić mu ból. Ten człowiek był zbyt twardy. Czy naprawdę? Wciąż odkrywała w nim coś nowego.

- Nie chciałam powiedzieć, że ...

- Nie ma sprawy - uciął Royd. - Po prostu chciałem, żebyś wiedziała, że nie zamierzałem cię wystraszyć, mówiąc o Franksie. Chciałem, żebyś wiedziała, z kim masz do czynienia. - Zjechał na parking Wal-Martu. - Mamy się tu spotkać z Mac Duffem. Jeśli chcesz zadzwonić do Jane, zrób to teraz, kiedy czekamy.

Zawahała się. Boże, nie chciała tego robić. Przestań być tchórzem. Zrób to, co jest najlepsze dla Michaela, nakazała sobie. Szybko wybrała numer.

Dziesięć sygnałów. Nikt nie odbierał.

Serce biło jej jak szalone. Trzęsła się, kiedy wybierała numer ponowme.

Nikt nie odbierał.

Rozdział 17

Światła kilku pojazdów zbliżających się do MacDuff's Run przebijały się przez ciemność. Wciąż były daleko, jednak poruszyły się szybko.

- Dziesięć lub piętnaście minut - powiedział Joe, odwracając się od okna w stronę Jane. - Wygląda na to, że Sophie jednak miała rację, twierdząc, że starają się o ekstradycję.

- Co innego mogliby zrobić z bezbronnym dzieckiem?

- No tak. - Podniósł się. - A to oznacza, że teraz nasz ruch.

Jane ogarnęło uczucie ulgi. - Zgadzasz się?

- Widziałem zbyt wielu więźniów posiekanych przez in-

nnych, żeby wiedzieć, że nawet najlepiej strzeżony dom nie jest całkowicie bezpieczny. - Włożył na siebie kurtkę. - ASanborne ma wystarczającą ilość kasy, żeby bawić się w Boga. - Ruszył w stronę drzwi. - Weźmiemy to na siebie. Odetchniemy, kiedy znowu znajdziemy się w domu.

- Dziękuję, Joe.

- Nie dziękuj. Wiesz, że nie chciałem, żebyś znowu była wciągnięta w sprawę MacDuffa. Musiałem przyjechać, żeby się upewnić, że nic ci się nie stanie.

- Kłamiesz. Nie chciałeś, żeby coś przytrafiło się dziecku.

Wzruszył ramionami.

- To też. Eve nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym odwrócił się od jakiegoś dziecka. Spotkamy się na dole za piętnaście minut. Zawołaj Michaela. Porozmawiam z Campbellem i powiem mu, żeby grał na zwłokę.

Jane wbiegła po schodach i energicznie otworzyła drzwi do pokoju chłopca.

- Michael, obudź się! - Delikatnie nim potrząsnęła. - Musimy iść.

Otworzył zaspane oczy.

- Mama ... - Zastygł w bezruchu, gdy rozpoznał, że to Jane.

- Czy z mamą wszystko w porządku?

- W porządku. Dopiero co z nią rozmawiałam. Ale musimy stąd zniknąć.

Podeszła do szafy i rzuciła mu parę spodni i koszulę.

- Szybko. Joe powiedział, że musimy zniknąć natychmiast.

- Dlaczego? - zapytał i jednocześnie wkładał na siebie ubranie z prędkością światła. - Myślałem, że zostaniemy tutaj.

- Ja też. - Wrzucała ubrania do jego plecaka. Trzeba było to zrobić. Zerknęła za okno. Światła były coraz bliżej. Miała nadzieję, że ocena Joego była dobra. - Ten sposób nie zadziałał. Jeśli chcemy, żeby twoja mama była bezpieczna, musimy zapewnić bezpieczeństwo tobie. A to oznacza robienie tego, co musimy zrobić.

Otworzyła drzwi i skinęła na niego głową.

- Chodź. Musimy jechać. Joe czeka.

Popędził schodami w dół.

- W samochodzie?

Biegła zaraz za nim. Pomyślała ze smutkiem, że trudno było dotrzymać mu tempa. Zapomniała już, jak szybko może poruśzać się mały chłopiec.

- Nie, nie bierzemy samochodu. Zaskoczony, zerknął na nią przez ramię.

- Nie? Jak to?

Melodramatycznie obniżyła głos.

- Zobaczysz. Tajemne przejście. Czy to nie ekscytujące? Otworzysz szeroko oczy.

- Naprawdę?

Michael być może był dojrzały jak na swój wiek, ale urok tajemnicy oczywiście do niego przemawiał. Który chłopiec nie byłby zaintrygowany?

- Naprawdę. Ale musisz zachowywać się cicho i robić wszystko, co powiem.

Na półpiętrze wyjrzała przez okno. Światła były blisko zamku. Cholera.

Minęła Michaela i złapała go za rękę. Gwałtownie otworzyła drzwi. Na podwórzu Joe rozmawiał z Campbellem.

- Najwyższy czas - powiedział groźnie Joe. - Ruszaj, Campbell. Wstrzymaj ich i daj nam przynajmniej pięć minut. Modlę się, żeby tyle czasu nam wystarczyło.

Cztery razy Sophie próbowała dodzwonić się do MacDuffa po tym, jak nie udało jej się skontaktować z Jane.

On też nie odbierał!

- Co się, do diabła, dzieje?

Wystukała numer do Jocka. Nie odpowiadał. Zaczynała ogarniać ją panika.

- A jeśli przejęli Micheala? Powinnam była powiedzieć Jane, żeby go zabrała.

- Spokojnie - powiedział Royd. - MacDuff i Jock powinni tu być lada moment.

- Więc dlaczego nikt nie odbiera? Za dużo nowej techniki.

- Jeszcze raz wybrała numer do Jane. Jej dłoń zaciskała się na słuchawce. - Jest wyłączony. Nie zgłasza się poczta głosowa. To cholerne urządzenie jest wyłączone.

- To wiem - mruknął Royd.

Dwadzieścia minut później MacDuff dojechał do Wal-Martu. Sophie była już po drugiej stronie parkingu, zanim on i Jock zdążyli wyjść z samochodu.

- Dlaczego nie odbierałeś telefonu? - wybuchnęła. _ Wiesz, co się dzieje na zamku?

- Odpowiedź na pierwsze pytanie to: byłem zajęty. Musiałem zadzwonić do paru miejsc.

Odpowiedź na drugie: nie dzieje się teraz w zamku zupełnie nic. - MacDuff otworzył drzwi i wysiadł. - Oprócz tego, że jest tam paru bardzo sfrustrowanych urzędników blakających się po mojej posiadłości, próbując znaleźć twojego syna.

- Nie uda im się to, Sophie - zapewnił łagodnie Jock, wychodząc z samochodu. - Jane zabrała go z zamku i kierują się na lotnisko w Aberdeen.

Sophie poczuła się oszołomiona nagłą ulgą.

- Rozmawiałeś z nią?

- Nie mieliśmy wyboru. - MacDuff skrzywił się. - Jak tylko zabrała chłopca na bezpieczną odległość, od razu dzwoniła, wściekła, że nie było mnie, kiedy potrzebowała pomocy w ucieczce z moich "walących się ruin". Potem kazała mi zająć się zorganizowaniem transportu do Atlanty i upewnieniem się, że chłopak będzie chroniony, dopóki nie wsiądzie do samolotu.

- Mógłbyś to zrobić?

- Właśnie dlatego nasze telefony były zajęte - wyjaśnił Jock. - Trzeba było załatwić parę spraw, ale już to zorganizowaliśmy. - Zerknął swój zegarek. - Powinni wchodzić do samolotu za jakieś półtorej godziny. Jak tylko samolot wystartuje, dadzą mi znać.

- Dobrze. - Ugięły się pod nią kolana i pochyliła się nad samochodem. Półtorej godziny wydawało się wiecznością. - Atlanta. To tak blisko stąd. Czy myślisz, że będę mogła go zobaczyć?

- Możliwe. Pomyślimy o tym - obiecał Royd, stojąc za jej plecami.

- Chcę go zobaczyć. - Przeniosła spojrzenie na jego twarz.

- Myślisz, że wciąż będzie mu coś groziło?

- Myślę, że Franks się nie podda - odparł wymijająco.

- Sanborne nie pozwoli mu odpuścić. Pozbyłeś się ciała Devlina? - zwrócił się do MacDuffa.

Szkot skinął głową.

- W tej właśnie sprawie był jeden z telefonów. Wysyłają chłopaków z okolicy, by zajęli się sprzątaniami

- Nie ma problemu?

- Devlin miał bogatą przeszłość, jeszcze zanim Sanborne zwerbował go do Garwood. Teraz są chętni, żeby ze sobą współpracować. CIA stało się podejrzliwe po aferze z Thomasem Reillym. Nie chcą mieć bandy samobójców z bombami biegających po całych Stanach ... - Urwał. - Dlaczego chcesz, żeby Devlin po prostu zniknął?

- Chyba będzie lepiej, jeśli Sanborne nie będzie świadomy, że dowiedzieliśmy się o Gorshanku.

- Dlaczego?

- Możemy dzięki temu zyskać na czasie. Jeśli nie wiedzielibyśmy o Gorshanku, nie moglibyśmy też wiedzieć o papierach, które znalazłem w biurku Gorshanka.

- Papierach? - zdziwił się MacDuff.

- Schematy zbiorników wodnych - wyjaśnił z uśmiechem Royd. - Na wyspie zwanej San Torrano przy wybrzeżach Wenezueli.

- Znalazłeś to - mruknął Jock. - Cholera jasna.

- Czy nadal chcesz szukać Sanborne'a? Devlin był twoim celem, a teraz nie żyje.

- Nie jestem zachwycony, że wyręczyłeś mnie w za-bójstwie tego skurwiela - powiedział ponuro

MacDuff. - I tak, do diabła, chcę jechać za Sanborne'em. Wysłał Devlina, żeby siał śmierć, i jeszcze zdołał zwrócić policję mojego własnego kraju przeciwko mnie. - Zacisnął usta. - I nie podoba mi się wizja kogokolwiek depczącego po mojej ziemi. Muszą się po prostu trzymać z dala od Mac Duff's Run.

- Masz swoją odpowiedź. - Jock nie odrywał wzroku od RoyOa. - Mam przeczucie, że już od dawna miałeś pomysł, jak mógłbyś nas wykorzystać.

- Nie ważyłbym się.

- Oczywiście, że nie.

Royd wzruszył ramionami.

- Mam pewien pomysł, ale muszę o tym pomyśleć przez chwilę. Jest kilka rzeczy, które mnie rozpraszają.

- Jakich rzeczy?

Royd nie odpowiedział, i Jock przeniósł wzrok na Sophie.

Patrzył na nią przez chwilę. Powoli skinął głową.

- W porządku. Daj nam znać, jak tylko się zdecydujesz.

- Dam. - Royd ujął Sophie za łokieć i pociągnął w stronę samochodu. - Przez cały czas informujcie Sophie w sprawie Michaela.

- Oczywiście

- Jakie rzeczy? - zapytała Sophie. - Przestań być tak cholernie tajemniczy. Jeśli znasz sposób, by odnaleźć Sanborne'a, powiedz mi.

- Zamierzałem ci powiedzieć. Tak naprawdę nie było żadnych wątpliwości co do tego. - Otworzył jej drzwi samochodu. - Ale jeszcze nie teraz. Muszę zadzwonić do Kelly'ego i powiedzieć mu, żeby spodziewał się nas lada moment. Poczekamy, dopóki nie będziemy pewni, że Michael jest bezpieczny.

Obserwowała blask czerwonych świateł samochodu MacDuffa i Jocka znikającego za rogiem.

- Co zamierzasz, Royd?

- To samo, co zamierzałem od czasu Garwood. - Wybrał numer Kelly'ego. - Nic nowego. Każdy coś robi. Każdy ryzykuje. Wszystko, żeby dopaść Sanborne'a i Bocha.

- Łapiemy samolot poza Atlantę - powiedział do telefonu.

- Przygotuj motorówkę i dowiedz się wszystkiego, czego możesz, o wyspie San Torrano.

Rozłączył się.

- Nigdy nie słyszałam o San Torrano - powiedziała Sophie.

- Prawdopodobnie jest wielkości znaczka pocztowego.

Boch i Sanborne nie chcieliby korzystać z wyspy, która byłaby bardziej znana. Im mniejsza, tym lepsza.

Włączył motor.

- Zmierzamy do Atlanty? Mogę zobaczyć Michaela?

- Dlaczego mnie pytasz? Nie ma sposobu, żebym trzymał cię z dala od niego.

- Miałam na myśli, czy spotkanie z nim byłoby dla mnie bezpieczne?

- Bóg jeden wie.

- Royd, do diabła, co się z tobą dzieje? Zachowujesz się jak dupek.

- Co jest ze mną? Przypominałem sobie ciebie leżącą na schodach tego domu i Devlina idącego wprost na ciebie Zmarszczyła brwi.

- Dlaczego? To było okropne, ale już po wszystkim. Nie przypuszczałam, że to ty będziesz rozwodził się nad przeszłością.

- Zwariowałaś? - burknął. - Co innego robimy? Nie możemy iść naprzód, bo utknęliśmy w bagnie. Tylko tym razem byłaś prawie wciągnięta w ruchome piaski. Powinienem był cię wyciągnąć i od razu odejść.

Zwróciła się w jego stronę.

- Wyciągnąłeś mnie. Możliwe, że ocaliłeś mi życie. A jeśli chcesz odejść, to ja cię nie zatrzymam. Ale pójdę za tobą. Jesteśmy za blisko.

Przez chwilę się nie odzywał.

- A ja bym ci pozwolił. - Przycisnął pedał gazu. _ Teraz bądź cicho i pozwól mi pomyśleć, w jaki sposób tym razem narażę twój kark.

- Pozbyłeś się już chłopaka? - spytał Boch.

- Jeszcze nie - odparł Sanbome. - Nie było ich na zamku.

Ale Franks pogadał zjednym z ludzi MacDuffa i wyszło na jaw, kto się nim zajmował. Długo to nie potrwa.

- Przestań się wygłupiać i po prostu pozwól Frankowski ją zabić - ostro powiedział Boch. - Możemy posłużyć się REM -4, które mamy do dyspozycji.

- To zbyt ryzykowne. Nie widzisz, że sytuacja się zmieniła?

Nie zamierzam ryzykować swoich inwestycji na rzecz podrzędnego produktu, jeśli mogę sam rozwiązać problem.

- Mamy tylko tydzień.

- Tyle czasu wystarczy. Nikt nie zna REM-4 tak jak Sophie

Dunston, a wstępne eksperymenty Gorshanka przyniosły efekty. Po prostu nie mógł pociągnąć tego dalej.

- I próbował nas oszukać.

- Ktoś już się zajął tą sprawą. Lada moment powinniśmy mieć jakieś wieści od Devlina - próbował uspokoić Bocha. - Muszę już kończyć. Mam parę spraw do załatwienia, zanim jutro przylecę na wyspę. Kiedy tam dotrzesz?

- Za dwa dni. Dlaczego lecisz tam tak wcześnie?

- Muszę być na miejscu, kiedy zgarniemy Sophie. Będziemy w kontakcie, kiedy Franks już złapie chłopaka w swoje ręce.

Rozłączył się.

Złapałoby Sophie Dunston. Stałaby się potulna, jeśli on miałby chłopaka. Kobiety osłaniają swoje słabości, gdy tylko ich dzieci zaczynają być zamieszane. Zawsze go to zastanawiało. Nawet jego własna matka okazywała ten typ słabości. Dopóki nie zaczęła cofać się przed wejściem mu w drogę, kiedy był nastolatkiem. Krótco po jej odejściu nauczył się, jak udawać to ciepło, które dla wszystkich wokół niego było tak ważne, ale było już za późno, żeby znowu znalazła się w jego władzy. Unikała go aż do dnia, w którym umarła.

Ale nie to jest ważne. Dała mu niezłą lekcję na temat ludzkiej natury, a szczególnie kobiet.

A to właśnie mogło być bardzo przydatne w stosunkach z Sophie Dunston.

Telefon Royda zadzwonił, kiedy byli już z Sophie prawie przy domku nad jeziorem Joeego Quinna pod Atlantą. Dzwonił MacDuff.

- Dopiero co rozmawiałem z Campbellem. - W jego głosie słychać było gniew. - Charlie Kedrick, jeden z jego ludzi, został przechwycony w miasteczku. Prawdopodobnie przez Franksa albo kogoś od niego. Nie żyje.

- Cholera.

- I nie była to łatwa śmierć. Torturowali go. Najprawdopodobniej powiedział im wszystko. Nie było tego za wiele, ale znał nazwiska Jane i wiedział też, kim była. Przebywała kiedyś na zamku. To oznacza, że pewnie teraz idą tropami Jane i chłopca.

- Ile mamy czasu?

- To zależy jak szybko Franks się porusza.

- Zaczyna się czuć, jakby był zawstydzony tym, co zrobił, więc będzie za-mierzał zatrzeć złe wrażenie, jakie wywarł na Sanbornie.

- Więc będziesz farciarzem, jeśli masz więcej niż kilka godzin. Gdzie teraz jesteś?

- W drodze do domku nad jeziorem. Mówiłeś, że wkrótce powinien pojawić się tu Michael.

- Jak również Franks. Zostań, gdzie jesteś. Będziemy tam z Jockiem w ciągu czterdziestu minut.

- Nie, nie zamierzam ryzykować życia Sophie, przebywając blisko Franksa i jego ludzi. To może być krwaw jatka. Za-wracam i kieruję się na lotnisko.

- Nie! - Sophie złapała jego ramię. - Co się dzieje? Nie odpowiedział.

- A ty, MacDuff, jedź do domku nad jeziorem - polecił.

- Powiedz Jockowi, że zaraz do niego oddzwonię.

Rozłączył się i zwrócił się do Sophie.

- Franks dowiedział się, że Michael jest z Jane, i wie, kim ona jest. To oznacza, że wkrótce może być w drodze tutaj.

- Więc co, do cholery, miałeś na myśli, mówiąc, że nie będziesz mnie narażał na ryzyko? Nie zamierzam teraz się wyłączyć i zostawić Michaela. Zawracaj!

- Najpierw z tobą porozmawiam. - Zjechał na pobocze drogi. - Jeśli potem nadal będziesz chciała jechać do domku nad jeziorem, zabiorę cię tam. Wysłuchasz mnie?

- Chcę jechać ... - zaczęła, ale zmieniła zdanie: - Słucham. Szybko.

- Mamy też inną możliwość. - Spojrzał przed siebie. - Musiemy dostać się na San Torrano i znaleźć sposób, żeby zniszczyć zakład i REM-4. Ale Boch nie jest głupi. Z pewnością będzie miał ochronę na terenie całej wyspy.

- Więc?

- Potrzebujemy kogoś z wewnątrz. - Skrzywił się. - A może powinienem był powiedzieć "kobiety z wewnątrz".

Zamarła.

- O czym ty mówisz?

- Sanborne chce dostać cię w swoje łapy. To dlatego ściga Michaela. Chcę przez to powiedzieć, że zamierzam podać cię tym skurwielom na tacy. - Zamknął oczy. - Boże, wybacz.

Wstrząsnęło jej całym ciałem.

- Ja nie ... - Patrzyła się na niego w oszołomieniu. Otworzył oczy.

- Czego ode mnie wymagasz? Powiedziałem ci już wcześniej, że raczej nie jestem miły i kulturalny. Praktycznie zaofiarowałam sama złożenie siebie w ofierze. - Palce jego dłoni stały się białe, a dłonie zacisnęły się na kierownicy. - Dlaczego nie miałbym nałożyć na ciebie tego obowiązku?

Było tyle cierpienia i goryczy w tych słowach, że raniło ją samo ich słuchanie.

- Sprawiasz, że to, co mówię, brzmi, jakbym był chory psychicznie. Przestań się katować i odezwij się do mnie. - Przez chwilę się nie odzywał, po czym na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech. - Możesz się czuć, jakbyś to ty katowała mnie sobą.

- Nie dowiem się tego, dopóki nie przestaniesz bredzić i wyjaśnisz mi to.

- Dobrze - odparł szorstko. - Najważniejsze jest, żebyśmy dostali się na wyspę. MacDuff i ja poradzimy sobie ze zniszczeniem oczyszczalni, ale potrzebujemy informacji, na przykład, gdzie są trzymane dyski REM-4. Nic dobrego nie wyjdzie z pozbycia się zbiorników z REM-4, jeśli Sanborne zamierza mieć więcej.

- Zawsze to wiedziałam. - Próbowała się uśmiechnąć.

- Chcesz, żebym była kolejnym Natem Kellym.

- Kelly nie może tego zrobić. Ja też nie.

- Chcesz, żebym udawała, że przyłączam się do Sanborne'a? Nie uwierzy mi. Zawiodłam go zbyt wiele razy. I nawet jeśli wpuściłby mnie na wyspę, nie zaufały mi.

- On nie ufa nikomu. Ale pod pewnymi warunkami pozwoliłby ci na więcej swobody.

- Jakimi warunkami?

- Gdyby myślał, że ma nad tobą władzę. - Przez chwilę milczał. - Jeśli myślałby, że może zabić twojego syna, jeśli nie zrobiłabyś tego, czego by żądał.

Przerażenie odmalowało się w jej oczach.

- Chcesz, żebym pozwoliła mu zabrać Michaela?

- Boże, nie! - odparł oschle. - Mogę być sukinsynem, ale nie zrobiłbym czegoś takiego.

Powiedziałem: gdyby myślał, że może zabić Michaela.

- Ale dlaczego miałby tak myśleć?

- Bo opracowałem już pewien sposób, w jaki można sprawić, żeby w to uwierzył.

- Jaki?

- Do szczegółów przejdę później. Najważniejsze w tej chwili jest to, że zapewnię Michaelowi bezpieczeństwo. Masz moje słowo.

Poczuła się niedobrze, nie mogła opanować przerażenia.

- Mówiłeś to już kiedyś.

- On ciągle żyje, Sophie - przypomniał.

- Wiem. Opowiedz mi o szczegółach.

- Powiem Jockowi, żeby zastawili pułapkę na Franksa i jego ludzi. Jock złapie Franksa, a wtedy sprawimy, że Sanborne będzie myślał, że Franks ma Michaela.

- Brzmi to bardzo ... prosto. Ale nie jest proste.

- Nie, możemy jednak to zrobić.

Staraj się myśleć racjonalnie, rozkazała sobie w duchu. Racjonalnie? W głowie kłębiły się jej różne możliwości, ale żadna z nich nie zdawała się zbyt optymistyczna. Spojrzała w ciemność.

- To mogłoby pomóc w zakończeniu wszystkiego, prawda?

Wreszcie mogłoby się to skończyć. To jest naj szybsza droga, żeby się do nich dostać.

- Tak - powiedział chrapliwie. - Najszybsza i najlepsza.

- I ty możesz sprawić, że to zadziała, Royd?

- Zrobię to.

Znowu chwilę milczała.

- Więc zrobmy to - postanowiła. Zaczął przeklinać.

Jej spojrzenie przeniosło się na jego twarz.

- Czy to nie jest właśnie to, czego pragnąłeś?

_ Nie. - Wyjechał z powrotem na drogę. - Chciałem, żebyś mi powiedziała, żebym poszedł do diabła. Chciałem, żebyś mnie oskarżyła, że narażam cię na śmierć, i kazała mi nigdy więcej o tym nie wspominać.

Byłą zaskoczona udręką w jego głosie.

_ I wybawić cię z opresji? To jest twój pomysł, możesz to osiągnąć w każdy z możliwych sposobów, Royd.

_ Nie wymiguję się od odpowiedzialności. Wiem dokładnie, co robiłem. I nie wybrnąłem z tego. To bardziej przypomina krucyfiks. - Docisnął pedał gazu i sięgnął po telefon. - Muszę zadzwonić do Jocka.

Co do diabła?

Sanborne ze zmarszczonymi brwiami rozdzierał kopertę listu priorytetowego z nazwiskiem Sol Delvin w miejscu adresu nadawcy.

Szanowny Panie!

Musiał Pan sobie teraz uświadomić, jak dobrze wykonuję zadanie, które mi Pan powierzył. Załączyłem dokumenty San Torrano, które wyciągnąłem z domu Gorshanka, co do których wiedziałem, że będą dla Pana ważne.

Jestem przekonany, że chciałby Pan, żebym nadal trzymał Pana z daleka od Royda. Jest dla Pana zagrożeniem i musi być Pan chroniony. Dam znać, jak tylko sytuacja się rozjaśni.

Devlin

Sanborne mamrotał przekleństwa, rzucając list na biurko. To było w stylu Devlina, żeby nie dzwonić do niego, tylko od razu iść na polowanie, tak żeby nie zdążył zaprotestować. To był po prostu kolejny znak braku prawdziwego posłuszeństwa. A jeśli Sanborne zdecydował nie zabijać Royda? A jeśli zamierzał wysłać Devlina jako wsparcie dla Franksa w Atlancie? Franks siedział w zasadzce w domku nad jeziorem od wczorajszego wieczora, czekając na możliwość uderzenia.

Nie, Devlin był zbyt niestabilny, żeby pracować z kimkolwiek. Jak również był zajęty ściganiem Royda. Byłoby korzyścią dla niego usunięcie opiekuna Sophie Dunston.

Ale to nie przeszkadzało Sanborne'owi wściekać się na niezależność Devlina. Miał z nim ostrą rozmowę, kiedy przyszedł do niego ubiegać się o podwyżkę po wykonaniu zadania.

Barbados

- Załatwione? - spytała Sophie. - Czy Michael jest bezpieczny?

- Niezupełnie - odparł Royd. - Ale już niedługo. Wszystko idzie dobrze, Sophie. Sanborne z nieznanых przyczyn opuścił dziś rano swoje biuro.

- Nie obchodzi mnie teraz Sanborne. Chcę, żeby to się skończyło, a Michaelowi nic nie zagrażało.

Zadzwoił telefon Royda. MacDuff.

- Dobrze - rzucił Royd krótko, rozłączył się i wstał. - Już czas. Ruszajmy!

San Torrano

- Mam chłopca - powiedział Franks w momencie, gdy Sanborne podniósł słuchawkę - Co chcesz, żebym z nim zrobił?

- Jest ranny?

- Posiniaczony

- Dobrze. Gdzie jesteś?

- Ciągłe w domku nad jeziorem. Musiałem zabić kobietę i jej ojca i dwóch innych, którzy byli z nimi. W porządku?

- Jeśli było to konieczne. Jesteś bezpieczny nad jeziorem?

- Dom jest osłonięty. Mogę zobaczyć każdego zbliżającego się od strony drogi.

- Więc zostaniesz tam jeszcze przez jakiś czas. Jeśli sytuacja się zmieni, dam ci znać.

- Jak mam traktować chłopaka?

- Żadnych więcej siniaków. Chcę, żebyś nakręcił DVD, i nie życzę sobie, żeby chłopak wyglądał, jakby był w niezbyt dobrej formie. - Rozłączył się i poszedł na koniec pomostu, by popatrzyć na zakotwiconą przy brzegu "Constanzę". Wszystko szło doskonale. Przez kilka dni był zmartwiony, ale powinien był wiedzieć, że Franks wytrwa. Po tym, jak załatwił wieczorem interesy, odczuwał wielką przyjemność w wykonaniu telefonu do Sophie Dunston.

Machnął na kapitana Sonanz na mostku.

- Witamy w San Torano - krzyknął. - Mam nadzieję, że miałeś dobrą podróż. Jeśli zaczniesz się teraz rozładowywać, to zdążysz przed zmrokiem, a my zjemy kolację i coś wypijemy. -

Uśmiechnął się. - Zostaw swoim ludziom brzeg, a ze sobą zabierz oficerów.

Barbados

Sophie była na motorówce wynajętej przez Kelly'ego, kiedy zadzwonił Sanborne.

- Przetrwiałaś znacznie dłużej, niż wydawało mi się że będziesz w stanie - odezwał się. - Co za szczęście, że połączyłaś swoje siły z siłami Royda. Jestem pewien, że służył ci wielką pomocą. Ale teraz jest moment, w którym wasze drogi się rozeszły. Będziesz teraz znacznie bezpieczniejsza z dala od Royda. Devlin go ściga.

- Idź do diabła!

- Nie okazuj lekceważenia. To nie jest odpowiednia forma traktowania szefa przez pracownika.

- Masz jakiś rodzaj déjà vu.

- Nie, myślałem o tym od czasu, gdy rozmawialiśmy po twoim wyjściu ze szpitala. Byłem lekko zniecierpliwiony twoją arogancją. Było miłym gestem z mojej strony zaoferowanie ci wspaniałej możliwości skorzystania z okazji, a ty rzuciłaś mi nią w twarz. Teraz musisz zostać ukarana.

- O czym ty mówisz, Sanborne?

- Twój syn. Jeśli dobrze pamiętam, ma na imię Michael.

Jej dłoń zacisnęła się na telefonie.

- Nie będę słuchać pogrózek. Mój syn jest bezpieczny.

- Twój syn jest tylko na tyle bezpieczny, na ile ja mu pozwolę. Wsiadaj w samolot i przyjeżdżaj do Caracas. Spotkamy się tutaj.

- Nie mam zamiaru zbliżyć się do ciebie.

- Dam ci jeden dzień. Jestem pod presją czasu. Wysłałam na twoje nazwisko list z DVD na pocztę w Caracas. Nie przejmuj się sińcami biednego chłopaka.

Rozłączył się.

- Chce, żebym jechała do Caracas. - Odwróciła się do Royda. - Powiedział, że zamierza mi wysłać DVD z Michael-em. Powiedział też, że nie muszę się przejmować sińcami. - Zadrzała. - Drań.

- Ale się przejmujesz. Dlaczego? Przecież wiesz, że to nieprawda.

- On był taki zadowolony z siebie. To oczywiste. Prawie mu uwierzyłam. - Szeptnęła, podnosząc się z miejsca. - Zaczyna się, Royd.

- Tak. - Wstał i stanął obok niej. - Możesz się wycofać.

- Nie, nie mogę. - Jej spojrzenie utkwilo daleko na horyzoncie. - Powiedz mi o San Torrano. Czego dowiedział się Kelly w tej sprawie?

- Jest to mała wysepka przy wybrzeżu Wenezueli, ale obecnie znajduje się na liście wysp wykupionych przez kanadyjską spółkę. Mogę się założyć, że gdybyśmy zbadali dokumenty, znaleźlibyśmy Sanborne'a na samej górze listy. Mniej niż pięć tysięcy mieszkańców, przeważnie Indian, główne zajęcie to rybołówstwo. Dzieciom rzadko udaje się przebrnąć przez więcej niż kilka lat szkoły podstawowej, zanim zaczną pracować.

- Oczyszczalnia wody?

- Ma sześćdziesiąt lat i została zbudowana przez rząd Wenezueli, kiedy jeszcze panowała epidemia cholery. Prawie cała populacja wyginęła. Oczyszczalnia obsługuje całą wyspę, a tu-byłcy są bardzo ostrożni, gdy idzie o picie wody innej niż ta pochodząca z ich kranów.

- Więc jeśli wrzucą REM-4, od razu będą mieli pięć tysięcy królików doświadczalnych. Mężczyźni, kobiety, dzieci ... - Potrząsnęła głową. - Urocze.

- Tak się nie stanie.

_ Mam nadzieję, że nie. Gdzie jest oczyszczalnia?

- Z wykresu Gorshanka i notatek wynika, że jest to jakieś dwa kilometry w głąb lądu od zachodniego wybrzeża wyspy. Mogę zanurkować na brzegu i dostać się do obiektu, żeby ustawić materiały wybuchowe. Ale musimy się upewnić, że wszystkie zbiorniki w obiekcie są zniszczone. - Chwilę milczał. _ To będziesz musiała być tą, która to dla nas sprawdzi. Jak również lokalizację dysków REMA. W momencie, kiedy już to zrobisz, przyjdę po ciebie i cię stamtąd zabiorę.

- Ale jeśli zniszczymy obiekt, ryzykujemy, że znowu narazimy tych ludzi na cholere.

- Natomiast jeśli tego nie zrobimy, wypiją z wodą REM-4, a nie wiemy, jaki efekt może to u nich wywołać. Na dobrą sprawę, nigdy nie był przetestowany. Jestem pewien, że Gors-hank nie zaprzętał sobie głowy efektywnością.

_ Też jestem tego pewna. Formuła Gorshanka była bardzo silna. - Zmarszczyła brwi. - Nie wiem. To jest błędne koło.

- Co byś zaryzykowała?

- Nie wiemy, jakie zniszczenia mózgu może w tej formie wywołać REM-4. Ale możliwe, że mogę znaleźć sposób na zniszczenie zbiorników bez wysadzania oczyszczalni.

- Nie ryzykuj. Będą cię obserwować. Dopóki będą myśleli, że mają nad tobą kontrolę, dadzą ci pewną dozę wolności. Ale jeśli wzbudzisz podejrzenia, od razu cię usadzą•

Zacisnęła usta.

- Muszę sprawdzić, czy istnieje jakiś inny sposób. Nie martw się, nie narażę ciebie czy kogoś innego.

- Bardzo śmieszne. To ty będziesz balansować na linie - przypomniał.

- Więc pozwól mi to zrobić po mojemu. Nie jestem z tych, co dadzą się zabić, jeśli złapią ich na brzegu lub podczas wyprawy przez te dwa kilometry do oczyszczalni. Jesteś bardziej narażony ode mnie. - Ze znużeniem wzruszyła ramiona mi. - To nie ma znaczenia. Zrobimy to. Tak czy inaczej, ak zrobimy. Muszę tylko być pewna, że Michael będzie bezpieczny w czasie, gdy my będziemy działać. - Spojrzała mu w oczy.

- Jest bezpieczny, tak?

Odwrócił wzrok.

- Mówiłem ci już, że nic mu nie grozi.

- Więc dlaczego nie mogę z nim porozmawiać? - Wykonała zniecierpliwiony gest. - Tak, wiem, że mi mówiłeś, że nie jest bezpiecznie używać telefonów, bo mogą być na podsłuchach, ale tylko jeden telefon na jedną krótką chwilę?

Potrząsnął głową.

- Nie niszczyć tego na tym etapie, Sophie.
- To nie jest dla mnie łatwe, Royd - powiedziała po chwili milczenia.
- To oczywiste - przytaknął wciąż na nią nie patrząc. - Nie ufasz mi?
- Nie byłoby mnie tutaj, gdybym ci nie ufała.
- To zastanawiające. Powiedziałem ci kiedyś, że zrobiłbym wszystko, żeby dorwać Sanborne'a i Bocha. Ryzykowałem życie twoje i chłopca codziennie, począwszy od dnia, w którym się poznaliśmy.
- Mam wolny wybór. To ja ustalam ryzyko. Ufam ci. Po prostu powiedz mi raz jeszcze, że Michael jest bezpieczny.
- Twojemu synowi nic nie będzie. - Odwrócił się. - Muszę iść na most i powiedzieć Kelly'emu, żeby kierował się na Caracas.

Patrzyła, jak odchodził, z uczuciem niepokoju. Odkąd opuścili Stany Zjednoczone, był zbyt cichy, zamknięty w sobie. Być może, można było się tego spodziewać w takich warunkach. Ona również była spięta i musiała kontrolować panikę, która czaiła się, gdy tylko pomyślała o tym, co ją czeka. Ale to nie był ten sam rodzaj paniki, który wyczuła u Royda. Ustawicznie przyłapywała jego wzrok śledzący ją.

Zlikwidowanie Sanborne'a i Bocha znaczyło dla niego wszystko. To była obsesja, która go napędzała. Czy pomyślał, że ona mogłaby się wycofać?

Nie wiedziała. Ostatnimi czasy był zbyt enigmatyczny, nie miała energii ani wystarczającej koncentracji, by analizować każdy jego nastrój i zachowanie. Powiedziała, że mu ufa. Ufała mu. Napięcie, które czuła, nie miało nic wspólnego z Roydem ani z tym, co ją czekało w ciągu najbliższych dni.

Musiała mu ufać.

Caracas

Wyjęła przenośny odtwarzacz DVD z koperty i włożyła do niego płytę DVD.

- Mama?

Usłyszała głos Michaela, zanim kamera zrobiła zbliżenie jego twarzy.

Jezu.

Zauważyła sińca na lewym policzku, a górną wargę miał przeciętą i spuchniętą. Wyglądał przerażająco.

Starał się uśmiechać.

- Jestem cały, mam. Nie bój się. I nie daj się im namówić na nic, czego nie chciałabyś zrobić.

Poczuła pod powiekami piekące łzy.

- Muszę kończyć. - Michael patrzył na kogoś, kto stał poza zasięgiem kamery. - Nie podobało mi się to, co powiedziałem. Ale naprawdę, nie pozwól im ...

Kamera wideo została wyłączona i nagranie się skończyło.

Oparła się o stół, podczas gdy fale paniki przepływały przez nią. Jeśli Michael udawał, zasłużył na nagrodę Akademii Filmo-

wej. Te siniaki ...

Zaufaj mi, powiedział Royd.

Pieprz się, Royd.

Zaufaj mi.

Nie załamuj się teraz. Powiedział jej, że DVD będzie wyglądało na prawdziwe. Musiało być sprawdzone przez Sanborne'a.

Siniaki ...

Zadzwęczał dzwonek jej telefonu.

_ Zdażyłaś zobaczyć nasz mały domowy filmik? - zapytał Sanborne. - Jak ci się podobał?

- Jesteś sukinsynem! - Nie potrafiła zapanować nad drżącym głosem. - On jest tylko małym chłopcem.

- Oczywiście cię nie zadowolilem. Myślałem, że chłopiec wykazał się niesamowitą odwagą. Powinnaś być.. z niego dumna.

- Jestem z niego dumna. Chcę, żebyś go wypuścił.

- W swoim czasie. Kiedy pierwsza próba testów REM-4 okaże się sukcesem.

- Teraz.

- Żadnych żądań. To mnie zasmuca. Każdego dnia, w którym odmawiasz mi pomocy, otrzymasz nagranie od swojego syna. Zaczynam od siniaków, a potem stopniowo przejdziemy do części ciała. Rozumiesz?

Zrobiło jej się niedobrze.

- Rozumiem.

- Tak lepiej. O szóstej po południu podjedź po ciebie na plac Bolivara jeden z moich ludzi, żeby zabrać cię na wyspę. Nie chciałbym musieć wykonywać telefonu, który mógłby sprawić, że będziesz nieszczęśliwa.

Rozłączył się.

Nacisnęła przycisk kończący rozmowę.

Ale nie mogła stanąć z nim twarzą w twarz, dopóki nie będzie miała większej kontroli nad samą sobą. Teraz była zbyt spaniorkowana. Dała sobie chwilę, żeby się pozbierać.

Jeśli ufała Roydowi, dlaczego była przerażona, jakby wierzyła w to, co widziała na tym okropnym DVD?

Ufać mu. Ufać mu. Ufać mu.

Rozdział 18

- Postaraj się go zwabić jutro do zakładu. - Royd zwolnił, zbliżali się do centrum Caracas. - On może chcieć, żebyś pracowała dla niego w laboratorium w jakieś wiosce. Powiedz mu, że musisz jechać do zakładu.

- Dobrze.

- Postaram się zorganizować akcję tak, żeby była gotowa za trzy dni. Ściągnę do tego czasu MacDuffa i jego ludzi. Będzie my na wyspie po zmroku. Musisz być wtedy w zakładzie. Wejść przed MacDuffem i Kellym i wydostanę cię stamtąd. Nie mogę teraz założyć ci podsłuchu, bo na pewno będą cię przeszukiwać. Jak już się tam dostaniesz, będzie bezpieczniej. Musisz mieć możliwość skontaktowania się z nami, gdyby były jakieś kłopoty.

Wzruszyła ramionami.

- Jeśli coś pójdzie nie tak, może być już po mnie. Niepotrzebny mi będzie podsłuch.

- To nie jest zabawne - powiedział ostro.

- Przepraszam. Jak masz zamiar dostarczyć mi tę pluskwę?

- Umieszczę ją w niewielkiej odległości od głównej bramy. Tuż pod powierzchnią tak, że wystarczy tylko lekko odgarnąć ziemię.

Zmarszczyła czoło.

- O czym ty mówisz?

- Wyhodowałem kilka żółtych kwiatów, takich, jakie rosną na wyspie. Tak naprawdę to są chwasty, ale bardzo ładne. Zerwij kilka kwiatków i ukryj między nimi pluskwę. Nie będzie większa od paznokcia. Noś ją zawsze przy sobie. Jeśli okaże się, że sytuacja wymyka się spod kontroli, przyjdę po ciebie.

- To byłoby głupie. Mogą cię zabić. Poczekaj, aż dam ci znak.

- Zobaczymy.

- Nie. Musisz poczekać na mój znak. Nie po to nadstawiam karku, żeby nie móc dyktować warunków.

Przez chwilę milczał.

- Poczekał. Do chwili, w której uznam, że nie mogę dłużej czekać.

- Marne zapewnienie.

- To dużo - powiedział szorstko. - Nigdy nikomu tak nie poszedłem na rękę. - Zjechał na pobocze - Wsiadaj. Nie mogę jechać dalej i ryzykować, że mnie z tobą zobaczą. Żeby dojść do placu Bolívara, musisz iść prosto tą ulicą. Plac jest dwie przecznice dalej. Musisz iść dalej sama.

Sama. Starła się nie dać po sobie poznać, jakie wrażenie na niej zrobiły ostatnie jego słowa. Spodziewała się ich. Byłaby na niego wściekła, gdyby powiedział, że się rozmyślił. Niemniej rzeczywistość ją przerażała.

- Dobrze. - Próbowała się uśmiechnąć, wysiadając z samochodu - Cóż, chyba po prostu będziemy w kontakcie.

Kiedy wyszła z samochodu, odwróciła się jeszcze do Royda.

- Chciałabym cię o coś zapytać.

- Pytaj.

- Jeśli coś mi się stanie, zaopiekujesz się moim synem?

Dopilnujesz, żeby był szczęśliwy?

- Cholera.

- Obiecasz mi?

- Nic ci się nie stanie.

- Obiecuj mi.

Po chwili milczenia powiedział:

- Obiecuję.

- Dziękuję. - Zamknęła drzwi.

- Poczekaj.

Spojrzała na niego.

Nie mówił nic, tylko patrzył na nią z taką intensywnością, że serce zaczęło jej szybciej bić.

- Pamiętasz, jak powiedziałem ci, że mógłbym dla ciebie zabić?

Skinęła głową.

- Myślałem o tym. To się zmieniło. Jest jeszcze silniejsze. _ Głos mu zadrżał. - Myślę, że mógłbym dla ciebie oddać życie.

Zanim zdążyła coś powiedzieć, Royd odjechał.

Royd widział w lusterku wstecznym, jak Sophie stała jeszcze przez chwilę, patrząc za odjeżdżającym samochodem, po czym odwróciła się i poszła szybkim krokiem w przeciwną stronę. Cholera. Cholera. Cholera.

Zacisnął ręce na kierownicy. Musiał się opanować. Nie mógł pozwolić, żeby emocje wzięły teraz nad nim górę.

Nie dawała tego po sobie poznać, ale czuła się bardzo samotna. Czy można ją było winić?

Wkładała głowę w paszczę lwa.

Nie ucierpi w tym starciu. Już on tego dopilnuje. Sięgnął po telefon i wybrał numer Kelly' ego.

- Wsiadła. Spotkajmy się w dokach.

- Jak się czuje?

- A jak ma się czuć? - zachnął się. - Pełna woli walki, ale przestraszona, zastanawia się pewnie, czy wyjdzie z tego żywa.

Rozłączył się•

Zadzwonić do MacDuffa. Powstrzymać chęć, żeby zabrać

stąd Sophie, zanim dopadną ją ludzie Sanborne' a. Nie zgodziłaby się na to teraz, kiedy zobowiązała się wykonać plan. Nie robi tego tylko dlatego, że on przekonał ją, że to najlepsze wyjście. Miał przynajmniej nadzieję, że nie był to jedyny powód. Wcześniej oskarżał ją o nieustanne poczucie winy, ale teraz role się odwróciły.

Wybrał numer MacDuffa.

San Torano

Kiedy motorówka zbliżała się do pomostu, na którym czekał Sanborne, Sophie pomyślała, że w ten ciepły wieczór wyspa wyglądała zupełnie normalnie. Pomost był bardzo długi i w pewnym momencie doznała uczucia deji, które sprawiło, że przeszedł ją dreszcz. To właśnie na takim pomoście zginęli jej rodzice i rozpoczął się koszmar.

Sanborne był przystojnym mężczyzną trochę powyżej pięćdziesiątki. Włosy miał szpakowate, a twarz opaloną. Zdawał się idealnie pasować do tej wyspy. Jeśli w ogóle się zmienił od czasu, kiedy razem pracowali, to wyglądał młodziej i bardziej wytwornie. Uśmiechał się i pomachał do niej.

Poczuła ukłucie w żołądku. Dlaczego zdaje się tak przyjazny? Dlaczego przez te kilka miesięcy, kiedy dla niego pracowała, nie zdołała odkryć, jakim potworem jest Sanborne? Przez ten czas, nigdy nie był nieuprzejmy. Może była tak zajęta pracą, że nie miało to dla niej żadnego znaczenia.

Ale później zaczęło mieć. Zrujnował jej życie i zabił ludzi, których kochała.

Kiedy dobili do pomostu, Sanborne podszedł do motorówki.

- Moja droga Sophie, nareszcie razem! - Rzucił okiem na prowadzącego motorówkę. - Jakies problemy, Mont y?

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Przyszła sama. Nikt nas nie śledził.

- Dobrze - mruknął Sanborne i wyciągnął rękę do Sophie.

- Pozwól, że ci pomogę.

Ignorując ten gest, Sophie weszła na pomost.

- Dam sobie radę.

- Zawsze niezależna - powiedział. - Odzwyczailem się.

Dzięki tobie wielu ludzi stało się potulnymi i posłusznymi. - To ci się na pewno podoba.

- Och, tak.

- Masz wszystko, Sanborne. Pieniądze, wpływy. Dlaczego musisz jeszcze niszczyć ludzi dokoła siebie?

- Jeśli nie rozumiesz, wytłumaczę ci. Siłą napędową Bocha są pieniądze. Dla mnie taką rzeczą jest panowanie nad ludźmi. Nic innego nie zapewnia mi takiego dreszczu. Chodź, pokażę ci, gdzie będziesz mieszkała i pracowała. Chcę, żebyś zaczęła od razu.

- Gdzie mam pracować?

- Na wyspie wybudowałem dom, tam znajduje się laboratorium. Był tu kiedyś Gorshank, została po nim aparatura.

- Na pewno nie będę mogła podjąć pracy Gorshanka szybko.

Najpierw muszę przestudiować jego formuły i przeprowadzić kilka eksperymentów, żeby zobaczyć, gdzie tkwi błąd. Może w ogóle formuła jest niewłaściwa. Może się okazać, że nie zdołam nic z niej wykrzesać.

- Och, formuła jest bardzo ograniczona. Gorshank mnie o tym zapewnił, poza tym, od kiedy tu jestem, sam przeprowadziłem kilka eksperymentów.

Spojrzała na niego przestraszona.

- Na tubylcach?

- Jeszcze nie. Na załodze "Constanzy" - spojrzał na przycumowany statek. - I tak miałem ich wyeliminować. Nie mogliśmy ich puścić, kiedy dowiedzieli się o wyspie.

- I zostali wyeliminowani?

- Straciliśmy ośmiu z załogi, w dzień po tym, jak wypili wodę z kadzi. To była bolesna śmierć. Kapitan i pierwszy oficer, którzy dostali podwójne dawki, umierali w mękach. Pozostali byli nawet podatni na sugestie. Pracują w ogrodzie na tyłach domu, pilnują ich tam strażnicy, dopóki nie upewnimy się, jak długo będzie trwał ich stan posłuszeństwa. Byłoby idealnie, gdyby zmiany zachodziły w mózgu na trwałe, ale chyba oczekuję zbyt wiele. Musimy po prostu co jakiś czas podawać im wodę z kadzi.

Mówił to zwyczajnym głosem, bez śladu skrupułów.

- To potrwa - powtórzyła Sophie. - Nie będę eksperymentowała na niewinnych ludziach, dopóki nie upewnię się, że ich nie skrzywdzę.

- Bardzo chwalebne. Ale eksperymenty muszą zostać przeprowadzone. - Twarz wykrzywił mu grymas. - W kwestii dokładności eksperymentów opinia moja i Bocha trochę się różni. Wydaje mi się, że klienci Bocha są w stanie zaakceptować pewien procent wypadków śmiertelnych, ale oni potrzebują posłusznych im ludzi, a nie martwych ciał. Jeśli zastosują to w zbiornikach wodnych w Stanach, nie chcą, żeby z powodu jakichś widocznych objawów zakażenie zostało odkryte.

Oni chcą ...

- Bezmyślnych zombie, których będą mogli użyć w każdej chwili.

- Albo żeby ludzie pili skażoną wodę przez rok lub dwa tak, aby następne pokolenia wysały ją z mlekiem matki.

- Dzieci.

- Niewolnicze posłuszeństwo zaczyna się w łonie matki. Co za plan!

- Ohydny.

- Ale zrobisz to. - Uśmiechnął się. - Bo tak naprawdę nie zależy ci na tych ludziach, są dla ciebie obcy. Zależy ci na własnym synu.

- Zależy mi na tych ludziach - powiedziała z trudem. - Ale zrobię to, o co mnie prosisz. Jednak, zanim skończę, musisz przywieźć tu mojego syna całego i zdrowego.

- Porozmawiamy o tym po pierwszych próbach.

- Będę musiała zbadać wodę z kadzi. Gdzie one są? W zakładzie?

- Tam jest pewnie połowa. Przerwaliśmy wyładowywanie, żeby przeprowadzić eksperymenty na załodze. Druga połowa jest wciąż na "Conștanzy". Ale ty nie musisz jechać do zakładu, przywieziemy ci próbki do laboratorium.

Już otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale zmieniła zdanie.

Nie powinna naciskać.

- Mogą przywieźć niewłaściwe, ale spróbujemy.

- Jaka jesteś posłuszna! Może cię nawet nagrodzę i pozwolę ci wieczorem porozmawiać przez telefon z synem. Chciałabyś?

- Tak - powiedziała, zaciskając zęby - Wiesz, że tak. Przyglądał jej się z pewną ciekawością.

- Zastanowię się. - Spojrzał na mężczyznę, który szedł w ich stronę. - A oto i mój przyjaciel, Boch. Jestem pewien, że bardzo chętnie go poznasz.

- Nie.

Boch był dużym, dobrze zbudowanym mężczyzną, miał krótko ostrzyżone brązowe włosy i typową dla wojskowego wyprostowaną postawę. Był opryskliwy, zimny i, w przeciwieństwie do Sanborne'a, nie silił się na grzeczność.

- Masz ją? Skończ tę gadkę i wracaj do pracy. Czas nas goni.

- Widzisz? - powiedział Sanborne. - Boch jest lekko zdenerwowany. Nie był zadowolony z próby na zakładzie "Constanzy". Wiedział, że po tych eksperymentach będę chciał zwolnić. Ale wiem, że ty potrafisz ulepszyć tę formułę.

- Powinniśmy podać jej REM-4 - burknął Boch. - Pracowałyby lepiej.

- Nic nie jest w stanie zmusić jej do bardziej wyťažonej pracy niż as, którego ja mam. A jeśli umrze, lub jej umysł zostanie zmacony, wszystko na nic. - Gestem głowy pokazał wielki, biały dom z kolumnadą. - Chodźmy do laboratorium. Przekażę ci notatki Gorshanka, a po kilku godzinach przekonamy się, czy zasłużyłaś na to, żeby porozmawiać z synem.

Sophie wyszła z laboratorium dopiero koło dziewiątej wieczorem. Oczy bolały ją od odszyfrowywania zarówno notatek, które Gorshank zrobił ręcznie, jak i tych, które zapisał w komputerze. Nagle wyrósł przed nią strażnik.

- Chcę się zobaczyć z Sanborne'em.

- Nie wolno pani. Proszę wracać.

- Nie będę kontynuowała pracy, jeśli nie zobaczę się z Sanborne'em.

- Moja droga Sophie - odezwał się Sanborne, wychodząc z pokoju obok. - Musisz się nauczyć, że to ja inicjuję tu wszelkie działania. Teraz sytuacja jest inna od tej, która miała miejsce, kiedy byłaś moją pracownicą.

- Powiedziałeś, że będę mogła porozmawiać z synem.

- Jeśli się dobrze spiszesz. Czego dzisiaj dokonałeś? Co takiego odkryłeś?

- Odkryłam, że wynajęłeś mężczyznę, który podobnie jak ty nie ma sumienia. Z jego notatek wynika, że przeprowadził tyle eksperymentów, ile naziści w obozach koncentracyjnych.

- Mówił, że to żmudna praca.

- Żmudna praca? On zabijał ludzi. Doprowadzał ich do szaleństwa. Beznamiętnie notował wyniki eksperymentów. To psychopata.

- Ci ludzie to tylko włóczędzy i bezdomni. Ale w końcu znalazł formułę, która jest obiecująca. - Ich oczy się spotkały. - W jaki sposób możesz to udoskonalić?

- Nie wiem.

- Nie to chciałem usłyszeć.

- Próbowałam przeanalizować próbkę wody, którą mi dostarzyliście, ale to nie wystarczy. Muszę pojechać do zakładu, żeby przeanalizować zarówno wodę, jaki kadzie. Muszę się upewnić, że żadne zanieczyszczenia nie przedostały się do wody.

Przyglądał się jej przez chwilę.

- To ma sens.

- Oczywiście, że ma. Kiedy mogę tam pojechać?

- Jutro - obiecał.

- Czy teraz mogę porozmawiać z synem?

- Nie zasłużyłaś na nagrodę. - Uśmiechnął się. - Ale może potrzebna ci odrobina motywacji. - Wyjął telefon i wybrał numer. - Franks, pozwoliłem jej porozmawiać z chłopakiem. - Podał jej telefon. - Ale nie za długo.

- Halo - powiedziała do telefonu.

- Jedna minuta. Zaraz go przyprowadzę. - Człowiek, którego Sanborne nazwał Franksem, miał silny nowojorski akcent.

- Mamo?

- Tak, kochanie. Chciałam ci tylko powiedzieć, że robię wszystko, żebyś był bezpieczny.

- Czy ty jesteś bezpieczna?

- Tak, i wkrótce będziemy razem. Wszystko dobrze? Nikt nie robi ci krzywdy?

- Wszystko dobrze. Nie martw się o mnie.

- Trudno jest się nie ...

Sanborne zabrał jej telefon.

- Wystarczy. - Przerwał połączenie. - To i tak za dużo. Następnym razem pozwolę ci z nim porozmawiać, jak zaczniesz robić postępy.

- Rozumiem. - Odwróciła od niego wzrok. - Ten Franks ma akcent, jakby ...

- Pochodzi z Brooklynu. Bardzo charakterystyczny akcent, prawda?

- Bardzo. - To nie był Jock. Nawet gdyby udawał inny akcent, rozpoznałaby jego głos.

- Zanim wybrałem go do eksperymentów, działał w jakimś gangu. Teraz wracaj do laboratorium.

- Jest już po dziewiątej. Muszę kiedyś spać.

- Będziesz mogła pójść do swojego pokoju po północy. Ale musisz wstać wcześniej rano. Boch może jest nieokrzesany, ale ma rację, że czas nas goni. Musisz postarać się o wyniki.

- Będę je miała. Ale potrzebuję moich oryginalnych notatek o REM-4. Masz je tutaj.

- Chcesz powiedzieć, że nie znasz formuły na pamięć?

- Wiesz, że formuła była skomplikowana. Mogłabym ją zrekonstruować, ale to potrwa, a ty nie chcesz dać mi czasu.

- Słusznie. - Zawahał się chwilę, potem odwrócił się i wszedł z powrotem do biblioteki. Wyszedł po kilku minutach z dyskiem. - Pod koniec dnia masz mi go oddawać. Trzymam go w sejfie. - Podał jej dysk. - Czy nie jesteś zadowolona, że taką troską otaczam twoją pracę?

- Prędzej bym umarła, zanim oddałabym to w twoje ręce. _ Odwróciła się i ruszyła w stronę laboratorium. - Ale skoro muszę to zrobić, będziesz musiał ze mną współpracować. Nie zdołam uporać się z tym sama.

- Oczywiście, że ci pomogę. Jesteśmy tu na wyspie jedną szczęśliwą rodziną.

Nie odpowiedziała. Weszła do laboratorium i zamknęła za sobą drzwi. Kiedy tylko znalazła się sama, wróciło do niej wspomnienie rozmowy telefonicznej.

Akcent z Brooklynu. Nie rozpoznała tego głosu. Siniaki na twarzy Michaela.

To nie mogła być prawda. Musi być jakieś wytłumaczenie.

Royd nie pozwoliłby na oddanie Michaela w ręce Franksa, tylko po to, żeby uwiarygodnić sytuację.

Wykorzystam ciebie i kogokolwiek innego, żeby dobrać się do Sanborne 'a i Bocha.

O Boże!

Ale to było na samym początku. Teraz się poznali, spali ze sobą, w pewnym sensie Royd był jej bliższy niż ktokolwiek inny.

Jednak nie zawahał się wysłać ją na San Torrano, mimo ogromnego niebezpieczeństwa.

Oddałbym za ciebie życie.

Te ostatnie słowa zapadły jej w serce. Zaskoczył ją, ale kiedy je wypowiadał, wierzyła, że mówi szczerze.

Wierzyła też, kiedy mówił, że wykorzystałby każdego. Musiała położyć temu kres. Jej dusza była rozdarta. Tak czy inaczej musi jakoś przetrwać te dni na wyspie. Będzie musiała zadawać Sanborne'a wynikami na tyle, żeby nie zaczął działać przeciwko jej synowi. Musi znaleźć sposób zniszczenia Sanborne'a i Bocha. Nie może się wycofać.

Starła się skoncentrować na notatkach Gorshanka. Każdy jej krok teraz musi być ostrożny. Może być obserwowana i podsłuchiwana. Weź następną próbkę wody, wskazała sobie. Nie myśl o Roydzie.

Wykorzystałbym kogokolwiek. ..

Cicho.

Nie ruszaj się, powiedział sobie Royd.

Leżał w zaroślach, czekając, aż strażnik go minie. Byłoby i bezpieczniej, i szybciej, gdyby zdjął strażnika, ale nie mógł tego zrobić. Dzisiejszej nocy nikt nie zginie. Sophie musi mieć szansę przejścia pluskwy bez podejrzeń.

Strażnik kręcił się przy siatce.

Royd wstał i podbiegł do kępy traw przed frontową bramą.

Wyjął z plastikowej torebki kepkę roślin i minutę później wsadził ją do ziemi, ugniatając dokoła. Po czym pobiegł szybko z powrotem w zarośla.

Upewnił się, że jego kombinezon był suchy, żeby nie zostawiać śladów wody.

Teraz musiał popłynąć z powrotem na motorówkę i czekać na znak od Sophie.

- To jest nasz zakład. - Sanborne machnął w kierunku budynku otoczonego siatką. - Nie jest imponujący, ale spełnia swoją funkcję.

- Zabijania tysięcy ludzi? - zachnęła się Sophie, wysiadając z samochodu. Rozglądała się, starając się nie dawać niczego po sobie poznać. Żółty kwiat. Boże, gdzie to było?

- Mówiłem ci, że nie taki mieliśmy zamiar. Ale jeśli dobrze wykonasz swoje zadanie, uratujesz tych wszystkich ludzi, o których tak się martwisz. To sprawi, że poczujesz się bardzo ważna.

Jest! Małeńkie żółte kwiatki niedaleko bramy. Szybko odwróciła od nich wzrok.

- Zrobię, co mi kazałeś. Muszę to zrobić. - Ruszyła w stronę bramy. - Tylko Bóg jeden wie jak. Będę potrzebowała sporo szczęścia, żeby odzyskać syna. Muszę ... - Urwała - Szczęście. Może mi się poszczęści.

- Co?

- Michael uwielbia żółte kwiaty. Kiedy był mały, przynosił mi bukiety mleczy. - Podeszła do kępki kwiatów. - Może to znak, że będziemy mieli szczęście. - Uklękła i zebrała kwiatki, zasłaniając swoim ciałem widok Sanborne'owi. Pluskwa. Małeńki mikrofon wielkości paznokcia. Wsunęła go w dłoń i strząsnęła do rękawa. - Przyda mi się trochę szczęścia.

- Owszem. Ale ten chwast ci nie pomoże. Tylko ja mogę ci pomóc. Jestem zaskoczony. Jak na naukowca, jesteś bardzo przesądna.

- Jestem też matką. - Wetknęła kwiatki do kieszeni koszuli.

- Zdążyłeś już pewnie zauważyć, jak zdesperowana może być matka, jeśli w grę wchodzi życie jej dziecka. Oczywiście, że dobrze to wiesz. Dlatego tu jestem. Zrobię wszystko, żeby mój syn był bezpieczny.

Sanborne uśmiechnął się.

- Zatrzymaj swój sentymentalny talizman. - Otworzył przed nią drzwi. - To żalosne, ale podoba mi się ta desperacja. Mogę się wtedy upajać władzą. Wiesz, zawsze marzyłem, żeby sobie ciebie podporządkować. Kiedy byliśmy w Amsterdamie, a ty byłaś pełna euforii i ufności w powodzenie, widziałem, że w ogóle nie liczyłaś się z moim zdaniem. Wiedziałaś, że masz rację, i traktowałaś mnie pogardliwie. To było irytujące.

- To dlatego postanowiłeś zgładzić moją rodzinę?

- Częściowo. Musiałem cię trochę przytemperować.

Poczuła przypływ gniewu i bólu.

- Moi rodzice byli niewinni. Nie zasłużyli na śmierć.

- Co się stało, to się nie odstanie. Zapomnij o tym. Powinnaś skoncentrować się na robocie.

Zapomnij? To niewiarygodne, on wierzył, że mogłaby zapomnieć!

Widziała, że dla Sanborne'a nie było problemu.

- Nie cofniemy czasu - powiedziała, odwróciwszy od niego wzrok. - Zapewniam cię, że mam zamiar skoncentrować się na badaniach.

- Dobrze. - Weszli do zakładu - Kadzie są w głębi. - Wskażał miejsce za wielkimi maszynami. - Muszę iść. Powiadom strażnika, kiedy będziesz gotowa wrócić. - Spojrzał jeszcze na nią, wychodząc. - To wszystko jest bardzo dobrze strzeżone. Pewnie zauważyłaś. Nikt nie może się zbliżyć lub wyjść stąd bez mojego pozwolenia. Lepiej niczego nie ryzykuj. Jesteś za młoda, żeby umrzeć.

Odprowadziła go wzrokiem. Arogancki łajdak. Royd nie tylko zbliżył się, ale zdołał zostawić pluskwę. Ta myśl sprawiła jej satysfakcję. Po raz pierwszy od przybycia na wyspę miała nadzieję na powodzenie akcji i była bardzo zdeterminowana. Roydowi udało się przechytryć ochronę

Sanborne'a. Skontaktował się z nią.

To może się udać!

- Ma przy sobie pluskwę - powiedział, patrząc na monitor, Kelly do Royda, który właśnie wszedł do kabiny. - Przejęła go jakieś dziesięć minut temu. Tuż przed nosem Sanborne' a - dodał z uśmiechem. - Sprytna dziewczyna.

- Jest w zakładzie?

- Właśnie sprawdza kadzie. Sanborne'a z nią nie ma. Jeszcze nie próbowała się skontaktować.

- Pewnie ją obserwują. Jak zauważyłeś, to bystra dziewczyna. - Opał na fotel obok biurka. - Skontaktuje się, kiedy uzna, że jest wystarczająco bezpiecznie.

- Miałeś wiadomości od MacDuffa?

- Jadą tu. Powinni tu być w ciągu kilku godzin.

- Royd.

Skoczył na równe nogi, kiedy usłyszał głos Sophie.

_ Czuję się, jakbym mówiła do siebie. Mam nadzieję, że ktoś mnie słyszy. Sprawdziłam to miejsce. Nie ma kamer i nie sądzę, żeby był tu podsłuch. Gorshank pracował w laboratorium w domu. Nie musieli szpiegować go tutaj. Będę się streszczała, na wypadek gdyby któryś ze strażników przyszedł tu. Dysk z moimi formułami trzymany jest w domu, w sejfie w bibliotece. Postaram się znaleźć sposób, żeby go zniszczyć. Mam nadzieję, że udało wam się rozmieścić ładunki wybuchowe. Jeśli nie, możecie spróbować dostać się do kadzi na "Constanzy". Połowa z nich jest wciąż na statku. Postaram się wpłynąć na Sanborne' a, żeby przetransportował resztę kadzi tutaj. Potrzebna mi jest broń. Jeśli wam się uda, włóżcie ją do jednej z kadzi. - Na chwilę zamilkła. - Może nie będziemy mogli czekać aż dwa dni. Boch naciska, żeby opróżnić kadzie i pozbyć się dowodów. To Sanborne się waha. Mają po prostu inne spojrzenie na interesy, ale jeśli Boch będzie nalegał, Sanborne zgodzi się, nawet jeśli w grę wchodzi ofiary śmiertelne.

- Ma rację - mruknął Royd.

Przez chwilę Sophie się nie odzywała.

- Wczoraj rozmawiałam z Michaelem - wymawiała powoli słowa. - Odebrał mężczyzna, ale to nie był Jock. Rozpoznała-bym jego głos, nawet gdyby udawał brookliński akcent. To mnie ... przeraziło. To tyle. Skontaktuję się, jak będzie się coś działo.

Royd zaklął pod nosem.

- Czy ona zniszczy te materiały? - zapytał Kelly. - Myślałem, że miała je tylko zlokalizować.

- Taki był mój plan, ale najwidoczniej ona od początku miała inny. Powinienem być wiedzieć, że jeśli je znajdzie, będzie czuła się zobowiązana zniszczyć je sama.

- Nie ufa ci ...

- Nie, nie ufa mi - przyznał. Wstał i ruszył w stronę drzwi. - Ani trochę.

Kiedy Sophie wróciła tego wieczoru, Boch i San borne stali na werandzie. Najwyraźniej doszło między nimi do starcia, choć Sanborne starał się nie dać tego po sobie poznać.

- Dobry wieczór, Sophie - uśmiechnął się Sanborne - mam nadzieję, że masz dla mnie dobre wieści. Mój przyjaciel tutaj wyraża się sceptycznie o tym, czy jesteś w stanie nam pomóc. - Muszę jeszcze trochę popracować. Potrzebne mi są kadzie z "Constanzy". Je też muszę zbadać.

- Dlaczego? - zapytał chłodno Boch.

- W zakładzie znalazłam ślady obcego elementu. Chcę się upewnić, czy Gorhsank nie dodał czegoś do tych konkretnych kadzi.

- To strata czasu - powiedział Boch. - Ona działa na zwłokę, Sanborne.

- Może. - Sanborne przyglądał się uważnie twarzy Sophie.

- Może za bardzo polegam na instynkcie macierzyńskim.

- Potrzebne mi są te kadzie - powtórzyła. Nie musiała udawać desperacji w głosie. - Wiążecie mi ręce, nie pozwalając mi ich przebadać.

- Boże broń - powiedział Sanborne. - Oczywiście, prze-transportujemy kadzie. - Odwrócił się do Bocha. - Przywieziemy je dzisiaj w nocy. Przecież i tak zamierzałeś to zrobić.

Bach spojrzał na Sabarne'a.

- Masz zamiar to zrobić?

- Nie jestem upartym człowiekiem. Możemy pójść na kompromis. Wlejemy zawartość kadzi do zbiornika wodnego dzisiaj wieczorem, kiedy Sophie pobierze próbki. Potem damy jej jeszcze kilka dni na opracowanie formuły z gryzmołów GOL' shanka. Jeśli REM-4 będzie nadal powodowało śmierć tylu ludzi, wtedy podarujemy klientowi naszą Sophie, jako odpowiedź na jego problemy.

- Nie - powiedziała gwałtownie Sophie. - Nie ma potrzeby opróżniania tych kadzi. Dajcie mi trochę czasu, a dopilnuję, żeby REM-4 był bezpieczny.

- Boch mówi, że nie mamy już czasu - przypomniał Sanborne. - Nie ufa ci. Wyobraź sobie!

- Nie. - Zaciśnęła ręce. - Macie mojego syna. Jak ktoś może wątpić w to, że zrobię wszystko dla mojego syna.

- Nie słuchaj jej - powiedział Boch. - To już nie ma znaczenia. Zgodziłeś się, San borne.

- Tak. - Odwrócił się do Sophie. - Wracaj do zakładu. Będziesz miała swoje kadzie.

- Nie - wyszeptała. - Nie rób tego.

- Nie ja to zrobiłem, tylko ty. Nie dostarczyłaś mi potrzebnych wyników. Mówiłem ci, że Boch się śpieszy. To twoja wina, nie moja.

Jej wina. Przez chwilę czuła się, jakby uderzył w nią piorun, jednak szybko się opamiętała.

- Żebyś wiedział, że to moja wina. Ty sukinsynu! Co ci szkodzi poczekać?

- Nie bądź niemiła, Sophie. Nie podoba mi się to. - Odwrócił się do Bocha. - Wyślij ludzi na statek po kadzie. Ile ich jest na "Constanzy"?

- Osiem - odparł Boch, idąc pospiesznie w stronę ścieżki.

- Będą tu w ciągu dwóch godzin.

- Świetnie. - Sanborne odprowadził wzrokiem Bocha i spojrzał na Sophie. - Módl się, żeby klient Bocha zakwestionował potencjał REM-4. W przeciwnym razie na nic nam twoje usługi. Zaczyna mnie drażnić twoja arogancja. - Wchodząc do domu, dodał: - Nie radzę ci w ten sam sposób mówić do Bocha. Przetransportuje w końcu te kadzie. To porywczy człowiek i takie zachowanie może okazać się dla ciebie fatalne w skutkach. Jak już będzie po wszystkim, będę musiał zadzwonić do Franksa i powiedzieć mu, żeby zabił chłopaka. Nie będzie nam już potrzebny.

Patrzyła za odchodzącym Sanborne'em w osłupieniu. Czowała gniew i frustrację. Dlaczego tak szybko poddał się Bochowi? Dwie godziny ...

Pobiegła w stronę ścieżki prowadzącej do zakładu. Dwie godziny. Nie mogła do tego dopuścić. Musieli ich powstrzymać. Stała w bezpiecznej odległości od strażnika i nacisnęła plus-kwę. Starła się mówić cicho.

- Nie możecie czekać. Chcą opróżnić kadzie za dwie godziny. Musimy wkroczyć jeszcze dziś. Będę w zakładzie.

Strażnik omal nie złapał jej na mówieniu do rękawa. O mój Boże! Dwie godziny.

Rozdział 19

-Pobierz próbki - rozkazał Boch, patrząc na swoich ludzi, stawiających kadzie. - Masz na to dwadzieścia minut.

- Bardzo jesteś łaskawy - odparła ironicznie Sophie, biorąc do ręki tacę z pustymi fiolkami i ruszając w stronę ośmiu kadzi, które właśnie przetransportowano ze statku. W której z nich była broń, o którą prosiła Royda? Jeśli nie mając w żadnej? Jeśli Royd nie miał możliwości dostania się na statek, odkąd komuni-kowała się z nim tego ranka? Skąd w ogóle miała wiedzieć, czy ta cholerna pluskwa działała?

Zaufaj mu. Royd zdołał przekazać jej pluskwę, mimo jej wątpliwości. Na pewno sprawdził, że działa. Na pewno też udało mu się umieścić broń w którejś kadzi.

Oddałbym za ciebie życie.

Na miłość boską, przestań kwestionować każdy krok, każdą decyzję Royda! Przecież gdyby intuicja nie podpowiadała jej, że można mu zaufać, nie powierzyłaby mu bezpieczeństwa swojego syna. Mimo to, odkąd znalazła się na wyspie, wciąż się zamartwiała się i podejrzewała go o coś. Royd na pewno nie zostawiłby jej samej. Pojawi się na wyspie, ponieważ powie-dział, że się pojawi.

Zaufaj mu.

Podeszła do pierwszej kadzi, podniosła pokrywę i napełniła fiolkę.

Oprócz płynu w zbiorniku nic nie było.

Umieściła fiolkę na tacy i podeszła do następnej kadzi.

Powoli, nie śpiesz się.

Nie ma broni.

Podeszła do trzeciej. Napełniła fiolkę. Nie ma broni.

Przy piątej kadzi zauważyła broń, gdy tylko podniosła pokrywę. Była ukryta w czarnym wodoodpornym woreczku, przytworowanym do ściany zbiornika. Poczła ulgę.

Ustawiała się tak, żeby znaleźć się między zbiornikiem a Bochem. Dzięki Bogu, Boch w ogóle nie zwracał na nią uwagi. Pokrzykiwał na robotników, którzy przestawiali kadzie. Napelniła fiolkę, po czym wyjęła pistolet i upuściła go na podłogę między kadziami. Postawiła obok plastikowy pojemnik z fiolkami i podeszła do następnego rzędu.

- Pośpiesz się! - krzyknął do niej Boch. - Jesteśmy gotowi.

- Jeszcze dwie kadzie.

Szybko napelniła fiolki i umieściła je na tacy. Uklękła, włożyła fiolki do pojemnika, podniosła pistolet i schowała za tacę. - Gotowe. - Wstała i ruszyła w stronę drzwi.

- Zabiorę je z powrotem do laboratorium.

- Poczekaj.

Zamarła i dopiero po chwili obejrzała się za siebie. Boch uśmiechał się złowieszczo.

- Nie uciekaj. Chcę, żebyś patrzyła, jak wlewamy REM-4 do zbiornika.

- Robisz to, bo wiesz, że jestem temu przeciwna?

- Może. Myślę, że grasz na zwłokę. Sprawiałś nam wiele problemów. Sanborne nie potrafił cię ujarzmić. Powinien był zostawić to mnie.

- Wierz mi, sadystyczne zachowanie Sanborne'a zadowoliłoby nawet ciebie.

- Zostań tu i patrz. - Odwrócił się do mężczyzny stojącego przy kadziach. - Po jednej. Pierwsza kadź.

Mężczyzna przechylił beczkę i przelał płyn do zbiornika.

- Druga kadź - zawołał Boch

Sophie wsunęła rękę pod tacę i wyjęła z plastikowej torby pistolet.

- Trzecia kadź.

- Boch.

Spojrzał na nią•

Kiedy upadał na ziemię, wciąż miał na twarzy wyraz zdumienia.

Sophie rzuciła się do ucieczki.

Kiedy wbiegła z budynku, wciąż słyszała za sobą odgłosy chaosu.

Przed bramą stał strażnik, kiedy ją zobaczył, zaczął biec w jej stronę•

Sophie podniosła pistolet.

Strażnik upadł na ziemię.

Nóż. W jego plecach tkwił nóż.

- Chodź! - Royd chwycił ją za ramię. - Zaraz tu będą.

- Musiał ją niemalże zaciągnąć do bramy.

- Zabiłam go - wyrzuciła się siebie, kiedy wdrapywali się na wzgórze. - Kiedy wlewał REM-4 do zapasowego zbiornika, zastrzeliłam go.

- Wiem. Widziałem.

Zbiegali po drugiej stronie wzgórza.

- Zdjąłem strażnika i dostałem się do okna. Dlaczego po prostu stamtąd nie wyszłaś? Przecież zanieczyścił już wodę, wlewając do niej zawartość pierwszej kadzi.

- Może nie wystarczająco, żeby kogoś skrzywdzić. Nie byłam pewna. Musiałam go powstrzymać.

- Więc upewniłaś się i rozpetęłaś piekło.

Usłyszeli za sobą krzyki.

Nagle ogarnęła ją panika.

- Chodź! - Royd ciągnął ją za sobą w stronę oddalonego o sto metrów zagajnika.

- Idę. I tak nie zdołamy ukryć się w tych drzewach. Jest już za ...

- Zamknij się! - Pchnął ją na ziemię, kiedy doszli do drzew. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął coś z niej. - Muszę zrobić trochę hałasu.

Hałasu. Co na miał na myśli, mówiąc ...

W tym momencie ziemię wstrząsnął silny wybuch. Za wzgórzem pojawiła się czerwona luna.

- Zakład - wyszeptała. - Wyszadziłeś zakład.

- Tylko w taki sposób mogliśmy się upewnić, że REM-4 przestanie istnieć. Wiedziałaś, że tak to się pewnie skończy. - Włożył mały przedmiot z powrotem do kieszeni. - Mówiłem ci, że chcę zmieścić REM-4 z powierzchni ziemi. - Wstał. - Chodź. Musimy dotrzeć na plażę po drugiej stronie wyspy. Ludzie MacDuffa zaraz tu będą, żeby doprowadzić to miejsce do porządku. Kelly zabierze cię na jacht.

- Nie.

- Tak. - Spojrzał na nią. - I tak zrobiłaś już wiele. Pozwól nam zrobić resztę.

- Sanborne. Jest w domu. W jego sejfie są moje notatki.

- Zdobędę je dla ciebie.

- To są moje notatki, moja praca, moja odpowiedzialność.

- Ruszyła w stronę domu na wzgórzu - Muszę działać szybko. Na pewno słyszał wybuch. Zorientuje się, co się stało, zabierze notatki i weźmie nogi za pas. Na pewno opracował plan ucieczki.

- Sophie, zaufaj mi.

- Ufam ci. Przez chwilę miałam z tym problem. Miałaś rację. Ale uznałam, że jeśli ufam swojej intuicji, muszę ufać i tobie. - Przyspieszyła kroku. - To teraz nie ma nic wspólnego z zaufaniem.

Royd mruknął jakieś przekleństwo pod nosem.

- Dobrze. Więc, do cholery, jesteśmy w tym razem. Nie musisz sama wszystkim się zajmować. Uprzedziłaś mnie, jeśli chodzi o Bocha. Jeśli dobrze pamiętasz, jestem bardzo zainteresowany usunięciem z tego świata Sanborne' a.

Jak mogłaby zapomnieć? Skinęła głową. - I to ja rozdaję karty.

Byli zaledwie kilkaset metrów od domu. Nie widać było żadnego strażnika. Co nie znaczyło, że nie było żadnego strażnika w środku.

- Sanborne ma dwóch ochroniarzy, którzy nie odstępują go na krok. Nie widzę ich.

- Czy możemy dostać się do biblioteki od tyłu domu?

- Tak. Drzwi biblioteki wychodzą na werandę• Gdzie sk podziali wszyscy strażnicy?

- Mówiłaś, że ma tylko dwóch ochroniarzy.

- Pewnie wydawało mu się, że więcej nie potrzebuje, biorąc pod uwagę liczbę niewolniczo poddanych mu robotników na wyspie. - Kiedy podeszli do tyłu domu, wskazała głową na przeszklone drzwi. - To jest biblioteka.

- Światła zgaszone. Poczekaj tu, pójde sprawdzic.

- Nie.

- Do cholery! - Ruszył w stronę drzwi. - Więc trzymaj się za mną•

Idąc wzdłuż ściany domu, doszedł do drzwi i otworzył je gwałtownie.

Cisza.

Royd włączył latarkę i rozejrzał się po pokoju. Pusty. Cisza.

W całym domu panowała cisza.

- Może pobiegł do zakładu, kiedy usłyszał wybuch? - zasugerowała Sophie.

_ Nie sądzę. Wydaje mi się, że zabrał formuły i uciekł.

- Jak?

- Śmigłowcem lub motorówką. Nie słyhać śmigłowca. Założę się, że pobiegł na pomost, do swojej motorówki.

Przyśpieszył kroku.

Kiedy dobiegli do przystani, Sanborne właśnie wsiadał do motorówki. Jeden z jego ochroniarzy włączył silnik.

- Cholera - mruknął Royd, ściskając w ręku pistolet. - Ten pomost jest za długi. Musimy podejść bliżej.

- Droga Sophie - zawołał Sanborne, kiedy łódka już odpływała. - Miałem nadzieję zobaczyć twoją minę, kiedy po-wiem ci, że twój syn właśnie powoli umiera. Wykonałem telefon, kiedy zobaczyłem, że zakład został wysadzony w powietrze.

- On nie umiera - powiedziała Sophie. - Zostałeś oszukany.

- Nie wierzę ci.

- To prawda.

- W takim razie muszę się upewnić, że nigdy go już nie zobaczysz. - Sanborne skinął na ochroniarza, który stał obok. - Zabij ją, Kirk.

Mężczyzna podniósł broń. Ona miała dużo lepszy zasięg niż ich broń.

- Nie! - krzyknął Royd i rzucił się na Sophie, powalając ją na ziemię. Podniósł swój pistolet i wystrzelił.

Ale w tym samym momencie rozległ się strzał z drugiej strony.

Dostał.

Krew. Z jego klatki piersiowej buchnęła krew. Zamknął powoli oczy.

- Royd!

Następny strzał. Kula utkwiała w pomoście. Instynktownie zasłoniła Royda swoim ciałem. Uniosła pistolet i wycelowała.

Ciało Sanborne'a osunęło się na podłogę motorówki. Dostał w głowę. Ochroniarz upuścił broń, kiedy zorientował się, że Sanborne dostał, teraz pochylał się nad jego ciałem.

- Czy go trafiłem? - Royd otworzył oczy i spoglądał na nią.

- Tak. - Po jej policzkach płynęły łzy. - Zamknij się. Nie mów nic. - Rozpięła mu koszulę. - Dlaczego to zrobiłeś? _ Jej głos się załamywał - Nie powinieneś był tego robić, do cholery.

- Nie mogłem ... inaczej ... - Znowu zamknął oczy. - Mówiłem ci ...

Oddałbym za ciebie życie.

- Nie waż mi się umierać. Słyszysz mnie? Nie chciałam, żebyś robił z siebie bohatera. - Boże, kula trafiła w górną część klatki piersiowej. Nie panikuj. Jest lekarzem. Musi się zachowywać jak lekarz. - Trzymaj się. Nie zostawiaj mnie tu z poczuciem winy, że umarłeś przeze mnie. Wiesz, jakie mam problemy z poczuciem winy.

- Nie ... pomyślałem o tym.

- Poprawisz się. - Sięgnęła po telefon i wybrała numer MacDuffa. - Jesteśmy na pomoście. Royd jest ranny.

- Zaraz przyślę pomoc.

- Dobrze. - Rozłączyła się. - Teraz sprawdzę, czy kula utkwiała w ciele, czy przeszła na wylot. To będzie bolało.

Nie odpowiedział. Był nieprzytomny.

- Sophie.

Podniosła głowę i zobaczyła MacDuffa i Campbella stojących nad nią.

- Dlaczego tak długo? - Przytuliła mocniej Royda. - Mógł umrzeć.

- Dziesięć minut - powiedział MacDuff, klękając przy niej.

- Pojawiliśmy się tak szybko, jak to było możliwe. Co z nim?

- Szok. Utrata krwi. - Potrząsnęła głową. - Nie wiem, co jeszcze. Zrobiłam, co mogłam. Musimy zawieźć go do szpitala. - Ostrożnie puściła Royda i usiadła. Nie chciała go zostawiać. Miała dziwne uczucie, że dopóki trzymała go w ramionach, dopóty był bezpieczny. - Od momentu, kiedy do ciebie dzwoniłam, jest nieprzytomny.

- Od razu zadzwoniłem po helikopter. Powinien tu zaraz być - powiedział MacDuff i zwrócił się do Campbella: - Idź go wyglądać, Campbell. Powiedziałem, żeby wylądował niedaleko domu.

- Tak jest. - Campbell odwrócił się i odszedł. MacDuff spojrzał na Sophie.

- Czy wszystko w porządku? Jesteś ranna?

- Nie. Kula była przeznaczona dla mnie, ale Royd przyjął ją na siebie.

- Sanborne?

- Nie żyje. Royd go zastrzelił. Nie wiem, gdzie jest. Był na motorówce razem ze swoimi dwoma ochroniarzami. - Starła się opanować drżenie głosu. - Musicie go znaleźć. Miał ze sobą dysk z REM-4. muszę odzyskać te formuły. Zawsze stanowiły zagrożenie...

- Znajdziemy go - zapewnił. Wyciągnął rękę i uściśnął jej ramię. - Wszystko będzie dobrze, Sophie.

Zamknęła oczy. Puste słowa, kiedy Royd leżał tu i walczył o życie. Nie pozwoli mu umrzeć. Musi żyć, w przeciwnym razie jak ona będzie żyła?

Boże, jaka była samolubna. On zasługuje na długie i szczęśliwe życie i to nie ma nic wspólnego z nią. Powtarzała tę myśl w duchu, jak mantrę. On musi żyć. On musi żyć.

- Sophie - powiedział łagodnie MacDuff. - Chyba słyszę helikopter.

Otworzyła oczy. Też słyszała. Nagle wstąpiła w nią nadzieja.

- Zabierzmy go stąd.

Godzinę później byli już w szpitalu Santo Domenico w Caracas. Przed chwilą Royd został zabrany na oddział chirurgiczny. - W porządku? - zapytał MacDuff, przyglądając się Sophie.

- Trzyma się. To dobry znak.

- Może wydobrzeć, ale równie dobrze jego stan może się pogorszyć - powiedziała Sophie. - Doceniam to, że starasz się mnie pocieszyć, ale zdaję sobie sprawę z powagi sytuacji. Przynajmniej zrobili mu transfuzję krwi w helikopterze. To zwiększa szanse.

- Chodź, pójdziemy do poczekalni. Napijemy się kawy. Nie chciała iść. Chciała wdrzeć się na salę operacyjną i patrzeć na ręce lekarzom. Chciała mu pomóc, do cholery!

Odetchnęła głęboko.

- Za chwilę. Muszę wyjść na zewnątrz i zadzwonić. I tak miałam zadzwonić do Michaela. Royd mówił, że Michael jest z Jockiem. Czy nadal?

Skinął głową.

- W domu nad jeziorem, niedaleko Atlanty.

- Musi być doskonałym aktorem. Nie rozpoznałam jego głosu, a i Sanborne dał się oszukać. Przez chwilę nie wiedziałam, co myśleć.

- Jock jest świetny we wszystkim, co robi - powiedział MacDuff, otwierając przed nią przeszkłone drzwi. - Ale nie ryzykowałbym, żeby, imitował głos Franksa, bez pewnej technicznej sztuczki.

- Słucham?

- Zanim dopadł Franksa, Jock przez półtora dnia bawił się z nim w kotka i myszkę. Pozwolił mu się zbliżyć i czmychnąć.

Zmarszczyła czoło.

- Nie rozumiem.

- Jockowi było potrzebne nagranie Franksa, jak rozmawia przez telefon ze swoimi ludźmi, z Sanborne'em. Kiedy już mieli nagranie, Jock i Joe Quinn zabrali je do eksperta w miejscowym biurze FBI. Quinn pracował kiedyś w FBI i wciąż ma tam pewne kontakty. Przy telefonie, który Jock ukradł Frankowski, zamonitowali urządzenie. - Uśmiechnął się. - I w ten oto sposób głos Jocka brzmiał, jak głos Franksa. Nieźle wykiwał Sanborne'a.

- I przeraził mnie. Uśmiech MacDuffa zniknął.

- Dziwię się, że Royd nie powiedział ci, co się działo.

- Mówił mi. Z grubsza. Zresztą, kiedy usłyszałam głos Franksa, byłam już na wyspie. Nie miałam wyboru. Musiałam zaufać Roydowi.

- I zaufałaś mu?

- Po wielkich wewnętrznych bataliach - przyznała, opierając się o ścianę. - Nic, co związane z Roydem, nie jest proste. _ Ale, Boże, chciała, żeby ten trudny, nieokrzesany facet żył. _ Musiałam kierować się intuicją.

- A może również czymś innym?': MacDuff nie czekał na odpowiedź: - Wykonaj swój telefon. Przyniosę ci kawę. Bez mleka?

Skinęła głową. MacDuff wszedł z powrotem do środka.

Coś innego? Sympatia? Może ... miłość? Zaciśnęła rękę na telefonie. Namietność, bliskość, podziw, była świadoma tych uczuć. Teraz musiała pogodzić się z tą pustką i przerażeniem, które poczuła na myśl, że może go stracić.

Wciąż może go stracić. Oczy jej zapęłniły się łzami. Musi się trzymać. Być czymś zajęta. Wybrała numer Jocka.

- Chyba nie chcesz rozmawiać ze mną, Sophie. Jest tu młody człowiek, który chce przejąć słuchawkę.

- Dobry byłem, mamó? - zapytał przejęty Michael. - Jock mówił, że muszę udawać, żebyś była bezpieczna.

- Bardzo dobrze, kochanie. Jak się masz?

- Dobrze. Tu jest bardzo ładnie. Jane ma psa, wabi się Toby, jest półwilkiem. Jane uczy mnie też grać w pokera.

- Miałaś jakieś ataki?

- Jeden - powiedział szybko. - Jock powiedział, że jesteś teraz bezpieczna, bo pokonałaś tych drani.

Kiedy przyjedziesz?

- Tak szybko, jak będę mogła. Muszę jeszcze załatwić jedną sprawę. Daj mi jeszcze na chwilę Jocka. Kocham cię.

- Ja też cię kocham.

- Nic mu nie jest, Sophie - powiedział Jock. - Jeden łagodny atak. Był wspaniały.

- A skąd miał te siniaki?

- Jane.

- Co?

- Cień do powiek. - Umilkł i po chwili zapytał: - Co z Roydem ?

- Jeszcze nie wiemy. Jesteśmy w szpitalu. Operują go. Przyjadę zabrać Michaela tak szybko, jak to będzie możliwe, ale nie mogę jeszcze zostawić Royda.

- Nie ma sprawy. Jane i Michael świetnie się dogadują, a teraz, kiedy wie, że jesteś bezpieczna, będzie zadowolony. - Sprawia wrażenie zadowolonego. Poker?

- Każdy chłopak powinien się nauczyć grać pokera. - Nagle głos Jocka stał się poważny. - Szkoda, że nie mogłem być z wami w San Torrano. Może Royd by nie oberwał.

- Wątpię.

- Teraz zraniłaś mnie. Nie wierzysz, że potrafię przenosić góry?

- Wierzę, że jesteś moim przyjacielem, który czuwa nad bezpieczeństwem mojego syna. To niezła góra.

- Warta zachodu, ale nie ekscytująca. Ale wytrwam na stanowisku, dopóki mnie nie zmienisz. Zadzwoni, jak będziesz coś wiedziała. Do widzenia, Sophie.

Rozłączył się.

Sophie wzięła głęboki oddech. Przynajmniej Michael był bezpieczny.

- Jak tam twój syn?

Odwróciła się i zobaczyła MacDuffa stojącego niedaleko niej.

- W porządku. Uczy się grać w pokera i jest zachwycony towarzystwem psa Jane.

- Toby'ego? - Podał jej kawę. - Słyszałem, że to całkiem miłe zwierzę. Ona ma na jego punkcie bzika.

- Chyba wiesz to z pierwszej ręki. Jesteście dobrymi przyjaciółmi.

- Nasze relacje są ... trudne. Nigdy nie zostałem zaproszony do domu nad jeziorem.

- Chciałabym, żeby obecność Michaela tam nie była konieczna. _ Nagle przyszło jej coś do głowy.

- Mogę mieć problemy, żeby dostać się do Michaela. To, że Boch i Sanbome nie żyją, nie znaczy, że wszystko jest w porządku. Wciąż jestem podejrzana o zabójstwo Dave'a. Szuka mnie policja.

- Pewnie już niedługo. Przekonałem CIA, żeby wysłali na miejsce zbrodni własną ekipę. Skoro Devlin przygotował twoje DNA, to może zostawił też trochę swojego. CIA jest nam wdzięczne, że wyręczyliśmy ich, jeśli chodzi o REM-4. - Wziął ją pod ramię. - Chodźmy do środka. Robi się chłodno.

To ostre, zimne powietrze odpowiadało jej. Ale musi iść do środka, na wypadek gdyby lekarze mieli im coś do zakomunikowania.

Zatrzymała się. Przeszedł ją dreszcz. On nie umrze. Przeżyje operację. Gdy lekarze pojawią się w poczekalni, powiedzą, że wszystko jest już dobrze.

Skinęła głową.

- Masz rację. Chodźmy do środka. Wkrótce powiadomią nas, czy ...

- Czekacie ... na moje ... ostatnie słowa? - zapytał ochryłym głosem Royd.

Obudził się!

Sophie usiadła szybko na krześle przy łóżku.

- Nie powinieneś nic mówić. Coś ci podać?

- Och, tak. Mam całą listę. - Zamknął oczy. - Ale, jeśli umieram, muszę ... ułożyć życzenia ... w odpowiedniej kolejności.

- Nie umierasz. Nie teraz. - Przystawiła mu do ust szklankę z kruszonym lodem. - Weź trochę do ust i pozwól, żeby się rozpuścił.

Posłuchał jej.

- REM-4. Odzyskaliście notatki, formuły?

Skinęła głową.

- MacDuff zlokalizował motorówkę z helikoptera. Wszystkie materiały były w walizce Sanborne 'a.

- Co z nimi zrobiłaś?

- Spaliłam je. Każdy dokument.

- Dobrze. Kiedy wychodzę?

- Za miesiąc, może później.

- Jak długo tu jestem?

- Dwa dni. - Dwa bardzo długie dni, kiedy czuwała przy nim, cierpiąc męki. - Wczoraj wieczorem polepszyło ci się i wiedzieliśmy już, że będziesz żył.

- Michael?

- W porządku. Wciąż w Atlancie.

Otworzył oczy ze zdziwienia.

- Więc ... co wciąż tu robisz?

Zastanawiam się nad własnymi uczuciami, stwierdziła w duchu.

- Powiedziałam ci, że u Michaela wszystko dobrze. Nie potrzebuje mnie teraz.

- A ty musiałaś spełnić swój obowiązek.

- Zamknij się. - Głos jej drżał. - Staram się ci współczuć. Teraz nic ci nie mogę zrobić. Ale zapamiętam to sobie i po-czekam, aż wyjdiesz ze szpitala.

- Powiedz, dlaczego jesteś miła dla wszystkich, oprócz mnie?

- Byłam miła ... kiedy byłeś nieprzytomny.

- I myślałaś, że umieram. Następnym razem pozwól mi nacieszyć się tą stroną twojej osobowości, kiedy będę przytomny. - Zamknął oczy - Teraz się prześpię. Muszę szybko dojść do siebie. Musimy tyle rzeczy ustalić między nami, będę potrzebował dużo siły.

- Śpij. Potrzebujesz snu.

Przez chwilę milczał.

- Dlaczego zostałaś ze mną, zamiast jechać do Michaela?

- Potrzebowałam mnie.

- I?

- Ocaliłeś mi życie.

- I?

- Śpij - powiedziała załamującym się głosem. - Niczego więcej ze mnie nie wydusisz.

- Dobrze. Ale jeszcze zobaczysz ...

Ustalić tyle rzeczy, powiedział. Nawet teraz ją badał. Jak mogli cokolwiek ustalać? Oboje byli ofiarami Sanbome'a i Bo-cha. W tej chwili nie potrafiła jasno myśleć. Była tak zmęczona, że w ogóle ledwo mogła zebrać myśli.

Ale czuła. Och, tak, czuła.

Wyciągnęła rękę i delikatnie odgarnęła mu włosy z czoła.

Kiedy go dotknęła, poczuła witalność, która wracała. Był tak jej bliski ...

Otworzył oczy.

- Złapałem cię na gorącym uczynku - wyszeptał.

Starła się ukryć łzy pod powiekami.

- Udawałeś martwego.

-Mężczyzna musi robić swoje. - Przekreślił głowę i dotknął policzkiem jej dłoni. Znowu zamknął oczy. - Nie przestawaj.

- Nie przestanę. - Poglaskała go po policzku i dodała: - Nie wiem, co musiałbyś zrobić, żebym przestała ...

Epilog

MacDuff's Run

Sześć miesięcy później

- Sophie.

Idzie!

Odwróciła twarz od morza i zobaczyła Royda idącego ścieżką w jej stronę. Szedł szybkim krokiem, niecierpliwie, z napiętym wyrazem twarzy. Serce waliło jej tak mocno, że przez chwilę nie mogła wymówić słowa.

- Bardzo dobrze wyglądasz - powiedziała, opanowując drżenie głosu. - Jak się czujesz?

- Jestem wściekły. Obudziłem się następnego ranka w szpitalu i powiedziano mi, że wyjechałaś z kraju. Dlaczego?

- Zdałam sobie sprawę, że nie mogę zostać.

- Michael.

- To był jeden z powodów. Potrzebował mnie bardziej niż ty.

- Na pewno. Jak się ma?

- Dobrze. W zeszłym miesiącu miał jedynie dwa ataki. Myślę, że wychodzi z tego.

- Świetnie. Jaki jest ten drugi powód, dla którego mnie zostawiłaś?

- Ten drugi powód był bardziej osobisty. Nie wiedziałam, co myśleć. Potrzebowałam czasu, żeby sobie wszystko ułożyć w głowie.

- Beze mnie.

- Bez ciebie - przytaknęła. - Nie mogłabym skupić myśli, gdybyś był w pobliżu.

- To dobrze.

Spojrzała na niego.

- Ty też potrzebowałeś czasu. Musiałeś mieć szansę, żeby zapomnieć o mnie. Zapomnieć o wszystkich złych rzeczach, które cię przeze mnie spotkały.

- Dzięki tobie doświadczyłem też wiele dobrych rzeczy. Jak długo będę musiał cię przekonywać, że jesteście kwita? - Nie czekając na odpowiedź, dodał: - Więc poprosiłaś MacDuffa, żeby przywiózł tu ciebie i Michaela, i kazałaś mu powiedzieć mi, żebym trzymał się od ciebie z daleka.

- Dopóki nie będę gotowa. - Uśmiechnęła się. - Musiałam też załatwić kilka innych rzeczy. Razem z lane MacGuire zebrałyśmy wystarczającą ilość pieniędzy, żeby odbudować zbiorniki wodne na San Torrano. To niesamowita kobieta.

- Słyszałem. - Umilkł i dodał po chwili. - Wiesz, chciałem zorganizować zespół komandosów, żeby zdobyć do miejsce. - Ale tego nie zrobiłeś.

- Chciałem dać ci jeszcze miesiąc. Może jednak jestem cywilizowany.

- Ani trochę. Ale jesteś inteligentny i wiesz, że miałam prawo do takiego zachowania.

- Ty potrzebowałaś czasu, ja nie. Wiem, czego chcę. - Spojrzał jej głęboko w oczy. - Dostanę to?

- A o co ci chodzi? O seks?

- Tak. Chcę, żebyś mówiła do mnie, chcę cię poznawać. Chcę, żebyśmy mieszkali razem i robili zwykłe rzeczy. Chodzą-li do kina, do sklepu, na mecze Michaela.

- Michael. Wiesz, że musisz mnie wziąć z całym dobrodziejstwem inwentarza?

- Nie jestem idiotą. Damy sobie radę. On jest częścią ciebie. Tak jak ja chcę być częścią ciebie. W każdej chwili. Czy to cię przeraża?

- A czy przeraża ciebie?

- Na początku, kiedy zacząłem coś do ciebie czuć. Teraz już się przyzwyczailem. - Wziął głęboki

oddech i wyznał: - Kocham cię. Boże, było ciężko. Mam nadzieję, że było warto.

Wypełniła ją radość.

- Było warto.

- Nie musisz mi mówić tego samego. Miłość dla każdego znaczy co innego. Musisz do mnie przywyknąć. Pogadamy o tym za rok.

- Jaki jesteś wspaniałomyślny. - Ujęła jego twarz w dłonie i uśmiechnęła się promiennie. - Ale chyba porozmawiamy o tym teraz.